

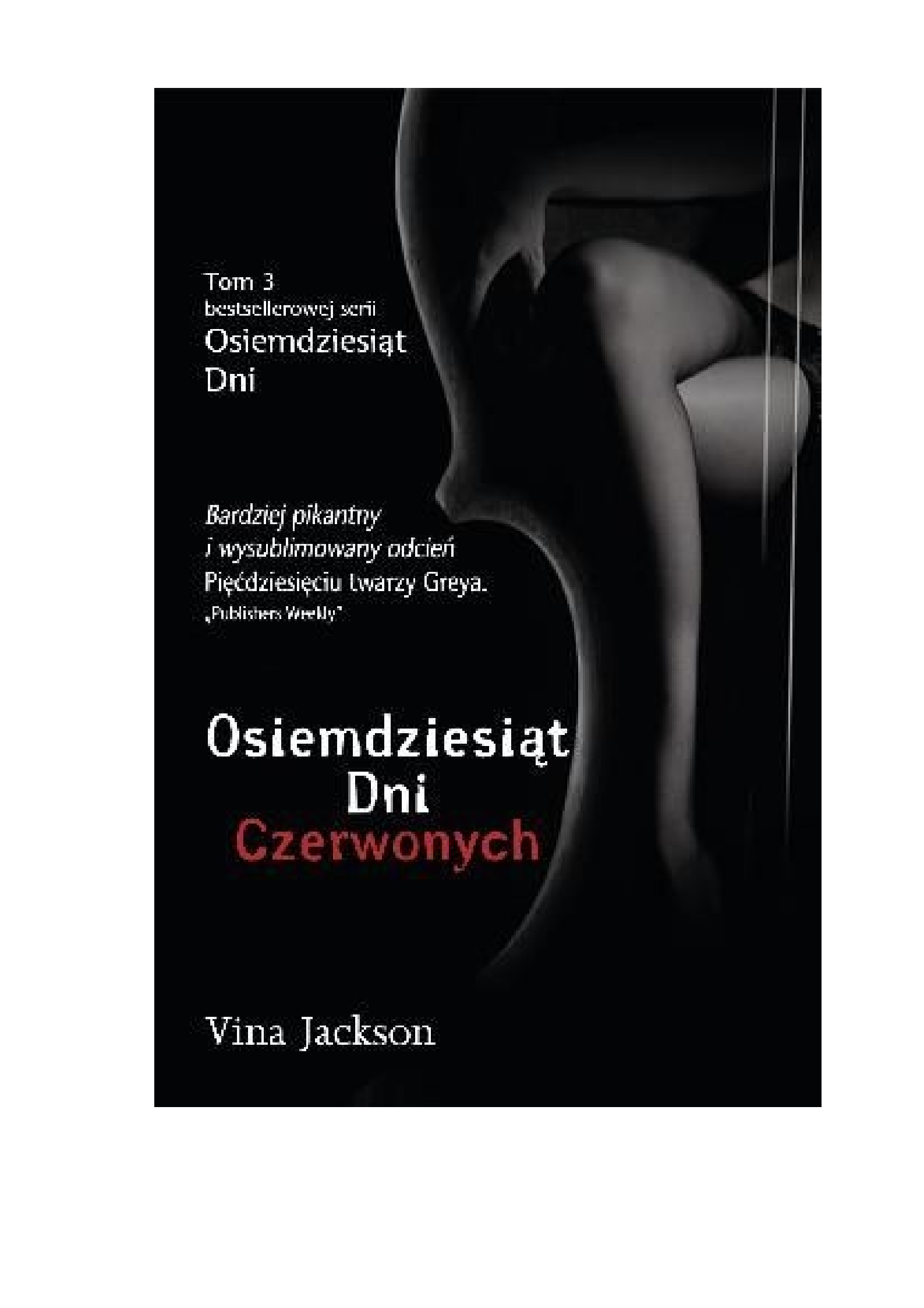
Osiemdziesiąt Dni Czerwonych

Vina Jackson

Przekład

BARBARA KWIATKOWSKA





Tom 3
bestsellerowej serii
**Osiemdziesiąt
Dni**

*Bardziej pikantny
i wysublimowany odcień
Pięćdziesięciu twarzy Greya.
„Publishers Weekly”*

**Osiemdziesiąt
Dni
Czerwonych**

Vina Jackson

Bieganie

Stopy uderzały o ziemię zgodnie z rytmem serca.

Central Park był zasypany śniegiem. Mimo pozornego spokoju cały czas byłam świadoma, że miasto otacza mnie z każdej strony — wielka otwarta dłoń z łąką pośrodku i budynkami strzelającymi w niebo jak brudne szare palce, wyrastające wokół białych śnieżnych kołderek, porozkładanych na trawnikach.

Śnieg był świeży i sypki. Czułam, jak lekko skrzypi pod moimi stopami, amortyzując kroki. Całkowita biel wyostrzała zmysły, a suche zimne powiewy na policzkach odczuwałam jak dotyk jakiegoś chłodnego, pozaziemskiego stworzenia. Zmrożony oddech zawisł na wysokości mojej twarzy jak kłęb dymu, a lodowate powietrze paliło w gardle.

Biegałam codziennie od miesiąca. Od dnia, kiedy w księgarni Shakespeare & Co. na Broadwayu znalazłam książkę Dominika. Przeczytałam ją w pośpiechu, w tych krótkich, rzadkich chwilach, kiedy byłam w domu sama, z dala od bacznego spojrzenia Simóna.

Dziwnie było to czytać. Główna bohaterka wydawała się bardzo podobna do mnie. Wykorzystał kilka naszych rozmów, opisał historie z mojego dzieciństwa, które mu opowiedziałam, dołując atmosferę małego miasteczka, w którym dorastałam i z którego pragnęłam się wyrwać. Bohaterka miała nawet rude włosy.

Kiedy czytałam, słyszałam mocny jak dzwon głos Dominika, jego wyjątkową intonację. Znajdowałam też odniesienia do książek, o których wiedziałam, że je czytał i do muzyki, którą lubił.

Od naszego zerwania minęły dwa lata. Doszło do strasznego nieporozumienia. Uniosłam się honorem i odeszłam, czego żałowałam do dzisiaj. Kiedy po jakimś czasie wróciłam do jego mieszkania, żeby wszystko odkręcić, Dominika nie było. Zajrzałam przez szparę pod drzwiami i zobaczyłam pusty pokój i stos listów na podłodze. Od tamtej pory nie miałam od niego znaku życia.

Aż do dnia, kiedy szukałam na Manhattanie butów do biegania i na wystawie księgarni wypatrzyłam jego książkę. Zaciekawiona otworzyłam ją i doznałam szoku, bo mimo burzliwego związku i niesmacznego rozstania, zadedykował ją mnie. „Dla S. Twój na zawsze”.

Od tamtej pory nie mogłam myśleć o niczym innym.

Bieganie było sposobem na uporanie się z targającymi mną emocjami. Szczególnie zimą, kiedy ziemię pokrywał śnieg, a na ulicach panowała cisza. Zimą Central Park wyglądał jak śnieżna pustynia i był jedynym miejscem, gdzie na godzinę znajdowałam schronienie przed kakofonią miasta.

Oraz okazją, by spędzić trochę czasu bez Simóna.

Wciąż prowadził orkiestrę Gramercy Symphonia, w której się poznaliśmy.

Dołączyłam do sekcji smyczkowej trzy lata temu i grałam na skrzypcach Bailly'ego, podarowanych mi przez Dominika. Simón był dyrygentem i pod jego batutą znacznie rozwinęłam umiejętności. Zachęcił mnie do grania solo i znalazł mi agentkę, dzięki czemu miałam już za sobą kilka tras i udział w paru nagraniach.

Nasza znajomość była czysto profesjonalna, choć niepozbawiona flirciarskiego podtekstu. Wiedziałam, że Simón jest we mnie zakochany i nie starałam się jakoś specjalnie go zniechęcić. Ale nic się między nami nie wydarzyło aż do mojej kłótni z Dominikiem. Byłam wówczas w trasie i nie miałam gdzie się podziąć. Mieszkanie Simóna znajdowało się niedaleko Lincoln Centre, miało własną scenę do prób i wydawało się oczywistym rozwiązaniem, znacznie prostszym i praktyczniejszym niż hotel.

Ale potem Dominik zniknął, a kilka nocy z Simónem zmieniło się w kilka lat.

Okazało się, że jestem całkiem szczęśliwa. Simón był łatwym partnerem, lubiłam go, nawet kochałam. Przyjaciele z entuzjazmem przyjęli nasz związek. To miało sens — młody wirtuoz dyrygentury i jego wybijająca się skrzypaczka. Po latach życia zdeklarowanej singielki albo z kimś, kogo moi przyjaciele i rodzina uważali za partnera niewłaściwego dla mnie, niespodziewanie się

dopasowałam.

Czułam się akceptowana. Normalna.

Życie było niekończącym się łańcuszkiem prób, występów i studiów nagraniowych, emocji związanych z wydaniem pierwszego albumu, a potem kolejnych. Miłe przyjęcia, Gwiazdki i Święta Dziękczynienia spędzane z przyjaciółmi i krewnymi. Jako nowojorska złota para muzyki klasycznej byliśmy nawet bohaterami kilku artykułów. Mieliśmy sesję zdjęciową w Carnegie Hall — staliśmy obok siebie, ja położyłam głowę na ramieniu Simóna, a moje rude loki mieszały się z jego gęstymi czarnymi puklami. Miałam na sobie czarną aksamitną sukienkę z dekoltem na plecach.

W tej samej sukience po raz pierwszy grałam dla Dominika *Cztery pory roku* Vivaldiego, na scenie w parku w Hampstead.

Dominik i ja zawarliśmy układ — on kupi mi nowe skrzypce (moje zostały zniszczone w czasie bójki kibiców na stacji Tottenham Court Road), a w zamian ja zagram dla niego w parku, a potem raz jeszcze, na prywatnym koncercie, na którym miałam wystąpić całkiem naga. To była bezczelna prośba całkiem obcego człowieka, ale pomysł podekscytował mnie w sposób, którego wówczas jeszcze nie potrafiłam wyjaśnić. Dominik dostrzegł we mnie coś, czego ja nie widziałam — pragnienia i żądze, których nie zaczęłam jeszcze nawet zgłębiać. Tę stronę osobowości, która od tamtej pory przyniosła mi rozkosz i ból.

Dominik dotrzymał słowa i zastąpił mój stary, poobijany instrument skrzypcami Bailly'ego, na których aż do teraz gram wszystkie koncerty, choć do prób miałam już kilka innych.

Simón chciał mi kupić nowe skrzypce. Woli nowoczesne instrumenty z czystym dźwiękiem i uważał, że powinnam spróbować czegoś nowego, dźwięczniejszego. Podejrzewam jednak, że chciał usunąć z mojego życia wszelkie pozostałości po Dominiku. Tyle że wcześniej dostałam już tyle ofert od menedżerów i wytwórców instrumentów, że mogłam wymienić bailly'ego z dziesięć razy.

Ale prezent od Dominika wydawał się wprost dla mnie stworzony. Żaden inny instrument nie miał takiego dźwięku, tak idealnej wagi, żaden tak doskonale nie leżał mi w dłoniach i nie dopasowywał się do podbródka. Gra na baillym natychmiast przywoływała postać Dominika, a myśli o Dominiku zabierały mnie do miejsca, w którym grałam najpiękniej. Do mentalnego zatracenia, gdy ciało przejmowało kontrolę nad mózgiem, a umysł umykał w strefę snów, w której muzyka ożywała i nie musiałam grać. Wystarczyło mi doświadczenie tego, jak ręce grają za mnie.

Jakaś kobieta spojrzała na mnie zaskoczona. Była ubrana w grubą kurtkę z kapturem naciągniętym na twarz, żeby chronił ją przed zimnem, a przed sobą pchała jasnoniebieski wózek z opatulonym jak Eskimos dzieckiem w środku. Mijający nas biegacz, ubrany w jasnożółty termoaktywny strój z odbłaskowymi paskami, rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie.

Simón kupił mi na święta między innymi strój do biegania. Może chciał w ten sposób oświadczyć, że zaakceptował treningi i przestanie mnie namawiać, żebym zamiast tego poszła na siłownię. Simón nienawidził joggingu w Central Parku, szczególnie wcześniej rano albo późnym wieczorem. Przytaczał statystyki na temat atakowanych biegaczek. Ale większość z nich była blondynkami z włosami zebranymi w koński ogon i biegała w poniedziałki koło szóstej rano. Zakomunikowałam mu, że prawie całkowicie mnie to wyklucza, jako że jestem ruda i o szóstej rano nigdy nie znajduję się poza łóżkiem. Nigdy. Ale i tak się czepiał.

Podarował mi designerskie termoaktywne rękawiczki, pasujące do nich długie spodnie, koszulkę i kurtkę, a nawet najdroższe na rynku buty do biegania, choć dopiero co sama kupiłam sobie parę.

— Biegasz po lodzie, poślizgniesz się — powiedział.

Nosiłam te buty, żeby sprawić mu radość. Zmieniłam tylko sznurówki z białych na czerwone, żeby dodać jakiś akcent kolorystyczny. I wkładałam rękawiczki. Ale kurtkę najczęściej zostawiałam w domu. Nawet zimą lubiłam biegać tylko w kamizelce. Na początku zimno było zabójcze. Wiatr wbijał mi się w skórę jak gwoździe z łoża fakira, ale kiedy już się rozgrzałam, cieszyło mnie świeże powietrze i zimny wiatr, który dopingował do szybszego biegu.

Kiedy wracałam do domu, skórę miałam czerwoną, a mimo rękawiczek palce czasem bolały, jakbym je sobie odmroziła.

Simón przytulał mnie i całował, żeby mnie rozgrzać, a potem rozcierał moje nagie ramiona, aż skóra zaczynała boleć.

Wydawał się ciepły pod każdym względem, począwszy od skóry koloru kawy, którą zapewniały mu wenezuelskie korzenie i dużych brązowych oczu, aż po gęste kręcone włosy i masywne ciało. Miał sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, a odkąd byliśmy razem, stopniowo przybierał na wadze. Nie robił się gruby, nie. Ale wspólne kolacje i butelki wina wypijane przy filmach oglądanych na DVD sprawiły, że ze szczupłego zrobił się krzepki, a delikatna warstewka tłuszczu dawała złudzenie miękkości. Pierś miał zarośniętą gęstymi czarnymi włosami, które uwielbiałam przeczesać, kiedy leżeliśmy w łóżku, po seksie.

Był bardzo męski z wyglądu, a w zachowaniu bardzo czuły. Nasze dwa wspólne lata można porównać do odprężającej kąpieli w wannie pełnej piany. Związek z nim jawił mi się jak powrót do domu po ciężkim dniu pracy i włożenie flanelowej piżamy oraz starych skarpet. Nie ma nic lepszego niż towarzystwo mężczyzny, który kocha cię całkowicie, bezwarunkowo. Simón dbał o mnie, chronił, pielęgnował.

A mnie to nudziło.

Starłam się zwalczyć brak satysfakcji dużą ilością zajęć. Pracowałam jak szatan. Grałam na skrzypcach, jakby każdy występ miał być ostatnim. Przebiegłam nowojorski maraton. Biegałam i biegałam, wciąż starałam się uciec, ale zawsze i tak wracałam do domu.

Dopóki nie przeczytałam książki Dominika.

Od tej pory niemal bez przerwy słyszałam w głowie jego głos.

Najpierw w czasie lektury. Czułam się, jakbym słuchała audiobooka.

Potem zalała mnie fala wspomnień.

Naszą znajomość konstituował seks, ale nie częsty i pełen miłości, jaki łączył mnie i Simóna.

Dominik miał pragnienia bardziej mroczne niż przeciętny człowiek. Kiedy był obok, czułam, że wnosi w moje życie światło przewodnie. Przy nim czerpałam rozkosz z realizacji fantazji, o których wcześniej nawet nie myślałam. Prosił mnie, żebym robiła dla niego rzeczy, o których nikt przed nim nie odważył się szepnąć. Nie chodziło nawet o śmiałość — nalegał, żebym pozwoliła mu używać mojego ciała dla jego przyjemności, podporządkowała mu się w dziwnej grze, bardziej psychicznej niż fizycznej, w której byliśmy równymi partnerami, choć postronnemu obserwatorowi mogło się wydawać, że pozwalałam mu sobą kierować.

Pod względem seksualnym Simón był całkowitym przeciwieństwem Dominika. Lubił, kiedy ja byłam na górze i przez większość naszych wspólnych wieczorów harowałam, siedząc na nim okrakiem i usiłując powstrzymać się przed myśleniem o pracy czy liście zakupów albo przed wpatrywaniem się w białą błyszczącą ścianę za wezłowiec łóżka.

Telefon zabrzączał mi w kieszeni spodni i tak się zdziwiłam, że niemal wylądowałam na oblodzonej ścieżce. Niewiele osób miało mój numer, więc rzadko ktoś dzwonił. A jeśli już, był to albo Simón, albo moja agentka Susan. Simón wiedział, że biegam, więc rzadko telefonował, chyba że chciał, żebym po drodze kupiła coś na śniadanie, najlepiej pączki z cukierni na rogu Lexington i Pięćdziesiątej Szóstej ulicy, które uwielbiał moczyć w kawie.

Szybko ściągnęłam rękawiczkę. Palce miałam tak przemarznięte, że ledwie dałam radę utrzymać telefon. Numer był nowozelandzki, ale żaden z tych, które miałam zapisane w pamięci komórki.

Z obawą wcisnęłam guzik. Bardzo rzadko rozmawiałam z najbliższymi przez telefon. Nie byliśmy typem rodziny, która często się ze sobą kontaktowała, woleliśmy e-maile albo Skype'a. Poza tym w Nowej Zelandii było późno.

— Halo?

— Cześć, Sum, jak leci?

— Fran?

— Nie mów, że już nie poznajesz mojego głosu?

— Oczywiście, że poznaję, ale nie spodziewałam się telefonu od ciebie. Która jest u was godzina?

- Nie mogę spać. Rozmyślałam.
- Żeby ci nie weszło w krew...
- Chciałabym przyjechać i cię odwiedzić.
- W Nowym Jorku?
- Prawdę mówiąc, wolałabym Londyn, ale nie upieram się. Zaczyna mi się nudzić w Te

Aroha.

Nie spodziewałam się kiedykolwiek usłyszeć takich słów z ust mojej siostry. Pasowała do naszego rodzinnego miasta jak pięść do nosa, absolutnie nie była stworzona do mieszkania w małym miasteczku, a jednak spędziła tam całe życie, prawie trzydzieści lat. Odkąd skończyła liceum, pracowała w miejscowym banku. Zaczynała na infolinii, potem została team leaderką, a w końcu doradczynią finansową, choć nie miała żadnego kierunkowego wykształcenia, nie licząc kursów organizowanych przez bank. Byłam jedynym członkiem mojej rodziny, który poszedł na studia, ale rzuciłam je po roku.

Mogłam ją sobie bez trudu wyobrazić. U mnie była sobota rano, u niej — późny sobotni wieczór. Siedziała w swoim domku, ubrana w dżinsowe spodnie i poszarpany podkoszulek w kolorze wściekłej pomarańczy, w stylu punka z lat osiemdziesiątych, jak zwykle rozedrgana, przeczesywała palcami krótkie włosy w kolorze platynowego blondu albo kręciła na palcu pasmo grzywki. Był środek lata, więc prawdopodobnie panował upał, ale jej stary domek był chłodny, zresztą w Te Aroha w powietrzu zawsze czuło się zimniejszy powiew, jakby całe miasto żyło w cieniu gór.

- Co się stało? — spytałam. — Myślałam, że zostaniesz tam na zawsze.
- Nic nie trwa wiecznie.
- Nie, ale w twoim przypadku to radykalna odmiana. Co się stało?
- Nie wiem, czy powinnam ci mówić. Mama mi zabroniła.
- Na litość boską, teraz już musisz. Nie możesz mnie tak zostawić.

Zwolniłam tempo do szybkiego marszu, ale kiedy przestałam biec, zaczęłam się ślizgać przy każdym kroku. Lodowate powietrze sprawiło, że drżałam, bo ruch już mnie nie ogrzewał. Palce dłoni, na której nie miałam rękawiczki, zrobiły się krwistoczerwone od zimna i zaczynały pulsować.

— Fran, jestem na środku Central Parku, a temperatura jest polarna. Muszę zacząć znów biec, a nie mogę jednocześnie rozmawiać, więc wyduś to z siebie, a ja oddzwonię, jak wrócę do domu.

— Pan van der Vliet umarł — powiedziała tak łagodnie, jakby powoli odbezpieczała broń. — Twój nauczyciel gry na skrzypcach — dodała, wypełniając ciszę.

— Wiem kto to!

Zatrzymałam się i pozwoliłam, żeby zmrożone powietrze owinęło się wokół mnie jak stalowy koc.

Fran milczała na drugim końcu linii.

— Kiedy? Co się stało? — zdołałam wreszcie zapytać.

— Nie wiedzą. Znalezione jego ciało w rzece. Tej samej, w której zginęła jego żona.

Żona pana van der Vlieta zginęła tego dnia, kiedy się urodziłam. Wracała do domu z Taurangi przez Karangahake Gorge i jej samochód wpadł w poślizg na mokrej od deszczu nawierzchni. Nie zmieściła się w jednym z ciasnych zakrętów i uderzyła w jadącą z przeciwka ciężarówkę. Kierowcy nic się nie stało, nie miał nawet zadrapania, ale samochód pani van der Vliet przekoziołkował i wpadł do rzeki. Utonęła, zanim ktokolwiek zdążył do niej dotrzeć.

— Kiedy? — Słowa grzęzły mi w gardle, jakbym połknęła kłębek wełny.

— Prawie dwa miesiące temu — szepnęła Fran. — Nie mówiliśmy ci. Myśleliśmy, że to cię zasmuci, wpłynie na twoje występy. Mama i tata nie chcieli, żebyś rzuciła wszystko i przyjechała na pogrzeb.

— Przyjechałabym.

— Wiem. Ale co to za różnica? On byłby martwy tak czy siak, nawet gdybyś przyjechała.

Fran, jak większość Nowozelandczyków, jakich znam, była pragmatyczna do bólu. Ale jej

nieubłagana logika nie powstrzymała kleszczy, które zaciskały się na moim sercu.

Pan van der Vliet miał koło osiemdziesiątki i wydaje mi się, że nigdy nie pogodził się ze stratą żony. Ale choć cichy i nienarzucający się, był kamieniem milowym mojego dzieciństwa. Mimo że całe dorosłe życie mieszkał w Nowej Zelandii, wciąż mówił z twardym holenderskim akcentem. Łagodnie, ale stanowczo poprawiał mój chwyt na smyczku albo chwalił za udany występ.

Sztuki gry na skrzypcach nauczyłam się w dużej mierze poprzez obserwację jego gry. Sposobu, w jaki jego wysokie i nieznośnie chude ciało nabierało życia i gracji, gdy brał do ręki instrument. Grał, jakby przekraczał próg do innego świata, stawał się innym człowiekiem, tracił codzienną niezdarność. Próbowалам naśladować moment, w którym zdawał się jednoczyć z muzyką. Zamykałam oczy, chłonąc melodię ciałem i odkryłam, że w ten sposób gram znacznie lepiej niż ciągle wpatrując się w nuty.

I choć to nie Hendrik van der Vliet podsunął mi pomysł, by grać na skrzypcach — odpowiedzialne za to były winylowe płyty ojca — z całą pewnością tylko dzięki nauczycielowi nie przestałam tego robić. Z zewnątrz wydawał się surowym człowiekiem, ale była w nim łagodność, którą rzadko okazywał. Większość dzieciństwa spędziłam, starając się zasłużyć na jego pochwałę. Ćwiczyłam i ćwiczyłam, aż opuszki palców miałam pozdzierane do krwi.

— Summer? Jesteś tam? Wszystko dobrze?

Jej słowa zabrzmiały jak echo.

— Fran, oddzwonię do ciebie, dobrze?

Rozłączyłam się i schowałam telefon do zamykanej kieszeni w spodniach, nie czekając na to, co odpowie siostra.

Wsadziłam słuchawki do uszu i nastawiłam głośną muzykę. *Fight like a girl* Emilie Autumn — pan van der Vliet nie zniósłby tego. Zawsze pchał mnie w stronę muzyki klasycznej i był bardzo rozczarowany, gdy odeszłam z akademii muzycznej i wyniosłam się do Londynu.

Wyobrażałam sobie jego twarz pod wodą. Czy miał wypadek? Albo atak serca, przypadkiem w tym samym miejscu, w którym zginęła jego żona? Wątpiłam w to. Nie pamiętam, żeby pan van der Vliet miał choćby katar i nie mogłam sobie wyobrazić, żeby chorował. Ale nie był też według mnie typem kogoś, kto skacze do wody. To byłoby zbyt spontaniczne. Raczej wybrałby sposób, który zapewniłby pełną kontrolę nad każdą chwilą zanurzania się. Wszedłby do rzeki.

Widziałam to przed oczami jak film. Miał na sobie swój najlepszy strój. Może ten garnitur, który włożył na koncert, który zagrałam w holu szkoły podstawowej w Te Aroha w czasie mojego tournée po antypodach przed kilku laty? Biała koszula, ciemnooliwkowa kamizelka, spodnie i marynarka. Wyglądał jak konik polny. Siedział z niewygodnie podkulonymi nogami, bo tylko tak mógł się zmieścić między rzędami niedużych drewnianych krzeseł, które ustawiono w holu. Skórę miał cienką jak papier, wyglądał, jakby mógł ulecieć z wiatrem jak liść.

Po prostu wszedł do wody i się odprężył. Musiał zrobić to późno w nocy albo wcześniej rano, zanim nad rzeką zaroilo się od plażowiczów, spacerowiczów i dzieci z nadmuchiwanymi dętkami, na których płynęły z prądem aż do Peroy, gdzie rzeka Ohinemuri spotykała się z Waihou.

Pan van der Vliet był jednym z nielicznych ludzi w Nowej Zelandii, którzy nie umieli pływać. Mówił, że nigdy nie chciał się nauczyć, wołał się cieszyć komfortem suchego lądu, nawet w najbardziej upalne dni. Nie miał ani odrobiny tkanki tłuszczowej, więc poszedłby na dno jak kamień.

Kiedy dotarłam do domu, łzy spływały mi po policzkach. Zasmuciła mnie wieść o panu van der Vlicie, ale jeszcze bardziej fakt, że nie wiedziałam o pogrzebie. Że nie miałam okazji się pożegnać, podziękować za wszystko, co dla mnie zrobił.

Simón siedział na stołku przy barze śniadaniowym i czytał gazetę, a długie włosy otaczały jego twarz jak kurtyna. Miał na sobie stare znoszone dżinsy i podkoszulek z nadrukiem Iron Maiden, bo jak zwykle wykorzystywał każdą okazję do ubrania się normalnie, nie w zwyczajowy strój dyrygenta — frak, w którym według mnie wyglądał doskonale, jak skrzyżowanie wilkołaka i wampira. Simón nie znosił fraka, twierdził, że przypomina mu kaftan bezpieczeństwa.

Odwrócił się, kiedy tylko weszłam do pokoju i już był na nogach, już zamykał mnie w objęciach.

— Fran dzwoniła — powiedział. — Tak mi przykro, kochanie.

Wtuliłam się w niego i schowałam twarz w jego ramionach. Pachniał tak jak zawsze gałką muskatołową i cynamonem — używał tej wody, odkąd go znałam. Bogaty, drzewny zapach kojarzył mi się z bezpieczeństwem i jego objęciami.

— Nie wiedziałam, że ma nasz numer domowy — zdziwiłam się cicho.

— Dałam jej w czasie świąt.

Simón był usposobiony rodzinnie bardziej niż ja. Klócił się z rodzeństwem jak opętany, z rodzicami też, ale mimo to rozmawiał z nimi co najmniej raz w tygodniu. My dogadywaliśmy się dobrze, ale spokojnie mogłam przeżyć pół roku bez kontaktowania się z nimi.

Podniosłam głowę i go pocałowałam. Miał pełne wargi i, jak zwykle, cień zarostu na szczęce. Odpowiedział pocałunkiem i pociągnął mnie delikatnie w stronę sypialni. Włożył dłonie pod moją koszulkę i zaczął rozpinać sportowy stanik.

Przyzwyczał się do jednego z moich dziwactw — kiedy byłam smutna, nic lepiej nie poprawiało mi humoru niż seks, oczywiście pod warunkiem że to nie Simón był przyczyną chandry. Wiem, że to dziwny sposób na pocieszenie i pewnie podzielała go niewielka część kobiecej populacji. Mnie seks koił jak nic innego, była to jedyna aktywność, no może poza grą na skrzypcach, która potrafiła dać mi spokój.

Ściągnął mi spodnie i wsunął we mnie palce. Znajomy dreszcz przyjemności przebiegł mi po kręgosłupie.

— Muszę wziąć prysznic — zaprotestowałam. — Jestem cała spocona.

— Nie musisz — powiedział stanowczo i popchnął mnie na łóżko. — Wiesz, że taką cię lubię.

To była prawda i często to podkreślał. Simón lubił mnie taką, jaka byłam, bez względu na stan. Zdarzało się na przykład, że budziłam się w nocy, czując między nogami jego usta albo że rzucał się na mnie, gdy wracałam z siłowni.

Był mężczyzną pełnym pasji, który uwielbiał się kochać i był gotowy na wszystko, byle tylko mnie zadowolić. Ale w sypialni mieliśmy różne gusta. Żadne z nas nie chciało dominować.

Simón nie był typem pana, a ja tęskniłam za tą lodowatą nutką w dotyku Dominika i podobnych do niego mężczyzn. Chciałam, żeby ktoś mnie związał i zabawiał się ze mną. Simón próbował, ale nie potrafił wzbudzić w sobie przekonania do choćby myśli o zrobieniu mi krzywdy. Mówił, że nawet w wyobraźni nie umiałby uderzyć czy związać kobiety, co wykluczało spanking, jedną z rzeczy, które lubiłam najbardziej.

Był dobrym człowiekiem. Wiedziałam, że bardziej w jego stylu byłoby, gdybym to ja znalazła się na górze, ale nagiął się do moich upodobań. Fakt, że przez cały nasz związek zmagalam się z dokuczliwym brakiem spełnienia, był niegojącą się raną, przyczyną poczucia winy. Swędzącym miejscem, którego nie można podrapać.

Najbardziej na świecie pragnęłam być kobietą, którą uszczęśliwiają zwykłe rzeczy. Miałam przecież o wiele więcej — mężczyznę nie tylko dobrego, ale wspaniałego. Obydwoje byliśmy zdrowi i mieliśmy przyjaciół i udane kariery. A mimo to w głowie słyszałam szept, który podpowiadał, że to nie jest życie, jakiego chciałam, jakie by mi pasowało.

Simón chciał wziąć ślub i mieć dzieci, a ja nie. To jedyna rzecz, co do której nie mogliśmy się dogadać i której nie można było naprawić. Czułam dreszcz przerażenia za każdym razem, kiedy patrzył na wystawę jubilera albo uśmiechał się do małego dziecka, które wpadło na niego na ulicy. Wszystko, co miało dać mu szczęście, mnie przerażało i późno w nocy, kiedy nie pracowałam, nie spotykałam się z nikim ani nie biegałam po lodowatym parku, czułam, jakby ktoś zawiesił mi na szyi stalową sztabę albo położył na wyciągniętych rękach ciężar, którego nie mogłam utrzymać. Czasem czułam się, jakby życie chciało mnie zmiażdżyć.

Minęły dwa tygodnie, a ja wciąż śniłam o zalewającej wszystko wodzie i o Dominiku. Budziłam się z uczuciem, jakby ze snu wyrwał mnie lew.

Mimo lęków i zmartwień czas płynął jak zawsze. Codziennie biegałam, ćwiczyłam, chodziłam na wieczorne spotkania ze znajomymi parami, głównie muzykami. Czułam jednak, że moje życie jest bezcelowe, byłam jak statek bez steru, jakbym z każdą chwilą coraz bardziej pogrążała się w nicości.

Fran wciąż dzwoniła o dziwnych porach dnia i nocy. Czułam, że na swój sposób mnie pilnuje. Zawsze byłyśmy blisko, ale nie okazywałyśmy jakoś szczególnie emocji i te rozmowy nie trwały dłużej niż kilka minut. Nadal zamierzała opuścić Te Aroha. Złożyła już wypowiedzenie oraz podanie o angielską wizę.

Miałyśmy angielskich przodków, co działało na naszą korzyść. Dziadkowie z jednej strony byli Ukraińcami, a z drugiej Anglikami. Pionierzy i podróżnicy, z obydwu stron. To zostało nam we krwi, pragnienie bycia w ruchu, odkrywania nieznanych miejsc.

— Więc nie przyjedziesz do Nowego Jorku? — zapytałam ją któregoś wieczoru, kiedy powiedziała, że kupiła bilet do Anglii.

— Wydaje mi się, że Londyn to miejsce dla mnie. Poza tym tak czy inaczej nie mogę zdobyć amerykańskiej wizy.

— Możesz mieszkać u mnie, nie szukaj pracy. Przyjedź jako turystka.

— Nie wygłupiaj się. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie wytrzymałabym ani minuty, nie zarabiając na swoje utrzymanie. Tak samo zresztą jak i ty.

— W porządku. Odwiedzisz mnie?

— Oczywiście. A ty odwiedzisz mnie w Londynie?

— Jasne. Jestem tam winna wizytę.

Im więcej o tym myślałam, tym bardziej tęskniłam. Chłód, ponure stare budynki, ulice prowadzące tu, tam i siam, chodniki oplatające miasto jak macki, brak domów — klockowatych, ściśle przylegających do krawężników jak w Nowym Jorku.

Odkąd spotykałam się z Simónem, byłam w Londynie tylko raz, przelotem. Pozostałam w kontakcie z Chrisem, moim najlepszym przyjacielem, którego poznałam zaraz po przyjeździe do Londynu. Jego kapela, Groucho Nights, zaczynała się wybijać. On i jego kuzyn Ted, gitarzysta, spotkali na jakiejś imprezie Vigga Francka, wokalistę The Holy Criminals, i wszyscy przypadli sobie do gustu. Co więcej, Viggo zaproponował im zagranie supportu przed koncertem jego słynnej rockowej grupy w Brixton Academy. Muzycy tacy jak Chris marzyli o tym czasem przez całe życie.

Chris i ja poznaliśmy się na koncercie Black Keys, też w Brixton Academy. Poszłam tam sama, bo nikogo nie znałam. Zderzyliśmy się, kiedy oboje rzuciliśmy się łapać kostkę do gitary wokalisty. Jako dżentelmen pozwolił mi ją wziąć, a ja po koncercie postawiłam mu za to drinka. Połączyło nas to, że oboje byliśmy w Londynie nowi i oboje byliśmy muzykami strunowymi. Ja grałam na skrzypcach, a on na altówce, którą zamienił na gitarę, żeby lepiej wpasować się w gusta rockowej publiczności. Grywałam czasem z nimi na różnych dziwacznych występach, gdy potrzebowali skrzypiec.

Postanowiłam do niego zadzwonić. W Londynie było już późno, ale Chris jest muzykiem, na pewno będzie na nogach.

Odebrał, miał zaspany głos.

— Tylko nie mów, że spałeś! Co z ciebie za gwiazda rocka?

— Summer?

— We własnej osobie. Co słychać?

Słyszałam szelest koców, usiłował usiąść w łóżku.

— Gramy koncert.

— Z The Holy Criminals? Genialnie. Musiałeś się przespać z Viggim Franckiem?

— Daj spokój.

— Jaki on jest? — wypytywałam.

— Viggo?

— Oczywiście, że Viggo. Perkusista ani trochę mi się nie podoba.

— Spodobałby ci się. Wszystkie laski go lubią. Ja tego nie rozumiem. No ale taki już los

miłego faceta: wieczny przyjaciel, nigdy chłopak. To dranie biorą to, co najlepsze.

— Simón jest miłym facetem — droczyłam się.

— Tak. — Nagle jego ton stał się poważny. — Ale czy jesteś z nim szczęśliwa?

Zamilkłam, niepewna, co odpowiedzieć. Jak miałabym komukolwiek wyznać, że rozważam zerwanie z najmilszym facetem na świecie tylko dlatego, że jest zbyt miły?

— Summer, co jest? Nigdy nie dzwoniś tylko na ploty.

— Nie wiem. Jestem trochę rozbita. Umarł mój nauczyciel gry na skrzypkach. Pan van der Vliet. Nie wiem, czy ci o nim mówiłam?

— Tak. Surowy gość, prawda? Dobrze grał. I był z ciebie dumny.

— Myślę, że popełnił samobójstwo — powiedziałam bardzo szybko.

— O Boże. Tak mi przykro... Trzymasz się jakoś?

— Nie bardzo... Ja... Nie wiem już, kim jestem. Chciałam tylko usłyszeć twój głos.

— Jestem tu zawsze, jeśli tylko będziesz mnie potrzebować, wiesz o tym?

— Tak, wiem. Powodzenia na koncercie. Kiedy to będzie?

— W przyszłym miesiącu. Brakuje nam ciebie. To już nie jest to samo.

— Jasne!

— Nie, naprawdę. Dawałaś coś od siebie. Może gdybyś nie odeszła, już bylibyśmy sławni?

Kiedy tego wieczoru wróciłam do domu, późno, Simón nie spał, czekał na mnie, siedząc przy blacie śniadaniowym, z długimi nogami skrzyżowanymi w kostkach. Miał zgarbione plecy i wpatrywał się w blat, ale nie czytał gazety. Coś jednak przed nim leżało. Książka. Zamknięta. Kiedy się zbliżyłam, z przerażeniem przekonałam się, że to powieść Dominika.

Nie wstał, żeby mnie powitać, jak to zwykle robił. Wyglądał na śmiertelnie zmęczonego.

— Cześć — rzuciłam, żeby przerwać lodowatą ciszę. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się blado. W oczach miał ciepło, ale patrzył na mnie jak chory koń, który widzi, że właściciel zbliża się z pistoletem.

— Cześć, kotku — powiedział. — Przytul się. Rozłożył ramiona, a ja weszłam prosto w nie. Płakał.

Czułam, że jego ramiona i klatka piersiowa drżą, a szyję miałam mokrą od jego łez.

— Co się stało? — spytałam łagodnie.

— Ty wciąż kochasz Dominika. — To było stwierdzenie, nie pytanie.

— Nie widzieliśmy się od dwóch lat — odparłam.

— Ale nie możesz zaprzeczyć, że wciąż jesteś w nim zakochana.

— Ja...

Wskazał na książkę.

— To jest o tobie. Gdzie indziej, kiedy indziej, ale to ty.

— Przeczytałeś?

— Wystarczająco dużo. Przepraszam, wiem, że nie powinienem grzebać w twoich rzeczach, ale od jakiegoś czasu nie jesteś sobą. Martwiłem się.

— Nie szkodzi. Nie powinnam była jej trzymać. Chciałam ją wyrzucić, wiedziałam, że istnieje ryzyko, że Simón ją znajdzie. Nie chodzi o to, że mu nie ufałam. Ale on zawsze patrzył na mnie tak, jakby wiedział, że do niego nie należę i starał się znaleźć dowód, że go nie kocham. Kochałam go, ale było to raczej głębokie przywiązanie niż romantyczne uniesienie.

Przytrzymał ręką mój podbródek i zgarnął mi z twarzy pasmo włosów.

— To się nie uda — powiedział.

— Jak to?

W klatce piersiowej poczułam tępy ból.

— Chcemy czego innego. Kocham cię, ale nigdy nie będziesz ze mną szczęśliwa. A ja przez resztę życia będę się starał złapać choćby strzępy tego, czego nigdy nie miałem.

— Nie wygłupiaj się — zaprotestowałam, a w moim głosie słychać było panikę. — To tylko książka, ona nic nie znaczy. Możemy porozmawiać, znaleźć rozwiązanie...

— Chcę mieć dzieci, rodzinę. Ty nie. Wiesz, co mówią: ryba i ptak mogą się w sobie

zakochać, ale gdzie założą gniazdo?

Parsknęłam i szukałam argumentu, żeby się z nim nie zgodzić, ale go nie znalazłam.

— Rozmawiałem z Susan — mówił dalej.

— Powiedziałeś mojej agentce, że ze mną zerwiesz, zanim powiedziałeś o tym mnie?!

Czułam, że się czerwienię, buzował we mnie gniew, nie łzy. Zaciśnęłam dłonie w pięści i oparłam je na jego piersi. Złapał mnie za nadgarstki i przytrzymał.

— Oczywiście, że nie. Zasugerowałam jej tylko, że przyda ci się przerwa. Widzę, że jesteś znudzona, sfrustrowana. Nawet najlepszy muzyk potrzebuje czasem wakacji.

Z tym też nie mogłam polemizować. Od lat grałam te same utwory, a na koncerty wkładałam tę samą sukienkę. Zbyt długo. Byłam zmęczona, znudzona. Nawet album, który ostatnio nagraliśmy, inspirowany muzyką południowoamerykańską, mnie nie porwał. To była jego ojczyzna, nie moja. W melodiach, które grałam, nie potrafiłam odnaleźć kraju, o jakim opowiadał, nie czułam pasji, którą budzili we mnie nowozelandzcy kompozytorzy, a nawet rockowe utwory, które grywałam z zespołem Chrisa w barach w Camden. To chyba problem ludzi, którzy zaczynają zarabiać pieniądze, robiąc to, co kochają. Muzyka stała się moją karierą i pracą. I zaczynałam mieć jej dosyć.

— Chcesz, żebym się wyprowadziła?

— Nie, chciałbym, żebyś była przy mnie zawsze. Ale to nie wyjdzie na dobre żadnemu z nas — powiedział po prostu. — Ja też zrobię sobie przerwę. Pojadę na dwa tygodnie do Wenezueli, zobaczyć się z rodziną. Wylatuję jutro rano. Będiesz mogła zdecydować, co zrobisz.

Kochaliśmy się tego wieczoru, a potem jeszcze raz, w środku nocy, kiedy o trzeciej nad ranem obudził mnie dzikim pocałunkiem, a potem pieprzył z taką zaciekłością, jak nigdy wcześniej. Ostatnie godziny przed jego wylotem spędziliśmy spleceni w uścisku, rozmawiając i śmiejąc się jak starzy przyjaciele.

— Gdyby zawsze mogło tak być — rozmarzyłam się, kiedy wyplątał się z moich objęć, żeby przygotować się do wyjazdu.

— Chyba nigdy nie byliśmy dla siebie stworzeni — odparł. — Po prostu nie chciałem się do tego przyznać. Wiele nas łączyło...

Patrzyłam, jak się ubiera, wkłada podarte dzinsy na gołe ciało, nie przejmując się bielizną. Czarne włosy opadły mu na twarz, gdy zapinał pasek ze sprzączką w kształcie trupiej czaszki. Napiął mięśnie, gdy wciągał biały obcisły podkoszulek, skrywając pod nim gęste włosy na klatce piersiowej. Wziął srebrny łańcuszek z wisiorkiem w kształcie piórka, który podarowałam mu na poprzednią Gwiazdkę i zapiął na szyi. Uwielbiał ciuchy, nigdy wcześniej nie znałam mężczyzny, któremu równie łatwo byłoby kupić prezent.

Kiedy usiadł na łóżku, żeby włożyć sięgające kostek buty z wężowej skóry z czerwonymi podeszwami, oplotłam go nogami w pasie.

— Nie możesz mnie trzymać bez końca — powiedział. — Nigdy nie włożę tych butów.

Pocałował mnie jeszcze raz, długo, kiedy staliśmy przed taksówką, która miała go zawieźć na lotnisko i przytulał dopóki taksówkarz nie zaczął się niecierpliwić.

— Nie zapomnij o mnie, zostanemy w kontakcie.

— Dobrze — obiecałam.

Potem patrzyłam, jak samochód rusza i zabiera Simóna z mojego życia.

Wróciłam do mieszkania i usiadłam przy barze śniadaniowym. Książka Dominika wciąż leżała na blacie. Podniosłam ją i raz jeszcze przekartkowałam, przelatując wzrokiem po liniach poświęconych rudowłosej bohaterce, która w Paryżu nie narzekała na niedostatek kochanków. Dominik i ja nie wytrzymaliśmy życia razem. W sprawach domowych byliśmy dramatycznie niedopasowani. Ale seksualnie dobraliśmy się doskonale. I chociaż wydaje się to fatalną podstawą dla związku, może mnie właśnie pasowało. Nie da się uciec od swojej natury, zawsze w końcu nas dopadnie.

„Dla S. Twój na zawsze”.

Zastanawiałam się, czy on wciąż o mnie myśli. A może po prostu zabrakło mu wyobraźni do wymyślenia własnej historii i musiał oprzeć się na lekko sfabularyzowanej biografii, żeby

uzyskać wiarygodną kobiecą postać. Albo nie mógł się mnie pozbyć z głowy, tak jak ja nie mogłam pozbyć się jego.

Och, Dominiku, jak to możliwe, że wciąż panujesz nad moim życiem, po dwóch latach i po drugiej stronie oceanu?

Oparłam głowę na rękach i rozplakałam się, a łzy skapywały na stronie książki i wsiąkały w papier, aż w końcu wyschły.

Trzydzieści minut później wzięłam komórkę i wybrałam numer.

Gdzieś w Camden Town zadzwonił telefon.

Odebrał Chris.

— Matko, Summer, nie odzywasz się przez całe lata, a potem nagle dzwonisz dwa razy w tygodniu?

— Przyjeżdżam do Londynu. Złapię najbliższy lot.

— Super — wyraźnie się ożywił. — Zdążysz na nasz występ. Może nawet uda mi się namówić cię na wyjście na scenę?

— Jak za dawnych dobrych czasów?

— Nawet lepiej — odparł. — Jeszcze lepiej.

Banalna sztuka odkładania na później

Jakie masz plany na dzisiaj? — zapytała Lauralynn.

— Mam zamiar odkładać wszystko na później — odpowiedział Dominik.

— Czyli nic nowego...

Wypiła mleko z wysokiej szklanki, wstała, zebrała swoje rzeczy i już była gotowa do wyjścia. Wczoraj zostawiła wiolonczelę w sali prób, jak to się często zdarzało. Targanie jej komunikacją miejską przez Londyn było utrapieniem, a budynek, w którym odbywały się próby, miał całodobową ochronę.

Czarne skórzane buty sięgały jej do kolan. Wcisnęła się w wąskie dzinsy, które w okolicach talii znikwały w fałdach wygodnej, bezkształtnej szarej bluzy. Z całą pewnością nie wyglądała jak muzyk klasyczny, a już na pewno nie jak specjalistka od muzyki kameralnej.

Dominik uważał, że Lauralynn była seksowna o każdej porze roku. Niektóre kobiety to potrafiły, inne nie. Ona wykorzystywała tę zdolność aż do przesady. Budziła zainteresowanie już po jednym uśmiechu. A fakt, że jeśli miała wybór, wołała kobiety, czynił ją jeszcze bardziej ekscytującą.

Wzburzone jasne włosy miała upięte tak, żeby zmieściły się pod kaskiem motocyklowym. Jedną z pierwszych rzeczy, które zrobiła, gdy Dominik zgodził się, żeby zamieszkała w jego domu — po tym, jak z byłym członkiem studenckiego zespołu i parą innych muzyków sformowała nowy kwartet — było kupno środka lokomocji. Opływowe, lśniące czarne Suzuki GSXR 750 z drugiej ręki. Przed powrotem do Anglii musiała sprzedać swoje kawasaki, na którym jeździła w Yale, bo nie udało się go przetransportować z powrotem. Dominik nie wiedział, skąd Lauralynn brała pieniądze, ale nigdy jej ich nie brakowało i miała do nich dość swobodny stosunek. Nie sądził, żeby aż tyle zarabiała na nieregularnych koncertach kwartetu i występach sesyjnych.

Posłała mu całusa i wybiegła. Zaraz potem rozległ się ryk potężnego silnika. Znikła, gdy motor zjechał ze wzgórza.

Dominik spojrzął na talerz. Leżał na nim ostatni zapomniany tost.

Wspominał miesiące spędzone pod jednym dachem z Lauralynn. Poznali się, kiedy Dominik urządził prywatny koncert w krypcie, na którym Summer zagrała całkiem nago, a Lauralynn i pozostali członkowie kwartetu smyczkowego mieli zasłonięte oczy. Później Lauralynn pojawiła się na Manhattanie, gdy Summer nie było, i zaprezentowała mu próbkę tego, na co ją stać w dziedzinie seksu. Następnie przybyła do Londynu po jego powrocie i zostali seksualnymi współnikami — pomagała mu wypędzić ducha Summer.

Teraz znów był sam w dużym domu, pozostawiony swoim sprawom.

Tylko on i pusta strona na ekranie komputera. Tknięty nagłą niechęcią do siebie pomyślał, że w ciągu dnia spłodzi jakiś tysiąc słów. Ale najprawdopodobniej przed nadejściem wieczoru skasuje je wszystkie.

Dominik tęsknił za wykładami i nauczaniem. Z perspektywy czasu poczytywał za błąd rezygnację z pracy na uczelni, podyktowaną niespodziewanym sukcesem paryskiej powieści, której tragiczna bohaterka tak ewidentnie przypominała Summer.

Podpisał kontrakt na drugą książkę, ale przekroczył termin oddania jej o kilka miesięcy i był bardzo w tyle w stosunku do harmonogramu, który powiesił na ścianie gabinetu.

Czuł niedającą się zignorować presję napisania czegoś, co dorówna romantycznej „książce Summer”, jak o niej myślał. Ale prawda była taka, że nie miał pomysłu, a wszystko, co mu przyszło do głowy, odrzucał jako powierzchowne albo nieciekawe. Potrzebował punktu zaczepienia. Historii. Postaci. Przecież nie mógł bez przerwy maglować uczuć, jakie budziła w nim Summer, choćby dlatego, że to za bardzo bolało.

Po zerwaniu z nią i pośpiesznym powrocie z Nowego Jorku pierwszą powieść napisał w gorączce. Walił w klawiaturę otoczony muzyką, ryczącą w pokoju: wyrafinowaną mieszanką repertuaru klasycznego, w którym tyle razy ją słyszał, francuskimi *chansons* i amerykańskiego

jazzu z wczesnych lat pięćdziesiątych. To było tło jego rozwijającej się historii. Teraz miał nawet do dyspozycji płyty, które Summer nagrała w ostatnich miesiącach, kiedy jej kariera nabrała rozpędu, ale to nie pomagało. Wręcz przeciwnie, całe dni spędzał pogrążony w rozpacz, gdy słyszał krystalicznie czysty dźwięk skrzypiec Bailly'ego w pełnej krasie, które nieuchronnie przywoływały wspomnienia o kolorze jej skóry, ciemnych brodawkach piersi oraz — to już z głębin pamięci — smak jej soków. Kiedyś go to inspirowało, teraz tylko pogłębiało depresję i smutek.

Kupił wszystkie płyty, jakie nagrała, a pierwszą był krążek z *Czterema porami roku* Vivaldiego. Słyszał w tej muzyce jej pasję, jej dzikie, rozpustne porywy, ale także subtelność i wrażliwość. W kolumnie z plotkami wyczytał, że spotykała się z Simónem Lobo, co go nie zaskoczyło, jako że Simóna wymieniano jako dyrygenta na wszystkich jej nagraniach, a Summer pracowała z nim w Nowym Jorku już wtedy, kiedy przez kilka krótkich miesięcy mieszkali razem w lofcie na Manhattanie. Kolejne płyty zawierały koncerty skrzypcowe Czajkowskiego i Mendelssohna, a ostatnia, którą wypatrzył na wystawie sklepu w zeszłym miesiącu, poświęcona była improwizacjom na temat narodowych melodii Ameryki Południowej, co go zaskoczyło.

Okładka ostatniej płyty leżała otwarta na odległym krańcu biurka, z lewej strony, obok służbowych książek i teczek pełnych wycinków z gazet i notatek, których nawet on nie mógł już rozszyfrować, jako że notował gdziekolwiek i w pośpiechu. Na okładce było zdjęcie Summer — portret, miała odkryte ramiona. Jej płomiennorude włosy były jak ogłuszająca eksplozja koloru na białym tle. Nie mógł udawać, że nie poznaje skrawka sukienki. Kupił jej ją na ulicznym festynie w Waverly Place.

Przeleciała mu przez głowę słodko-gorzka myśl, że w niektórych sklepach można znaleźć i jego książkę, i nagrania Summer. Jakiś człowiek mógł przypadkiem kupić i jedno, i drugie, nie wiedząc przy tym, jak silne łączyły ich kiedyś więzy.

Dominik westchnął teatralnie, jakby ktoś na niego patrzył. Zrozumiał, że jeśli w tej chwili włączy muzykę, jego nastrój nie ulegnie poprawie.

Potrzebował ciszy.

Kursor na ekranie prowokacyjnie to pojawiał się, to znikał.

Po Nowym Jorku Lauralynn postawiła sobie za cel wepchnięcie Dominika z powrotem na właściwe tory. Bez jej zachęty pewnie poddałby się i nie ukończył paryskiej powieści, a potem z trudem wrócił do nauczania i niezobowiązujących kontaktów seksualnych, gdy nadarzała się okazja.

Wiedziała, że Dominik ma na nią ochotę i nie traciła okazji, żeby podgrzać tę żądzę swoim nonszalanckim podejściem do nagości i seksu. Dzięki temu podniecenie i zainteresowanie nią stało się paliwem, które pozwoliło mu dotrzeć do końca rękopisu bez użalania się nad sobą i nadmiernego polegania na wspomnieniach o Summer, choć główna bohaterka tej częściowo opartej na faktach książki była bez wątpienia wzorowana na rudowłosej skrzypaczce.

— Potrzebujesz jakiegoś urozmaicenia, mój drogi Dominiku — powiedziała któregoś wieczoru, z figlarnym błyskiem w zielonych oczach, który był zapowiedzią czegoś pieprzonego.

— Teraz? — Wiedział, że Lauralynn ma dobre intencje, ale miał poczucie, że nie zakończył jeszcze żałoby i było zbyt wcześnie, żeby wracać do gry.

Ale Lauralynn nie uznawała odmowy i przekonała go, żeby ubrał się stosownie do okazji, po czym półzartem skrytykowała codzienny strój jako zbyt poważny i zmusiła do włożenia błękitnej koszuli od Tommy'ego Hilfigera. Zawsze się przed tym wzbraniał, no chyba że okazja była bardzo oficjalna. Ale tamtego dnia akurat nie widział potrzeby porywania się na długie rękawy.

— Nie pożałujesz — obiecała Lauralynn.

— Oby.

Lauralynn była kobietą przedsiębiorczą, a wyborów dokonywała, delikatnie mówiąc, odważnych. Kiedyś zażartował, że na pewno ma czarny notes pełny nazwisk i telefonów, z których korzysta, gdy ma ochotę na zabawę, jak jakiś Don Juan z przedmieścia. Ale Lauralynn z szerokim,

szelmowskim uśmiechem odparła, że wszystkie nazwiska i telefony ma w głowie.

— Starannie skategoryzowane — zasugerował Dominik. — Ulegli, niewolnicy, swingersi, transwestyci, spankersi i nieprzypisani, a także cała reszta typów, których umysł takiego ignoranta jak ja nawet nie umie nazwać. Wszyscy siedzą w równych rzędkach i czekają, aż ich wybierzesz.

— Oczywiście! — podkreśliła z triumfem. — W tych trudnych czasach dziewczyna musi być dobrze zorganizowana.

— Więc co dzisiaj na kolację? — zapytał, kiedy czekali na zamówioną przez niego taksówkę. Popołudnie dopiero miało się ku końcowi i ze względu na restrykcje postojowe w centrum nie było sensu, żeby jechał na West End swoim bmw.

— Poczekaj, to zobaczysz. — Twarz owionął mu zapach jej perfum, delikatnej mieszanki nut roślinnych i cytrusowych. Lauralynn miała cały arsenał zapachów, które dobierała indywidualnie do ofiary. Jeśli polowała na drugą kobietę, wybierała zapachy słodkie, piżmowe, mroczne, z nutką agresywną. Tego wieczoru zapach był bardziej złożony, choć domyślał się, że także został dopasowany do posiłku.

Spotkanie miało się odbyć w piwnicznym pubie w centrum miasta, przy Cambridge Circus. Dominik nigdy nie lubił pubów. Przede wszystkim dlatego, że nie pił alkoholu, wyłącznie ze względu na doznania smakowe. Poza tym w pubach, w ich zapachu, wrazeniu brudu, zastałym powietrzu było coś, co przyprawiało go o dyskomfort.

— Nie mogłaś się umówić gdzie indziej? — zapytał, kiedy schodzili po drewnianych schodach.

— Tutaj czuli się bezpieczniejsi — powiedziała.

— Oni? — zapytał z łobuzerskim uśmiechem.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

— Miłe małżeństwo, prawdopodobnie spoza miasta, więc pomyślałam, że wybranie twojego klubu albo eleganckiego hotelu może ich spłoszyć.

— Małżeństwo?

— Fajnie, nie?

Piwnica była zapełniona tylko w połowie i szybko wypatrzyli siedzącą w kącie zestresowaną parę. Zgodnie z przewidywaniami on pił piwo, a ona sok pomarańczowy.

— Skąd ich wytrzasnęłaś? — spytał szeptem Dominik.

— Z Internetu, oczywiście. W dzisiejszych czasach seksu szuka się w sieci.

Dominik też tak robił, ale teraz wszystko wydawało mu się inne.

Mężczyzna po czterdziestce miał na sobie szary garnitur i prawdopodobnie przyszedł prosto z biura. Młodsza od niego żona, blada brunetka z grzywką, włożyła wyjściową małą czarną, w której było widać odrobinę za dużo przedziałka między piersiami. Podniosła wzrok, zauważywszy obecność Dominika. Na jej ustach pojawił się delikatny uśmiešek wyrażający satysfakcję i cała się rozpromieniła, jakby potwierdził, że wygląda naprawdę dobrze. Była przygotowana na więcej.

— Ładna koszula — powiedziała.

— Jak miło was poznać! — wykrzyknęła Lauralynn i wyciągnęła na powitanie rękę. Uścisk odwzajemnił tylko mężczyzna. Dominik ucisnął jego miękką wilgotną dłoń. Kobieta siedziała, rumieniąc się nieznacznie. Mężczyzna wpatrywał się w Lauralynn. Miała na sobie biały podkoszulek, pod którym widać było jej twarde brodawki, zwracające uwagę wszystkich. Zamiast dzinsów włożyła podkreślającą figurę ołówkową spódnicę. Mężczyzna wyraźnie poczuł ulgę, jakby obawiał się, że jego internetowy rozmówca jest tak naprawdę podszywanym się pod kobietę facetem. Odetchnął z ulgą, przekonawszy się, że Lauralynn jest kobietą, a do tego, jak domyślał się Dominik, identyczną jak na zdjęciu, które mu przysłała. Nagim zdjęciu, podejrzewał, znając jej figlarny charakter.

Dominik zakładał, że on został opisany tylko pobieżnie, bo nie sądził, żeby Lauralynn miała w laptopie jakiegokolwiek jego zdjęcia, nagie czy nie. Oferowała siebie jako główną atrakcję, on był co najwyżej bonusem.

— Wzajemnie — odparł facet.

Usiedli na drewnianej ławce, naprzeciwko pary.

— Ty jesteś Kevin — powiedziała Lauralynn — a ty musisz być Liz?

Młoda kobieta skinęła głową. Na pewno nie były to ich prawdziwe imiona.

Dominik tylko się uśmiechał, mając nadzieję, że nieświadomie wpisuje się w obietnice, które z pewnością złożyła Lauralynn w czasie internetowych rozmów.

— A ty? — spytał Kevin. — Nigdy nie powiedziałaś, jak masz na imię.

— Czy imiona są naprawdę takie ważne? — Lauralynn machnęła ręką. — Mówcie do nas po prostu On i Ona.

— Czemu nie? — zgodził się Kevin. — Napijecie się czegoś?

Dominik milczał. Wciąż nie wiedział, na co umówiła się z nimi Lauralynn. Czy Kevin i Liz byli początkującymi swingersami? Na to wyglądało.

Kevin poszedł do baru po drinki.

— Czym się zajmujesz, Liz? — zainteresowała się Lauralynn.

— Jestem sekretarką.

— Bardzo ciekawe! — Lauralynn uśmiechnęła się do niej zalotnie. — To będzie twój pierwszy raz?

Młoda kobieta skinęła głową i spojrzała na Dominika.

— To był twój pomysł czy jego? — dociekała Lauralynn.

— Hm... Nasz wspólny — odparła Liz, wierząc się na krześle.

— No co ty, serio?

Liz pokiwała głową, ale Dominik nie był przekonany.

Zanim przybyły drinki, na chwilę zapadła pełna skrępowania cisza.

Lauralynn powiedziała później Dominikowi, że taka sytuacja jest bardzo typowa. Wielu mężczyzn żywi skrywane fantazje, że ich żonę czy dziewczynę pieprzy inny facet. Wynikało to albo z głęboko zakorzenionych ciągót do podglądactwa, albo z pragnienia bycia upokorzonym. Tego właśnie szukał Kevin na internetowym forum, na którym poznali się z Lauralynn. Fakt, że miała być przy tym obecna jeszcze jedna kobieta, dodawał mu odwagi albo stanowił dodatkowy stopień upokorzenia.

Dominik miał więcej problemów ze zrozumieniem, co to miało oznaczać dla Liz.

Para zgodziła się wynająć pokój w małym hotelu w niedalekim Bloomsbury i w końcu tam wyruszyli, po kilku rundach drinków. Liz była bardzo podatna na działanie alkoholu. Lauralynn ewidentnie wyłożyła Kevinowi wszystkie zasady obowiązujące tego wieczoru, a on prawdopodobnie przekazał je Liz.

Kajdanki, które po dotarciu na miejsce dał Lauralynn, były wykonane z futerka. Różowego. Lauralynn wybuchnęła śmiechem.

— Gdzieś ty je kupił? W sex-shope w Essex?

Zarumienił się. Nie spodziewał się, że upokorzenie będzie także słowne.

Liz usiadła na brzegu łóżka, gdy tylko weszli do pokoju, patrzyła pytająco na Dominika i omijała wzrokiem swojego wyraźnie wystraszonego męża. Była lekko zarumieniona po pośpiesznie wypitym w pubie jednym dżinie z tonikiem za dużo, żeby podbudować pewność siebie, zanim akcja przeniesie się do pokoju hotelowego.

Lauralynn zdjęła skórzaną kurtkę i odwróciła się do Kevina, który wciąż stał jak wmurowany.

— No, na co czekasz?

Wyglądał niepewnie, nie rozumiał, co ma na myśli.

— Rozbieraj się. Już! — rozkazała.

Ciało miał chude i blade. Lauralynn nakazała mu zostawić na nogach czarne skarpetki. Uważała, że w nich wygląda jeszcze żałośniej. Kazała mu usiąść i założyła mu na nadgarstki kajdanki. Przykuła go do jedynej w pokoju hotelowym krzesła, twarzą do łóżka.

Liz siedziała na łóżku, coraz bardziej bezbronna i zdenerwowana. Kolana trzymała ściśle złączone, a na czole perliły się jej krople potu, bo zdała sobie sprawę, że doszła do miejsca, z którego nie ma już odwrotu.

— Teraz ty, D. — zarządziła Lauralynn.

Dominik spojrział na Liz.

— Chodź tu — powiedział cicho do młodej kobiety. Wstała. Była od niego o głowę niższa.

Dotknął jej podbródka i uniósł jej twarz ku swoim ustom. W jej oddechu czuł dżin, a włosy pachniały szamponem, którego musiała wcześniej użyć. Zarżała, gdy jej dotknął. Napięła się na moment, a potem się rozluźniła. Jego usta ją zrelaksowały.

Kątem oka widział szeroki uśmiech na twarzy Lauralynn. Stała za krzesłem, na którym unieruchomiła Kevina i w roztargnieniu mierzwiła długimi palcami jego włosy. Odkąd zniknął jego przedziałek, czuł się jeszcze bardziej niekomfortowo, zredukowany do roli zabawki Lauralynn. Zabawki z szeroko otwartymi oczami.

Dominik poczuł, że opór Liz osłabł, kiedy splekli się językami i przesunął dłonie powoli w dół, na jej pośladki, doceniając jędrność skóry i reakcję na jego dotyk. Głęboko westchnęła, nie odsuwając się jednak. Zamknęła oczy.

Dominik szukał lewą ręką zamka, który pozwoliłby mu zdjąć z niej czarną sukienkę.

— Pozwól — rzuciła Lauralynn i podeszła do nich, zostawiając spętanego męża samego. Rozczochrane włosy pasowały do wyrazu przerażenia na twarzy bezradnego, przykutego do krzesła obserwatora.

Zamek znajdował się na plecach, więc Lauralynn stanęła za Liz i rozpięła sukienkę, jednocześnie podgryzając ją dla zabawy w ucho, a jej usta znajdowały się zaledwie kilka centymetrów od warg Dominika.

Młoda mężatka zadrżała, wciśnięta pomiędzy nich.

Jej mąż wpatrywał się w trio, a na twarzy miał zaciekawienie i fascynację. W jakim stopniu Lauralynn przygotowała go na to?

— Ręce — zasugerowała Lauralynn i Liz podniosła ramiona, a Lauralynn ściągnęła z niej sukienkę. Tani materiał otarł się o twarze młodej kobiety i Dominika.

Dominik cofnął się o krok. Młoda, blada kobieta była teraz zarumieniona, stojąc w samej bieliźnie i samonośnych pończochach.

— Zobaczmy wszystko — rozkazała Lauralynn i Liz rozpięła stanik, a potem niepewnie schyliła się w swoich szpilkach, żeby zdjąć pasujące do stanika majki. Pończoch nie zdjęła, a Lauralynn nie nalegała.

Dominik spojrział na nią. Miała potężne uda, ale smukłą górną połowę ciała, opuchnięte sutki, a na wżgórku łonowym wymodelowany maszynką pasek rzadkich włosów. W pępku miała kolczyk, a na szyi srebrny krzyżyk. W szarych oczach kłębiły się pytania.

Z barków Dominka spadł wielki ciężar, kiedy Liz została obnażona. Kobiece ciało robiło na nim wyjątkowe wrażenie, wzbudzając falę czułości. Od najwcześniejszych lat kobieta zachwycała go jako zjawisko, od dnia, kiedy wymienił w szkole kilka samochodzików na karty do gry ze zdjęciami naturystek na plaży, bawiących się albo odpoczywających.

Ich genitalia były starannie zamaskowane, przez co wyglądały raczej jak greckie pomniki niż ludzie z krwi i kości. Oczywiście czuł podniecenie, ale zawsze dominującym wrażeniem był najpierw zachwyt. Tak zostało do dziś.

Wiedział, w głębi duszy i w głębi lędźwi, że zawsze będzie niewolnikiem kobiecej nagości.

Z zamyślenia wytrąciła go Lauralynn, która brutalnie złapała Liz za włosy i pociągnęła ją na łóżko. Wsunęła dłoń między uda młodej kobiety.

— Muszę ci powiedzieć, Kevinie, że jest mokra — zwróciła się do unieruchomionego męża, który siedział na łóżku kilka metrów dalej. — Tego chciałeś, prawda?

Kevin się nie odezwał.

Spojrzała na jego wiotkiego fiuta.

— Twoją żonę zerznie zaraz inny mężczyzna, a tobie nawet nie stanął. Żalodne.

Dominik obserwował jej grę i był zagubiony. Nie wiedział, czy powinien się teraz rozebrać i wkroczyć do akcji, wiedząc, że każdy jego ruch będzie obserwował mąż młodej kobiety, nie mówiąc już o czujnym spojrzeniu Lauralynn?

Przypominał sobie chwile z Summer, kiedy bezmyślnie zaprosił Victora. Niepotrzebnie przedstawił ją temu człowiekowi. Victor zdradził jego zaufanie i po rozstaniu Summer i Dominika

uwiódł ją, wykorzystując jej rozpacz. Przynajmniej tak widział to Dominik. Wciąż pragnął Summer, i tego dnia było w tym pragnieniu tak wiele wściekłości. Z jakiegoś powodu czuł się inaczej, kiedy on robił innemu mężczyźnie to samo, co Victor zrobił jemu.

Lauralynn podeszła i z uczuciem pogłaskała go po policzku.

— To mój prezent dla ciebie, D. — powiedziała. — Zrób nam wszystkim dobrze.

Dominik zaczął rozpinąć koszulę, świadom, że wszystkie oczy skierowane są na niego.

— To był jego pomysł, prawda? — spytał Liz. Skinęła głową, a on ułożył ją inaczej, żeby nie mogła już patrzeć na męża i śledzić jego reakcji.

Wyglądała na zagubioną, a Dominika zalała fala silnego pożądania.

Wziął ją w ramiona i znów pocałował. Tym razem powoli, leniwie, żarłocznie. Starał się, żeby to święto żądz było ich prywatną sprawą, wyparł obecność świadków i zamknął ich dwoje w kokonie.

Skończył się rozbierać. Kiedy układał Liz na łóżku w pozycji, w której najłatwiej będzie jej go przyjąć, kątem oka zauważył uśmiech Lauralynn. Mistrzyni ceremonii dodawała mu odwagi.

Rozsunął nogi Liz, obnażył ją, skosztował jej wilgoci, zanim zaczął w nią wchodzić, centymetr po centymetrze, przez opętańczą wieczność, żeby ten moment, najważniejszy moment trwał bez końca. Aż wreszcie był w niej cały. Gorąco. Ciasno. Czuł, że już wzbiera w niej jęk, z głębi płuc podchodzi aż po gardło z każdym jego ruchem. Słyszał, że ktoś za jego plecami głośno wciągnął powietrze, Lauralynn albo Kevin, ale to już nie miało znaczenia.

Dominik silnymi dłońmi objął talię młodej mężatki i trzymał, dopóki ich ruchy się nie zgrały w doskonałym współbrzmieniu.

Liz zachowywała się dziwnie, pasywnie. Nie podniecała Dominika. To było niemal całkowite przeciwieństwo uległości, nie dawała mu wrażenia dominacji. Była w niej łagodna bierność, brak pasji i milczące reakcje.

Podeszła Lauralynn, świadoma, że między nimi nie iskrzy i pogłaskała Liz po gorącym policzku.

— Baw się. Pozwól sobie popłynąć — szepnęła jej do ucha.

Ciało młodej kobiety odprężyło się i ruszyła, sprowokowana zachętą Lauralynn albo czułością i niesłabnącymi, energicznymi ruchami Dominika. Pozwoliła sobie na westchnienie i nareszcie podniecenie przejęło kontrolę nad jej ciałem i umysłem.

Nie zwracała już uwagi na kontekst, na otoczenie ani na zniewolonego męża, chłonęła fiuta Dominika, zapraszała go w siebie, sama na niego nacierała z wyuczoną furią, jakby od niepamiętnych czasów nie mogła zaznać przyjemności z Kevinem i teraz postanowiła skorzystać z okazji aż do cna, zadowolić się.

I Lauralynn, i Dominik zauważyli zmianę, która w niej zaszła i uśmiechnęli się.

W pokoju robiło się coraz goręcej.

Unieruchomiony na krześle Kevin w milczeniu obserwował, jak jego żona rozgrzewa się od pchnięć Dominika, jak jej ruchy zbliżają ją do skurczów zaspokojenia. Jak rzuca się na obcego łapczywie raz za razem, a jej twarz krzywi się pod wpływem spazmów rozkoszy, które ją przeszywają, wywołując jeszcze obfitsze fale wilgoci.

Jej narastający entuzjazm podniecał Dominika. Objął dłońmi jej talię i dyrygował rytmem jej ruchów, czując, że jego kutas robi się w niej jeszcze twardszy, naciera na nią, wypełnia ją.

W dole jej gardła rósł cichy krzyk i zamierał na progu ust, a potem doszła targana spazmem. Kevin zbladł. Dominik zastanawiał się, czy to był pierwszy raz, kiedy widział rozkosz swojej żony.

Kiedy i on skończył, wyrzucił do hotelowego wiklinowego kosza obowiązkowy kondom, a przy okazji zobaczył, jak przybity jest Kevin — pod ścianą, wciąż przykuty do krzesła, niepewny, czy ten spektakl był rzeczywiście spełnieniem jego marzenia, czy może koszmaru. Nie wiedział, jak para będzie dalej żyła z echem tego wieczoru.

Znudzona już Lauralynn rozpięła zabawkowe różowe kajdanki i podała Kevinowi ubranie, a Liz niepewnie wstała z łóżka, niemal oszołomiona. Dominik wiedział, że to nie z powodu jego umiejętności jako kochanka, raczej przerażała ją świadomość tego, co właśnie zrobiła.

Para ubierała się w ciszy, Lauralynn i Dominik wyszli z pokoju i znaleźli się w ponurym hotelowego holu, którego ściany włożone były wyblakłą tapetą, a dywan miał bliżej nieokreślony kolor.

Gałęzie drzew przy British Museum uginały się od lekkiego wiatru, a Dominik zaczął wypatrywać taksówki.

— Och, Lauralynn — powiedział do niej i zapiął skórzaną kurtkę, bo wieczorne powietrze było chłodne. — Któregoś dnia twoje poczucie humoru wpakuje nas w kłopoty.

— Wiem — oznajmiła. — Ale czy ta żonka nie była urocza?

— Skoro tak, może sama powinnaś była się z nią zabawić — odparł.

— Miałam ochotę, ale kiedy prowadziłam negocjacje z mężem, był bardzo stanowczy. Zabronił interakcji między kobietami.

— Serio?

— Tak. Nie zauważyłaś, że kiedy wsunęłam rękę między jej nogi, prawie wyskoczył z krzesła? Niektórzy są tak pełni uprzedzeń...

— Jesteś potworem, Lauralynn — stwierdził Dominik, kiedy podjechała taksówka.

— Lepiej potworna niż nudna — roześmiała się.

Te przerywniki były naprawdę ciekawe, ale koniec końców nie widać było żadnej różnicy, kiedy Dominik siadał z powrotem przed ekranem komputera i starał się znaleźć właściwe słowa i pomysły, nie dając się jednocześnie przytłoczyć myślom o Summer. Jego pamięć była jak twardy dysk przepełniony uczuciami i obrazami, który rozlaził się w szwach i nie potrafił przyjmować nowych danych ani racjonalnie uporządkować tych już wgranych.

Wszystkie kobiety, które znał, Summer i te, które były przed nią, stawiały się na wezwanie, walczyły o jego uwagę, o ułamek życzliwości, nie mógł pozbyć się żadnej. Były częścią niego, dzięki nim był tym, kim był.

Kiedy tylko napisał coś o jednej — w nadziei że strumień świadomości wywołany jej rysami, kolorem oczu, sposobem mówienia albo poruszania się stanie się zaczątkiem nowej historii — bohaterka zmieniała się w następną, a tamta w kolejną i tracił strzęp fabuły, na którym zamierzał się oprzeć.

Przestawił komputer w tryb uśpienia i odesłał zapisaną do połowy stronę na pastwę kolorowych międzygalaktycznych eksplozji wygaszacza ekranu, a potem wstał zza biurka.

Wyjrzał przez okno. Na dworze było szaro, ale pogodnie, nie zanosilo się na deszcz i postanowił wybrać się na spacer, żeby oczyścić umysł.

Oczywistym celem wydawał się park Hampstead Heath.

Poranek miał się ku końcowi i biegaczy było coraz mniej. Przewagę miały teraz nianie z wózkami i rowerkami, które wiozły rozwrzeszczanych pasażerów. Przy stawach statecznie spacerowali emeryci, obserwowali kaczki i karmili je wbrew zakazom. Za drugim stawem, gdzie było też kąpielisko, Dominik skręcił i, zatopiony we wspomnieniach, przeszedł przez boczny mostek, który prowadził na dzikszere tereny.

To najbardziej kochał w Londynie, tę nieskończoną liczbę miejsc, położonych zaledwie kilka minut od głównych arterii, gdzie nie brakowało drzew, a nad kojącą nerwy gęstwiną naturalnej zieleni nie widać było nieba. Ta sekretność głęboko do niego przemawiała, poczucie prywatności i oddalenia w sercu miejskiej dżungli. Miejsce na tajemnice.

Dominik instynktownie ruszył ku łagodnej, krętej, ledwie widocznej ścieżce, nad którą gałęzie spletały się tak gęsto, że nie widać było nieba. W jego stronę biegła dziewczyna, więc odsunął się, żeby zrobić jej miejsce. Krótko skinęła głową w geście podziękowania. To była młoda kobieta w czarnych legginsach, kompletnie absurdalnych szmaragdowych satynowych spodenkach i ciężkiej, ciemnozielonej bluzie. Ciemne blond włosy przytrzymała na miejscu elastyczna opaska, a koński ogon podskakiwał w rytm jej kroków, zgrywając się w rozkosznej harmonii z ruchem piersi, których nie dawał rady ujarzmić stanik wszyty w koszulkę. Kiedy go mijała, do Dominika dotarła cicha melodia, przebi ająca się przez słuchawki, które miała w uszach, ale szybko ucichła, bo dziewczyna się oddalała.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu chciał się dowiedzieć, czego słuchała. Czuł, że to ważne.

Zatrzymał się i przysiadł na chwilę na zwałonym pniu drzewa, pozwalając myślom krążyć przez jakiś czas wokół piersi młodej kobiety i ich powolnych ruchów.

Czy była pielęgniarką z pobliskiego szpitala Royal Free, studentką, gospodynią domową, pracownicą banku, sklepu czy biura? Możliwości była nieskończona liczba, tysiące wizji przemknęło mu przez głowę. „Stój”, „Rozbierz się”, „Obnaż się przede mną”... Chciał nie tylko ją rozebrać, ale także w jakiś sposób dostać się pod jej skórę, do wnętrza jej umysłu... Tak jak kiedyś z Summer. To było nieracjonalne. Szybko przepędził te myśli.

Wzruszył ramionami, wstał i poszedł dalej. Ale myśli o Summer nie chciały odejść. Jej ostrożność przy pierwszym spotkaniu. Jego propozycja, prywatny koncert, jaki tu zagrała. Ogień i pasja, które pożerały ją, kiedy trzymała skrzypce i nasycała park muzyką.

Scena. Chciał odnaleźć tę scenę. Miejsce, z którego grała Summer — głęboko zakorzeniony obraz, którego nie mógł się pozbyć z głowy. Krajobraz, kolory trawy i nieba, i widok jej twarzy, gdy zatracala się w muzyce.

Summer grająca na tej scenie. Jego utracony ideał.

Dominik szedł przez las, a w oddali zobaczył nienaturalnie kolorową plamę. Ruch. Postacie za zasłoną rzadkich drzew. Ostrożnie szedł dalej, pilnując, żeby wystające gałęzie krzaków nie zaczepiły mu się o ubranie, aż wreszcie odtarł do polany. Biegały po niej dzieci, po ścieżkach jeździły rowery, scena stała w tle.

Kiedy wszedł na niewielkie wzniesienie, prowadzące do budowli, zaczęły spadać pierwsze krople deszczu. Niebo postanowiło się zemścić. Pod daszkiem dla orkiestry zgromadziło się zbiorowisko rozszwargotanych niań, udęczonych matek i niesfornych dzieci, które zamierzały tam przeczekać ulewę.

Jedna z matek stała w kącie, bluzkę miała rozpiętą i podawała dziecku pierś. Głowa niemowlęcia była niemal całkowicie pozbawiona włosów, skórę miało różową, a twarz wykrzywioną w wyrazie parodiującym koncentrację, chociaż może po prostu spało. Dominik obserwował ich głęboko zafascynowany. Nie mógł oderwać od nich wzroku, dopóki matka nie pochwyciła jego spojrzenia i nie popatrzyła na niego z największym obrzydzeniem, na jakie mogła się zdobyć. Musiał odejść, zejść po schodkach na polanę i na deszcz, wściekły na siebie i poirytowany faktem, że dzieli magię tego miejsca ze wszystkimi tymi obcymi ludźmi.

Poprzedniego wieczoru Lauralynn przyprowadziła kogoś.

Chociaż jej sypialnia znajdowała się na innym piętrze, w większości przypadków Dominika budziły odgłosy, od których wydawania nie mogły się powstrzymać dwie kobiety — stłumione jęki, ostre krzyki, powstrzymywane pomruki rozkoszy albo bólu, niewyraźne słowa szeptane albo wykrzykiwane w momentach szczytowania, cała symfonia niepohamowanej żądz.

Gościa Lauralynn zobaczył następnego dnia rano tylko w przelocie, kiedy zszedł na śniadanie. Dziewczyna właśnie wychodziła. Gotyckie nieszczęście, z farbowanymi na czarno włosami, niewprawnie ostrzyżonymi na krótkiego boba za pomocą tępych nożyczek, ze strasznym naszyjnikiem ze srebrną czaszką, który wyglądał jak obroża i oddzielał jej głowę od reszty ciała. Dostrzegł cię wyblakłych tatuaży na prawej nodze. Cieszył się, że Lauralynn nie zaprosiła go do zabawy.

Lauralynn odprowadziła przyjaciółkę do drzwi, mając na sobie tylko majtki bokserki i rozpiętą męską koszulę, a potem wróciła do kuchni i podała Dominikowi kubek świeżo zaparzonej kawy.

— Nowa? — spytał, biorąc kawę.

— Tak. Wypatrzyłam ją na koncercie — odparła.

— Nie wyglądała na fankę muzyki klasycznej — zdziwił się Dominik.

— Nie, rock'n'roll, człowieku! Przyszła z jakimiś koleśkami, z którym kiedyś coś nagrywałam. Neopunki, czy jak się tam zwą. Zaprosili mnie na swój koncert w Camden Town. Ona też była, no i sam rozumiesz... — Na pełnych wargach Lauralynn pojawił się lubieżny uśmiech. —

Złożyło się.

— Różnorodność twoich gustów zawsze mnie zdumiewa — zaznaczył.

— Raz mogę spróbować wszystkiego — powiedziała Lauralynn. — Ale wiem, że nie była w twoim typie, dlatego cię nie obudziłam.

— Jestem ci bardzo wdzięczny...

Prawie wypłuł kawę. Zapomniała ją posłodzić.

— Ostrożnie!

— Co dzisiaj robisz? — zapytał.

— Muszę się pojawić w studiu nagraniowym w Willesden, zjedź mi do południa. Będę tam do końca tygodnia. Chłopaki z tego zespołu sami nie wiedzą, czego chcą. A jedynym powodem, dla którego potrzebują wiolonczeli jest fakt, że gitarzysta basowy wymyślił sobie, że płyta ma być w stylu *Eleanor Rigby*.

Dominik skinął głową, słuchając potoku słów.

— Łatwa kasa — mówiła dalej. — Nie narzekam. Przez większość czasu czytam sobie gazety, a płacą mi za godzinę. A ty? Robisz postępy przy książce?

Dominik od lat nie słuchał tej piosenki Beatlesów i nie był pewien, czy tam rzeczywiście występuje wiolonczela. Albo w ogóle jakiegokolwiek smyczki?

— Niespecjalnie — przyznał, ale myślami był gdzie indziej, nucąc sobie w głowie *Eleanor Rigby*.

Lauralynn wzięła puste kubki po kawie i opłukała w zlewie, a potem schowała do zmywarki.

— Jeśli aż tak nie masz przekonania do tego, co piszesz, może powinieneś pozwolić mi zerknąć. Może mogłabym pomóc? — zaproponowała.

— Hm... — Dominik udawał, że poważnie to rozważa.

— Paryska opowieść mi się podobała — dodała. — Bardzo. Nie mówię tak dlatego, że się przyjaźnimy.

Nawet nie bardzo miałby jej co pokazać. Niedokończone sceny, niepewnie naszkicowana lista przypadkowych postaci, opisy miejsc i przedmiotów, sceny erotyczne wyłaniające się z niebytu pomiędzy bohaterami, z którymi nawet on, autor, nie potrafił się dogadać. Wiedział, że to bełkot. Jakby zgubił mapę tej książki, a pociąg, którym jechała, znajdował się jeszcze kawał drogi od końcowej stacji.

— No? — Lauralynn patrzyła na niego, a on stał, pogrążony w myślach. — Wyrzuć to z siebie.

— Przepraszam. Zamyśliłem się.

— O książce?

— Chyba tak. Tak.

— Mogłbyś mi o niej opowiedzieć, tę historię, którą chcesz opisać. Może dzięki temu wyraźniej ją zobaczysz.

Dominik stłumił w sobie falę irytacji. Ona była muzykiem. Umiała odtwarzać, nie tworzyć. Co mogła wiedzieć? Potem zdał sobie sprawę, jak bardzo był wobec niej niesprawiedliwy. Chciała tylko pomóc.

— Nie mam historii. Tylko szkielet, na którym trzeba rozmieścić osoby i miejsca — wyznał. — To nie chce przyjść. Wszystko, co wymyślę, okazuje się frazesem, napisanym już setki razy wcześniej i do tego lepiej. Walczę. O historię — powiedział.

— O historię? — Otworzyła szeroko oczy, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z ogromu jego klęski.

— Tak — westchnął.

Ocalił go dzwonek do drzwi. Z okna w kuchni widział czerwoną ciężarówkę poczty. Dzwonił listonosz z paczką. Może to książki, które zamówił, żeby czerpać z nich materiały.

— Otworzę.

Zbiegł po schodach i podpisał pokwitowanie, nie patrząc nawet na twarz kierowcy, który podał mu paczkę. Przewodnik po nocnym życiu Berlina i zestaw niemieckich powieści z lat

sześćdziesiątych, które zamówił pod wpływem impulsu tydzień temu, kiedy bawił się myślą o tym, że akcję nowej książki mógłby osadzić w niemieckiej stolicy. Co, jak stwierdził już następnego dnia, było głupie, bo nie tylko nigdy nie był w Niemczech, ale też nie znał słowa po niemiecku.

Postawił kartonowe pudełko na podłodze obok zabłoconych adidasów, które zdjął poprzedniego dnia, wróciwszy ze spaceru po parku.

Duży i ciężki pokrowiec na wiolonczelę Lauralynn stał w rogu przedpokoju, przystrojony naklejkami pamiątkami z hoteli zagranicznych i krajowych, koncertów i innych miejsc.

Zauważył, że jedna z naklejek zaczyna się odklejać. Zachęcała do wizyt w Royal e Golf Grand Hotel w Courmayeur. Gdzie to jest? W Szwajcarii albo we Włoszech. Kiedy Lauralynn tam była? To wyglądało mu na kurort narciarski i nie sądził, żeby działała tam prężna scena muzyczna. Może powinien spytać.

Zaciekawilo go to i wpatrywał się w galerię etykietek, którymi obklejony był futerał.

Znikąd zbiegły się pomysły. Nie miały żadnego sensu. Nieproszone siadały na kolanach. Nie zważały na logikę ani na zdrowy rozsądek.

Jak gdyby coś się nagle przestawiło.

Instrument. Podróże, które odbył. Historie, jakie stały za każdą z tych nalepek, etykiet z hoteli, kalkomanii i pozostałości po lotniskowych naklejkach na bagaż.

Tam była jego historia.

Ta, która przez cała czas mu się wymykała. Jakby był ślepy i nie zauważał oczywistości.

Postacie nie musiały być najważniejsze.

W paryskiej powieści opisywał alternatywną, wyobrażoną wersję Summer. Żyjącej w innym świecie, w którym nie była muzykiem ani nie miała skrzypiec.

Tym razem mógł napisać o jej instrumencie. Tym, który dla niej kupił.

O skrzypcach.

O historii skrzypiec.

To tylko rock'n'roll

Zawsze wiedziałam, że jesteś czarnym koniem — powiedziała Fran zadowolona z siebie. Rozparła się i prawie położyła głowę na ramieniu Chrisa.

Na tylnym siedzeniu czarnej taksówki mknęliśmy przez Londyn do naszego mieszkania w Camden Town. Chwilowo wprowadziłam się do Chrisa, do czasu, aż nie znajdę czegoś dla siebie. Fran mieszkała w moim pokoju, też do czasu uzyskania samodzielności, więc w porównaniu z dużym mieszkaniem Simóna w Nowym Jorku trochę się tłoczyłam, ale jak na razie nie doszło do żadnej poważniejszej awantury.

Był niedzielny poranek, a w nocy świętowaliśmy nasz status singli na balu walentynkowym w ogrodzie Torture, co o dziwo było pomysłem Fran.

Pomagała mi się rozpakować i znalazła zdjęcie, o którym zapomniałam, że je w ogóle mam. Byłam na nim z moją starą przyjaciółką Charlotte, a zrobiono je w pierwszym klubie dla fetyszystów, w jakim kiedykolwiek byłam.

Dominik był moim pierwszym dominującym kochankiem, ale to Charlotte wprowadziła mnie do świata fetyszyzmu i z nią u boku przeżyłam moją pierwszą sesję spankingu, z nią obserwowałam innych fetyszystów w akcji. Straciliśmy kontakt po pewnej nieudanej imprezie. Ona uderzyła do Dominika, ja nie mogłam opanować zazdrości i chociaż teraz nie żywiłam wobec niej żadnych wrogich uczuć, od tamtej pory się nie kontaktowałyśmy.

Zdjęcie, które przywołało tyle wspomnień, zostało zrobione przez krążącego po klubie fotografa, a Charlotte w nieczęstym odruchu życzliwości zamówiła dla mnie kopię i mi ją podarowała. Na zdjęciu miała na sobie jasnożółtą lateksową sukienkę z różowymi piorunami po obu stronach talii. To była raczej tunika niż sukienka i miała tak duży dekolci, że widać było jej piersi aż do brodawek.

Ja byłam ubrana skromniej, w jasnoniebieski satynowy gorset, majtki z falbanami i cylinder. Stałyśmy na pokładzie jachtu, na którym odbywała się impreza, śmiałyśmy się z jakiegoś żartu, a zabawnie wykrzywiony cylinder nadawał mi lubieżny wygląd.

— Musiała być fajna impreza — powiedziała Fran, biorąc zdjęcie do ręki.

— Nic takiego — odparłam, starając się mówić obojętnie, w nadziei że odpuści.

Ale Fran była jednocześnie wnikliwa i uparta i zadawała dalsze pytania.

Pod jej niesłabnącym naciskiem opowiedziałam o klubie, nie wdając się jednak w szczegóły mojego pierwszego spankingu, którego doznałam pod czujnym okiem Charlotte i mistrza lochu.

— Idę tam — ogłosiła. Wzięła iPad, powcisnęła coś i weszła na ich stronę. — Ooo! Jutro mają tam imprezę walentynkową. A właściwie chyba antywalentynkową. Super, nie znoszę walentynek.

— Naprawdę, nie wydaje mi się, żeby to było w twoim stylu.

— Skąd możesz wiedzieć, jaki jest mój styl? — odparowała. — Prawie się nie widywałyśmy przez ostatnie pięć lat. — A potem wydeła usta i przejechała dłonią przez wystrzyżone tlenione włosy takim gestem, że dalsza dyskusja nie miała już sensu.

Chris stał w drzwiach i obserwował nasze ustalenia.

— Jeśli wy idziecie, idę z wami.

— Przecież masz próby? — zdziwiłam się. Koncert jego życia, przed The Holy Criminals, miał odbyć się w najbliższą sobotę.

— Mamy mnóstwo prób. Nie wypuszczę was z domu bez ochroniarza, ubranych w samą bieliznę.

— Niech będzie — zgodziłam się z ociąganiem. Znałam Fran na tyle, żeby wiedzieć, że nawet jeśli ja nie pójdę, pójdzie sama. Tak przynajmniej będę ich miała na oku.

Następnego dnia Fran wyruszyła na poszukiwania stroju dla siebie i Chrisa na targowisko przy Portobello Road. Wróciła z błyszczącymi oczami i całym naręczem toreb, po czym zaczęła

stroić bardzo niechętnego Chrisa w niemodny trzyczęściowy garnitur pana młodego, do którego dobrała makijaż kogoś, kto został zamordowany w dniu ślubu i wstał z grobu sto lat później. Dopasowała się do niego, ubrana w poszarpaną suknię ślubną. Nażelowane włosy uczesała w czub nad czołem, który nadał aurze vintage zombie punkowego rysu.

— Nie noszę stylu pin-up — parsknęła, gdy zasugerowałam fryzurę bardziej w stylu lat pięćdziesiątych.

Ja po raz pierwszy ubrałam się w lateks — kusy strój marynarski, który w pośpiechu zamówiłam w sklepie internetowym, oferującym natychmiastową przesyłkę. I rzeczywiście, przybyła na czas.

Wstydziałam się poprosić o pomoc przy wciskaniu się w kostium, więc sama nasmarowałam się lubrykatem, żeby się wbić w ciasną marynarkę i białe spodenki w paski. Teraz czułam się lepkko, niewygodnie i miałam paranoję, że zahaczę o coś, rozerwę delikatny materiał i zostanę naga na środku parkietu.

Kiedy przyjechaliśmy, Fran natychmiast poczuła się jak u siebie, śmiało wędrowała od sali do sali, z fascynacją odkrywając każdy kącik i zakamarek starego teatru, w którym odbywała się jedna z największych imprez w roku i który z tego powodu pękał w szwach.

Spojrzałam na Chrisa, który obserwował zgromadzony tłum z wytrzeszczonymi oczami.

— Co z ciebie za gwiazda rocka — stwierdziłam — jeśli to cię szokuje. Głowę daję, że Viggo Franck ma garderobę pełną nagich kobiet. I nagich facetów pewnie też.

— Nawet nie zaczynaj — jęknął Chris. — Jeśli jakaś dziewczyna kiedykolwiek do mnie zadzwoniła, robiła to tylko dlatego, że skończyły się plakaty albo chciała dostać wejściówkę za kulisy.

— On nie jest w moim typie — oznajmiła Fran — ale coś mi się zdaje, że może się podobać Summer. Zawsze ją ciągnęło do niegrzecznych chłopców.

Zarumieniam się. Viggo Franck był w połowie Duńczykiem, w połowie Włochem, a The Holy Criminals, dobrze już znani na kontynencie, pojawili się w Anglii jakby znikąd, ale w ciągu jednej nocy zrobili wielką karierę, zaraz po tym, jak sfotografowano wokalistę wychodzącego z hotelu w towarzystwie nie jednej, a trzech dziewczyn, w tym wnuczki polityka z partii konserwatywnej i młodej aktorki, która zarabiała, grając w rodzinnych romantycznych komedijkach produkowanych przez Disneya. Viggo w jednej chwili zyskał status półboga seksu, natomiast towarzyszące mu kobiety zostały przez prasę zgnojone, co wywołało jeszcze większe zainteresowanie, bo zabrały w tej sprawie głos feministki, wytykając mediom seksizm.

W wyniku nagłego sukcesu The Holy Criminals zostali oskarżeni o sprzedanie się, a niedawny status Viggę jako niezależnego muzyka undergroundowego zmienił się i przyklepiono mu etykietkę ulubieńca tłumów. Chris twierdził, że wśród kolegów z branży Viggo zachował twarz ze względu na to, że zajmował się promocją młodych, nieznanymi zespołów.

Poznali się z Chrisem na imprezie, na której byli też Black Hey, kolejna grupa, z którą zdarzało nam się grać na jednej scenie, a którzy zostali już zakontraktowani przez wytwórnię The Holy Criminals.

— No cóż — powiedział Chris — załatwię wam wejściówki za kulisy, więc same się przekonacie.

Fran oszalała.

— Nic dziwnego, Sum, że nie wróciłaś do domu — stwierdziła. — W Londynie jest superzabawa.

Jeden z fotografów zapytał, czy mógłby zrobić nam zdjęcie i zanim zdążyłam się odsunąć, Chris i Fran zgodzili się i przybrali straszliwe pozy.

Akurat w chwili, gdy błysnął flesz, zsunęłam marynarską czapkę na twarz. Byłam w jakimś sensie osobą publiczną, widownię miałam raczej konserwatywną i bardziej niż wcześniej troszczyłam się o swój publiczny wizerunek.

— Nie masz nic przeciwko temu, żeby być na zdjęciu? — spytał fotograf, widząc moje zabiegi.

Podszedł do mnie, żeby pokazać efekt i stanął blisko, żeby nie musieć zdejmować aparatu

zawieszono na szyi. Miał szeroki uśmiech i przyjacielskie spojrzenie oczu podkreślonych ciemnym eyelinerem, który pasował do lateksowego podkoszulka w odcieniu tak ciemnej purpury, że wyglądała na czarną. Na rękach miał sięgające łokci bransolety w tym samym kolorze i wyglądał trochę jak gladiator.

— Nie, w porządku — powiedziałam, zerkając na wyświetlacz. To było dobre zdjęcie. Fran i Chrisa nie można było rozpoznać przez mocny makijaż, a ja w stroju marynarskim mogłam być jedną z dziesiątek dziewczyn, bo czapka zasłaniała mi prawie całą twarz i widać było tylko czerwoną szminkę na uśmiechniętych ustach i pukiel rudych włosów, odznaczający się na tle pomalowanego na biało ramienia Fran.

— Wyślij mail, jeśli zmienisz zdanie — powiedział i podał mi czarną prostą wizytówkę, na której widniało tylko jego nazwisko, wypisane białą czcionką. Jack Grayson. Wyglądało dziwnie znajomo.

— Przestań flirtować! — marudziła Fran. — Chcemy tańczyć!

Jack już odszedł i robił kolejne zdjęcie, na lekko ugiętych kolanach i z dużą lustrzanką zasłaniającą mu oko i połowę uśmiechu.

Ruszyliśmy na poszukiwanie muzyki, mijając po drodze loch. Fran przelotnie zajrzała do środka, ale nie zainteresowało jej to, co się tam działo.

— Co kto lubi. — Wzruszyła ramionami, nie przyglądając się bliżej.

Słyszając ciche westchnienia i odgłosy pejcza opadającego na skórę, pożałowałam, że jestem tu z siostrą i najlepszym przyjacielem.

Minęło już tyle czasu, odkąd ostatnio miałam na sobie uprząż albo czułam rękę na pośladku przy okazji czegokolwiek więcej niż delikatny klaps w czasie seksu. Brakowało mi tego. Podjęłam świadomy wysiłek odcięcia się od tego typu rozrywek, kiedy zerwałam z Dominikiem i związałam się z Simómem. Nie byłoby uczciwe wobec niego, gdybym podtrzymywała tę część mojego życia, bo nam się nie udawało. Zwalczyłam pokusy i miałam nadzieję, że jeśli będę dostatecznie długo je ignorować, znikną.

Oczywiście było jednak, że te starania się nie powiodły. Dźwięki dochodzące z ciemnych kątów lochu, świst bata, odgłos dłoni opadającej na pośladek i jęki poddawanych próbom uległych sprawiły, że w głowie mi wirowało, a ręce drżały. Byłam niesamowicie podniecona i nie miałam pewności, czy dam radę do końca wieczoru ani razu tego nie okazać.

Wiedziałam, że Fran będzie z Chrisem bezpieczna, a ja świetnie się czułam sama, więc jeśli uda mi się na chwilę wyśliznąć, będę mogła zafundować sobie trochę przyjemności.

— Pójdę kupić drinki i spotkamy się na parkiecie, dobra?

— Dobra! — odkrzyknęła Fran. — Będziemy tu całą noc.

Zniknęli w tłumie i pozostawili mnie samą sobie.

Rozważałam powrót do lochu, ale zrezygnowałam, bo nie byłam pewna, czy mój strój wytrzyma biczowanie i czy dam radę się rozebrać, nie rozrywając go na strzępy.

Zamiast tego ruszyłam na górę do dużego, ciemnego pokoju bez nazwy. Na każdym stopniu chwiałam się niebezpiecznie w szpilkach i bałam się, że spadnę.

Chwilę potrwało, zanim oczy przyzwyczyły mi się do oświetlenia. Znajdowałam się na balkonie starego kina, wciąż były tam oryginalne, odginane siedzenia. Usiadłam na jednym z nich i wykorzystałam okazję do uwolnienia się od wysokich obcasów.

Na ekranie odtwarzany był wciąż od nowa krótki film. Ujęcia nagich ciał, czasem w ekstremalnych fetyszystycznych pozach, które pojawiały się na ekranie, dawały szansę zobaczenia, kto jeszcze jest w sali.

Po chwili na siedzenie w rzędzie przede mną wśliznęła się kobieta, a za nią jej partner. Była jedną z najładniejszych dziewczyn, jakie w życiu widziałam, prawie na pewno była modelką albo aktorką. Miała owalną twarz, proste jasne włosy i niebieskie oczy tak jasne, że prawie szare. Nie była mocno umalowana, ubrała się w lateksowy strój pielęgniarce, który leżał na niej jak druga skóra i nie był ani trochę obleśny. Prawdopodobnie został uszyty na miarę, a nie kupiony w sklepie jak mój.

Jej partner był ubrany cały na czarno, w dżinsy i koszulę, a mimo rygorystycznego dress

code'u jego jedynym akcentem rodem z fetyszu była maska na oczach. Równie dobrze mógł wyglądać idiotycznie, ale biorąc pod uwagę dumnie wyprostowane ramiona i nonszalancko rozczochrane włosy, a także towarzystwo pięknej kobiety, wyglądał raczej na diabelsko pewnego siebie niż źle ubranego.

Spojrzała na mnie, kiedy podeszła do rzędu foteli i lekko uniosła pełne usta w półuśmiechu. Wokół pełno było pustych miejsc, ale ona postanowiła usiąść na wyciągnięcie ręki ode mnie.

Głośno wciągnęłam powietrze i zatrzymałam oddech, zastanawiając się, co się stanie dalej, czemu siedli tak blisko. Prawie od razu zaczęli się całować, najpierw powoli i delikatnie, a ja odwróciłam wzrok, żeby nie naruszać ich intymności. Ale to nie była chwila gwałtownej pasji, tylko scena, którą postanowili się ze mną podzielić.

Odwróciłam się, kiedy on schylał głowę, a ona układała się na kilku rozłożonych siedzeniach z rozsunętymi nogami — jedną zgięła przy boku, drugą postawiła na ziemi i dała partnerowi pełny dostęp pod swoją krótką gumową spódniczkę, co on wykorzystał chętnie i bez najmniejszego zainteresowania tym, kto patrzy.

Widok zasłaniał mi głowę, teraz ukrytą między jej udami, ale w świetle kinowego ekranu widziałam jej nagie nogi, smukłe łydki, przechodzące nad kolanami w gładkie, jedwabiste uda.

Zanim się spostrzegłam, przysunęłam się bliżej i zaczęłam myśleć o tym, co by się stało, gdybym jej dotknęła, gdybym się przyłączyła. Nie byłam pewna, na co mogę sobie pozwolić. Nachylić się i niezobowiązująco pogłaskać ją po ramieniu? Zapytać o zgodę? Kiedy o tym myślałam, odwróciłam głowę i zobaczyłam, że ona na mnie patrzy, a na twarzy ma wypisane kosmiczne podniecenie, choć nie była aż tak oderwana od rzeczywistości, jak pewnie ja bym była na jej miejscu, choć może wiele wysiłku kosztowało ją podtrzymanie kontaktu wzrokowego.

On najwyraźniej zaczął lizać ją szybciej, bo traciła już kontrolę, chwyciła mnie za rękę i ciągnęła naprzód, aż znalazłam się nad nimi, wystarczająco blisko, żeby móc ją pocałować, żeby poczuć miękkość jej skóry.

Jęknęła i zadrżała pode mną, gdy doznała orgazmu, a potem puściła moją rękę i odprężyła się w bezruchu.

Jej partner podniósł głowę i pogładził jej policzek koniuszkiem palca. Czekałam, aż obydwoje dojdą do siebie, ale byłam tak podniecona sytuacją, że z trudem dałam radę usiedzieć spokojnie.

Odwróciła głowę w moją stronę, żeby na mnie spojrzeć i uśmiechnęła się.

— Dziękuję — powiedziała.

— Nie ma za co — odparłam, choć mówiąc to, poczułam się trochę głupio. Nie było słów, którymi można by wyrazić wdzięczność za tę chwilę intymności, a które wypowiedziane na głos nie brzmiałyby głupio.

On skinął lekko głową, ale spod maski nie widziałam, co wyraża jego twarz.

Wstali i zniknęli w mroku.

Przez minutę albo dwie siedziałam bez ruchu na fotelu, dochodziłam do siebie i zastanawiałam się, co robić dalej. Wciąż byłam bardzo podniecona, ale czułam, że to nie w porządku zostawić Fran i Chrisa samych na tak długo. Kiedy już podejmowałam decyzję, usłyszałam, że Fran idzie po schodach.

— Tu jesteś! Szukaliśmy cię wszędzie. Co tu robisz sama? — Głos miała raczej zaciekawiony niż podejrzliwy. Wątpiłam, żeby scena, której właśnie byłam świadkiem, choćby przeszła jej przez myśl.

— Chciałam chwilę odpocząć. Straszny tam zgiełk.

— No to chodź już, przegapisz wszystkie fajne kawałki.

Poszłam za nimi na parkiet, ale wspomnienie twarzy kobiety, kiedy miała orgazm, nie opuściło mnie, a moje fantazje podgrzewała atmosfera seksu wisząca w powietrzu i wiele atrakcyjnych osób, szczególnie mężczyzn, zwłaszcza tych przebranych w militarne mundury albo cechujących się szczególnym typem pewności siebie, emanujących aurą, która przypominała mi Dominika.

Kiedy po naszym nocnym wyjściu wśliznęłam się do łóżka, myśli dręczyły mnie jeszcze uporczywiej.

Wizje mężczyzn w wysokich butach i trzymających szpicruty wypełniały moją głowę i były coraz mroczniejsze i coraz ostrzejsze, aż w końcu zobaczyłam siebie, klęczącą na kamiennej posadzce z kneblem w ustach i rękami skrępowanymi z tyłu, ale nie liną, tylko metalowymi kajdankami, od których odchodził długi, gruby łańcuch, przypięty do haka wbitego w odległą ścianę. Byłam całkiem naga i całkiem gładka. Ktoś zgolił mi włosy łonowe. W brodawkach piersi miałam kolczyki, obydwie szczypały, jakby zostały przekłute zaledwie kilka godzin temu. Otworzyły się ciężkie drzwi i usłyszałam kroki, powolne, rozważne, zbliżające się do mnie. Nie widziałam tego człowieka, ale czułam, że to mężczyzna. Był już blisko, ale nie widziałam go w panującym tu gęstym mroku, tylko parę nóg w czarnych spodniach do garnituru, z ostrym kantem pośrodku. Słyszałam odgłos rozpinanego paska i odsuwane zamka przy rozporku.

W tym śnie desperacko pragnęłam poczuć jego fiuta, ale stał poza moim zasięgiem. Wykręciłam ramiona i wierzgnęłam rękami, żeby się oswobodzić, ale się nie udało. Otworzyłam lekko usta, bo pragnęłam poczuć między nimi penisa — jak się o nie ociera, pieści mój język i uderza w tylną ściankę gardła. Wargi miałam suche, więc je oblizyłam. Chciałam wstać, ale zdałam sobie sprawę, że nogi też mam spętane.

— Chcesz czegoś? — usłyszałam kpiarski ton.

To był Dominik.

Natychmiast się obudziłam. W ustach miałam sucho, a ręce mi się trzęsły, kiedy podniosłam szklankę stojącą na nocnym stoliku i upiłam duży łyk, a płyn spłynął mi po brodzie na koszulkę. Zwykle spałam nago, ale nie z siostrą w tym samym pokoju. Leżała na plecach z otwartymi ustami i lekko chrapała, a że włosy i twarz miała jeszcze umazane białym pudrem, więc w dalszym ciągu wyglądała trochę jak zwłoki.

Ani Fran, ani Chris nie wracali w rozmowach do naszego wyjścia. Nie dawało mi to spokoju. Dla mnie pierwsza wizyta w klubie dla fetyszystów była wielkim wydarzeniem, kamieniem milowym, który oddzielał osobę, którą byłam wcześniej od tej, którą się stałam. To, że dla kogoś innego mogło być to zwykłe wieczorne wyjście, dziwnie mnie irytowało. Jeśli ta część mojego życia, którą traktowałam jako „mroczny sekret”, stanie się elementem mainstreamu, to co mi pozostanie?

Bez występów, które zapewniały mi zajęcie i bez często gorączkowego życia towarzyskiego w nowojorskich kręgach muzycznych, czułam się trochę zagubiona. Fran, która nigdy nie potrafiła usiedzieć na miejscu dłużej niż trzy minuty, zaczęła szukać pracy w Londynie praktycznie zaraz po wylądowaniu, a ponieważ pracowała głównie jako barmanka, wieczorami jej nie było, a w dzień odsypiała. Chris większość czasu spędzał na próbach swojego zespołu.

— Przyjdź do nas — namawiał. — Posłuchaj, jak gramy. Chłopaki o ciebie pytają.

Dał mi adres studia przy Holloway Road. Było to eleganckie miejsce, wyposażone w system alarmowy, doskonały sprzęt, a na dodatek ochronę. Kiedy ostatnio byłam na próbie Groucho Nights, wynajmowali zatęchłą piwnicę z drzwiami zamykanymi na kłódkę w złowrogim zaułku niedaleko Camden Lock, wystarczającą może dla bezdomnego kota, ale na pewno nie dla zespołu muzycznego. Wiedziałam, że wujek Chrisa pożyczył grupie trochę pieniędzy, żeby odbili się od dna, ale nie zdawałam sobie sprawy, że pieniędzy jest dość, żeby opłacić takie miejsce.

— Łał! — powiedziałam po wejściu. — To wszystko dla mnie?

Podeszłam do Teda, pocałowałam go w policzek i zmierzwiłam mu dłonią włosy.

Odepchnął mnie żartobliwie.

— Tylko nie włosy!

— Naprawdę zawsze tak się ubierasz na próby? — spytałam.

Ted, który grał na gitarze, a czasem także na harmonijce albo na fujarce, pochodził z Bostonu. On i Chris byli kuzynami, ale byli do siebie tak podobni, że śmiało mogli być braćmi. Ten sam wzrost, takie same brązowe oczy i gęste, kręcone brązowe włosy. Ted zaczął swoje zapuszczać i zaczesywać do góry, tak że wyglądały prawie jak afro. Miał na sobie czerwone dżinsowe rurki i czarną kamizelkę. Chris dopasował się do niego, ale odwrotnie — miał czerwoną kamizelkę i

czarne rurki.

Ella, perkusistka, ufarbowała swoje niegdyś blond i proste jak druty włosy na strażacką czerwień, czerwień skrzynki pocztowej, ale poza tym się nie zmieniła. Pochodziła z Hull i była jedyną Angielką w zespole. Ella miała długie nogi, chłopięcą sylwetkę i umięśnione ramiona. Kiedy widziałam ją ostatnio, na piersi miała w połowie ukończony tatuaż z meduzą, który od tamtej pory wypełnił się jaskrawym różem i błękitem, a macki jak linie na mapie wślizgiwały się pod kołnierzyk bluzki i naprawdę trudno było nie gapić się na jej klatkę piersiową. Ubierała się jak kierowca ciężarówki, w męskie dzinsy i koszule, a był to styl, który wyjątkowo mi się podobał u kobiety.

— Możliwe, że później wpadnie Viggo — wyjaśnił Chris.

— Serio? On zadaje się z pospólstwem? Niezbyt mi to pasuje do gwiazdy rocka.

— Może dzięki temu czuje się normalny — wyjaśnił Ted. — Chociaż moim zdaniem nie jest.

— To jego studio — dodał Chris. — Myślisz, że ja bym coś takiego wynajął?

Przysiadłam na jednym ze skórzanych worów z kuleczkami, zgromadzonych w studiu, a oni rozgrzewali się, grając na początek kilka wolniejszych kawałków. Przyniosłam skrzypce na wypadek, gdyby Chris miał ochotę poimprowizować, jak za dawnych czasów, ale na razie trzymałam je w ukryciu.

Kończyli właśnie rozgrzewkę, kiedy otworzyły się drzwi. Zauważyłam, że dłoń Chrisa zadrżała na gryfie gitary, ale nie przestał grać.

— Nie przestawajcie, brzmi świetnie.

Viggo niósł tacę z kawą, która balansowała niebezpiecznie na jednej jego dłoni. W drugiej trzymał parę okularów, chociaż od tygodnia nie widziałam śladu słońca. Zbliżyłam się, żeby przytrzymać drzwi.

— Dzięki, kochanie — powiedział schrypniętym głosem. — Podałbym ci rękę, ale nie mam żadnej wolnej, więc zamiast tego będę musiał cię pocałować.

Schylił się i pocałował mnie w policzek. Musnął mnie ustami w ucho w geście wylewnym, ale całkiem nieadekwatnym do pierwszego spotkania.

— Jestem Viggo Franck — przedstawił się. — Miło cię poznać. — Uniósł zalotnie jedną brew.

— Summer Zahova — odparłam z krótkim skinieniem głowy. — Wziąć to od ciebie? — Wskazałam na tacę z kawą. Zarumieniłam się.

— Oczywiście. Tylko nie wypij wszystkiego.

Ręce mi się trzęsły, kiedy brałam jeden z kartonowych kubków bez wypisanej litery C jak cukier. Staralam się zachowywać normalnie, ale tak naprawdę nie byłam przyzwyczajona do znajomości z gwiazdami. Oczywiście poznałam kilka ze świata muzyki klasycznej, ale to była inna rasa ludzi, głównie introwertycy, nie w moim typie.

Nikt z nich nie był Viggo Franckiem. A on miał na sobie czarne dzinsy tak obcisłe, że przez chwilę myślałam, że kupił je w dziale damskim jako legginsy. Miały tak niski stan, że pod podartą białą koszulką widać było jakieś dwa centymetry brzucha. Był raczej chudy niż umięśniony, z zaskakująco bladą skórą jak na w połowie Włocha. Pewnie akurat to odziedziczył po duńskich przodkach. Miał wysokie kości policzkowe i pełne usta otoczone starannie przystrzyżonym zarostem, czymś pomiędzy trzydniówką a prawdziwą brodą. Włosy miał ciemnobrązowe, prawie czarne i proste, ale sposób uczesania dodawał im objętości.

W jednej chwili zrozumiałam, dlaczego kobiety za nim szalały. Emanowały z niego fale seksu. Mimo ciemnych okularów i nijakich ubrań to był facet, za którym oglądano się na ulicy. W każdym razie ja bym się obejrzała. Oparł się o ścianę, jedną nogę miał na podłodze, drugą wsparł na ścianie. Ja usiadłam z powrotem na moim worku i starałam się nie gapić.

Chris i jego kapela atakowali teraz swój najszybszy numer, całkowicie obojętni na naszą obecność.

Podniosłam wzrok i złapałam jego spojrzenie. Uniósł kąciki ust w półuśmiechu. Potem podszedł do mnie.

— Mogę się przyłączyć? — spytał. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, umościł się na worku obok mnie, mimo że niedaleko była zupełnie wolna dwuosobowa sofa.

— Jasne — odparłam, sztucznie nadając swojemu głosowi chłodną nutę, choć w rzeczywistości ciepło jego ciała tuż obok i przebłysk klatki piersiowej sprawiły, że po plecach przebiegł mi dreszcz.

Podskoczyłam, bo gorąca kawa poląła mi się na rękę; gdy sadowił się obok, mój kubek się przechylił.

— Cholera, przepraszam — rzucił. Chciał wytrzeć kawę skrawkiem koszulki, ale nie dał rady jej naciągnąć, więc zdjął ją przez głowę i użył jak ścierki.

Patrzyłam na jego pierś. Miał jasną skórę i cienką linię ciemnych włosów na mostku. Brodawki małe i ciemne. Gdy usiadł w tej samej nienaturalnej pozycji co ja, na brzuchu pojawiła mu się mała fałdka. Miałam ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć go, przesunąć dłonią po gładkiej skórze.

— No już — powiedział, a potem z powrotem włożył koszulkę, nie zwracając uwagi na ciemną plamę z kawy.

Obrzucił spojrzeniem moje ciało, a potem zatrzymał wzrok na futerałach ze skrzypcami.

— Jesteś nowa w zespole?

— Nie, kiedyś grałam z nimi na improwizowanych koncertach, ale ostatnio jestem raczej muzykiem klasycznym.

— Chciałbym zobaczyć instrument.

— Moje skrzypce? Pewnie.

Schyliłam się, wyjęłam baily'ego z futerału i podałam mu.

Przesunął palcami po pudle, delikatnie głaszcząc wypolerowane drewno.

— Grasz? — zapytałam zaskoczona reakcją. Jego gotowe do flirtu oczy, które wcześniej koncentrowały się na mnie, teraz skupiły się na moim instrumencie.

— Nie, nie na skrzypcach — odparł, ale nie podniósł wzroku. — Możesz wierzyć lub nie, ale uczyłem się grać na fortepianie. Skąd je masz? To piękny instrument.

Zarumieniłam się, gdy przypominałam sobie Dominika i niepisaną umowę, jaką z nim zawarłam, żeby dostać te skrzypce.

— Dostałam od przyjaciela.

— Naprawdę? — odpowiedział i teraz na mnie spojrzał. — To musi być bliski przyjaciel. Wiesz, skąd on je wziął?

— Zakładasz, że przyjaciel jest płci męskiej.

— Tak jest. Skąd on je wziął?

— Prawdę mówiąc, nie mam pewności. Myślę, że je kupił. Dostałam do nich certyfikat. Ostatnia właścicielka miała na imię Edwina. Edwina Christiansen. Ale nic więcej o niej nie wiem. Kiedyś próbowałam ją wygooglać, ale bez skutku. Jesteś kolekcjonerem? Albo kupcem?

— Nie, nie. Po prostu byłem ciekawy. Lubię ładne rzeczy. — Oddał mi skrzypce, a przy okazji dotknął palcami mojej dłoni. — Zagraj dla mnie.

— Teraz?

Chris wygrywał właśnie ostatnie takty ostatniej piosenki, jaką mieli w zestawie.

— Tak. Zagraj dla mnie.

Oczywiście mogłam odmówić, bo wzięłam skrzypce w nadziei, że będę miała okazję zagrać jakiś numer albo dwa z zespołem Chrisa, ale Viggo sponsorował Groucho Nights. Chciałam pozostać z nim w dobrych stosunkach dla ich dobra.

Viggo podniósł się i głośno bił brawo, gdy Chris i reszta zespołu dotarli do końca ostatniej piosenki.

— Dobra robota — powiedział. — A teraz chcę usłyszeć skrzypce. Jeszcze jeden kawałek?

— Jasne, chodź do nas, Sum.

Wzięłam skrzypce i podeszłam do nich.

— Improwizuj — zaproponował i rozpoczął jedną z ludowych melodii, jakie kiedyś grywaliśmy. Ella zostawiła bębny, żeby mnie nie zagłuszać i wzięła marakasy. To nie był mój

najlepszy występ, ale rytmy wróciły do mnie, jakbyśmy grali je zaledwie wczoraj.

Na początku czułam się trochę niepewnie, grając dla Vigga, tym bardziej że w codziennym repertuarze nie miałam kawałków rockowych, ale po kilku minutach całkiem zapomniałam o jego obecności i pogрузyłam się w muzyce.

Dopiero na samym końcu, gdy otworzyłam oczy, przekonałam się, że patrzy prosto na mnie, ale nie tak jak Dominik — on nie rozbierał mnie wzrokiem, skupiony był na skrzypcach, podziwiał mnie niemal w taki sposób, w jaki podziwiał się dzieło sztuki.

Różnice między Dominikiem a Viggem, ich całkiem inny wzrok, kiedy patrzyli, jak gram, nie opuszczały moich myśli nawet po powrocie do domu.

Chris był zachwycony i zdawał się nie zwracać uwagi na moje roztargnienie.

— Chcę, żeby wszystkie moje dni do końca życia były takie — powiedział zarumieniony, gdy wpakowaliśmy się do taksówki. — Szczególnie jeśli będziesz w pobliżu, żeby płacić za taryfę.

W Nowym Jorku przyzwyczaiłam się do jeżdżenia taksówkami, straciłam zapał do targania ze sobą skrzypiec metrem. Miałam sporo pieniędzy odłożonych po ostatnich trasach koncertowych, a dodatkowo spływały bardzo przyjemne tantiemy z płyt. Moja agentka, Susan, przysłała mi zwięzły mail z pytaniem o moje zamiary, ale byłam pewna, że Simón powiedział jej, że wyjechałam i robię sobie przerwę.

Prawdę mówiąc, odkąd wyjechałam, prawie nie myślałam ani o Simónie, ani o Nowym Jorku. Tak szybko wśliznęłam się z powrotem w swoje życie singielki w Londynie, że minionych kilka lat wydawało się snem. Czasem, kiedy myślałam o Simónie, tęskniłam. Brakowało mi czyjejś obecności w łóżku i poczucia bezpieczeństwa, które dawał stały związek, ale przez większość czasu cieszyłam się z odzyskanej wolności.

Częściej za to myślałam o Dominiku, i na jawie, i w snach. Zastanawiałam się, czy ma kogoś, jakąś dziewczynę. Czy porzucił swoje łóżkowe dominacyjne ciągoty na rzecz regularniejszej relacji, tak jak ja, a może znalazł inną uległą kobietę, którą mógł w nocy wiązać.

Pod koniec tego samego tygodnia znów jechałyśmy taksówką, tym razem do Brixton Academy na koncert. Chris, Ella i Ted pojechali kilka godzin wcześniej, żeby nadzorować rozstawienie instrumentów, którymi zajmowała się ekipa Vigga i wykroić trochę czasu na sprawdzenie dźwięku, więc jechałam tylko z Fran.

Chris zapewnił mnie, że obydwie jesteśmy zaproszone na afterparty, na którym Viggo zamierzał uczcić pierwszy koncert londyńskiej trasy. Kiedy zaczęłam go wypytywać, wyrócił oczami.

— A jak myślisz, co powiedział Viggo na wieść, że jest u ciebie siostra?

— Uch — odparłam. — Jeśli tak myśli, niech się zastanowi ponownie.

— Będę miał na oku was obie.

— Będziesz zbyt zajęty trzema setkami modelek, które na pewno najął do roznoszenia drinków.

— Przecież mnie znasz. Tańczące kelnerki w bikini nie są w moim stylu.

Fran roześmiała się, a on spojrział z wyrzutem.

Ponieważ ja i Chris poznaliśmy się właśnie w Academy, mieliśmy do tego miejsca wielki sentyment. Bez publiczności wydawało się trochę ponure, a w środku było mniej miejsca, niż zapamiętałam. Trudno uwierzyć, że za kilka godzin będą tu cztery tysiące ludzi. Spadzista podłoga była zaplamiona i cuchnęła piwem, ale mimo to budynek otaczała aura dostojności i czuć w nim było historię.

Zgromadzeni na zewnątrz fani formowali kolejkę, rozmawiali wesoło, pili piwo z puszek i palili papierosy. Z satysfakcją usłyszałam, że spora część przysłała posłuchać Groucho Nights. Chris budził zainteresowanie. Z ciekawością patrzyli na mnie i Fran, kiedy pokazałyśmy wejściówki napakowanym, umundurowanym bramkarzom, którzy pilnowali głównego wejścia i od razu nas przepuścili. Ja nie miałam na sobie nic nadzwyczajnego, dzinsową spódniczkę mini i moje stare wiśniowe martensy, ale Fran budziła sensację, bo postanowiła pokazać wszystkim, że angielska pogoda nie robi na niej wrażenia i mimo zimna włożyła najkrótsze dzinsowe szorty z

podwyższonym stanem, w jakich ją kiedykolwiek widziałam. Na mrozie skórę miała prawie siną.

— Słuchaj — powiedziałam — niedługo kończę trzydzieści lat, a to podobno już równia pochyła. Może póki czas też powinnam pokazywać nogi?

Na prośbę Vigga wzięłam ze sobą skrzypce. Nie mówił dlaczego, ale podejrzewałam, że chce, żebym zagrała na przyjęciu po koncercie. Czułam się trochę dziwnie, kiedy o tym myślałam. Do tej pory jedyną osobą, dla której grałam w ten sposób, był Dominik, ale zgodziłam się ze względu na dobro zespołu. Przynajmniej trochę poćwiczę, bo jak na razie nie miałam zaplanowanych żadnych występów. Zostawiłam skrzypce w strzeżonym green roomie, aktualnie pustym, jako że członkowie The Holy Criminals byli w garderobie, a Chris, Ella i Ted sprawdzali nagłośnienie. Trochę czasu spędziłyśmy w barze, a kiedy nadeszła pora rozpoczęcia koncertu, zajęłyśmy nasze miejsca w pierwszym rzędzie.

Kiedy Chris wychodził na scenę, stawał się innym człowiekiem. Na co dzień był nieśmiały, chłopięcy, ale mikrofon wyzwalał w nim drugą naturę. Był rasowym rockmanem.

Zaczęli od razu, od jednego z moich ulubionych numerów, *Roadhouse Blues*, pełnego riffów i bluesowych nut, a zachrypnięte wokale Chrisa i Teda unosiły się na powierzchni melodii jak melasa w beczce whisky. Do drugiej piosenki Ted wziął kontrabas. To była *Fire Woman*, piosenka o gorącej miłości, swingująca. Kobiety na widowni zawsze przy niej szalały, a dzisiejszy wieczór nie był wyjątkiem. Chris trzymał mikrofon w jednej ręce i udawał, że tańczy wolny taniec ze swoją ukochaną, a z szeroko otwartych ust wydobywał wysokie nuty.

— Londynie, witaj! — krzyknął do tłumu. — Jak się dziś mamy?

W odpowiedzi ludzie skakali i piszczeli.

— Chcecie poznać naszego gościa specjalnego? — spojrzał na mnie.

Więcej pisków. Może Viggo zgodził się na mój występ.

— Co ty robisz? — krzyknęłam, ale mój głos utonął w hałasie.

— Jest tu pewna dziewczyna, prosto z Nowego Jorku! — krzyknął Chris. — Dodajcie jej odwagi, zawołajcie ją na scenę!

Zza sceny wyszedł szybko ktoś z obsługi i podłączył do wzmacniacza elektryczne skrzypce. Użyło mi, że to nie mój baily, nie byłoby go tu słyhać, nawet przez mikrofon, ale z kolei na skrzypcach elektrycznych nie grałam prawie od trzech lat.

Schyliłam się i przeszłam pod barierką, która oddzielała widownię od sceny. Dwóch bramkarzy podniosło mnie, a Chris załapał za rękę i wciągnął na scenę. Odwróciłam się twarzą do tłumu. Na tej scenie panowała dzika energia, zupełnie inna niż na koncertach muzyki klasycznej, do których byłam przyzwyczajona. Sala była rozgrzana i żywa, iskrzyła od hałasu i elektryczności.

— Daj czadu — powiedział Chris i zaczął grać jedną z piosenek, które wykonywaliśmy razem, *Sugarcane*, folkowy rytm z krótką solówką na skrzypcach i graniem na dwóch strunach, które podkręcało wokal; tłuste, brudne brzmienie, z jakim nie miałam do czynienia, odkąd wyjechałam z Londynu.

Zostałam na scenie jeszcze na jedną piosenkę i rozkoszowałam się przyływami i odpływami muzyki, które przenikały przeze mnie jak prąd morski, ale w końcu zmusiłam się do zejścia, żeby mogli zagrać piosenkę finałową, mocny utwór rockowy, wieńczony bombardowaniem perkusyjnego crescendo.

Kilka minut później spotkałam się z Fran w kulisach. Żeby mi pogratulować, przepchnęła się przez tłum, mignęła wejściówką i posłała ochronie promienny uśmiech. Patrzyła na Chrisa, tłum szalał, a światła omiotły ich po raz ostatni, kiedy schodzili ze sceny. Po drewnianej posadzce ślizgały się zielone i czerwone świetlne języki.

— Jest niezły — powiedziała Fran.

— Chris? Tak, wiem. Kiedy gra, jest innym człowiekiem.

— Tak jak ty.

— Naprawdę?

— To chyba kwestia większej pewności siebie. Widzę, że zatapiacie się w muzyce, jakbyście byli na haju...

— Nie jesteśmy. Pod tym względem zawsze byliśmy nudziarzami. Chris jest wielkim

przeciwnikiem prochów. Twierdzi, że nie chce tamować swojej kreatywności, zarzynając komórki mózgowe.

— Skoro tak...

Zostawiłam ją, żeby znalazła nasze kurtki, a sama, korzystając z krótkiej przerwy między występami, ruszyłam upolować coś do picia. W Nowej Zelandii nie zdarzały się tak wielkie koncerty, a nawet jeśli, to zawsze w największych miastach, w Auckland albo Wellington, czasem Christchurch. Żadna z nas nie była tam na wielu koncertach. Fran chłonęła wszystko, wpatrywała się w rozgwieżdżony sufit Academy, który nawet po kilku wizytach dawał złudzenie, że koncert odbywa się pod gołym niebem.

Wróciłam w samą porę, żeby zobaczyć scenę pogrążoną w kompletnej ciemności, z wyjątkiem punktowego czarownego światła skierowanego na sam jej środek. Otworzyła się zapadnia i spod sceny zaczęła powoli wyjeżdżać klatka z Viggim Franckiem w środku, skulonym i trzymającym się krat w geście wyrażającym bunt. Kiedy klatka wyjechała na scenę, podniósł głowę i uśmiechnął się, a mnie prawie ogłuszył wysoki kobiecy pisk. Scenę pokrył dym, a kiedy zniknął, okazało się, że klatki już nie ma, a on stoi na szeroko rozstawionych nogach, w tym samym ubraniu, w którym widziałam go wczoraj. Nisko opuszczone czarne dżinsy, skórzane buty, podarty T-shirt. Gdyby nie sława i aura Casanovy, wyglądałby jak pierwszy lepszy koleś z londyńskiego pubu, ale z całą pewnością nie jeden z tych, których chętnie przedstawiłabym mamie.

Był na scenie półtorej godziny, doprowadził koncert aż do finałowego crescendo w nagraniu z pierwszej płyty, *Underground*, która miała w środku skrzekliwe gitarowe solo. Grał je na kolanach, odchylając się do tyłu tak bardzo, że głowę opierał na kostkach. Musiał ćwiczyć hot jogę w specjalnej saunie w swojej posiadłości. Od razu zaczęłam się zastanawiać, w jakich jeszcze sytuacjach prezentuje tę gibkość.

Kiedy po koncercie szliśmy poszukać Chrisa i reszty, Fran dźgnęła mnie łokciem pod żebra.

— Wiesz, że będziesz tylko jedną z wielu, prawda?

— Sugerujesz, że pójde z nim do łóżka?

— Oczywiście, że tak. Ale musisz wiedzieć, że nie jesteś jedyna. Być może nawet nie jedyna dzisiaj.

— Uważasz, że powinnam go unikać?

— No co ty! — Uśmiechnęła się od ucha do ucha. — Jak często ma się okazję do zerznięcia gwiazdy rocka? Daj czadu. Upewnij się tylko, że zabezpieczy swojego ogiera.

— Nie jestem taka głupia... — odparłam. Ale pamiętałam o moim pierwszym razie z Dominikiem, kiedy nie użyliśmy kondomu. Głupi błąd, którego nie popełniłam już po raz drugi. Z nikim.

— Nie ma kasku, nie ma jazdy — dodała, chichocząc, bo jeden z maszynistów sceny, który mijał akurat garderoby, spojrział na nią i pytająco uniośł brwi.

W garderobie Vigga było spokojniej, niż się spodziewałam. Viggo siedział na stołku i pił piwo z butelki, a Chris i Ted pokładali się na kanapie ze sztucznej skóry, stojącej pod jedną ze ścian. Reszta zespołu ruszyła na poszukiwanie drinków. Pokój był surowy. Na białych ścianach wisiały znaki zabraniające palenia, mimo że na stoliku stały popielniczki. Ella nachylała się do lustra i nawilżanymi chusteczkami dla niemowląt zmywała makijaż.

Kiedy weszliśmy, zaczęli bić brawo. Viggo omiół spojrzeniem spodenki Fran.

— A oto nasza gwiazdeczka! — krzyknął Chris. — Kupiłaś ich.

— Chyba wy. Posłuchajcie, co tam się dzieje.

Garstka fanów, głównie fanek, zgromadziła się na zewnątrz i krzyczała: „Viggo! Viggo!”, ale od czasu do czasu także „Chris!”.

— Chris to niezbyt seksowne imię — powiedziałam do niego prowokacyjnie. — Powinieneś je zmienić.

— Wszyscy mi to mówią — odparł. — Ale już za późno. Czułbym się jak głupek.

Viggo odstawił piwo, złapał mnie za rękę i przyciągnął do siebie, tak że znalazłam się między jego nogami. Miałam na sobie krótką spódnicę i rajstopy, więc czułam, że dżinsowe

spodnie ocierają mi się o nogi. Jego dotyk zadziałał na mnie natychmiast, jak kieliszek szampana, który błyskawicznie uderza do głowy i musiałam się opanować, żeby nie paść mu w ramiona.

— A więc kochanie — wycedził. — Masz swoje skrzypce? Zagrasz coś dla nas później? — Słowo „później” wypowiedział w taki sposób, jakby kryło się pod nim coś niecenzuralnego.

— Z przyjemnością — odparłam pogodnie, powstrzymując pragnienie przyłgnięcia do niego całym ciałem. Co innego zadawać się z podrywaczem prywatnie, ale co innego na oczach wszystkich. Nie chciałam być przedmiotem żartów Chrisa i Fran przez następne dziesięć lat.

— W takim razie — rzucił — chodźmy.

Ekipa zapakowała cały sprzęt do kilku półciężarówek, zabrali także rzeczy Chrisa i Teda, które mogli w przyszłym tygodniu odebrać ze studia, a my wsiedliśmy do samochodów Vigga, kilku nierzucających się w oczy czarnych sedanów z przyciemnionymi szybami. Podobno prywatnie jeździł czarnym buickiem z osiemdziesiątego siódmego, ale po koncertach dbał o prywatność.

Samochody podjechały pod ogrodzenie w Belsize Park. Była druga nad ranem i wszędzie wkoło panowała kompletna cisza.

— Przy tej ulicy mieszka mnóstwo gwiazd — szepnął do mnie Chris — którym ich nieseksowne imiona nie robią żadnej krzywdy.

— Rozumiem, ale jestem pewna, że wiele osób by się z tobą nie zgodziło.

— Wszystkich się nie da zadowolić — odparł i wywrócił oczami.

Posiadłość Vigga była zupełnie inna, niż sobie wyobrażałam. Nie zauważyłam zbiorników pełnych węży ani akwariów z nagimi kobietami, jak donosiła prasa. Miejsce było niemal opustoszałe, całkiem spartańskie, nie licząc kilku wyeksponowanych światłem dzieł sztuki. Z sufitu zwisała rzeźba ptaka z rozłożonymi skrzydłami. Ze środka pokoju prowadziły na górę spiralne schody z drewna i metalu.

— Czy to Hirst? — spytała Fran, patrząc na obraz. Na białym tle wymalowane były okrągłe kolorowe kropki.

— Boże, nie! — zaprzeczył Viggo, stając obok niej na tyle blisko, żeby naruszyć sferę komfortu. — Za kogo ty mnie masz?

Przyjrzałam się obrazowi bliżej i na środku każdej kolorowej kropki zauważyłam namalowane małe „m”, jak na słodyczkach.

— Sprytnie — powiedziałam.

— Prawda? — odparł Viggo. Wsunął mi dłoń pod spódnicę i delikatnie gładził mnie po udach. Zadrżałam. — Nie lubię rzeczy, które nie są sprytnie. A teraz chodźmy na górę, pokaz jeszcze się nie skończył.

Drugie piętro okazało się już bliższe moim wyobrażeniom. Wyglądało jak wnętrze haremu, całe w głębokiej czerwieni i purpurze, ze zwisającymi z sufitu żyrandolami, miękkim złotym dywanem i szeregiem czarnych skórzanych kanap w tak dziwacznych kształtach, że podejrzewałam, że zaprojektowano je, żeby nadawały się do wcielania w życie pozycji z *Kamasutry*. Pośrodku pokoju była fontanna z pomnikiem kobiety.

A przynajmniej wydawało mi się, że to pomnik, dopóki wdzięcznym ruchem nie wyciągnęła ręki i nie wyjęła spinki z długich jasnych włosów, które rozsypały jej się na ramionach. Powoli odwróciła się w naszą stronę i objawiła małe nagie piersi i całkiem wygolone łono.

Ruchy miała subtelne i pięknie dopracowane, dalekie od typowych ruchów striptizerki. Ustawiła się tak, że woda tryskająca z fontanny oblewała jej nogi aż do miejsca, w którym jej ciało stanowiło naturalną barierę. Przy cipce miała wytatuowany małeńki pistolet.

W odmętach pamięci zakiełkowało mi wspomnienie. Świat pełen jest tancerek, ale ja widziałam tylko jedną, która ruszała się w ten sposób i miała wytatuowaną identyczną broń.

Była rosyjską tancerką, która występowała w prywatnym klubie w Nowym Orleanie, do którego zabrał mnie kiedyś Dominik. Z rumieńcem upokorzenia i podniecenia przypomniałam sobie, że kiedy obejrzelśmy już jej porażająco erotyczny taniec, Dominik kazał mi zatańczyć dla niego na scenie. Zrobiłam to, naga, nie licząc czerwonych gumowych nakładek na brodawki i korka analnego.

Luba.
Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

Angelique

Mały sklepik w Burlington Arcade, gdzie kupił skrzypce dla Summer, był zamknięty, chociaż wybiło już popołudnie. Dominik zajrzał do środka przez szybę w drzwiach i po drugiej stronie, na podłodze, zobaczył stos nieodebranej poczty. Kartka na drzwiach odsyłała zainteresowanych pod numer telefonu, który zapisał.

Zadzwoił tam później.

Nikt nie odebrał.

Próbował dalej, w kilkugodzinnych odstępach.

Koło dziesiątej wieczorem miał właśnie odłożyć słuchawkę po raz ostatni na dzisiaj, po tym, jak przez kilka minut słuchał sygnału, kiedy ktoś wreszcie odebrał.

Głos po drugiej stronie należał do starszego mężczyzny.

— Dzwonię w sprawie sklepu w Burlington Arcade — wyjaśnił Dominik.

— Proszę się skontaktować z agentem nieruchomości.

— Nie o to mi chodzi — zaprzeczył. — Byłem waszym klientem. Kupiłem skrzypce.

Chciałbym zadać kilka pytań...

— Sklep jest zamknięty. Postanowiłem przejść na emeryturę. To gra niewarta świeczki — stwierdził mężczyzna. — Nie będę chyba mógł panu pomóc.

— Pan był właścicielem? — spytał Dominik.

Głos mężczyzny ani trochę nie przypominał sprzedawcy, z którym dobił targu.

— Tak.

— Chyba nie mieliśmy przyjemności się poznać. Pański kolega sprzedał mi piękny instrument, ale teraz chciałabym się dowiedzieć więcej o jego historii, poprzednich właścicielach...

— Czy nie dostał pan certyfikatu autentyczności? Powinien pan.

— Dostałem. Ale informacje w nim zawarte są bardzo ogłędne.

— Chyba nie oczekuje pan, że pamiętam rozdział po rozdziale i wers po wersji historię każdego instrumentu, który przeszedł przez moje ręce?

— Nie. Zastanawiałem się tylko...

— Dlaczego?

Dominik zawahał się na moment. Jak to wyjaśnić? Że chwytą się brzytwy, że chciałby, że Summer znów była częścią jego życia? Że został pisarzem, który nie ma nic do napisania?

— Trudno to wytłumaczyć. Osoba, dla której kupiłem te skrzypce...

Mężczyzna przerwał mu w pół słowa.

— Czy chodzi o skrzypce Bailly'ego?

— Tak — przyznał z zaskoczeniem Dominik.

— Ach...

— No więc...

— Proszę posłuchać, jest już późno. Może zadzwoni pan jutro rano, tylko nie bardzo wcześnie, umówimy się na spotkanie.

— Doskonale, o tym marzę!

Właściciel sklepu mieszkał niedaleko Dominika, w północnym Londynie, w podupadającym domku przy prywatnej drodze, w pobliżu Highgate Village. Ogród był zarośnięty, trawnik przejęły chwasty, a różanych krzewów nie przycinano od wieków. Dzwonek do drzwi nie działał i Dominik musiał kilka razy zapukać, zanim wewnątrz ktoś się poruszył.

Poznał tego mężczyznę, gdy tylko ten otworzył drzwi. Z jakiegoś powodu przez telefon wydawało mu się, że to stary człowiek. W najgorszym razie był dobrze po pięćdziesiątce. Dominik widział go wcześniej. W zasadzie dwa razy. I każdą z tych okazji miał zapisaną w pamięci.

Był obecny na dwóch najbardziej ekscytujących imprezach w Londynie, na które chadzał także Dominik w czasie swoich najdzikszych miesięcy. Mężczyzna był raczej obserwatorem niż

czynnym uczestnikiem i zwykle w chwilę po zaspokojeniu pierwszej ciekawości z kobietą, która zgłosiła się jako ochotniczka, resztę wieczoru spędzał, sącząc białe wino i obserwując innych — w tym Dominika — jak bawią się dalej i wykorzystują bohaterkę wieczoru. Cała sytuacja wydała się Dominikowi dość fatalna, ale szybko skupił się na rozmowie.

W kaprawych oczach sprzedawcy instrumentów nie pojawił się żaden błysk, który mógłby świadczyć o tym, że rozpoznał Dominika. Najwyraźniej go nie pamiętał. Fakt, w czasie tych sławetnych wieczorów w pokojach hotelowych większą uwagę zwracały poszczególne części cudzych ciał niż twarze.

— Rozmawialiśmy przez telefon. Jestem Dominik — przedstawił się.

— John LaValle. Zapraszam.

Zaprowadził go do salonu. Na środku stało ogromne, piękne pianino, zavalone masą pożółkłych gazet, partytur i rozpadających się książek.

LaValle wskazał mu stary, skórzany fotel, a sam usiadł naprzeciwko, na krześle do pianina. Zaproponował drinka, Dominik odmówił, ale gospodarz podszedł do stojącego nieopodal barku i nalał sobie szkockiej.

— Trzyma mnie w pionie — powiedział LaValle i wskazał na bursztynowy płyn, który zamieszał w szklance, zanim upił kilka łyków.

— Nie było pana w sklepie tego dnia, gdy kupiłem skrzypce — zauważył Dominik.

— Nie. Bardzo żałuję. Mój kolega, który wkrótce później przestał u mnie pracować, uważał, że zapracuje na swoje nazwisko, a mnie zrobi przyjemność, sprzedając te skrzypce. Fakty były jednak takie, że nie miałem zamiaru ich sprzedawać.

— Ach tak! Dlaczego?

— To przedmiot kolekcjonerski. Mówiąc wprost, wart znacznie więcej niż cena, jaką pan za nie zapłacił — wyjaśnił LaValle. — Dostaliśmy go zaledwie kilka tygodni wcześniej, za pośrednictwem niemieckiego prawnika, który zajmował się rozdysponowaniem spadku, ale nie miał świadomości, ile te skrzypce są warte. Chciałem zatrzymać je dla siebie, przynieść tutaj. Czuję, że pod tym dachem będą bezpieczniejsze...

— Bezpieczniejsze?

— Ten instrument lubił się gubić.

— Proszę powiedzieć coś więcej.

LaValle zignorował tę prośbę.

— Rozumiem, że pan ich już nie posiada? Czy kupił je pan dla kogoś?

— Jako prezent — wyznał Dominik.

— Dla Summer Zahovy. Drogi prezent.

— Skąd pan o tym wie? — spytał Dominik.

Starszy człowiek wstał, sięgnął na pianino i z góry papierzysk wyciągnął pognieciony plakat, rozwinął go i z triumfem pokazał Dominikowi.

Był to plakat reklamujący pierwszy solowy koncert Summer. Zdjęcie wykadrowane było od jej brody do talii, z niezidentyfikowanej przestrzeni w górze spływały jak macki kaskady rudych włosów. Na plakacie była klatka piersiowa i brzuch Summer, skrzypce nieszczęśliwie zasłoniły piersi, a pomarańczowe drewno instrumentu kontrastowało z karnacją kobiety.

Zdjęcie było erotyczne i intrygujące, nic dziwnego, że odegrało wielką rolę w tym, że koncert został wyprzedany. Tłum zgromadził się na widowni, żeby zobaczyć twarz tajemniczej skrzypaczki.

Dominik uświadomił sobie, że nigdy nie postarał się o kopię tego plakatu.

— Rozumiem — powiedział.

— To ciekawe, ale najwyraźniej nikt nie zauważył, że uwiecznione na fotografii skrzypce to Angelique — poskarżył się LaValle. — A są tak charakterystyczne.

— Angelique? Przy zakupie pański kolega powiedział mi, że zostały wykonane przez francuskiego lutnika, Bailly'ego. Jego nazwisko widnieje na gryfie, pod strunami.

— Ależ tak, Bailly stworzył ten instrument. Ale wykonał wiele takich skrzypiec. Tylko ten egzemplarz przeszedł do historii. A i nasz pan Bailly był interesującym człowiekiem. Nawet bardzo

interesującym. Większość wytwórców skrzypiec, czy może lepiej byłoby powiedzieć: lutników, było Włochami, ale Bailly to jeden z nielicznych rzemieślników francuskich, którym udało się zaskarbić sobie szacunek w tym delikatnym fachu. — LaValle upił następny łyk whisky. — Sądząc po tym, że przekazał pan skrzypce pannie Zahovie, nie jest pan kolekcjonerem instrumentów. Zastanawiam się więc, czemu to pana tak interesuje.

— Zbieram książki — odparł Dominik. — To mi wystarczy. Byłem po prostu ciekawy. Zastanawiam się nad napisaniem czegoś o instrumentach muzycznych. Powieści. A ponieważ moje drogi skrzyżowały się z tymi akurat skrzypcami, pomyślałam, że to dobry punkt wyjścia do dalszych badań.

— Bardzo ciekawe — zgodził się LaValle.

— Chciałbym dowiedzieć się więcej. Podgrzał pan moją ciekawość — wyznał Dominik. — Mówił pan, że instrument ten często się gubił?

— Prawdę mówiąc, był kradziony — sprecyzował LaValle. — Proszę sobie wyobrazić, że w ciągu dwóch tygodni po przyjęciu go do depozytu naszego sklepu w Burlington Arcade mieliśmy dwie próby włamania. To więcej niż w ciągu poprzednich dwudziestu lat! Bardzo podejrzone. Tym bardziej że nikt o nich nie wiedział. Nie reklamowaliśmy tych skrzypiec ani w sklepie, ani w katalogach. Nawet nie miałem czasu dobrze ich obejrzeć po tym, jak przybyły z Niemiec. Ktokolwiek się wkradł, unieszkodliwił nasz system alarmowy i włamał się do kilku szafek i gablotek, ale nie odnalazł sejfów, w których trzymałem Angelique. Niestety, z powodu włamań podniesiono nam stawkę za ubezpieczenie, co było kolejnym argumentem za zamknięciem sklepu kilka miesięcy później, ale wtedy instrument był już u pana. Zajmowałem się tym od tak dawna, że w końcu miałem już dość. Ale proszę nie dać mi zanudzić się opowieściami o sprawach służbowych i finansach.

— Ależ nie, słucham zafascynowany!

— Mam nadzieję, że panna Zahova ubezpieczyła je i trzyma w bezpiecznym miejscu, kiedy ich nie używa?

— Tak sądzę. Choć ostatnio nie utrzymujemy kontaktów.

— Jaka szkoda. Wydaje się fascynującą kobietą.

— O tak.

— Wiem, że potrafi pan dogłębnie docenić kobietę. To nas łączy. — Uśmiechnął się do Dominika, lekko zmieszany. Oczywiście, że go rozpoznał. Wiedział cały czas.

— Wie pan...

— Kim pan jest? Oczywiście. Mam pamięć do twarzy.

— Czemu nic pan nie powiedział?

— Wszyscy mamy swoje sekrety i mroczne zakątki — stwierdził lekceważąco. — Nikt nie poniósł krzywdy, a zaznano wielkiej przyjemności. Ocenę pozostawiam innym...

— Wciąż jest pan w... kontakcie z tą grupą, z kobietami? — spytał Dominik.

— Nie, po jakimś czasie każdy poszedł w swoją stronę. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale panna Zahova cudownie wzbogaciłaby nasze przyjęcia. Myślał pan kiedyś o przyprowadzeniu jej tam? Zawsze twierdziłem, że najlepszymi uległymi są muzycy, nie wiem dlaczego, to raczej intuicja...

— Wtedy jeszcze jej nie znałem. Spotkaliśmy się później — przerwał Dominik.

— Szkoda.

— Tak. — Dominik chciał szybko zmienić temat. — Proszę powiedzieć coś jeszcze o Angelique.

Paul Bailly urodził się w 1844 roku i bardzo chciał podróżować. Uczył się rzemiosła lutniczego najpierw w rodzinnym mieście, w Mirecourt na francuskiej prowincji, a kontynuował w Paryżu u słynnego lutnika Jeana-Baptiste'a Vuillaume'a i legendarnego Jules'a Galliarda.

Bailly miał duszę nieukojoną i romantyczną, a życie miłosne burzliwe. Bez końca jeździł po Francji, a później Anglii. W Paryżu poznał i po uszy zakochał się w młodej angielskiej niańce, Lois Elizabeth Hough, która pracowała dla zamożnej francuskiej rodziny.

Pojechał za Lois do Londynu, kiedy wróciła do domu, ale ich związek nie przetrwał, a on przeniósł się do Leeds. Tam pracował w lokalnej wytwórni instrumentów, ale nie odnotowano żadnych sygnowanych przez niego skrzypiec z tamtego okresu, uważa się więc, że pracował tam jako pomocnik i nie wykorzystywał swojego talentu.

Wkrótce wrócił do Paryża i w latach osiemdziesiątych XIX wieku przeżył najpłodniejszy okres, któremu zawdzięczamy wiele doskonałych instrumentów, gruntujących renomę lutnika. W Paryżu poznał Angelique Spengler, żonę słynnego teatralnego impresaria, Hughesa Caetano.

Angelique była niezwykle piękna. Za męża miała jurnego i szorstkiego mężczyznę, który kierował kilkoma paryskimi teatrami. Mówiło się, że mocne więzi łączą go z paryskim nielegalnym światkiem seksu. Całkiem prawdopodobne, że polityczne koneksje pozwoliły panu Caetano oczyścić kartotekę ze śladów po działaniach niezgodnych z prawem. Miał reputację kogoś porywczego i zazdrośnego. Chodziły słuchy, że wykupił Angelique ze szkoły przyklasztornej w ramach zabezpieczenia długu karcianego jej zubożałego ojca.

Nie do końca wiadomo, jak Bailly i Angelique się poznali. Być może na koncercie. W każdym razie od razu zaiskrzyło między nimi i szybko zostali kochankami. Zważywszy na pozycję jej męża, oczywiste było, że wcześniej czy później ich romans wyjdzie na jaw i tak też się stało. Bailly'ego dopadły zbiry, opłacone przez męża Angelique, i został dotkliwie pobity. Podobno złamali mu prawy nadgarstek i w rezultacie nie mógł już wytwarzać skrzypiec. Rzeczywiście, od tamtej pory nie natrafiono już na żaden sygnowany przez niego instrument.

Angelique, rozwścieczona działaniami męża, włamała się do jego sejfu, ukradła pieniądze i razem z Baillym uciekli do Ameryki.

Kiedy tylko Caetano odkrył, dokąd zbiegli kochankowie, wysłał swoich ludzi do Nowego Jorku, gdzie zamieszkali Angelique i Bailly. Kiedy Bailly był w pracy, Angelique została porwana i nigdy już jej nie odnaleziono. Niektórzy mówili, że ją zamordowano, a ciało zatopiono w rzece Hudson. Inni opowiadali historię zemsty i upokorzeń, w której piękna młoda kobieta była zmuszana do świadczenia usług seksualnych najpierw w Chinatown, a później w Tijuanie, w Meksyku. Jednak, jak zaznaczył LaValle, takie opowieści przechodzą z ust do ust przez całe lata i czasem są dalekie od faktów.

Po jakimś czasie Bailly wrócił do Francji, ale nigdy już nie miał nic wspólnego ze skrzypcami.

— Fascynujące — powiedział Dominik, gdy LaValle skończył opowieść. — Ale w takim razie skąd skrzypce, które nazywa pan Angelique?

— Ach — westchnął LaValle. — Tutaj robi się jeszcze ciekawiej...

Wiele lat później, dekadę po rozpoczęciu nowego stulecia, skrzypce noszące sygnaturę Bailly'ego, ale pozbawione informacji o roku produkcji, pojawiły się na aukcji w Christie's. Eksperti nie wiedzieli, co myśleć. Oczywiście było, że to wytwór rąk Bailly'ego, ale drewno, z którego wykonano instrument, było odmienne niż w innych jego skrzypcach. Na dodatek kształt instrumentu także różnił się od standardu, były subtelniejsze, bardziej zaokrąglone, zmysłowe, jak orzekł jeden ze specjalistów, jak gdyby ich kształt wzorowany był na kobiecym ciele. Ktoś w końcu stwierdził, że ten właśnie instrument powstał w czasie romansu Bailly'ego z Angelique i inspirowany był miłością do niej. Jednogłośnie przyjęto za fakt, że były to ostatnie skrzypce kiedykolwiek wykonane przez Paula Bailly'ego. Nie było dowodów obalających tę teorię, zatem narodziła się legenda, a skrzypce dostały imię.

Ale w tym momencie ich losy stają się mroczniejsze.

Kolekcjoner, który wygrał na aukcji skrzypce Angelique, był jednym z pierwszych angielskich oficerów, którzy zginęli w okopach I wojny światowej. Nie byłoby w tym nic niespotykanego, gdyby nie to, że dwóch następnych właścicieli, z których pierwszy skrzypce odziedziczył, a drugi odkupił od rodziny nieboszczyka, spotkał podobny los. Wciąż jednak można było to uznać za nieszczęśliwe zrzędzenie losu. W końcu trwał właśnie jeden z najkrwawszych okresów w historii. Jednak po zakończeniu wojny skrzypce przeszły w ręce brytyjskiej rodziny, która zginęła w pożarze w wiejskiej posiadłości. Skrzypce zostały w domu w Londynie. Ale kiedy przybyli beneficjenci, żeby je zabrać, okazało się, że nigdzie ich nie ma. Zostały skradzione.

Angelique odnalazła się we Francji. W naturalnej konsekwencji wcześniejszych zdarzeń, następnym właścicielem skrzypiec był paryski polityk i kolekcjoner, który zmarł w ramionach swojej kochanki zaledwie kilka tygodni po zakupie instrumentu. Wygląda na to, że aby zrekompensować sobie utratę dobroczyńcy, kurtyzana szybko zabrała skrzypce i inne łatwiejsze w transporcie przedmioty z kolekcji kochanka i ukryła, zanim zgłosiła jego śmierć. Losy skrzypiec przez kolejnych dziesięć lat są nieznane, po tym jednak czasie odnalazły się w Niemczech, tym razem w rękach wysoko postawionego oficera, który zaangażował się w jeden z należących do rzadkości spisków, mających na celu obalić Hitlera, za co został powieszony na haku do mięsa. Jego majątek skonfiskowały władze i skrzypce trafiły w ręce członków rządu, a stamtąd do muzeum pod Hamburgiem, które z kolei zostało złupione przez Armię Czerwoną.

Następnie skrzypce pojawiły się w latach pięćdziesiątych u zamożnej hanowerskiej rodziny Christiansenów. Żadne z nich nie zmarło nienaturalną śmiercią w ciągu trzech pokoleń. Skrzypce przechodziły z dziecka na dziecko, aż trafiły do Edwiny Christiansen. Dominik zapamiętał nazwisko ostatniej, podanej w certyfikacie autentyczności właścicielki skrzypiec.

Edwina była czarną owcą w swojej burżuazyjnej rodzinie, a także, jak się zdaje, nadzwyczajną piękną. W latach sześćdziesiątych była pod dużym wpływem starszego od niej mężczyzny, Amerykanina, którego poznała w San Francisco. Ich związek był niekonwencjonalny i niegodny szacunku. W formie przerywnika w swojej długiej historii LaValle zasugerował:

— Może mógłby pan o tym wspomnieć w swojej powieści. Edwina została dziwką tego Amerykanina.

— A skrzypce? — spytał Dominik.

— Zostały w Niemczech, kiedy Edwina wyjechała do Ameryki. Ona po prostu je posiadała, odziedziczyła po ojcu. Nigdy nie grała na nich ani na żadnym innym instrumencie.

— Co się z nią stało?

— Zamordowała swojego amerykańskiego kochanka. Okoliczności były niejasne, a ona przez cały proces odmawiała odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania i została skazana na dożywocie. Przez kilka tygodni sprawa nie schodziła z pierwszych stron gazet, zarówno ze względu na mroczne tło zbrodni, ujawnione przez prokuratora, jak i porażające piękno i smutek oskarżonej.

Edwina, odrzucona przez świętoszkowatą rodzinę i sama za granicą, nie miała szans.

Zmarła w więzieniu dziesięć lat później. Jej niemieccy krewni, zawstydzeni całą sprawą, wyparli się jej i przekazali rzeczy należące do Edwiny do magazynu, nie zwracając najmniejszej uwagi na skrzypce Bailly'ego. Dopiero gdy kilka dziesięcioleci po jej śmierci budynek magazynu został przeznaczony do rozbiórki, okolica miała zostać całkiem przebudowana, dalecy krewni wynajęli prawnika, który miał wedle swojego uznania rozdysponować jej rzeczy.

— W ten sposób ja wszedłem w posiadanie skrzypiec — powiedział LaValle. — W katalogu sporządzonym przez prawnika zostały opisane jako „Bailly”, ale bez żadnych szczegółów, jako że prawnik nie miał bladego pojęcia ani o ich historii, ani o wartości.

— Od razu pan wiedział, że to Angelique, kiedy je pan zobaczył? — spytał Dominik.

— Nie od razu. W ramach tego zakupu przyszło więcej instrumentów, na niektóre z nich miałem już kupców, więc na początku nie przyglądałem się bailly'emu bliżej. Ale kiedy już poświęciłem im czas, zrozumiałem, że to ten instrument, o którym tyle się mówi ze względu na jego niezwykłą historię. Nie wierzę w klątwy ani nic w tym stylu, a jednak stwierdziłem, że lepiej będzie, jeśli zostawię te skrzypce sobie, nie wystawię ich na sprzedaż. Zanim zdołałem zrealizować swój zamiar, mój durny asystent sprzedał je, myśląc, że zrobił interes życia. Pan je kupił.

— Angelique.

— Tak. — LaValle się uśmiechnął. — Ośmielę się spytać, czy instrument nie przyniósł panie Zahovie pecha?

Dominik starannie ważył słowa.

— Cóż, odkąd je ma, zyskała sławę. Może klątwa dotknęła innych...

LaValle spojrzał mu w oczy.

— Mam nadzieję, że nie jest pan przesądny. Wie pan, że to tylko wiele zbiegów okoliczności. Ale nie da się ukryć, że takie głupiutkie historie wyrabiają instrumentowi reputację.

W dzisiejszych czasach piękne przedmioty kuszą złodziei. Gdyby kiedyś zamierzała je sprzedać, jestem pewien, że mogłaby wziąć pięć, sześć razy więcej, niż pan za nie zapłacił.

— Nie sędzę, żeby w grę wchodziła chęć zarobku, panie LaValle — skwitował Dominik i wstał. — Ale to była fascynująca opowieść. Bardzo dziękuję za poświęcenie mi czasu.

— Mam nadzieję, że zaspokoilem pana ciekawość — odparł sprzedawca.

— Jak najbardziej. Dostarczył mi pan materiału do rozmyślań. Prawda potrafi być bardziej fascynująca niż fikcja, nieprawdaz?

— Zdecydowanie — zgodził się LaValle. — Czy ma pan już dość materiału do powieści?

— Przynajmniej na początek.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, deszcz bębnił o dachy domów w Highgate Village. Ale Dominik czuł, że musi się przejść po świeżym powietrzu, przetrwać to, co usłyszał i zastanowić się co dalej. Czy powinien ostrzec Summer? Wiedział przecież, że jeśli wyskoczy ni stąd, ni z owąd z opowieścią o kłątwie, złodziejach i zamordowanych kochankach, nie przysporzy sobie popularności w jej oczach i nie sprawi, że Summer zapragnie go znów widywać.

Ale prawdziwe zamieszanie w jego głowie wprowadziły sny.

Sprawę pogorszył atak ostrej migreny, który spadł na niego niemal bez ostrzeżenia.

Odtwarzał w myślach opowieść LaValle'a. Wywołało to natłok wspomnień o Summer i w efekcie noc Dominika była mieszanką gwałtownych emocji i nieracjonalnych wizji.

Marzył o Summer jako Angelique. W dawnych strojach, w jakich nigdy nie widział jej w rzeczywistości. Wizje inspirowane były starymi filmami — *Przeminęło z wiatrem* i produkcjami grupy Merchant Ivory. Summer miała na sobie białą krynolinę, obcisłą w talii, i coś na kształt gorsetu, który ścisnął jej piersi i unosił je do góry, dając złudzenie, że biust jest obfitszy niż w rzeczywistości. Kołysząc biodrami, szła przez świeżo skoszony trawnik w parku, a przez sen Dominik czuł nawet zapach trawy. Spojrzał na polanę i na scenę stojącą pod czystym błękitnym niebem. Summer w sukience Angelique wchodziła na nią po kamiennych stopniach. Stał jakieś sto metrów dalej, niewidoczny obserwator, wmurowany w ziemię i niemogący się poruszyć.

Czarny futerał na skrzypce leżał na aksamitnym krześle przy fortepianie, który stał pośrodku sceny. W jego śnie Summer zaczęła biec do skrzypiec, ale nagle z ciemności wyskoczyło dwóch mężczyzn i złapało ją. Odcieśli jej drogę. Byli ubrani na czarno. Jeden miał wąsy, drugi bliznę. Złoczyńcy z melodramatycznej operetki obnażali wszystkie frazesy z jego książki.

Summer krzyknęła, ale Dominik był zamknięty w kokonie ciszy. Desperacko chciał dobiec do sceny, do Summer, uratować ją... Ale nie mógł.

Jeden z mężczyzn ją spoliczkował, drugi brutalnie rozerwał górną część sukienki, uwalniając piersi Summer, dumne i delikatne. Z gorsetu, w którym były ukryte, wydostały się ciemne brodawki. Poranek musiał być zimny, bo nawet z oddali Dominik widział gęsią skórę na jej nagiej skórze.

Drugi wziął futerał i podał skrzypce Summer. Trzęsła się cała od płaczu, ale powoli wzięła instrument, przyłożyła do podbródka, wyprostowała się i ustawiła w prawidłowej pozycji. Kiedy zaczęła grać, pierwszy mężczyzna, ten z meksykańskim wąsem, znikąd wy dobył ostry nóż i szybko rozciął sukienkę w talii i Summer była naga, nie licząc białych pończoch przypiętych do również białego pasa, który opasywał jej szczupłą talię.

Choć oprawcy na nią patrzyli, zaczęła grać.

Sen był niemy, ale Dominik wyobraził sobie muzykę, wydobywającą się za sprawą jej palców z ciemnopomarańczowych skrzypiec, spływającą jak strumienie deszczu, roztańczoną, żywą, unoszącą się w postaci maleńkich obłoczków, tworzących nad sceną aureolę, tęczę dźwięków, która okryła jak koc najpierw park, a potem cały Londyn.

Senna wizja Summer, nagiej, nie licząc białych pończoch i pasa do nich, z płomienną knieją włosów łonowych, wyrastającą na jej alabastrowym ciele, grającej na swoich skrzypcach, pogrążonej w bezgłośnie muzyce, przyprawiła Dominika o erekcję. Zsunął dłoń na fiuta, żeby zweryfikować stan podniecenia. Jakby w odpowiedzi dwaj mężczyźni stojący na scenie po obu stronach Summer rozpięli rozporki i zaczęli się do niej zbliżać, a w ich oczach widać było niecne

zamiary.

Dominik chciał biec do niej, pomóc, ale w jednej chwili cała scena rozmyła się i był znowu w łóżku, przebudzony, z otwartymi oczami. Przód podkoszulka, w którym sypiał, był mokry od potu.

To był sen. Albo koszmar. Dominik napił się wody ze szklanki, którą trzymał przy łóżku. Była trzecia nad ranem, w pokoju panowała ciemność, a jego myśli wypełniały obrazy Summer dorwanej przez tych mężczyzn, zagubionej, samotnej, molestowanej. Jej cenne skrzypce zostały roztrzaskane o ziemię.

Dominik i Lauralynn sączyli kawę przy kuchennym stole.

— Nic ci nie jest? — spytała.

— Nic, a co?

— Myślałam w nocy, że masz towarzystwo. Było głośno.

— Naprawdę?

— Przysięgam, że raz słyszałam krzyk — odparła Lauralynn. — To mnie obudziło. Musiałam się powstrzymać, żeby nie zejść na dół i nie zajrzeć do twojej sypialni.

— Byłem sam. To pewnie był jakiś koszmar.

— Cholernie głośny...

— Przepraszam.

— Muszę też powiedzieć, że nie wyglądasz zbyt kwitnąco.

— Źle spałem. Wciąż mam fatalną migrenę.

— Biedaku — spoważniała.

— Dziękuję za wyrazy współczucia.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Lauralynn wypila kawę, dołała sobie nową porcję i poszła na górę, do swojego pokoju, a Dominik został sam, rzucony na pastwę wspomnień i złych przeczuć.

Powiedział panu LaValle, że nie jest przesądny, ale resztki koszmarów sennych, które zostały w ciemnych zakamarkach jego umysłu i obrazy, które prześladowały go na jawie, budziły w nim niepokój. O Summer i skrzypce. Ale przecież kłątwy zdarzają się w książkach, nie w życiu.

Ale jeśli coś jej się stanie? Wiedział, że poczuje się za to odpowiedzialny, nie będzie umiał z tym żyć.

Powinien ją ostrzec?

Nawiązać z nią kontakt po całym tym czasie? Wtargnąć w jej życie?

Usłyszał z daleka telefon Lauralynn. Jako dzwonek miała ustawiony jakiś dudniący utwór disco, całkiem niepasujący do wiolonczelistki. Próbował przypomnieć sobie, czy dzisiaj pracuje, czy będzie się w ciągu dnia kręcić po domu. Miał ochotę na towarzystwo.

Poszedł do gabinetu na najwyższym piętrze, żeby przejrzeć notatki, które zrobił wczoraj po spotkaniu ze sprzedawcą instrumentów. Nie może wykorzystać opowieści w tym brzmieniu. Będzie musiał ją jakoś wzbogacić, dodać fakty historyczne i zgromadzić kilka ciekawych postaci. Ale był pewien, że to podstawa książki, szkielet fabuły. Dobrze się bawił, zbierając materiały i choć wiedział, że skacząc po epokach, będzie musiał się dużo o nich dowiedzieć, cieszył się na to wyzwanie.

Na pewno musi wystrzegać się postaci zbyt podobnych do Eleny, która w powieści paryskiej była łatwo identyfikowalnym alter ego Summer.

Nawet gdyby bardzo nie miał na to ochoty.

Pisanie o niej było nie tylko rodzajem egzorcyzmów, ale także sposobem na zachowanie jej w pamięci. Jej pasji, twarzy, skóry, zapachu, wspomnień, których nie mógł sobie odpuścić. Nawet jeśli wywoływały ból.

Westchnął, poskładał kartki papieru i przysunął bliżej laptop. Stworzył nowy dokument i zawiesił palce nad klawiaturą, starając się wymyślić odpowiedni tytuł dla folderu.

Kiedy pół godziny później pisał, tym razem obojętny na cały świat, usłyszał ciche pukanie do drzwi. Były otwarte, ale Lauralynn była dyskretna.

— Dominiku?

— Tak? Co się stało? — Spojrzał ostro.

— Nie chciałam ci przeszkadzać. Ale coś się wydarzyło...

Odsunął się od biurka.

— Co takiego?

— Miałam telefon — powiedziała Lauralynn. — Chodzi o mojego brata...

— Żołnierza?

Ścisnął mu się żołądek. Po wczorajszych historiach o skrzypcach nic by go dzisiaj nie zdziwiło. Ale przecież Lauralynn ani jej rodzina nie mieli nic wspólnego z Angelique. To przypadek.

— Tak. Jest ranny. Nic poważnego, możliwe, że straci palec, ale powinien uratować dłoń. Mina w Afganistanie.

— Tak mi przykro. — Dominik wstał i podszedł do niej.

— Dzwoniła jedna z moich ciotek. Jest z nim w szpitalu dla weteranów, do którego go przewieźli. W Wirginii. Mogłam z nim nawet porozmawiać, była przy jego łóżku. Jest w dobrej formie.

— Co za ulga.

— Tak. — Lauralynn weszła głębiej do pokoju i oparła się na biurku. — Jednak chciałabym na trochę polecieć do Stanów. Jest jedyną osobą z mojej najbliższej rodziny, jaka mi pozostała.

— Oczywiście, to zrozumiałe. Mogę jakoś pomóc?

— Nie. Zabukowałam lot na jutro. Jeszcze nie wiem, kiedy wrócę. Może zostaną kilka tygodni.

— Zawsze będziesz mile widziana z powrotem. Nie odstąpię nikomu gościnnej sypialni, obiecuję. — Uśmiechnął się.

— Wylatuję z Heathrow wcześniej rano. Podrzucisz mnie?

— Oczywiście. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

— Dzięki. Dobry z ciebie przyjaciel. Odwdzięczę ci się... Oczywiście nie finansowo. — Oczy jej rozbłyły, jak zawsze pełne chochlików.

— Nie wątpię!

Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

— Muszę wpaść do miasta, odwołać kilka sesji nagraniowych i sprawdzić, czy chłopcy z kwartetu poradzą sobie jakiś czas beze mnie. Ale w najbliższym czasie nie mamy zaplanowanych żadnych koncertów, więc powinno być OK.

— Wszyscy będziemy czekać na twój powrót — stwierdził. Ale myślał już o tym, jak to będzie mieć znów cały dom dla siebie.

Nie tęsknił do tego stanu.

Ostrze noża

Czułam się, jakby wszyscy w pokoju znali mój sekret, Viggo, Fran, Chris... I może poznaliby go, gdyby Luba postanowiła im powiedzieć. Ale przestała na mnie patrzeć i tańczyła dalej, ruszając się coraz wolniej, aż znów stanęła bez ruchu, a reflektor zgasł i pogrążył w ciemności i ją, i fontannę.

— Łał — jęknęła Fran. — Może nie jestem aż tak hetero, jak mi się wydawało. To było bardzo seksowne.

Chciałam, żeby Viggo coś powiedział, spodziewałam się, że poprosi mnie o recital, ale on stał tyłem do nas i sporządzał skomplikowane drinki przy robiącym wrażenie barze, ciągnącym się prawie przez całą długość pokoju.

— Chris — zapytałam — widziałeś moje skrzypce? Obsługa je zabrała?

— Tak, chyba ktoś wsadził je do vana. Ale oni obchodzą się z instrumentami ostrożniej niż z noworodkami. Skrzypce pojedą do studia razem z naszym sprzętem. Nie martw się.

— Dziwnie się czuję, gdy nie mam ich ze sobą. Jakbym była naga. Albo miała buty bez skarpetek pod spodem.

— Już miałem stwierdzić, że jesteś melodramatyczna. Wszystko psujesz takim porównaniem — dokuczył mi Chris.

— Przecież nie musiałam ich brać ze sobą.

Bez towarzystwa bailly'ego zaczęłam się czuć samotna. Elektryczne skrzypce, które mi podano, były sztywne, obce. Brzmiały jak automat, brakowało im ciepła. Może powinnam zadzwonić do Susan i poprosić, żeby spróbowała zorganizować mi jakieś koncerty w Londynie. Nie mogę się tak byczyć bez końca.

— Zamierzaliśmy zaprosić cię na scenę, dlatego chciałem, żebyś wzięła je ze sobą. Ale to był głupi pomysł. Dźwięk totalnie by się rozplątał, więc zorganizowaliśmy skrzypce elektryczne. I byłaś świetna. Powinnaś częściej z nami grać.

— Tak, przynajmniej miałabym co robić.

Zerknęłam na Fran, która leżała na plecach na czarnym szezlongu z nogami w kształcie pazurów i podłokietnikiem z rzeźbą głowy pantery. Moja siostra pogrążona była w rozmowie z perkusistą The Holy Criminals, Dagurem. Siedział naprzeciwko niej. Nie miał tylu fanek co Viggo, ale był poważny i miał niesamowite spojrzenie, które zdawało się działać na moją siostrę.

Chris westchnął. Kiedy tylko ich sobie przedstawiłam, zauważyłam, że Fran mu się podoba, ale nie byłam pewna, jaki mam do tego stosunek. Mój najlepszy przyjaciel i moja siostra...

— Rozchmurz się — powiedziałam. — Jest jeszcze Luba.

— Luba? — spytał ze zdziwieniem.

— Tancerka — odparłam jak gdyby nigdy nic, choć od razu zrozumiałam swoją pomyłkę.

— Skąd wiesz, jak ma na imię?

Usiłowałam zachować nonszalancki wyraz twarzy, a w myślach dałam sobie solidnego kopa za głupią wpadkę.

Jakby na zawołanie Luba pojawiła się w drzwiach.

— Poznałyśmy się przelotnie w Nowym Jorku — powiedziała Chrisowi głosem łagodnym i kojącym jak kołysanka, jakby mrucząc. — Byłam na jej koncercie. Pochlebia mi, że mnie zapamiętałaś — uśmiechnęła się do mnie ciepło. — Tym bardziej że teraz byłam ubrana zupełnie inaczej.

Przebrała się w czarną szatę uszytą z tak cieniutkiego materiału, że równie dobrze mogła pozostać naga. Jakimś cudem w połowie zakryta wyglądała jeszcze seksowniej, bo materiał zwracał uwagę na subtelną rzeźbę jej piersi i bioder. Była pełna niespotykanego wdzięku, bardziej jak łabędź niż istota ludzka. Usiadła na kanapie obok mnie i skrzyżowała nogi w kostkach. Włosy miała tak jasne, że niemal białe, a oczy tak błękitne, że niemal szare. Brwi prawie nie było widać, tak były delikatne i z tego powodu jej twarz przybierała nieco obcy wyraz, co w żadnym razie nie

znaczyło, że nieatrakcyjny.

— Jestem Luba — powiedziała do Chrisa i pochyliła się nade mną, żeby podać mu rękę.

— Chris — odparł.

— Wybaczcie — zreflektowałam się — zapomniałam was sobie przedstawić.

Otarła się o mnie ramieniem, kiedy zabierała rękę.

Kobiety takie jak Luba nie podniecały mnie nigdy w ten sam sposób co mężczyźni. Moje preferencje były ściśle nakierowane na testosteron. Lubiłam wzrost, włosy na ciele i mięśnie, a gdybym miała eksperymentować, stawiałabym pewnie na dziewczynę w męskim stylu, byłaby bardziej w moim typie. Lauralynn, wysoka blondynka, która grała na wiolonczeli w kwartecie smyczkowym tego wieczoru, kiedy po raz pierwszy uprawiałam z Dominikiem seks, po nagim koncercie w krypcie, była wyjątkiem. Między nami niemal doszło do czegoś więcej, a przynajmniej lubiłam tak o tym myśleć. Była dominą, a dominacja u którejkolwiek płci była tym, co mnie kręciło najbardziej.

Luba nie wyglądała na dominę, ale było w niej coś, co przyprawiało mnie o dreszcze i szybsze bicie serca. Było mi gorąco i kręciło mi się w głowie.

Chris wydawał się nie doznawać takich emocji. Zaczynał wyglądać na znudzonego i odwrócił się do baru, przy którym Viggo wciąż przyrządzał ekstrawaganckie drinki.

Luba nachyliła się do mnie i uniosła mi włosy tak, żeby móc szeptać do ucha.

W reakcji na jej bliskość dostałam gęsiej skórki.

— Nie zdradzę twojego sekretu — obiecała.

— Dziękuję. Doceniam to.

— Ale w rewanzu chciałabym cię o coś poprosić — dodała.

— Tak?

— Chcę usłyszeć historię. Jak to się stało, że trafiłaś do takiego miejsca. I o tym mężczyźnie, z którym byłaś.

Mówiła o willi w Nowym Orleanie, w której zaraz po rozpoczęciu Nowego Roku tańczyłam nago dla Dominika, po tym, jak Luba robiła to samo, zawodowo.

— O Dominiku?

— Tak, chyba tak miał na imię.

Uśmiechnęła się, pokazując białe zęby. Dwa siekacze miała lekko zaostrzone, jakby to były bardzo subtelne kły. Chciałam poczuć je na swojej skórze.

— Poprosił cię, żebyś dla niego zatańczyła?

— Tak — odparłam, chociaż słowo „nakazał” było bliższe prawdy. Poruszyłam się niespokojnie, szukając sposobu na zmianę tematu. Nie czułam się komfortowo, mówiąc o tym, ale nie chciałam też zostawić jej samej.

Między nami pojawił się Viggo, trzymając w każdej ręce szklankę z mojito.

— Widzę, że poznałaś moje zwierzątko — powiedział i podał mi drinka. Poszedł na całość, brzeg szklanki udekorował brązowym cukrem i plasterkiem limonki. Była wypełniona kruszonym lodem do tego stopnia, że nawet nie mógł brzęczeć. I tak lodowata, że trzymanie jej było nieprzyjemne. Od razu pomyślałam o Dominiku, który nie znosił coli z lodem.

Luba wydała dziwny pomruk z głębi gardła i otarła się o nogi Viggo.

Była w niej zwierzęca energia, tak się ruszała i tak mówiła, jakby mrucząc. Gesty miała czasem ptasie, a czasem kocie.

— Widziałeś moje skrzypce? — zapytałam go znienacka. Myśl o Dominiku jednoznacznie podsunęła mi widok skrzypiec.

— Twoje skrzypce? Skinęłam głową.

— Chyba obsługa je wzięła. — Gładził Lubę pod brodą, jakby głaskał kota. Zamknęła oczy i uśmiechała się z rozkoszą. — Nie bój się, będą w moim studiu. Z resztą sprzętu. Pożyczę ci instrument, jeśli chcesz zagrać, mam w piwnicy mnóstwo zapasowych.

— Nie, w porządku, po prostu brakuje mi ich w rękach. Zwykle mam je przy sobie. Nawet gdy nie gram. Z jakiegoś powodu nie lubię ich tracić z oczu.

— To urocze — odpowiedział. — Luba? — zagaił pytająco. Zamruczała w odpowiedzi.

— Mogłabyś znaleźć Erica i spytać, czy skrzypce Summer są bezpieczne?

Skinęła głową, wstała z jego kolan i poszła szukać organizatora trasy koncertowej, który panował nad sprzętem.

— Dziękuję. — Poczułam się głupio, jak paranoiczka.

— Nie dziękuj — odparł i nachylił się do mnie. — Po prostu chciałem się jej pozbyć.

Delikatnie musnął palcami moją szyję, a potem wplątał je w moje włosy i przyciągnął do siebie. Smakował cukrem i limonką, bo próbował mojito. Poszukał gumki w rajstopach. Moje ciało zareagowało natychmiast, przeszyte płomieniem przyjemności, który nawilżył mnie pożądaniem, gdy Viggo przesunął rękę wyżej.

Odsunęłam się.

— Nie przy mojej siostrze — syknęłam, chociaż wyglądała na zadowoloną jak prosię w błocie, emablowana przez Chrisa i Dagura, którzy konkurowali o jej zainteresowanie. Fran potrafiła o siebie zadbać, a wiedziałam, że jeśli zniknę, Chris będzie jej pilnował z czujnością jastrzębia. Wyglądało na to, że Ella i Ted już zakończyli wieczór — leżeli rozwaleni na sztucznych zwierzęcych futrach i gapili się w sufit, który przypominał układ słoneczny, udekorowany błyszczącymi gwiazdami i planetami.

— No wiesz, a już zaczynałem myśleć, że jesteś perwersyjna — szepnął mi do ucha.

Wstał szybko, wziął mnie za rękę i pociągnął w górę schodami na kolejne piętro, które chyba w całości zajmowała jego sypialnia. Łóżko było wielkości czterech normalnych łóżek zsuniętych razem, a cały pokój, od podłogi do sufitu, był biały, łącznie z obrazami na ścianach, które wyglądały jak białe puste płótna. Czułam się, jakby wkroczyła w sen.

Czarne dzinsy Vigga i jego włosy odcinały się od bieli. Ostro kontrastował z otoczeniem.

Odwrócił się do mnie, wziął moją twarz w obie ręce, a potem przesunął je głębiej we włosy i pociągnął, aż jęknęłam.

— Lubisz to, prawda? — pytał i ciągnął dalej, aż skóra głowy zaczęła mnie rozkosznie mrowić.

— Tak — szepnęłam.

— To dobrze — powiedział i pchnął mnie mocno na ścianę, a ręce znów wsunął mi pod spódniczkę.

— Pończochy są znacznie wygodniejsze — stwierdził.

— Jest za zimno — zaprotestowałam.

— Nie, kiedy jestem przy tobie. Zostań tu.

Cofnął się, odsunął szufladę szafki nocnej i wyjął coś małego, co zmieściło się w jego dłoni. Pomyślałam, że to prezerwatywa.

Wrócił do mnie i przysunął twarz tak blisko do mojej, że ocierał się ustami o moje ucho. Odetchnął głęboko, a wydechane powietrze pieściło moją skórę jak miękkie piórko.

— Nie bój się, dobrze? — poprosił. — Nie zrobię ci krzywdy.

Niepokój ścisnął mnie w piersi, ale potem znów się odprężyłam.

Otworzył dłoń, na której leżał mały nożyk z rękojeścią z kości słoniowej. Ostrze wyskoczyło po jednym ruchu nadgarstka. Zalśniło ślicznie w świetle pobliskiej lampy.

Zaląła mnie fala strachu, byłam gotowa krzyczeć albo biec do drzwi.

— Cśśś... — Przesunął palcem po moich ustach.

Serce waliło w mojej piersi, ale byłam przyciśnięta do ściany, unieruchomiona własnym pożądaniem i ciekawością, co się stanie dalej. Może to głupie, że mu ufałam, ale tak było. Wydawał się ekscentryczny, niegrzeczny, ale nie niebezpieczny.

Ukucnął i przesunął czubkiem noża po moich nogach, od kostki po udo. Potem nacisnął trochę mocniej, tylko na tyle, żeby zrobić dziurkę w rajstopach, ale nie zranić skóry pod nimi. Cichy głosik w mojej głowie pytał szeptem, jakby to było, gdyby nacisnął jeszcze trochę mocniej, zadrapał mnie, zostawił ślad, może nawet skaleczył. Widziałam oczami wyobraźni wnętrza moich ud, ich bładą, miękką, czystą skórę, naznaczoną dwoma płytkimi nacięciami, biegnącymi aż do kolan; czerwone paski pulsowałyby przez wiele dni, ale obok bólu, doznawałabym także wystrzałów endorfin.

Inna część mózgu przeraziła się tymi wizjami, ale mimo to majtki miałam wilgotne.

Viggo wepchnął do dziurki palec, żeby powiększyć rozdarcie, a potem złapał jej brzegi w obie ręce i mocno szarpnął, wydzierając dziurę, która odsłoniła bieliznę i górną część ud.

Wzdrygnęłam się. Odsunął majtki i delikatnie potarł płaską stroną ostrza wilgotne wargi.

Dotyk noża był jak metaliczny pocałunek, zimny i twardy. Tętno miałam tak szybkie, że omal nie zemdlałam, obezwładniona mieszanką przerażenia i żądy. To było jak jazda kolejką górską, połączenie strachu, rozkoszy i adrenaliny, od których serce waliło mi tak mocno, że czułam je w końcach palców.

Usłyszałam cichy szelest, kiedy chował ostrze, ale zaraz znów poczułam zimno, bo wsunął zamknięty nóż we mnie. Zadrzałam i jęknęłam cicho, ale trzonek był zbyt mały, żeby zapewnić mi cokolwiek innego niż zachęcające pofechtanie. Chciałam więcej.

Zatopiłam palce w jego włosach i przesunęłam jego głowę bliżej, wciskając ją między moje nogi.

— Liź mnie — powiedziałam.

Usłuchał, upuściwszy nóż na podłogę, a potem zaczął długimi liźnięciami przesuwać językiem po mojej lechtacze. Nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek wcześniej sama powiedziała mężczyźnie, czego pragnę, bez błagania o to i świadomość ta dostarczyła mi większej przyjemności niż pieszczoty Vigga.

Chociaż dotykał mnie raczej statecznie, to rytmiczne, nieustające muśnięcia języka powoli i spokojnie doprowadzały mnie na skraj orgazmu i prawie nie mogłam już tego znieść. Widział, że jestem coraz bardziej pobudzona, więc dla zabawy odsunął się, zmusił mnie do czekania, odwlekał to.

Pociągnęłam go do góry, żeby wstał i pocałowałam go, głęboko i powoli. Miał niesamowicie miękkie usta, które przyjemnie kontrastowały z ostrym zarostem. Bardzo delikatnie splatał swój język z moim. Viggo umiał całować. Złapałam zębami jego dolną wargę i lekko ugryzłam.

— Strasznie mi się podobasz — wyznał i odsunął się. — Chodź do łóżka.

Wziął mnie za rękę i poprowadził do materaca, a sam usiadł na brzegu i spojrzał na mnie. Gładził moje ręce, ramiona, dotykał talii, a nogi obejmował udami jak imadłem.

— Rozbierz się dla mnie.

— Nie rozetniesz reszty ubrania? — spytałam prowokacyjnie.

— Z dzinsem byłoby znacznie trudniej niż z nylonem — powiedział, ale jednocześnie zmrużył oczy, jakby miał ochotę spróbować i tego. Nie zależało mi oczywiście na pocięciu w strzępy wszystkiego, co miałam na sobie, choćby dlatego, że chciałam mieć w czym wrócić do domu.

Zaczęłam w pośpiechu zdejmować ciuchy.

— Nie, rób to powoli — poprosił. — Chcę patrzeć.

Oczy mu rozbłysły i zauważyłam, że obserwuje mnie z taką samą uwagą, jak wtedy, gdy grałam na skrzypcach.

Serce biło mi mocno. W reakcji na jego prośbę ręce zatrzęsły mi się tak, że z trudem wymacałam guzik przy spódniczce i precyzyjnie go przez małą dziurkę.

Cieszyłam się, że wybrałam komplet bielizny — jasnobłękitne szorty i pasujący stanik, które razem wyglądały ładnie, ale nie sugerowały, że wyszłam z domu z nadzieją na seks.

Powoli odpięłam guziki bluzki, trochę niepewnie, bo głupio się czułam, robiąc striptiz, ale widziałam, że jego spojrzenie z każdym guzikiem robi się coraz intensywniejsze i to dodało mi pewności.

Gdy rozpinałam stanik, widziałam, że szybko oddycha, a kiedy piersi miałam już nagie, wsunęłam kciuki pod gumę majtek i zaczęłam je powoli zsuwać w dół ud.

— Zostaw rajstopy — powiedział. — I buty. Jesteś w nich taka gorąca. — Miałam na sobie wiśniowe martensy. W sypialni nie było ani jednego lustra, podejrzewałam, że pewnie luksusowa łazienka jest nimi zawieszona, a może ma gdzieś w pobliżu dużą garderobę. Nie widziałam, jak wyglądam, ale podejrzewałam, że przypominam jedną z Suicide Girls — naga, nie licząc podartych

rajstop i martensów.

Uklękałam na podłodze, żeby rozpiąć mu spodnie i je zdjąć. Kiedy udało mi się zsunąć obcisłe nogawki do ud, okazało się, że nie ma na sobie bielizny.

Jego fiut, w pełnej erekcji, wyskoczył ze spodni. Był długi i szczupły, jak cały on, a do tego całkiem prosty, jak wyrzeźbiony w marmurze. Miał wygolone włosy łonowe, był tam całkiem gładki. Trochę mnie to rozczarowało, lubiłam owłosionych mężczyzn. Lubiłam dotykać włosów palcami, kiedy ssałam fiuta albo czuć je, gdy wtykałam dłoń za męski pasek, jako obietnicę ukrytych tajemnic.

Poddałam się, nie mogłam zdjąć mu spodni.

— Jak ty je wkładasz? — spytałam ze śmiechem, kiedy on tarzał się po łóżku, wciąż ubrany.

— Podskakuję i ciągnę — odparł. — To wielka sztuka.

Złapał mnie za ręce i pociągnął na łóżko ze sobą, a potem oparł dłonie na mojej talii, sugerując, że chce mnie w innej pozycji.

— Na kolana — zarządził.

Byłam tak zdesperowana pragnieniem pocucia go w sobie, że przyjąłam tę pozycję, zanim zdążył to powiedzieć.

Schylił się, czuł wilgotny język ocierający się o moją kostkę, skąd przesuwał się w górę, liżąc powoli i ostentacyjnie.

— Cśśś... — wymruczał, kiedy zaczęłam się wiercić od łaskotek. — Rozluźnij się.

Próbowałam oczyścić umysł, wypchnąć z niego wszystkie inne myśli i skupić się na doznaniach ciała. Ruchy miał pewne i staranne. Wędrował ustami po łydce, zatrzymując się, żeby polizać szczelinę w zgięciu kolana, a potem jechał wyżej, po udzie. Byłam pewna, że tam już musi poczuć wilgoć, którą i ja czułam, spływającą mi po nogach. Kiedy zbliżył się do cipki, zaczęłam oddychać szybciej, pragnęłam, żeby tam pozostał, ale on, zamiast zatrzymać się w tym oczywistym miejscu, przesuwał się dalej i zaczął liżać mój odbył.

Dominik zrobił to raz, w Nowym Orleanie, wkrótce po tym, jak tańczyłam dla niego na scenie po obejrzeniu występu Luby. Pamiętam, że byłam zawstydzona eksploracją moich najintymniejszych miejsc i próbowałam się wyrwać, ale on położył dłoń przy nasadzie mojego kręgosłupa, żeby zatrzymać mnie na miejscu.

Wypędziłam z głowy myśli o Dominiku. Od dawna już go nie było, teraz pieprzyłam się z Viggim, gorącym facetem z jeszcze gorętszymi ustami, a do tego gwiazdą rocka. Może i byłam jedną z setek kobiet, z którymi się kochał, ale nie obchodziło mnie to. Miał przynajmniej doświadczenie.

Przysunęłam się bliżej do niego i rozsunęłam szerzej kolana.

— Grzeczna dziewczynka — pochwalił mnie. — Widzę, że lubisz katolickie sposoby?

Przypomniałam sobie kształt jego fiuta, stworzony do seksu analnego.

— Tak — przyznałam. — Jeśli zaczniesz powoli.

— Będę delikatny, obiecuję. Ale to później.

Jeszcze raz sięgnął do szuflady nocnej szafki i wyjął paczkę prezerwatyw, butelkę lubrykatu i największą zabawkę erotyczną, jaką w życiu widziałam. Miała jakieś trzydzieści centymetrów długości, była biała z niebieską obwódką wokół kulistego zgrubienia na czubku, a na drugim końcu miała wtyczkę i rozgałęziacz.

— Chryste! — wykrzyknęłam. — Co to ma być?

— Nigdy tego nie widziałaś? — Uśmiechnął się podstępnie. — No to zobaczysz, co straciłaś. To magiczna różdżka od Hitachi.

— Nie ma mowy, żebyś to we mnie wsadził — powiedziałam, a niepokój zaczął oddziaływać na moje podniecenie.

— Nie bój się, zwieraczku. To nie do tego służy.

Ześlizgnął się z łóżka i podłączył urządzenie najpierw do przedłużacza, a potem do gniazdka w ścianie. Włączył. Wydało dźwięk przypominający trochę kosiarkę, a trochę elektryczny młynek do kawy, a kulka na końcu wibrowała z taką mocą, że aż się trzęsła.

— Spokojnie. — Roześmiał się, bo zobaczył moją reakcję.

Wrócił na łóżko, tam gdzie był poprzednio i bardzo delikatnie dotknął wibrującą kulka moich warg. Fala rozkoszy przemknęła przez moje ciało jak piorun. Poczułam, że mogłabym mieć orgazm w ciągu kilku sekund, podczas gdy nawet najbardziej doświadczonym kochankom gra wstępna zajmowała co najmniej pół godziny, żeby mnie rozruszać. Prawie krzyknęłam i zszokowana odskoczyłam.

— W porządku? — zapytał, wciąż śmiejąc się cicho.

Odwrociłam się, żeby na niego spojrzeć. Wciąż miał dzinsy opuszczone do połowy ud, które krępowały jego ruchy i pełną erekcję, której jak na razie nie wykorzystał do zaspokojenia mnie. Włosy miał zmierzwione, a na oczy spadało mu kilka prostych pasemek. Minę miał drapieżną, jednocześnie dobrotliwą i szelmowską. Jeszcze kilka minut temu, gdy wycinał nożem dziurę w moich rajstopach, nie uwierzyłabym, że może wyglądać tak dziko.

— Tak, po prostu wydawało mi się, że będę miała orgazm. Nigdy nie zdarzyło mi się to tak szybko.

— Ale przecież nie ma limitu orgazmów, kochanie, możesz mieć więcej niż jeden.

— Nigdy nie miałam więcej niż jeden. To znaczy raz za razem.

— W takim razie twoi pozostali kochankowie powinni się wstydzić.

— Nie mam innych kochanków.

— Taka dziewczyna jak ty? Trudno mi w to uwierzyć.

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo znów włączył urządzenie i przycisnął do mojego ciała. Najpierw lekko, a kiedy się rozluźniłam, stopniowo wzrastał nacisk. Na początku czułam ciepło, jak gdyby wszystkie moje zakończenia nerwowe stały się radioaktywne, a potem moim ciałem wstrząsnął orgazm, jak wielkie wyładowanie elektryczne przeszywające od koniuszków palców u nóg po czubek głowy. To było najintensywniejsze szczytowanie, jakie miałam w życiu.

Viggo mówił prawdę. Po minucie, choć wydawało mi się, że minęło zaledwie kilka sekund, pokój wypełniło bzyczenie różdżki, tak głośne, że musiało chyba przeszkadzać w imprezie na dole. Przytknął do mnie główkę przyrządu i zaraz potem drugi orgazm wstrząsnął moim ciałem. Tym razem rozkosz była niemal zbyt intensywna. Podskoczyłam i próbując uciec, omal nie uderzyłam głową w ścianę.

— Nie ruszaj się. Bo będę musiał cię związać. — Wydawał się rozbawiony, ale w jego głosie brzmiała stanowcza nuta.

— Naprawdę — powiedziałam błagalnie. — Nie wytrzymam więcej.

— Wytrzymasz. Chwyć za wezglowie.

Zacisnęłam zęby i złapałam rękami metalową poręcz nad wezglowiem łóżka. Nie związał mnie, ale siła jego rozkazów i ta straszna duma, która sprawiała, że nie chciałam pozwolić mu wygrać, kazały mi znieruchomieć, kiedy raz za razem doprowadzał mnie do orgazmu.

Kiedy wreszcie dał mi spokój, drżałam na całym ciele, a usta miałam spuchnięte i zsiniałe. Byłam spocona, pasma włosów kleiły mi się do twarzy. Ogarnęła mnie fala zmęczenia. Na zewnątrz niebo zaczynało się rozjaśniać. Viggo nie miał żadnych zasłon w swoim białym pokoju; musiał bardzo lubić światło. Wschodziło karmazynowe słońce. Było pewnie koło siódmej rano, co oznaczało, że zabawialiśmy się tu we dwoje przez jakieś pięć godzin. Żadne z nas nie zasnęło ani na minutę. Fran, w normalnych okolicznościach, byłaby już na nogach — zawsze należała do rannych ptaszków — ale ponieważ teraz pracowała w barze, stała się bardziej nocnym stworzeniem. Reszta ekipy była jak nietoperze, żyli w nocy, spali w dzień. Mieliśmy więc kilka godzin na odpoczynek, zanim ktokolwiek będzie się spodziewał nas zobaczyć.

Viggo położył się obok mnie, przesunął palcem po moim uchu, a potem wzdłuż wygięcia szyi. Zatrzymał się przy gardle i zwiększył nacisk, jakby mierzył mi puls. Mimo woli zadrżałam w odpowiedzi. Jego dłonie przesuwają się dalej, na piersi i wokół sutków. Robił to tak delikatnie, że ledwo muskał moją skórę, ale ja byłam tak nakręcona po naszych poprzednich ekscesach, że drżałam przy najlżejszym dotyku.

W końcu dotarł do pępka, na tyle, na ile był w stanie dosięgnąć go na leżąco. Przyciągnął mnie do siebie mocniej i wtulił się we mnie od tyłu. Jego członek, ciągle twardy jak skała, wbił mi

się w plecy. Spróbowałam odwrócić się do niego twarzą.

— Przepraszam — powiedziałam. — Naprawdę powinnam coś z tym zrobić.

— Później będzie na to mnóstwo czasu — odparł. — Dopiero się rozgrzewam. — Jego głos przeszedł w westchnienie i poczułam, jak jego członek wreszcie zaczął mięknąć. Zaraz potem zasnął.

Krótko później ja też odpłynęłam do krainy snów. Przedtem jednak kątem oka dostrzegłam scyzoryk, leżący na podłodze przy drzwiach. Ostrze było schowane — tępa krawędź błyskała srebrno w świetle. Wyglądał niegroźnie, ładny nożyk, porzucony na ziemi. Ale przed zaśnięciem nawiedziły mnie złowieszcze myśli i kilka godzin później zbudziłam się z neodpartym uczuciem, że coś jest nie tak.

Komórka wibrowała w kieszeni dżinsowej spódnicy, leżącej z bluzką i podartymi rajstopami, które zdjęłam razem z butami, kładąc się spać.

Dostałam esemesy od Fran i Chrisa.

Od Chrisa: „Wstałaś już? Robimy naleśniki”.

Od Fran: „Wstawaj, wstrętny śpiochu!”

Oba wywołały uśmiech na mojej twarzy.

Wstałam z łóżka i otworzyłam kilkoro drzwi, aż wreszcie znalazłam łazienkę. Viggo ciągle mocno spał, w butach, z wąskimi dżinsami zsuniętymi do kolan. Jego ciemne, zmierzwione włosy były rozrzucone na poduszce wokół głowy jak czarna aureola.

Wzięłam prysznic, włożyłam wczorajsze ubranie, pomijając rajstopy, i zeszłam na dół w poszukiwaniu kuchni, prowadzona głównie zapachem smażonego masła.

Dagur stał przy patelni z wprawą przerzucając naleśniki z jednej strony na drugą, aż zbrązowiały, żeby na końcu zsunąć je na talerz, już wyładowany złocistymi krążkami. Nie miał koszuli, tylko dżinsy z wystrzępionymi dziurami pod pośladkami, w których, kiedy się pochylał, błyskała jego naga skóra, można się było więc domyślać, że nie miał pod spodem bielizny. Na plecach miał tatuaż przedstawiający piękną głowę konia, dość kobiecy i delikatny rysunek kontrastujący z jego rozwiniętą muskulaturą. Był bardzo przystojny. Ubiegłego wieczoru nie zwróciłam na to uwagi. Nic dziwnego, że moja siostra się nim zainteresowała.

Fran tańczyła wokół niego po kuchni, otwierając szafki i szuflady, aż wreszcie znalazła talerze, sztucce, syrop klonowy i inne rzeczy potrzebne do śniadania.

Chris, Ella i Ted siedzieli na stołkach z widelcami w rękach, czekając na swoje porcje.

Po nocy wyglądali dużo bardziej świeżo, niż ja się czułam.

— Dzień dobry. Więc udało wam się znaleźć łóżka, co? — spytałam z wymuszoną wesołością, której nie odczuwałam.

— Przynajmniej niektórym z nas — odparł Ted, śmiejąc się pod nosem i spoglądając znacząco na Fran. Wyglądała na bardzo z siebie zadowoloną i nawet się nie zarumieniła.

Chris siedział, przygarbiony, jak człowiek pokonany.

Wolałam nie wiedzieć, co kombinuje moja siostra, o ile tylko była szczęśliwa. Wolałabym też nie widzieć smutku na twarzy mojego najlepszego przyjaciela.

Podeszłam do niego, objęłam go ramieniem i uścisnęłam.

— Co dzisiaj robimy? — spytałam w nadziei, że odwrócę jego uwagę od Fran flirtującej z przystojnym perkusistą.

— Wracamy do studia — odparł. — Trzeba zabrać sprzęt, znowu przyzwyczaić się do normalnego życia i mieć nadzieję, że recenzje będą dobre. No i że w ogóle o nas wspomną.

— Oczywiście, że wspomną. Byliście fantastyczni, ludzie wydawali się zachwyceni.

— Dzięki, Sum — powiedział, obejmując mnie ramieniem. — W przyszłym tygodniu gramy w Brighton, może masz ochotę przyjechać.

— Jasne. Uwielbiam Brighton. Byłam tam tylko raz, na weekend. Może kilka dni nad morzem wyrwie mnie z twórczego marazmu.

— Czy ktoś widział Lubę? Tę tancerkę? — spytałam po śniadaniu. Chciałam wiedzieć, czy skontaktowała się z Erikiem, facetem odpowiedzialnym za cały sprzęt.

— Nie dzisiaj — powiedział Dagur. — Myślałem, że wylądowała z tobą w łóżku.

Zaczerwieniłam się, bo rozumiałam, co miał na myśli i że powiedział to zupełnie poważnie. A więc zauważył, jak na mnie działała.

— Nie — odparłam. — Nie widziałam jej od wczorajszego wieczora.

— Sprawdź, co z twoimi skrzypcami, Sum — obiecał Chris, wyczuwając mój niepokój, jeszcze zanim zdążyłam go ubrać w słowa.

Viggo się nie poruszył. Spał, kiedy zespół poszedł po swój sprzęt, a Fran pobiegła do baru na swoją zmianę. Niewiele brakowało, a poszłabym z Chrisem, ale jakieś dręczące przeczucie kazało mi zostać. Powiedziałam reszcie, że chcę się pożegnać z Viggim. Chris i Fran oboje spojrzeli na mnie podejrzliwie.

— Od kiedy jesteś taka sentymentalna? — spytała Fran. — Zakochałaś się?

Oczywiście energicznie zaprzeczyłam, choć prawda była taka, że Viggo bardzo mi się podobał. Pociągało mnie jego złośliwe poczucie humoru, nie wspominając o tym, że mnie pragnął i potrafił doprowadzić do orgazmu. Poza tym była w nim pewna arogancja, która sprawiała, że uważałam go za nieprzewidywalnego. A ja lubiłam być utrzymywana na krawędzi.

Poszłam do wielkiego pustego salonu Viggiego, żeby sprawdzić pocztę i pogrzebać w Internecie na mojej komórce. Czekałam, aż się zbudzi. Albo aż pojawi się Luba.

Dostałam dwa e-maile od Susan. W obu zastanawiała się, co porabiam i radziła, żebym się z nią skontaktowała, a wtedy zaplanujemy razem moją przyszłość. Jeden był od Simóna, który po przyjacielsku donosił, co u niego. Przedłużył swój pobyt w Wenezueli i orkiestra przyjęła kogoś na zastępstwo. Ogarnęła mnie nagła tęsknota za nim, za Nowym Jorkiem i za życiem, jakie tam razem wiedliśmy. Nie byliśmy dla siebie stworzeni, ale i tak go kochałam i brakowało mi jego uczucia, jego towarzystwa i instynktownego rozumienia mojej pracy, wraz ze wszystkimi bolączkami muzyka klasycznego.

Pasowaliśmy do siebie pod wieloma względami. Czasami zastanawiałam się, czy mogłoby nam się udać, gdybyśmy się bardziej starali. W końcu jednak to on podjął decyzję. W pewnym sensie ulżyło mi, bo to nie ja musiałam dokonać wyboru, przyznać przed sobą albo przed nim, że znalezienie właściwej pod względem seksualnym osoby jest dla mnie ważniejsze niż wszystkie zalety naszego związku razem wzięte.

Na krótką metę waniliowy seks był uroczy i wystarczający, ale na dłuższą nie chciałam wiązać się z kimś, kto nie lubił robić takich rzeczy, jakich pragnęłam. Mrocznych, niebezpiecznych i bolesnych. Takich, jakie tak bardzo lubił Dominik.

Nawracające myśli o Dominiku budziły mój niepokój i sprawiały, że zaczynałam krążyć po pokoju i przesuwać dłońmi po ścianach i meblach, żeby poczuć ich szorstką fakturę na skórze. Ciągle przypominałam sobie taniec Luby i mimo niezliczonych orgazmów z ubiegłej nocy i opuchniętych warg sromowych, znowu byłam podniecona. Ale bardziej niż czegokolwiek innego brakowało mi moich skrzypiec. Chciałam wziąć bailly'ego do rąk i zamienić kotłowaninę emocji w strumień muzyki.

Viggo powiedział, że w suterenie ma instrumenty. Czulałam, że to nie do końca w porządku pójść tam bez jego wyraźnego pozwolenia. Nigdy nie lubiłam grzebać w cudzych rzeczach. Ale to co innego — tłumaczyłam sobie — po prostu pożyczę coś, do skorzystania z czego dzień wcześniej zachęcał mnie właściciel.

Po kilku minutach poszukiwania znalazłam drzwi, które prowadziły do suterenu i z pewną obawą zesłam na dół po spiralnych schodach. Byłam pewna, że można by tu zainstalować windę, ale nigdzie jej nie widziałam. Za drzwiami były kolejne dwa poziomy, galeria i kuchnia, gdzie jedliśmy śniadanie. Galeria była zaskakująco jasna i przewiewna, biorąc pod uwagę, że znajdowała się pod ziemią. Pewnie pompuje tu chłodne powietrze, pomyślałam, żeby chronić dzieła sztuki. Pokój wyglądał jak sala muzealna z licznymi obrazami gustownie rozmieszczonymi na ścianach i kilkoma nowoczesnymi rzeźbami, które wyglądały bardziej na instalacje, na środku. Nie znam się specjalnie na sztuce, nie miałam więc pojęcia, czy to były prawdziwe dzieła czy reprodukcje, i ile mogły być warte. Niektóre sprawiały wrażenie żartu. Jakby zdradzały niezwykle poczucie humoru Viggiego. Jednym z nich była mała kolorowa piłka utrzymywana przez wiejący pod nią wentylator, tak

że wyglądała, jakby sama z siebie unosiła się w powietrzu. Umieszczona była tak, by zachęcić oglądającego do sięgnięcia po nią, ja jednak miałam w głowie niewypowiedzianą zasadę, w myśl której sztukę należy szanować i nie wolno jej dotykać, więc tylko patrzyłam na piłkę z bezpiecznej odległości, nie zakłócając lewitacji.

Za kolejnymi drzwiami był znacznie ciemniejszy pokój, na środku którego znajdował się basen. Woda sprawiała wrażenie raczej świeżej niż chlorowanej, a sam basen nie był zwykłym betonowym prostokątem — miał obłe kształty, obłożono go dookoła kamieniami i obsadzono paprociami. Przy jednym końcu miał nawet mały wodospad.

A więc plotki, że Viggo ma w domu jeziora dla kobiet, które udają syreny, okazały się prawdą. Na głazie w pobliżu wodospadu siedziała Luba. Naprawdę wyglądała jak syrena, w metalicznym kostiumie kąpielowym, lśniąącym od wody. Tak przylegał do jej ciała, że przez cienki materiał wyraźnie widać było jej twarde sutki. Długie mokre włosy kleiły się do jej ramion.

Uśmiechnęła się do mnie, ale nic nie powiedziała, jakby spodziewała się, że ją tu znajdę i nie była tym ani trochę zaskoczona.

Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do przyćmionego światła, zauważyłam, że także tutaj Viggo trzymał dzieła sztuki, tyle że głównie wisiały na ścianach albo zwisały z sufitu, rozmieszczone pozornie przypadkowo. Wydawały mi się też mroczniejsze, bardziej dzikie. Nad drzwiami wisiała zwierzęca czaszka z długim porożem. Były tam też rzeźbione figury nimf i satyrów, niektóre zmysłowe, inne przerażające. Podniosłam głowę i zobaczyłam kilka metalowych, prawdopodobnie celowo zardzewiałych rzeźb, przytwierdzonych do sufitu nad basenem tak, że ktoś unoszący się na wodzie na plecach mógł na nie patrzeć. Na drugim końcu pokoju były kolejne ciężkie drzwi, jak dotąd pierwsze, które wydawały się zamknięte na klucz. Tam Viggo trzymał zapewne najcenniejsze rzeczy, i trudno było mieć o to do niego żal. Cały dom wydawał się zaskakująco słabo zabezpieczony, biorąc pod uwagę, ilu ludzi płątało się tu podczas większości imprez. Musiał płacić gigantyczne składki ubezpieczeniowe.

Pod jedną ze ścian była szklana gablota, a w niej kolekcja instrumentów, której szukałam. Viggo miał gitary, instrumenty dęte, altówki i skrzypce. Niektóre były nowoczesne i nie wyróżniały się niczym szczególnym, inne nawet mojemu stosunkowo niewyprawnemu oku wydawały się niezwykle piękne. Światło było jednak zbyt słabe, a ja nie mogłam podejść dość blisko, żeby dostrzec jakiegokolwiek znaki szczególne czy sprawdzić oznaczenia na skrzypcach.

Gablota nie była zamknięta na klucz, musiałam więc zapanować nad ogarniającym mnie pragnieniem, by pchnąć szklane drzwiczki, wyjąć któryś z instrumentów i zagrać. Nie powinnam tego robić, choćby ze względu na obecność Luby. Nie mogłam na jej oczach tak po prostu wziąć czegoś, co do mnie nie należało. Nawet jeśli Viggo wcześniej mi na to pozwolił. Teraz nie wiedział, że tu jestem.

Luba wstała z kamienia przy wodospadzie z takim samym wdziękiem, z jakim rozwija się liść paproci. Podeszła do mnie.

— Wiesz, on nie miałby nic przeciw temu — stwierdziła. — Gdybyś chciała coś pożyczyć. Otworzyła drzwiczki, za którymi wisiały skrzypce i wskazała na nie.

— Kolekcjonuje piękne rzeczy, ale chętnie się nimi dzieli. Zagrasz coś dla mnie?

Byłam ciekawa, czy ona też należy do kolekcji Vigga.

Wzięłam jeden z instrumentów i smyczek, przytrzymałam go brodą i zaczęłam grać. Na początku dźwięk był okropny, nastroszenie skrzypiec zajęło mi kilka minut. Ale miały ładny ton i dobrze leżały mi w ręce. Nie był to jednak baily, a to przypomniało mi, dlaczego w ogóle zaczęłam szukać Luby.

— Rozmawiałaś z Erikiem? — spytałam. — Sprawdziłaś, czy wziął wczoraj moje skrzypce?

Ale Luba położyła mi palec na ustach i przesunęła nim po mojej dolnej wardze. Serce zaczęło mi bić jak oszalałe. Była taka miękka, smukła i pachniała słodko jak cukier. Odsunęła palec a jego jej miejsce zajęły wargi. Przycisnęła je do moich w długim pocałunku. Nasze języki spotkały się — przyłgnęła do mojego ciała, mocząc mi ubranie mokrym kostiumem. Zarzuciła mi ręce na szyję i dłońmi przytrzymała głowę.

Była hipnotyzująca, jak naga antyczna rzeźba, w którą ktoś nagle tchnął życie, ale było w niej ciepło prawdziwej ludzkiej istoty. Jej dotyk przeszywał mnie jak prąd. Po raz pierwszy w życiu naprawdę chciałam poznać każdy zakamarek jej ciała, ciała kobiety, nie z ciekawości, żeby spróbować czegoś innego, ale dlatego, że przy niej cała budziłam się do życia.

— Chodźmy — szepnęła mi do ucha. — Są tu wygodniejsze miejsca. — Wzięła mnie za rękę i pociągnęła za sobą przez drzwi i po schodach na górę, wszystkie pięć kondygnacji, do pokoju Vigga. Nie po raz pierwszy pożałowałam, że nie ma windy, tym razem jednak myśl tę wyparł widok tyłeczka Luby kołyszącego się miękko w wilgotnym kostiumie, który albo był na nią za mały, albo specjalnie uszyty tak, żeby ukazywać połowę każdego z pośladków.

Kiedy dotarliśmy na piąte piętro, Viggo akurat brał prysznic.

— Chodź — powiedziała Luba figlarnie, podchodząc do drzwi od łazienki. — Powiemy mu dzień dobry.

Viggo z pewnością wydawał się zadowolony, choć i zaskoczony, kiedy rozebrałyśmy się i weszłyśmy do wielkiej kabiny prysznicowej. Była naprawdę duża, ale w trójkę było nam tam dość ciasno. Luba przesunęła się za mnie, wpychając mnie na Vigga, który odwrócił mnie twarzą do siebie, pochylił głowę i zaczął mnie całować. Palcami zmierzwił mi włosy, a Luba wsunęła namydlone dłonie między nasze ciała, przyciskając piersi do moich pleców.

Viggo nie zakręcił wody, pozwalając, by spływała po nas, więc czułam się tak, jakbym tonęła w jego pocałunku. Chwycił mnie palcami mocno za sutki, aż jęknęłam z nagłego bólu, tak różnego od delikatnych pieszczot Luby.

Zaśmiała się cicho.

— On nie zawsze jest delikatny — szepnęła, nachylając się do mojego ucha. Nie powiedziałam jej, że tak właśnie lubię.

Jego członek naciskał teraz na moje udo. Nie mogłam się doczekać chwili, kiedy poczuję go w sobie.

Jęknęłam, z trudem powstrzymując się przed wepchnięciem go w siebie bez zabezpieczenia.

To Luba w końcu zakręciła wodę, a potem wyprowadziła nas oboje spod prysznica na łóżko, nie zwracając uwagi na wodę, która kapała na pościel.

Sięgnęła do szuflady przy łóżku i rzuciła mu prezerwatywę, którą złapał z taką zręcznością, że zaczęłam się zastanawiać, czy często działają w tandemie.

— Ulżyj dziewczynie w cierpieniu — powiedziała swoim niskim, uwodzicielskim głosem.

— Zawsze do usług — odparł.

Było już ciemno, kiedy zorientowałam się, że nie rozmawiałam z Chrisem. Viggo znowu spał, w objęciach Luby. Jej suche teraz, niemal białe włosy kontrastowały z jego czarnymi lokami.

To musi być dobry znak, pomyślałam. Chris zadzwoniłby do mnie natychmiast, gdyby nie znalazł mojego instrumentu razem z resztą sprzętu. Niepotrzebnie się martwiłam. Ale zaraz przypomniałam sobie z nieprzyjemnym uczuciem w sercu, że zostawiłam telefon w salonie z fontanną, kiedy poszłam zwiedzić dom, wiele godzin temu.

Zeszłam ze schodów, z uczuciem niepokoju, które wisiało nade mną jak ciężka ciemna chmura.

Moja komórka leżała na poręczy szezlongu, tam, gdzie ją zostawiłam.

Podniosłam ją i wstukałam kod dostępu.

Chris. Trzy nieodebrane połączenia, wiadomość na poczcie głosowej i esemse.

„Twoje skrzypce. Nie ma ich”.

W Brighton

Pracując na uczelni, Dominik mógł korzystać z wygody, jaką zapewniała rutyna, powtarzalność godzin dzielonych między przygotowania do wykładów, wykłady, ćwiczenia, ocenę prac i regularne podróże północną linią metra z zielonego Hampstead do miejsca, w którym wtapiał się w szary tłum spieszący do centrum miasta.

Teraz, kiedy rzucił uniwersytet dla pisarstwa, miał wrażenie, że dryfuje po morzu niezdecydowania, na którym nie ma się czego uchwycić. Został niewolnikiem klawiatury i ekranu komputera, pod którego pogardliwym wzrokiem nieporadnie szukał nie tyle inspiracji, ile właściwych słów.

Czekał go długi dzień, pusty i głęboki jak studnia pokus, które wzywały go, kiedy wreszcie kończył zamierzoną liczbę stron. Czasami wszystko płynęło gładko i Dominik docierał do tego wyzwającego momentu przed południem, a następnie za dobrze wykonaną pracę nagradzał się późnym śniadaniem. Kiedy indziej jednak praca szła jak po grudzie i w rezultacie usunął więcej zdań, niż napisał.

Zawsze jednak był zdyscyplinowany i wytrwale pracował nad swoim zadaniem, a u kresu tej drogi przez mękę czekała go oaza wolnego czasu, który mógł poświęcić na czytanie, oglądanie filmów na DVD bez poczucia winy, a najczęściej buszowanie po zakamarkach Internetu, ze zdystansowanym rozbawieniem i pewnym zainteresowaniem, jakie budziły w nim kobiety, które tam spotykał.

Każde błyskające na ekranie imię przywodziło mu na myśl epizody z innymi kobietami, noszącymi to samo imię — albo zupełnie inne, wspomnienia o nich zlewały się już ze sobą — które przyczyniły się do tego, kim teraz był. Christel, niemiecka niania, mieszkała na stryszku, była co najmniej dziesięć lat starsza od niego. Pożądał jej od chwili, kiedy wzięła prysznic w jego obecności, nie mając nic przeciwko temu, żeby na nią patrzył (nie miała też nic przeciw jego erekcji). Pamiętał tamten weekend, kiedy biegł jak szalony ze schroniska młodzieżowego, w którym mieszkał, przez Vallée de Chevreuse, próbując ją odszukać. Albo Catherine, uprzywilejowana, bo to ona była tą pierwszą. Złamała mu serce, gdy odkrył, że spała z innym. Po niej było wiele innych Catherine, Cat, Kat, Kate i Kathryn. Była też Maryann, amerykańska studentka z wymiany, z którą mógł zrobić wszystko pod warunkiem, że nie dotykał jej piersi. A po niej Danielle, której apetyt seksualny początkowo go przerażał. Pewnego razu haniebnie ją zawiódł. Aida, która ssala jego kutasa jak żadna inna, z apetytem, którego nie sposób było zaspokoić. Lista była długa. Rhoona, która lubiła dostawać klapsy. Parvin, która nie chciała zdejmować bluzki, bo krępowało ją, że ma zaokrąglony brzuch. Rebecca, która nieodmiennie wybuchwała płaczem, kiedy miała orgazm, i wpadała w panikę. Potem obiecywała, że następnym razem tego nie robi, ale oczywiście zawsze robiła.

No i była Kathryn, rzecz jasna.

Po której wszystko się zmieniło.

Jej zielone oczy błagały go, by mocno trzymał ją za szyję, kiedy się pieprzyli. Nalegała, żeby zachowywał się szorstko i posuwał za daleko, żeby miażdżył jej w uścisku nadgarstki i zostawił na nich ślady, żeby bezlitośnie ciągnął ją za włosy, biorąc ją od tyłu i zaciskał zęby na jej sutkach. W milczeniu żądała od niego, żeby bezustannie przesuwiał granice.

Życie dzieliło się na to przed i na to po Kathryn.

Zaczął poczynać sobie coraz śmieiej w sypialni, czy tam, gdzie akurat uprawiał seks, dominując nad swoimi kochankami, kierując się instynktem, skłonnościami i zaskakującym odkryciem, że wielu kobiet wcale to jego nowe oblicze nie odrzuca, a nawet — jak Claudię — pociąga.

Co z kolei doprowadziło go do Summer.

Dominik westchnął i z roztargnieniem zaczął wchodzić na profile ze strony z kontaktami, którą z przyzwyczajenia wydobyl z długiej kolumny zakładek na swoim laptopie.

Chętne ofiary czy drapieżne bestie? Czy normalni ludzie, tacy jak on, schwytani w pajęczą sieć pragnień, które wypaczały ich umysły, budząc perwersyjne fantazje i zachcianki?

Dawno już nauczył się czytać między słowami w profilach i bezbłędnie potrafił rozpoznać te które grają, te, które udają i te, które żartują. Nabrał też zwyczaju — snobistycznego, wiedział o tym — pomijania każdego profilu, w którym zauważył błędy ortograficzne albo gramatyczne. Wolał pieprzyć kobiety wykształcone i nawet jeśli to zamięłowanie do elity wyłączało spory procent uległych pań szukających dominującego kochanka, nie żałował.

Zatopiony w rozmyślaniach, Dominik już miał opuścić mroczne zaułki sieci, kiedy na ekranie otworzyło się okienko z informacją, że otrzymał mail przez swoją stronę na Facebooku.

Wielbicielka, której spodobała się jego powieść i postanowiła skomplementować go tą drogą. Książka odniosła pewien sukces, ale listy od czytelników ciągle były czymś nowym i mile lechtały jego próżność.

Zwykle były to te same bzdury: czytelniczka, zachwycona powieścią, twierdziła, że identyfikuje się z główną kobietą postacią, w której odnajduje wiele z siebie samej. Dominik się uśmiechnął. Miło wiedzieć, że ludzie ciągle tę powieść czytają. Wydawało mu się, że to było już tak dawno temu.

Zielona kropka po lewej stronie ekranu wskazywała, że osoba, która wysłała wiadomość, nie tylko ma pocztę na tym samym serwerze, ale ciągle jest online. Wystukał wiadomość.

„Dziękuję za dobre słowa, Liano”.

Odpowiedź przysłała natychmiast:

„Nie ma za co, naprawdę podoba mi się ta historia. Jest poruszająca. Rany, a teraz z Tobą rozmawiam...”

Dominik był zaintrygowany i wkrótce jedno doprowadziło do następnego. Szybko rozważył sytuację pod względem etycznym i doszedł do wniosku, że relacja między pisarzem i czytelniczką w żaden sposób nie przypomina relacji między nauczycielem i studentką. Wręcz przeciwnie, pomyślał, uspokojony.

Okazała się młodą kobietą, mogła mieć około dwudziestu pięciu lat, sądząc ze zdjęcia na jej profilu. Jeśli zostało zrobione niedawno, oczywiście. Powiedziała mu, że pracuje w biurze w Brighton. Zdjęcia, które mu przysłała, nieproszona, po kilku dniach niewinnych czatów, były jednocześnie bezpośrednie i powściągliwe, kokieteryjne, ale bez cienia wulgarności, mimo ich amatorskiej natury. Fragment piersi, część pośladka ze śladami sińców i zagmatwana, niemal abstrakcyjna kompozycja. Przyjrzał się dokładniej: było to zbliżenie rudych włosów łonowych, ujętych pod takim kątem, że w pierwszej chwili sprawiały wrażenie jakiegoś nieznanego, dzikiego pejzażu. Ciągle przypominała o tym, że ma wiele wspólnego z Eleną, główną bohaterką jego powieści, mimo innej narodowości, czasu i okoliczności. Kiedy Dominik spytał, czy tak wyraźne wskazówki oznaczają, że jest seksualnie uległa, odpowiedź rozjaśniła jego ekran.

„Tak”.

Serce podskoczyło mu w piersi. Może to jego szansa, żeby zacząć od nowa. Czy tym razem zrobi wszystko jak należy?

„A ty dominujesz?”

„Może. Hm...” — odpisał zagadkowo.

Zazwyczaj był podejrzliwy wobec kobiet, które zbyt szczegółowo pisały o swoich upodobaniach, potrzebach i pragnieniach. Im dłuższe były opisy ekstremalnych praktyk seksualnych, wiązania, duszenia, sznurów, obroży, degradacji, upokorzeń czy co tam akurat było daniem dnia, tym bardziej można się było spodziewać, że kiedy przyjdzie co do czego, nic z tego nie będzie. Bardziej ograniczone menu oznaczało większą klasę i miało zwykle więcej wspólnego z prawdą.

Liana była interesująca. Jasno dawała mu do zrozumienia, co lubi, ale towarzyszyły temu humor i pewna dezaprobata, wszystkie elementy, które były potrzebne, by przykuć jego uwagę.

Czatowali i wymieniali maile od kilku tygodni; Dominik nabrał już ochoty na przygodę. Nie miał wprawdzie nadziei, że spotkał miłość swojego życia, liczył jednak, że nowa znajomość pomoże zatrzeć w pamięci widmo Summer i związane z nią wspomnienia.

„Masz może zdjęcie twarzy? Proszę”.

Rozmyślnie powstrzymał się od umieszczenia swojego portretu na obwolucie książki, a profil na Facebooku uzupełnił dość niewyraźnym zdjęciem, wybierając tajemniczą anonimowość.

Może to właśnie na tym etapie ją stracił. Nigdy nie lubił pozować i istniało zaskakująco niewiele fotografii, na których był obecny.

Załadował teraz jedną z nich, zdjęcie, które zrobił kilka lat wcześniej, żeby dołączyć je do wniosku o stypendium do Nowego Jorku, i kliknął „Wyślij”.

Było pięćdziesiąt procent szans, że dziewczyna się wyloguje, jeśli uzna, że on jednak nie spełnia jej kryteriów, jakiegokolwiek były. Kiedy zobaczy mężczyznę, nie pisarza.

Czekał, z palcami zawieszonymi nad klawiaturą i oczami wbitymi w zdjęcie jej posiniaczonego poślodka, z roztargnieniem szukając wzorów w sinożółtych plamach, które powiększył do rozmiarów pełnego ekranu. Barwy miękko przechodziły jedna w drugą. Teraz wyglądało to jak dzieło sztuki nowoczesnej. Enigmatyczne, przypadkowe. Jak niewyraźna chmura w procesie transformacji. Jak wygaszacz ekranu.

Dostał odpowiedź.

„Ładne. Czy powinnam mówić do ciebie: panie?”

„Pochlebiasz mi. Ale nie ma takiej potrzeby. To nie w moim guście... i nie chodzi o słowa”.

„Dobrze. Zawsze mnie śmieszy, że tylu facetów żąda, aby tak się do nich zwracać co drugie słowo, nawet jeśli się jeszcze nie widzieliśmy”.

„Sam lepiej bym tego nie ujął...”

„Myślę, że to może być początek pięknej przyjaźni”.

Dominik się uśmiechnął.

Pociąg pędził przez South Downs i kiedy zaczął się zbliżać do stalowej jaskini dworca w Brighton, Dominik poczuł specyficzny zapach morza i usłyszał trzepot latających w górze mew. Minęły wieki, odkąd był tu po raz ostatni, korzystając z jakiejś konferencji jako wymówki. Był to jedyny raz, kiedy Kathryn udało się wyrwać z domu, od męża, i spędzić kilka nocy z nim. Może dlatego nigdy tu nie wracał. Wspomnienia. Nie zwiedzali miasta — pomijając kilka spacerów na wybrzeżu i po alejach, i spieszne posiłki w nadmorskich restauracjach, większość czasu spędzili w prywatnym świecie swojej sypialni.

W mieście odbywało się właśnie duże sympozjum i większość hoteli była pełna, udało mu się jednak dostać pokój w tak zwanym hotelu butikowym¹ o nazwie Pelirocco przy Regency Square. Każdy pokój miał tam inny motyw przewodni, a ten, w którym zamieszkali, był urządzone jak buduar, w czerwieni i różu, z różnymi częściami kobiecej bielizny umieszczonymi na ścianach zamiast obrazów czy grafik. Było to trochę przytłaczające i raczej absurdalne, ale wywołało uśmiech na jego twarzy, bo w końcu pamiętał, po co przyjechał do Brighton.

Umówili się na spotkanie na neutralnym terenie, przy straganie z rybą i frytkami, stojącym u wejścia na molo. Kiedy spytał, po czym ją rozpozna, skoro jej twarzy nie było dokładnie widać na żadnym ze zdjęć, zażartowała, że nie będzie miał z tym żadnego problemu. To, oczywiście, pozwalało jej się wycofać, jeśli Dominik z krwi i kości w pierwszej chwili jej się nie spodoba.

Przyszedł kilka minut wcześniej i już myślał, żeby zjeść porcję frytek, kiedy pozdrowił go trochę piskliwy głos:

— Witaj, Dominiku.

— Liana, jak sądzę?

— A spodziewałaś się kogoś innego? — Wydawała się rozbawiona.

— Masz jakieś prawdziwe imię? — zagadnął.

— Liana.

— Dobrze.

Była szczupłą, niemal patykowatą na pierwszy rzut oka, ale stała dumnie wyprostowana, z wyładowanym plecakiem na ramionach, który pomagał jej utrzymać równowagę. Zmierzwiona miotła kasztanowych włosów, niemal chłopięca, wznosiła się nad delikatną twarzą. Na szyi miała wąską jedwabną obrozę. Na kimś innym mogłoby to wyglądać pretensjonalnie, jak chybiona próba, by wyglądać modnie; na niej mówiło o wiele więcej. Wskazówka. Teraz już wiedział, co miała na

myśli. Poza tym jednak nie była ubrana tak, jak tego oczekiwał, w czarną skórę czy podarte dzinsy, które uzupełniałyby punkowy styl, ale w zaskakująco skromną beżową bluzkę i plisowaną brązową spódnicę, sięgającą poniżej kolan. Na obu nadgarstkach nosiła identyczne cienkie srebrne bransoletki. I najwyraźniej nieskrępowana swoim niskim wzrostem, na nogach miała płaskie baletki.

Miała figlarną buzię, która sprawiała, że wydawała się znacznie młodsza, niż zapewne była, mały, zadarty nos, trochę za krótki podbródek, ale za to pełne czerwone wargi, oczy ciemnozielone, wystające kości policzkowe i naturalne rumieńce na białej skórze, jak Królowna Śnieżka. Pomyślał, że jest zgrabna, choć luźna bluzka maskowała krągłości.

Liana podniosła na niego wzrok.

— Podoba ci się to, co widzisz? Na razie? — spytała.

— Tak.

Dominik od kilku dni ćwiczył tę scenę w myślach, wyobrażając sobie, w jakie gry mogliby grać i jak mógłby wydobyć z natury Liany wszystko, co najlepsze, uczynić ją naprawdę swoją. Zawsze był ignorantem, nie znał etykiety obowiązującej przy takich okazjach. Czy powinien zaproponować jej coś do picia, kawę, a może coś mocniejszego i nawiązać rozmowę na jakiś temat bez znaczenia, zanim dojdzie do nieuniknionej chwili, w której przekroczą granicę intymności? Pójść na spacer deptakiem, jakby byli parą? A może lepiej, żeby poszli prosto do hotelu, zaledwie kilkaset metrów w dół wybrzeża, w kierunku Hove? Może ktoś powinien kiedyś napisać podręcznik na temat tego, co należy, a czego nie wypada robić na randkach sado-maso.

Pokój.

W wąskiej windzie, która wiozła ich na ostatnie piętro, Liana stała przyciśnięta do niego, unieruchomiona przez plecak.

— Pocałuj mnie — rozkazał Dominik.

Wspięła się na palce, a on pochylił się i pocałował ją w usta. Miały smak miętowej gumy do żucia.

— Nie wybrałem tego pokoju; tylko ten był wolny. Wiem, że jest trochę śmieszny — przeprosił, otwierając drzwi. Wpuścił Lianę do krzykliwie udekorowanego pomieszczenia.

— Rany — mruknęła, spoglądając na paradę oprawionych w ramki majtek i staników, które wisiały na wszystkich ścianach, jak eksponaty w muzeum. — Fajnie. Choć większość nie jest w moim rozmiarze, obawiam się...

Zsunęła plecak z ramion i postawiła go na podłodze.

— Co ty tam masz, cały swój dobytek? — zagadnął Dominik.

— Nie — odparła. — Sprzęt, rozumiesz. Parę zabawek...

— To pewna zarozumiałość z twojej strony, nie uważasz? Czy kazałem ci to wszystko przywieźć?

— Z naszych rozmów na czacie wynikało, że chyba nie masz własnych...

— Może nie będą nam potrzebne.

— Och... — Uśmiechnęła się.

Dominik upuścił klucze na stolik przy łóżku i odwrócił się do Liany.

— W takim razie muszę cię obejrzeć. Rozbierz się.

— Już?

— Już.

Spojrzała na niego niepewnie, zdając sobie sprawę, że teraz nie ma już odwrotu.

— Zgodnie z umową — powiedziała stanowczo, jakby umacniała się w tym postanowieniu. — Żadnych stałych śladów?

— Zrozumiano. Pamiętaj hasło bezpieczeństwa?

— Oczywiście.

Liana zaczęła się rozbierać i po chwili miała na sobie już tylko cienki pasek jedwabiu na szyi i bransoletki na nadgarstkach.

Była drobna i krucha, ale cudownie proporcjonalna. Dolina wiodąca do jej małych piersi była usiana piegami, podobnie jak przedramiona; sutki miały delikatny czerwony odcień, uda

były białe jak mleko. Od czasu, kiedy zrobiła zdjęcie, które mu wysłała, ogoliła włosy łonowe, teraz więc mógł zobaczyć kilka kolczyków w jej intymnych miejscach. Jedno małe kółeczko wylaniało się z samej lechtaczki, a poniżej dwa większe stalowe kółka rozchyłały wargi sromowe.

Dominik wstrzymał oddech.

Wiedział, że mógłby stać tak wpatrzony w zawiłą geometrię jej cipki i cyberpunkowy intymny pejzaż ciała i metalu całymi godzinami, z czystej fascynacji.

— Odwróć się — rozkazał.

Obróciła się na pięcie jak baletnica ćwicząca układ.

Teraz na jej wąskich pośladkach nie było już żadnych śladów.

— Pochyl się.

Liana wykonywała polecenia, szurając stopami po cienkim dywanie. Pochyliła się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i stała z klatką piersiową równoległą do podłogi, z wypiętym tyłkiem, przeciętym ciemną linią między pośladkami jak nożem, równo i nieubłaganie.

— Nogi szeroko.

Usłuchała.

Dominik podszedł do niej, włożył dłoń między jej uda, wysunął palec, by sprawdzić, czy jest wilgotna, muskając metalowe kółka, i pociągnął za jedno z dwóch na wargach sromowych. Usłyszał, jak Liana wstrzymała oddech.

Ogarnęła go przemożna chęć, by uderzyć ją w tyłek ze straszną siłą, ale oparł się pokusie. Miał na to mnóstwo czasu. Nie musiał się spieszyć. Ona już mu się poddała. Jakaś jego część była ciekawa dlaczego; ciągle był dla niej obcy. Tak jak ona dla niego. Bardzo chciał poznać jej historię, każdy najmniejszy krok, który przywiódł ją do tego miejsca i tej chwili. Historię wszystkich mężczyzn, którzy jej dotykali, uczynili ją tym, kim była. Każdy kolejny stopień poddania na drodze, której koniec był tajemnicą.

— Rozchyl pośladki — warknął chrapliwie.

Ciągle pochylona, Liana sięgnęła do tyłu i chwyciła się oburącz za tyłek, ukazując odbyt i koncentryczne linie otaczającego go ciała, a poniżej koraloworóżowe wnętrze pochwy.

Był to spektakl, który nigdy go nie znudzi, wiedział o tym.

— Kto cię teraz posiada? — spytał ją. Stała przed nim tyłem, całkowicie odsłonięta.

— Ty.

— I czego teraz chcesz?

— Chcę, żebyś mnie wykorzystał, wypieprzył.

— Dlaczego?

Przez chwilę wydawała się zaskoczona, jakby nie była przygotowana na to pytanie.

— Bo dzięki temu czuję, że żyję — powiedziała w końcu.

— Że żyjesz? — zdziwił się.

— Tak — sapnęła. — Nie potrafię tego wyjaśnić. Tak po prostu się czuję, kiedy mężczyzna pragnie mnie w taki sposób. Wiem, że to bez sensu. Po prostu taka jestem... — urwała.

— Podnieś się.

Stała prosto, porzucając swoją upokarzającą pozycję. Odwróciła się do niego przodem, nadal z rozszerzonymi nogami. Dominik spojrzał jej w oczy. Była w nich ta sama dziwna kombinacja wstydu, pragnienia, dumy i podniecenia, którą tak często widział w oczach Kathryn. I Summer.

— Podejdz.

Zbliżyła się do niego. Jej sutki były twarde, drapały jego koszulę. Opuścił ręce i chwycił ją za tyłek. Jak na tak szczupłą kobietę była niezwykle miękka. Znowu wsunął rękę między jej nogi, złapał za kółeczko wbite w lechtaczkę i mocno nacisnął. Liana zadrżała.

— Od kiedy masz te kółka? — spytał.

— Niecały rok.

— Twoja decyzja?

— Niezupełnie... — zawahała się, jakby nie chciała potwierdzić jego podejrzeń.

— A czyja?

— Przez kilka miesięcy byłam z pewnym facetem. Poznałam go w klubie dla fetyszystów w Londynie.

— I?

— On kazał mi zrobić ten piercing. Najpierw wargi, potem łechtaczkę.

— Bolało?

— Łechtaczka bolała jak wszyscy diabli. Facet z salonu tatuażu, który to robił, powiedział, że przekłuje tylko kapturek łechtaczki, po prostu kawałek skóry, nic więcej, a ja przeżyłam szok. Prawie zemdlałam z bólu.

— Hm...

— Ale mój facet chciał pójść dalej. Chciał przekłuć mi krocze i później przełożyć przez otwór taką małą metalową przywieszkę ze swoim imieniem, wiesz, coś takiego, jak mają psy wojskowe, a w każdym razie coś, co wskazywałoby, że jestem jego własnością. Ale wcześniej się rozstaliśmy.

— Ale zachowałeś pozostałe kolczyki?

— Tak. Jestem, kim jestem — oznajmiła Liana z dumą.

Dominik, zamyślony, spojrzał w dół na czubek jej głowy.

W tej chwili pragnął jej już bardzo, choć wiedział, że miał ją do dyspozycji i wystarczyłoby jedno słowo, a seks byłby tylko kolejną umową między dwojgiem dorosłych ludzi. Wiedział jednak też, że chciał od niej dużo więcej niż tylko seksu. Liana była typem kobiety uległej, którą chciał nie tylko posiadać czy wykorzystać seksualnie — chciał posiadać ją całkowicie, jej ciało i duszę. Zrozumieć, co ją porusza. I dlaczego istota jej uległości jest właśnie tym pięknem, które tak go pociąga. Cholera! Dlaczego wszystko musiał tak komplikować?

Przynajmniej jest seks. Westchnął.

— Na kolana — rozkazał.

Uklękła, rozumiejąc polecenie, podniosła rękę i zaczęła rozpinąć mu spodnie.

Dominik zamknął oczy, kiedy poczuł, że wyjęła jego członek z majtek i wsunęła w swoje gorące usta.

Była utalentowana; szybko skończył. Nie czekając na dalsze polecenia, chciwie połknęła jego spermę. Potem oderwała głowę od jego krocza i nastąpiła chwila pełnej napięcia ciszy, podczas której oboje zastanawiali się co dalej. Okno było uchylone i odgłosy rybitw latających nad wybrzeżem przeszły nagle w ogłuszający wrzask.

— Wejdz na łóżko. Na czworakach — zażądał Dominik.

Liana podniosła się z podłogi. Kolana miała zaróżowione od klęczenia. Przyjęła pozycję na łóżku, tyłem do niego, wystawiając tyłek, tak jak tego oczekiwał.

Dominik rozebrał się, nieporządnie rzucając ubranie na podłogę. Nie odrywał oczu od różanego pączka jej odbytu. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie będzie dla niej za gruby, biorąc pod uwagę jej drobną budowę. Kości miednicy było wyraźnie widać w pozycji, którą teraz bezwstydnie przyjęła.

Włożył prezerwatywę i wszedł na łóżko, które zaskrzypiało pod jego ciężarem. Kucnął tuż nad Lianą z trochę tylko usztywnionym członkiem, w stojącej parodii pozycji „na łyżeczkę”. Nie miał przy sobie żadnego środka nawilżającego i niechętnie zakłócił napięcie chwili, pytając, czy ona nie ma czegoś takiego w swoim plecaku pełnym nieznanymi rozkoszami. Miała. Wycisnął trochę na palce i jej ciasną dziurkę, rozsmarowując żel wokół jej zwieracza.

Nagle ogarnęła go niepoohamowana chęć, by pocałować tę młodą kobietę, poczuć smak jej oddechu na swoich ustach. Pochylił się nad nią, ale w tej pozycji jej usta nadal znajdowały się za daleko. Zamiast tego musnął językiem płatek jej lewego ucha i już miał chwycić go delikatnie zębami, kiedy doleciał go zapach jej włosów. Był jak cios sztyletem w serce.

Nie był to zapach żadnych konkretnych perfum, raczej nuta szamponu, którym umyła swoje kasztanowe włosy, wybierając się na to spotkanie, zmieszany z jej naturalnym zapachem, lekko korzennym, piżmowym i kwiatowym jednocześnie, zapachem kobiety.

Wszędzie rozpoznałby ten zapach.

Taki sam jak Summer.

Wspomnienia zalały go jak deszcz z oberwanej chmury, budząc emocje, unosząc go i ciskając w dół.

Gdyby teraz zamknął oczy, mógłby udawać, że pieprzy Summer.

Ale nie chciał udawać.

Zdał sobie sprawę, że jego członek uwiądnął i zwisająca smętnie prezerwatywa ledwie się na nim trzyma.

Liana pod nim znieruchomiła, jakby jej ciało było świadome zmiany sytuacji.

— O co chodzi? — sapnęła.

— O nic — odparł, ale wiedział, że niczego już dzisiaj nie dokona. — Nic z tego nie będzie — dodał przepraszająco i odsunął się od niej i od łóżka.

— Proszę... — zaczęła błagalnie Liana, patrząc, jak Dominik zaczyna się pospiesznie ubierać, nie zwracając uwagi na jej nagość i podniecenie.

— Bardzo mi przykro, naprawdę bardzo mi przykro. — Tylko tyle potrafił jej powiedzieć. Jak mógłby jej to wyjaśnić, nie pogarszając jeszcze sytuacji?

Później, kiedy uspokoił już niczego nierozumiejącą Lianę i w ramach przeprosin zapłacił za jej taksówkę do domu, Dominik poczuł, że potrzebuje świeżego powietrza. Choćby tylko po to, by rozwiało ciężką chmurę dezorientacji, która spowiła jego umysł. Wybrał się więc na spacer na nadbrzeże. Ciągle było jeszcze popołudnie. Tego dnia czas mijał bardzo powoli.

Morze było niespokojne, rozciągając się aż po szary horyzont, poznaczone śladami białej piany. Ruiny starego zachodniego mola wyłaniały się z uspiionych fal jak szkielet jakiegoś prehistorycznego zwierzęcia.

Turyści i ci, którzy urwali się z sympozjum, dzielili promenadę z dziećmi i biegaczami, starając się uniknąć kolizji z rowerzystami, którzy pędzili swoją słabo oznaczoną ścieżką, jakby była ich własnością. Dominik czuł się pusty w środku, burczało mu w brzuchu i przypominał sobie, że jeszcze nic tego dnia nie jadł. Pobiegł na Dworzec Waterloo bez śniadania. Pamiętał stragan z rybą i frytkami przy wejściu na molo i ruszył szybko w tamtą stronę, mijając parady hoteli, Metropole, betonowy moloch Brighton Conference Centre i Old Ship. Frytki rozgrzały go fizycznie i psychicznie, dostarczając niewyszukanego, ale koniecznego pocieszenia dla duszy. Pochłonął je szybko aż do ostatniego kawałeczka. Nabrał ochoty, żeby poszukać małego antykwariatu przy West Street, w którym był dziesięć lat wcześniej. Postanowił, że zostanie w Pelirocco do następnego dnia, skoro już zapłacił za pokój i nie spieszyło mu się z powrotem do Londynu.

Już miał skrócić za róg, kiedy jego uwagę przyciągnęły liczne kolorowe plakaty przed Brighton Centre. Poza sympozjami i kongresami, w przypominającym wielki bunkier budynku odbywały się też koncerty, a latem urządzono tam nawet sztuczne lodowisko.

Raz był tu nawet na występie Arcade Fire, kiedy nie udało mu się dostać biletów na ich koncert w Londynie. Może trochę muzyki rozjaśni mu dzisiaj w głowie. Jednak wyglądało na to, że żaden z plakatów nie reklamuje koncertu odbywającego się tego dnia. Wszedł do środka i namierzył kasę.

Owszem, dowiedział się, że tego wieczoru także odbędzie się koncert, ale nie jest zbyt szeroko reklamowany, choć bilety są w sprzedaży. Są dość tanie, powiedziano mu, bo zespół traktuje ten występ jako rozgrzewkę, próbę generalną przed planowaną trasą, z dala od wścibskich oczu fanów i dziennikarzy.

— A mają przynajmniej jakąś nazwę? — spytał Dominik kasjerkę.

— Tak, oczywiście — odparła kwaśno kobieta w średnim wieku, wyciągnęła małą ulotkę i mu podała, rzuciwszy okiem na treść. — Nazywają się Groucho Nights. Nie mogę powiedzieć, żebym wcześniej o nich słyszała. Gra z nimi jakaś skrzypaczka... — Kobieta zmrużyła oczy, wpatrując się w ulotkę. — Ma takie obce nazwisko...

Dominik chwycił zadrukowany kawałek papieru.

— O, Summer Zahova.

Stał chwilę bez ruchu, oszołomiony, w milczeniu.

„Groucho Nights, gościnnie Summer Zahova — jedyny koncert w Zjednoczonym Królestwie przed europejską trasą koncertową. Ich pierwszy publiczny wspólny występ”.

— To co, chce pan ten bilet? — Głos kasjerki wyrwał go z zamyślenia.

— Tak, tak, oczywiście.

Podał jej pieniądze.

Koncert zaczynał się o wpół do dziewiątej. Prawie za pięć godzin. Już miał wyjść na ulicę, kiedy nagle coś przyszło mu do głowy. Zawrócił i spytał kasjerkę, która teraz czytała już jakiś magazyn o celebrytach:

— Nie wie pani, czy ten zespół już tu jest? Może sprawdzają dźwięk?

— A skąd mam wiedzieć? — burknęła pogardliwie. — Na pierwszym piętrze jest kierownik. Może on panu powie.

Dominik pobiegł na górę, szukając biura, w którym mógł uzyskać odpowiedź na swoje pytanie. Odsyłany z pokoju do pokoju, w końcu znalazł faceta, który zdawał się wiedzieć, o czym mówi, ale usłyszał od niego, że na próby w żadnym wypadku nie wpuszcza się publiczności.

— Ale muzycy już tu są?

W tym samym momencie rozległ się stłumiony dźwięk elektrycznie wzmocnionych skrzypiec, a może tylko gitary; wznosząc się na niewidzialnych skrzydłach melodii, gdzieś daleko, w głębi budynku.

— Czy to oni? Próba już trwa, prawda?

Mężczyzna kiwnął głową.

— Muszę się spotkać z jednym z muzyków, skrzypaczką, nazywa się Summer Zahova — nalegał Dominik.

— Nie można im teraz przeszkadzać — usłyszał w odpowiedzi.

— Ona mnie zna. Przyjdzie, zobaczysz. Obiecuję.

— Słuchaj, kolego, to po prostu nie jest możliwe.

Czując się jak chodzący banał, Dominik wyjął z portfela dwudziestofuntowy banknot i wetknął go do ręki faceta z obsługi.

— Powiedz jej, że to Dominik i że muszę z nią porozmawiać. Jeśli tu przyjdzie, dostaniesz jeszcze dwadzieścia.

Młody człowiek spojrzał na niego z powątpiewaniem, ale schował banknot do kieszeni.

— Zostań tu — powiedział. — Niczego nie obiecuję. Mam tylko nadzieję, że nie będą narzekać na zakłócenia próby. Ale zobaczę, co da się zrobić — dodał i ruszył w stronę schodów.

Dominik został jak wrośnięty w podłogę, nasłuchując dalekich dźwięków muzyki, stłumionych, złamanych, zdominowanych przez uderzenia perkusji i pohukiwanie basów, pochłaniające linię melodyczną.

Miał wrażenie, że czeka całą wieczność.

Tam daleko muzyka skończyła się wreszcie, a może tylko przycichła, rozplywając się echem w ciszy.

Nie odrywał oczu od schodów, które prowadziły do holu i podziemnych sal koncertowych, ale nikt się na nich nie pojawił. Stał tyłem do wind, ale usłyszał powiew powietrza, kiedy kabina zatrzymała się na poziomie, na którym się znajdował. Odwrócił się. Drzwi się rozsunęły.

— Tutaj jesteś.

Facet z obsługi wyszedł z windy z uśmiechem na twarzy. A za nim Summer.

Miała na sobie wąskie obcisłe dzinsy i prostą białą bluzkę z jedwabiu, a na głowie jak zawsze splątana gęstwinę rudych loków. Nie zmieniła się ani trochę. Patrzyła na niego w milczeniu.

Facet z obsługi też na niego patrzył, wyraźnie wyczekująco. Dominik otrząsnął się, przypomniał sobie o swojej obietnicy i wsadził rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyciągnął drugi banknot i podał chłopakowi.

— Dziękci, kolego.

Mężczyzna odszedł, zostawiając Dominika sam na sam z Summer.

Żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

Patrzyli na siebie w milczeniu, z wahaniem, w napięciu, jakby uczestniczyli w konkursie na to, kto wypowie pierwsze słowa. Myśli kłębiły się w ich głowach, zderzając się ze sobą jak w reaktorach jądrowych, nad którymi nikt już nie panuje.

Dominik w końcu zrozumiał, że musi przejąć inicjatywę.

— Witaj.

— Cześć. — Jej głos brzmiał spokojnie, pytająco.

— Tak się złożyło, że jestem w Brighton i całkiem przypadkowo dowiedziałem się, że tu dzisiaj gracie...

— Tak, nie reklamujemy się specjalnie. Tak postanowiliśmy. Nie rzucać się w oczy.

Chcemy sprawdzić, czy w ogóle zgramy się jako zespół.

— Więc pożegnałaś się z muzyką poważną, tak?

— Nie, nie, nic podobnego — zaprotestowała; wyraźnie zależało jej, żeby nie odniósł mylnego wrażenia i w jakiś sposób nie potępił jej działań. — To raczej rodzaj urlopu, rozumiesz. Zaczęłam trochę rdzewieć i pomyślałam, że trasa z Chrisem dobrze mi zrobi.

— Groucho Nights to Chris?

— Tak. Zmienili nazwę. Brother & Cousin brzmiało trochę zbyt folkowo, a chcieli zmienić kierunek... — Urwała, jakby zdała sobie sprawę, że rozmowa przybrała nie taki obrót, jakiego chciała.

— Świetnie wyglądasz — zauważył Dominik. — Co u ciebie?

— Wszystko w porządku. A u ciebie?

— Mam tylko nadzieję, że nie przeszkodziłem wam w próbie?

— Nie ma sprawy. Kończyliśmy właśnie z dźwiękiem. Ale niedługo będę musiała wracać.

Technicy potrzebują mnie jeszcze do ustawienia świateł.

— Och... To może chociaż chwila na kawę?

— Chyba mam jakieś pół godziny. Nie gram przez cały czas, wchodzę dopiero w drugie połowie. Wiele piosenek jest trochę zbyt głośnych na skrzypce. Mieli je przygotowane na długo, zanim ja się pojawiłam. Występuję, jak to nazwali, gościnnie. Cokolwiek to znaczy.

— Brzmi świetnie.

— Wydaje mi się, że gdzieś w tym budynku jest bar. Powinniśmy go znaleźć.

Wyruszyli razem na poszukiwanie kafejki.

Kiedy w wyludnionej kafejce sączyli powoli letni płyn, znowu wyrosła między nimi ściana milczenia.

Tym razem to Summer podjęła rozmowę:

— Nowy Jork... Przykro mi z powodu Nowego Jorku.

— Mnie też — niechętnie przyznał Dominik.

— Nie powinnam się była na to zgodzić, teraz to wiem. Ale stało się. Nie chcę się usprawiedliwiać, Dominiku.

— Tak, takie rzeczy się zdarzają. Mnie też nie powinno tam być.

— Ale byłeś.

— Byłem.

— Przez kilka dni byłam w szoku. Ale kiedy wróciłam do loftu na Spring Street, ciebie już nie zastałam. Wróciłeś do Londynu...

— Czekałem jakiś czas, a potem pomyślałem, że to najlepsza rzecz, jaką mogę zrobić...

— Rozumiem.

— To jak jest w Nowym Jorku? — spytał. — Czytałem w jakimś magazynie, że jesteś teraz z Simónem. To ma sens. Macie ze sobą tyle wspólnego. Muzycznie...

— Nie mieszkam już w Nowym Jorku — zauważyła Summer, patrząc mu prosto w oczy.

— Kilka tygodni temu wróciłam do Londynu.

— Nie wiedziałem.

— Potrzebowałam zmiany otoczenia. Spotkałam się znowu z Chrisem i jego chłopcami.

Postanowiliśmy, że przez jakiś czas będziemy grać razem. Dzisiejszy koncert to tylko nieoficjalna rozgrzewka przed krótką trasą po Europie. Nowe miasta, nowa muzyka. Taki trochę eksperyment.

— A co na to Simón? — dociekał Dominik.

— On nie ma z tym nic wspólnego. Rozstaliśmy się.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Dominik przetrwał tę wiadomość.

Summer zauważyła jego obojętną reakcję i poczuła, że powinna podtrzymać rozmowę.

— Ale związałam się ostatnio z kimś innym. To znowu coś w tym stylu. Nie szukałam niczego ani nikogo, po prostu poznaliśmy się i zaskoczyło, można powiedzieć. Viggo Franck. Piosenkarz i gitarzysta. Pewnie o nim słyszałeś?

Kiwnął głową.

— A ty? — ciągnęła Summer. — Jesteś z kimś teraz?

Wiedział, że nie powinien tego mówić, ale powiedział i tak. Ciągle jeszcze przerabiał w głowie informację na temat Vigga Francka i wyglądało na to, że władzę nad jego językiem posiadał jakiś diabeł.

— Mieszkam z Lauralynn. Pamiętasz ją, prawda?

— Jest urocza — zauważyła Summer z wymuszonym uśmiechem. — Naprawdę ją lubię.

— To dobrze — mruknął, po czym dodał sarkastycznie: — Twoja aprobata wiele dla mnie znaczy.

Zignorowała zaczepkę.

Teraz oboje ściskali już w rękach puste plastikowe kubki. Żadne nie miało ochoty iść do automatu po kolejną kawę.

— To gdzie zaczyna się ta europejska trasa koncertowa? — odezwał się w końcu.

— W Paryżu. Za dwa tygodnie.

— Cieszysz się na to?

— Tak, ale Chris i ja ciągle nie jesteśmy zadowoleni z brzmienia, jakie udało nam się osiągnąć. Czegoś mu brakuje. Viggo mówi, że potrzebujemy więcej wigoru.

— On jest teraz waszym muzycznym doradcą?

— Wziął Chrisa i jego zespół pod swoje skrzydła. I załatwił im nagranie dla swojej firmy fonograficznej. Och, znasz Fran?

— Twoją siostrę, tak. Często o niej wspominałaś.

— Ona też przyjechała do Londynu. Teraz mieszkamy razem, u Chrisa, w Camden Town, ale szukam czegoś dla siebie na stałe. Na razie wszystko dobrze się układa.

— Fantastycznie — bąknął wyraźnie bez entuzjazmu, znudzony plotkarskim kierunkiem, jaki przybrało spotkanie. — Ciągle grasz na baillym? — zagadnął.

Przez jej twarz przemknął cień.

— Nie.

— Dlaczego?

— Ktoś je ukradł.

— Cholera? Kiedy, gdzie?

— Po powrocie do Londynu. Po prostu znikły z dobrze strzeżonej garderoby na koncercie. Byłam załamana. Tak mi przykro. Wiem, że dla ciebie też wiele znaczyły.

Dominik westchnął... Nie chodziło tylko o zniknięcie instrumentu, lecz także o fakt, że zrobiła aluzję do ich dawnego życia.

Tym razem nie był w stanie zapanować nad emocjami i słowa popłynęły prosto z serca:

— Ty wiele dla mnie znaczyłaś, Summer...

Ich oczy spotkały się ze sobą.

Summer nie była w stanie znieść jego spojrzenia i pierwsza odwróciła wzrok.

— Wiem... — niemal wyszeptwała.

— Ale dobrze cię widzieć. Często miałem ochotę się do ciebie odezwać, ale nie potrafiłem zebrać sił, żeby to zrobić.

— Ja też.

— Ale cieszę się, że wszystko tak dobrze ci się układa. Pomijając bailly'ego, oczywiście. To musiało być straszne.

— Było okropne.

— Wyobrażam sobie. Od tego czasu odkryłem wiele ciekawych historii na temat tych skrzypiec. Wiedziałaś, że nazywano je też Angelique?

— Nie. Jak to?

— Jest w tym mnóstwo przesądów i miejskich legend, bez wątpienia. Znalazłem tę informację, prowadząc badania do pewnej książki... — W tym momencie Dominik uświadomił sobie, że w tej rozmowie nie pojawiła się jeszcze wzmianka o jego paryskiej powieści.

— Podobała mi się twoja powieść, Dominiku. Naprawdę — powiedziała Summer.

— Więc nie masz nic przeciwko temu, że...

— Że wykorzystałaś mnie jako swoją bohaterkę? Nie. To było urocze. Nie żebym zrobiła to wszystko, co robi Elena w twojej powieści.

Dominik uśmiechnął się, ogarnęła go fala ulgi.

Ella, perkusistka z Groucho Nights, przeszkodziła im, wchodząc do kafejki.

— O, tu jesteś, Sum. Wszędzie cię szukałam. Jesteś potrzebna na dole, technicy mówią, że nie mogą skończyć z oświetleniem, kiedy ciebie nie ma.

— Światła ramp, co? — mruknął Dominik.

Summer wstała od chybotliwego stolika.

— Musimy pozostać w kontakcie — rzuciła. — Wiem, że teraz oboje mamy swoje życie. Nowych partnerów, kochanków. Ale na pewno możemy być przyjaciółmi. Znowu?

— Bardzo bym chciał — przyznał Dominik.

Odchodziła już, ale zatrzymała się jeszcze i odwróciła.

— I może mógłbyś pomóc mi odzyskać skrzypce. Jak miały na imię?

— Angelique.

— Powiedziałeś, że są z nimi związane różne historie. Może w nich jest jakaś wskazówka, gdzie ich szukać?

— Jeśli to możliwe, pomogę. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

— Mam pewne podejrzenia. Ale to dosyć delikatna sprawa, rozumiesz. Teraz naprawdę nie mogę tego wytłumaczyć. Słuchaj, masz mój telefon, numer jest ciągle ten sam. Możemy o tym później porozmawiać.

Jej czerwone włosy znikły w końcu, kiedy szła schodami w dół, okrągły, opięty dzinsem tyłeczek kołysał się z gracją, jej zapach ciągle unosił się w powietrzu. Dominik wziął głęboki oddech, próbując uspokoić mocno bijące serce.

— *Ciao* — szepnął, choć wiedział, że ona nie mogła go już słyszeć. I nie było to pożegnanie; czuł, że znowu ją przywitał.

O skrzypcach i fotografiach

Utrata bailly'ego była jak oddzielenie połowy mojej duszy.

Przez kilka dni czułam się tak, jakbym już nigdy nie była w stanie zagrać tej samej muzyki. Nie chodziło tylko o niezwykle brzmienie, które potrafiłam z taką łatwością wydobyć z ich strun, ale o związek, jaki ten instrument miał z moją niedawną przeszłością w Londynie i Nowym Jorku.

Viggo mówił, że jest wściekły z powodu tej straty, i obwinił się o to, że nie zapewnił lepszej ochrony w Academy — skąd skrzypce skradziono w czasie między naszym przybyciem, kiedy głupio zostawiłam je w zielonym pokoju wraz z resztą sprzętu, a chwilą, kiedy pojechaliśmy na imprezę do Vigga.

Czułam się bardzo winna, że ich wtedy nie wzięłam, i zarzucałam sobie brak ostrożności.

Ale w nocnych ciemnościach, w godzinach, kiedy mrok nawiedzał moje myśli tak jak moja sypialnię, nie mogłam się powstrzymać od zadawania sobie pytania, co takiego Viggo trzymał za jedynymi zamkniętymi na klucz drzwiami w suterenie, jedynym zabezpieczonym pokoju w całym domu.

Wydawało się to szalonym pomysłem. Facet miał dość pieniędzy, żeby kupić sobie setkę baillych. Mógłby wytapetować sobie dom, gdyby tego zapragnął. Nie przychodziło mi też do głowy wytłumaczenie, dlaczego miałyby pragnąć akurat moich skrzypiec ponad wszystkie inne, nawet jeśli kryła się za nimi jakaś niezwykła historia, jak sugerował Dominik.

Tak czy inaczej, taka myśl czała się w zakamarkach mojego umysłu i może była ona jednym z powodów, dla których wpłatałam się w ten niby-związek z gwiazdą rocka i Lubą, jego uwodzicielską i eteryczną towarzyszką.

Tego typu związek z dwojgiem ludzi nie był tak dziwny, jak mógłby się wydawać. Większość czasu spędzaliśmy w domu, a nie poza nim, ponieważ przerażała mnie myśl, że zostanę sfotografowana razem z nimi i pojawię się w tabloidach jako część menage à trois.

Viggo miał małą przerwę między pracą w studiu ze swoją grupą nad nowym albumem a wyjazdem w kolejną trasę. Wyglądało na to, że Luba nie zajmuje się specjalnie niczym, po prostu była dla niego kimś w rodzaju „osoby towarzyszącej”. Taka mniej sztywna wersja Pepper Potts z filmów o Iron Manie, zawsze chętna spełnić jego zachcianki. Łączyło ich coś, czego nie potrafiłam zrozumieć.

Luba była niezwykle pewna siebie i wydawało się, że nie odczuwa cienia zazdrości — ja, o dziwo, także jej nie odczuwałam. Viggo miał wielkie łóżko, co rozwiązywało problem, który zwykle pojawiał się w takich sytuacjach, to znaczy, jak pomieścić w nim wygodnie więcej osób. Dom był ogromny, więc każdy miał dość przestrzeni dla siebie, gdybyśmy się zmęczyli swoim towarzystwem albo gdyby którakolwiek z możliwych kombinacji we dwoje potrzebowała akurat większej prywatności.

Ten układ szczególnie dobrze odpowiadał temperamentowi Vigga. Wielu mężczyzn mogłoby się wzdragać na myśl o zabawianiu dwóch kobiet naraz, on jednak zdawał się niemal bez końca mieć ochotę doprowadzać nas obie do orgazmu i wykazywał szczególną energię zarówno do uprawiania seksu, jak i zabawiania się gadżetami. Luba zachowywała się jak dziecko w sklepie ze słodyczami; traktowała mnie jak nową zabawkę, którą trzeba poznać i wykorzystać, a w przyszłości, kiedy pojawi się kolejna nowość, zapewne porzucić. A ja po prostu cieszyłam się stanem niemal ciągłego fizycznego zaspokojenia.

„Niemał”, bo jakaś część mnie nadal tęskniła za Dominikiem, który ni stąd, ni zowąd pojawił się w Brighton. Rozegrałam to chłodno, ale kiedy już się rozstaliśmy, musiałam zrobić sobie piętnaście minut przerwy, bo ręce trzęsły mi się tak, że nie byłam w stanie utrzymać smyczka. Spotykał się z kimś innym, z Lauralynn, wysoką blondynką, z którą kiedyś wspólnie dominowałam nad pewnym facetem w jej mieszkaniu w zachodnim Londynie. Obie miałyśmy przyczepione na paskach sztuczne penisy i uprawiałyśmy seks z podległym nam mężczyzną na jej łóżku. Obie byłyśmy przy tym całkowicie ubrane, a on nagi. Było to dla mnie doświadczenie interesujące, ale

niespecjalnie podniecające.

Powiedziałam Dominikowi o Viggu bez zastanowienia, mimo że nie sądzę, by naszą trójkę łączyło cokolwiek poza przelotną zabawą. Jeśli on mógł pójść dalej, mogłam i ja.

Mimo to nie potrafiłam przestać o nim myśleć. O jego specyficznym zapachu, samego mydła, bez nuty wody kolońskiej. O jego czasami nieznośnie uprzejmych i staroświeckich wyrażeniach. O jego akcencie, który chwilami trudno było określić — czasami było w nim słychać naleciałości z dzieciństwa spędzonego za granicą, o którym tak naprawdę nigdy nie mówił, a czasami brzmiał jak stuprocentowy Brytyjczyk, oczywiście z tych bardziej dystygowanych. O jego prostych plecach i szerokich ramionach, sylwetce ukształtowanej przez lata uprawiania sportu, której nie stracił, choć nigdy nie zauważyłam, żeby podejmował jakikolwiek wysiłek, żeby utrzymać ciało w formie. O mocnej linii jego zuchwy i zmysłowych ustach. O jego miękkiej skórze. O jego penisie, który zawsze wydawał mi się idealny. Taki prosty i duży, o równomiernym kolorycie.

Przed wszystkim jednak brakowało mi jego przewrotnej wyobraźni i tego, że nigdy nie wiedziałam, co jeszcze chowa w rękawie. Sprawiało to, że nasz związek, mimo wszystkich jego niedoskonałości, był tak pełen życia. Dominik stanowił dla mnie wyzwanie. Nie wiedziałam, że jestem zdolna do rzeczy, które mi kazał robić. Sprawiał, że czułam się obecna, potrafił stopić mój umysł z ciałem tak, jak dotąd robiła to tylko muzyka; przy nim byłam świadoma każdego słowa i każdego dotyku.

Poza tym zdawał się rozumieć mnie w sposób, w jaki inni mężczyźni, z którymi się spotykałam, nie rozumieli. Simón się starał, wiem o tym, i może nawet mu się to udawało, ale mieliśmy inne zapatrywania i plany na przyszłość, których nie dałoby się pogodzić. Viggo prawdopodobnie był tego najbliżej, ale choć był fajnym facetem, brakowało mu empatii. Czasami patrzył na mnie tak, jak się patrzy na rybkę w akwarium, i zastanawiałam się, czy tak naprawdę widzi we mnie osobę, czy tak jak Luba, tylko nową zabawkę, nowy ładny przedmiot do swojej kolekcji, którym przez chwilę można się pobawić.

Tego ranka byłam umówiona z Fran. Ona pracowała wieczorami, a ja spędzałam teraz większość czasu u Vigga, więc rzadko się widywałyśmy.

Spotkałyśmy się w Verde & Co, małej kafejce w Spitalfields, gdzie podawano najlepszą kawę w okolicy i jedną z lepszych w Londynie, choć nie wierzyli w to znani mi Nowozelandczycy i Australijczycy, którzy zdawali się zapominać, że Włosi podawali espresso na długo przed tym, jak my wpadliśmy na pomysł, że do kawy można dolać mleka.

Fran już na mnie czekała, usadowiona na jednym z drewnianych stołków, i podziwiała szklane słoje z marmoladą, ustawione tak, że przeświecało przez nie światło i przetwory wewnątrz nich jarzyły się ciepłymi odcieniami czerwieni, pomarańcza i żółci, w zależności od tego, z jakich zostały zrobione owoców.

Mały sklepik zapelniały różne produkty, w tym najlepszy włoski makaron, zasuszony w kształtach zaskakujących dla kogoś przywykłego do zwyczajnych odmian z supermarketów, i wiklinowe koszyki z wiśniami, brzoskwiniami czy na co tam akurat był sezon. Cukier w kostkach i małe szczypczyki w srebrnym naczyniu. W oszklonej gablotce leżały, oczywiście, cudowne słodczyce, czekoladki od Pierre'a Marcoliniego w najrozmaitszych kształtach i smakach, które zdawały się obiecywać, że każda kolejna będzie jeszcze pyszniejsza od poprzedniej.

Było to jedno z moich ulubionych miejsc, kiedy ostatnio mieszkałam w Londynie; przyglądanie się czekoladkom przez szybę zawsze sprawiało mi przyjemność, ale nigdy żadnej nie kupiłam, zadowalałam się fantazjami — przyjemnością, której sobie odmawiałam, choć była na wyciągnięcie ręki. Lubiłam to uczucie ląknienia, nawet jeśli nigdy nie zostało zaspokojone.

— Przyjemne miejsce — stwierdziła Fran. Widząc, jak wchodzę, od razu zamówiła dwie kawy i zapłaciła za nie przy ladzie.

— Dzięki za kawę — rzuciłam — ale przestań za mnie płacić, dostajesz dychę za godzinę, a ja mam kupę forsy.

— Wiedziałam, że to powiesz — odparła, wrzucając do małej filiżanki jedną kostkę cukru

za drugą, co przypomniało mi Dominika, który zwykle przesładzał wszystkie napoje. Ostatnio wszystko mi o nim przypominało.

— Od kiedy używasz cukru?

— Od kiedy zobaczyłam te śliczne małe kostki. To bardzo elegancki cukier. Nie taki jak w Te Aroha.

— Ale smakuje tak samo. Co u ciebie?

— To samo co dwa tygodnie temu. Bar jest w porządku. Praca ciężka, ale można poznać mnóstwo ludzi.

— Ciągłe szukasz mieszkania?

— Właściwie nie. Lubię mieszkać u Chrisa... Potrzebuje zastępstwa, skoro nie wracasz. A wracasz? I jak ci się mieszka z gwiazdą rocka? Chris mówi, że z tą tancerką też jesteś? Jak to możliwe, do cholery?

— Nie powiedziałabym, że z nią jestem. Raczej nie zabiorę ich ze sobą do domu na Boże Narodzenie.

— Wyobrażasz to sobie? Rodzice byliby tacy dumni. — Zachichotała.

— Ludzie tak żyją... Trójkąty nie są wcale takie rzadkie.

— Tam, skąd jesteśmy, są.

— Nie dałabym głowy. W małych miasteczkach po prostu ludzie bardziej się starają ukrywać to, co robią.

Wróciła kelnerka z dużym kawałkiem ciasta cytrynowego, które Fran zamówiła wcześniej, i postawiła je między nami na stoliku.

— Wygląda świetnie — zauważyłam, wyrwana przez kelnerkę z zamyślenia. — Więc nie boisz się brytyjskiego syndromu? — Przybieranie na wadze było częstym problemem przybyszów z cieplejszych krajów, których tutejsza aura skłaniała do zaniechania ćwiczeń na świeżym powietrzu na rzecz piwka i jedzenia w pubach.

Fran prychnęła.

— Wsuwaj to cholerne ciasto — popchnęła łyżeczkę w moją stronę — i opowiadaj o rockowym życiu. Chcę wiedzieć wszystko. Nie zauważyłaś jeszcze, że przeżywam swoje życie zastępczo poprzez ciebie? Rzuć mi jakiś ochłap.

— Zastępczo przeze mnie? Nie sypiasz z Dagurem, tym perkusistą?

— Niestety nie. Wylądowaliśmy razem w łóżku, ale po tych wszystkich drinkach od razu zapadliśmy w śpiączkę. Obudziłam się obok niego kompletnie ubrana.

— I nie wzięłaś od niego numeru?

— On poprosił o mój. Ale nie kręcał mnie rockmani.

— Och, doprawdy? Nawet Chris? — prychnęłam prowokująco.

— No dobra, nie kręci mnie większość z nich.

A jednak się zaczerwieniła.

Zignorowałam moją komórkę, która zaczęła głośno dzwonić, a Fran skorzystała z okazji, żeby zmienić temat, wyjmując ją z mojej kieszeni i wyciągając w moją stronę.

— To z zagranicy, a takie połączenia zawsze są ważne. Odbierz.

Numer był nowojorski, co oznaczało Simóna albo Susan. Najprawdopodobniej właśnie ją, bo o ile wiedziałam, Simón ciągle przebywał w Wenezueli, a Susan pewnie była już teraz mocno wkurzona. Ciągłe nie odpowiadałam na jej maile i nie wyjawiałam, gdzie jestem.

Zeskoczyłam ze stolka i wyszłam na zewnątrz. Udało mi odebrać tuż przed włączeniem poczty głosowej.

— Halo?

— Summer, gdzie ty jesteś, do diabła, i co tam robisz?

Susan.

— Ciągłe w Londynie. Zrobiłam sobie małą przerwę.

— Też tak myślałam, dopóki nie usłyszałam, że twoje improwizowane występy rockowe w Londynie i Brighton dostały rewelacyjne recenzje. Prasa zwietrzyła temat i w jednym z tabloidów ukaze się kawałek na temat twojej domniemanej rockowej rewolty. Pieszczoszka klasyki zbłądziła i

tak dalej...

— Po prostu zagrałam z przyjacielem.

— Cóż, muszę to odkręcić, chyba że chcesz dostać etykietkę klasycznej skrzypaczki, która przeżywa załamanie kariery.

— Moje skrzypce zostały skradzione — wyznałam cicho, bliska łez.

— Przykro mi to słyszeć. Ale z pewnością masz teraz dość kasy, żeby kupić sobie inne? A jeśli wydałaś wszystko na buty, mogę ewentualnie załatwić jakiegoś sponsora.

— W muzyce poważnej to nie wszystko jedno, na czym grasz. Po prostu nie mogę wrócić na scenę bez bailly'ego.

— Cóż, to chyba nie musi być scena klasyczna. A ten zespół, z którym teraz grasz?

— Groucho Nights. Grali przed Viggim Franckiem i The Holy Criminals... Pewnie o nim słyszałaś? Pomaga im zorganizować trasę po Europie.

— Oczywiście, że go znam. Jeśli wierzyć brukowcom, spał z połową celebrytek.

Doskonale. Możesz grać z nimi. Tylko, na litość boską, nie pozwól, żeby ktoś pstryknął ci fotkę, jak wychodzisz z baru z Viggim Franckiem, przynajmniej do czasu, aż zacznę promować cię jako nową gwiazdę rocka. Właściwie... jesteś jeszcze w kontakcie z tym fotografem, który zrobił ci zdjęcie do koncertu w Nowym Jorku?

Minęły już prawie dwa lata, odkąd Simón wypuścił plakat, na którym byłam zupełnie naga od szyi w dół, zasłonięta tylko skrzypcami. Dzięki niemu sprzedały się wszystkie bilety na mój pierwszy koncert. Susan miała dobrą pamięć.

— Nie wrócił do Australii, chyba... — Przypomniałam sobie fotografa, który robił mi zdjęcia z Chrisem i Fran w ogrodzie Torture, kilka tygodni wcześniej. On przynajmniej byłby dyskretny. — Ale może jest ktoś inny.

— Dobrze. A więc postanowione. Zaraz dzwonię do menedżera Francka. Zostaw wszystkie ustalenia mnie. Jeśli chcesz być też gwiazdą rocka, trzeba zrobić to jak należy.

Rozłączyła się, zanim zdążyłam zaprotestować.

Usiadłam znowu naprzeciw Fran, trochę oszołomiona. Może dobrze się złożyło, że nie znalazłam mieszkania, skoro wyglądało na to, że znowu będę musiała wyruszyć w drogę.

— No i co? O co chodzi? — Fran patrzyła na mnie pytająco.

— Moja agentka chce, żebym pojechała w trasę z Chrisem i jego zespołem.

— Kapitalny pomysł! Chris bardzo by chciał, żebyś z nim grała. Cały czas o tym mówi.

Dogaduje się z Tedem i Ellą, oczywiście, ale ty jesteś jego najlepszą przyjaciółką, Sum... Zdecydowanie powinnaś to przemyśleć.

— Przemyśleć? To chyba nie zależy ode mnie. Moja agentka dzwoni już do jego ludzi, a Susan potrafi namówić wszystkich do wszystkiego. Ale może być już trochę za późno, wyruszają za kilka dni. Musieliby zmienić kilka rzeczy w ostatniej chwili, zorganizować mi sprzęt i promocję... i tak dalej.

— To nie Rolling Stonesi. Kilka koncertów w Europie, jasna sprawa, ale nie przesadzajmy. Jestem pewna, że mogą poprzestawać kilka rzeczy, a jeśli Viggo im każe, nie będą mieli wyboru.

— Chyba tak.

— Smutno mi tu będzie, kiedy oboje wyjedziecie. Ciekawa jestem, co Chris zrobi ze swoim mieszkaniem.

— Mogłabyś pojechać z nami. Będę potrzebowała w trasie menedżera, tak jak i zespół, o ile wiem. Moglibyśmy wciągnąć cię na listę płac. Zwiedziłabyś trochę Europy. I dotrzymałabyś mi towarzystwa. Znasz się na takich rzeczach, pracowałaś w bankowości. Dałabyś sobie radę.

Twarz Fran pojaśniała, jakbym wręczyła jej szczęśliwy los na loterię. Wydała tak głośny okrzyk, że kelnerka aż podskoczyła.

— O mój Boże, byłoby cudownie!

— Uspokój się... czasami przysięgłabym, że masz dwadzieścia jeden lat. Nic z tego nie zostało jeszcze potwierdzone. Przede wszystkim nie mam nawet instrumentu.

— O Boże, to prawda. Więc skrzypce się nie znalazły? I o co chodzi z tym niezgłaszaniem tego policji?

— Viggo nie chce, żeby jego ekipa była przesłuchiwana. Obawia się stracić swoich ludzi, a mogłoby ich wkurzyć, że są podejrzewani o kradzież. Poza tym to miałyby zły wpływ na jego zniżki ubezpieczeniowe. Woli sam zapłacić mi pełną wartość skrzypiec.

— Cóż, ktoś je jednak ukradł. A jeśli nie chce dać się przesłuchać, może to właśnie on to zrobił.

— A mnie naprawdę nie zależy na pieniądzach. Tylko na skrzypcach. To był prezent.

— No tak. Chris opowiadał mi o tym facecie.

Fran podejrzliwie uniosła jedną brew.

— Wy dwoje za dużo rozmawiacie. Nie jestem pewna, czy mi się to podoba.

— Czy on wie, że skrzypce zginęły?

— Dominik? Tak. Dziwne, spotkałam go w Brighton. Był tam, zauważył ulotki i przyszedł się przywitać. Spotyka się z kimś innym. Ale wspomniał o skrzypcach. Mówił, że mają dziwną historię. Prowadzi jakieś badania na ich temat, do powieści. Poprosiłam, żeby dał mi znać, jeśli się czegoś dowie, ale szanse są małe.

— Zadzwoń do niego.

— Co? Teraz?

— Teraz. Spytaj, czy coś odkrył. Znam cię, nigdy nigdzie nie zadzwonisz, jeśli cię do tego nie zmuszę. I nie próbuj udawać, że usunęłaś jego numer.

— Doskonale.

Znowu wzięłam telefon, teraz trochę zdenerwowana. Miałam nadzieję, że rozmowa będzie krótka, więc nawet nie wstałam z krzesła.

Nie odbierał.

— Poczta głosowa — oznajmiłam tryumfalnie.

— W takim razie zostaw wiadomość.

— Cześć... to ja. Summer. — Skarciłam się w duchu; najpierw za to, że założyłam, iż natychmiast rozpozna mój głos, a potem za to, że założyłam, iż go nie rozpozna i podałam imię. Nastąpiła chwila krępującej ciszy, więc szybko pozbierałam myśli i ciągnęłam: — Chciałam tylko sprawdzić, czy czegoś nie wiesz... o skrzypcach. Zadzwoń do mnie. — Rozłączyłam się.

— Rany, gładko ci poszło.

— Zamknij się.

Kiedy wróciliśmy do mieszkania, Chris już o wszystkim wiedział i i był zachwycony. Zdaje się, że ani Susan, ani Viggo nie tracili czasu i pociągnęli za wszystkie sznurki, żeby zrealizować nasz plan. Po południu informacje dotarły do niemal wszystkich miejsc, w których mieliśmy koncerty, i zaczęły się prace nad nowym materiałem promocyjnym. Oficjalnie już wybierałam się w trasę z Groucho Nights jako gościnnie gwiazda.

Kilka kolejnych dni upłynęło na gorączkowych próbach. Przerobiliśmy wszystkie stare kawałki, które graliśmy razem, i przerobiliśmy kilka nowszych piosenek, do których pasowały skrzypce. Trzeba było się trochę namęczyć, żeby dać mi dość czasu na scenie, nie zagłuszając dźwięku; dynamika sceniczna też jest trochę inna w przypadku czterech muzyków, niż kiedy występuje trzech. Wcześniej w centrum był Chris, z Tedem tuż obok i Ellą oczywiście w tyle, za perkusją. Ja byłam na ogół czymś w rodzaju piątego koła u wozu i skrzypce nie wszędzie odpowiednio wtapiały się w muzykę.

Po czterech nocach prób siedzieliśmy znowu w mieszkaniu Chrisa, z niewiadomych względów w dość posępnym nastroju.

Fran była w kuchni, piekła pizzę. Robiła to od czterech godzin, sama przygotowywała ciasto i sos pomidorowy. W całym mieszkaniu pachniało drożdżami z ciasta i czosnkiem z sosu. Chris siedział naprzeciw mnie na okrągłym drewnianym stole na skraju otwartej na pokój kuchni, przygarbiony, podrzucając palcami kapsel od piwa. Patrzyłam na niego i cierpliwie czekałam, opierając łokcie na stole, a podbródek na rękach.

— Czegoś brakuje — mruknął cicho, jakby do siebie.

Czekałam, aż rozwinie temat.

— Brzmienie... coś jest nie tak. Brakuje równowagi.

— Jeśli tak, to nie ma problemu, Chris. Jeszcze nie jest za późno, żeby mnie wycofać, możecie przecież pojechać w trójkę. Nie obrażę się, naprawdę.

Jakaś część mnie czuła się trochę urażona faktem, że zostałam zawłaszczona przez Susan i Vigga. Rockowa faza w mojej karierze wydawała się buntem, świetnym pomysłem na zmianę i odpoczynek — dopóki był to mój pomysł. Teraz, kiedy należał do kogoś innego, czułam się trochę niezadowolona z faktu, że znowu zostałam wyrwana z korzeniami i wysłana w drogę, choć oczywiście cieszyła mnie perspektywa spędzania czasu z Chrisem.

— Nie, nie chodzi o ciebie. Skrzypce brzmią doskonale. Tylko mam wrażenie, że potrzebujemy czegoś więcej.

— Może krowich dzwonek? — zawołała Fran z kuchni.

Chris zaśmiał się i spojrzał na nią z sympatią.

— Wiesz, to nie jest taki zły pomysł — przyznał w zamyśleniu, balansując kapslem na jednym palcu. — Przez cały czas sądziliśmy, że potrzebujemy mniej, a może właśnie potrzebujemy więcej.

— Więcej? Więcej czego? Skąd mielibyśmy wziąć muzyków?

— Potrzebujemy jeszcze jednej warstwy dźwięku. Ale na tak późnym etapie musieliby to być ludzie, którzy już grają razem.

Ciągle mówił do siebie, patrząc gdzieś w przestrzeń, nie odgarniając nawet niesfornych loków z czoła.

W mojej głowie zakiełkował pewien pomysł. Ale zanim zdążyłam go przemyśleć i powiedzieć na głos, pojawiła się Fran z parującym talerzem bułeczek. Wszystkie były posypane wiórkami parmezanu i udekorowane lekko nadpalonymi listkami bazylii. Ustawiła je w kształt piramidy.

— Rany — sapnął Chris. — Super. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem.

Powstrzymałam uśmiech. Fran ciągle wydawała się nieświadoma wrażenia, jakie na nim wywierała. Ja jednak znałam Chrisa od lat i nigdy jeszcze nie widziałam, żeby się przy kimś tak zachowywał. Zaczął prasować swoje podkoszulki, nawet wtedy, kiedy nie wychodził z domu, mimo że Fran była jedną z najbardziej niechłujnych osób, jakie znałam; jej ubrania rzadko miały kontakt z wieszakami, nie wspominając już o desce do prasowania.

— To, czego wam trzeba — zaczęła, ignorując jego komplement — to trąbka. Albo trzy.

— Może mogłabym pomóc — dodałam. Ciągle miałam kontakt z Mariją i jej mężem Baldem, z którymi dzieliłam mieszkanie w Nowym Jorku, zanim przeprowadziłam się do Dominika. Marija grała w orkiestrze na flecie, ale ćwiczyła też na trąbce i była w tym niemal równie dobra jak Baldo; na pewno dość dobra na nasze potrzeby. Mogli jednak nie mieć akurat czasu albo nie zdołać dotrzeć do nas na czas, wiedziałam jednak, że byli trochę znudzeni, odkąd Simón wyjechał i został zastąpiony przez dyrygenta, który miał mniej fantazji, więc flirt z zespołem rockowym może być dla nich atrakcją.

Viggo zgodził się na dodatkową sekcję dętą, a Susan pociągnęła za kilka sznurków, żeby wyplatać Mariję i Balda ze zobowiązań, jakie mieli w Nowym Jorku.

— Przyda wam się jeszcze jedna — powiedziała do mnie następnego dnia. — Więc wysyłam do was też Aleksa.

Alex był saksofonistą, z którym Marija próbowała mnie kiedyś umówić na randkę, co skończyło się tym, że poszłam do domu z agentem ubezpieczeniowym. Mieszkał w eleganckim apartamencie, gdzie pachniało łososiem, w Upper East Side. Dominika wszystko to rozbawiło, a Alex, na szczęście, nie poczuł się zbyt urażony, bo udało mu się poderwać w barze inną dziewczynę, podczas gdy ja byłam na balkonie i flirtowałam z Derekiem.

Cała trójka miała przylecieć prosto do Paryża. Będą mieli akurat dość czasu, żeby odespać, a my dzień czy dwa na próby przed pierwszym koncertem, który się odbędzie w La Cigale na Boulevard Rochechouart. Byłam raz w Paryżu, jakies cztery lata wcześniej, ale miałam mało czasu na zwiedzanie — mimo to zostały mi piękne, choć mgliste wspomnienia związane z tym miastem. Tym razem mieliśmy się zatrzymać w części, w której wcześniej nie byłam. Fran, w nowej roli

menedżera, załatwiła hotel.

Pozostało mi się tylko spakować i pójść na sesję zdjęciową, na której tak zależało Susan. Było za późno, żeby wydrukować nowe plakaty, ale planowała wysłać kilka zdjęć do krytyków i magazynów muzycznych, przynajmniej żeby powstrzymać plotki, że straciłam wenę czy zaczęłam się staczać, i pokazać to, co się dzieje, jako tymczasową zmianę kierunku. Uznała, że rock może dodać mi trochę seksapilu, który pomoże sprzedawać moje płyty z muzyką poważną. Susan zawsze entuzjastycznie promowała mój seksapil i była bardzo zadowolona z fotografa, którego zaproponowałam, Jacka Greysona — jak się okazało, fotografował też modę i miał na swoim koncercie kilka ryzykownych ujęć różnych celebrytów. Miał też wystawę aktów w jednej z londyńskich galerii, która stała się sławna, kiedy jakiś pruderyjny zwiedzający wezwał policję.

Z ciekawości wyszukałam te zdjęcia. Moim zdaniem wszystkie mieściły się w granicach dobrego smaku, choć niektóre bez wątplenia mogły szokować ludzi bardziej konserwatywnych. Jedno szczególnie przyciągnęło moją uwagę, była na nim kobieta pochylona nad stertą książek, z piękną dużą truskawką wystającą z odbytu. Druga kobieta siedziała za nią, najprawdopodobniej odpowiedzialna za umieszczenie truskawki tam, gdzie się znajdowała. Miałam wielką ochotę zapytać Jacka, czy też Greysona, bo tak go zwykle nazywano, jak udało mu się utrzymać tę truskawkę na miejscu, ale wydawało mi się, że to rozmowa na inną okazję, może raczej przy piwie.

Greyson mieszkał i pracował w budynku, w którym dawniej mieściła się szkoła, niedaleko od kawalerki w Whitechapel, którą wynajmowałam, gdy poznałam Dominika. Kiedy przyszedł, zaproponował mi kawę; wypiliśmy ją, spoglądając z balkonu na cmentarz i siedemnastowieczny kościół. Obecność śmierci i religii wprowadzała poważniejszy ton w poza tym dość dziewczynskie wnętrza, kremowe, z mnóstwem ozdobnych krzesełek i wysokich wazonów z kwiatami.

W pokoju, który wykorzystywał jako główne studio, było mnóstwo lamp, tła i innego sprzętu, którego nie byłam w stanie zidentyfikować, z wielkimi misami i płaskimi blendami do odbijania światła.

Jack nieobleczony w lateks wydawał się zupełnie inną osobą. Miał na sobie dzinsy i białoczną podkoszulkę Religion z nagą kobietą leżącą w sklepowym wózku. Jego asystentka, Jess, wykładała produkty do makijażu i stylizacji włosów na kuchennym stole; wystarczyłoby tego na całą drogerię, a na pewno po brzegi wypełniało walizkę, którą taszczyła po schodach na górę, kiedy przyszedł. Nigdy dotąd nie miałam sesji zdjęciowej, w każdym razie takiej profesjonalnej. Kilku facetów, z którymi się spotkałam, zrobiło mi zdjęcia bez ubrania, ale na szczęście albo nie wysłali ich do gazet, kiedy stałam się znana jako solistka, albo gazety nie były nimi zainteresowane. Zdjęcie, które pokazałam Simonowi, umieszczone na ulotkach reklamujących mój pierwszy koncert w Nowym Jorku, było jednym z nich. Miałam krótki romans z pewnym australijskim fotografem, który także zrobił mi kilka nagich zdjęć, grającej na skrzypcach albo trzymającej instrument na wysokości piersi. Nigdy jednak nie pozowałam w studyjnych światłach, w takich okolicznościach.

Dostałam wcześniej e-mail od Graysona, z potwierdzeniem ustaleń. Zapewne wysyłał takie wiadomości do wszystkich swoich klientów. Podał mi adres i napisał, co powinnam ze sobą przywieźć. Pytał też, na jaki rodzaj fotografii się zgadzam: w ubraniu, bieliźnie czy nago. Dodał, że woli wyjaśnić to z wyprzedzeniem, żeby modelka nie została zaskoczona takim pytaniem w dniu sesji albo nie zrobiła pod wpływem chwili czegoś, czego mogłaby później żałować.

Napisał też, że nie mogę przyprowadzić ze sobą na sesję przyjaciółki, boby mnie to rozpraszało, ale makijażystka będzie obecna przez cały czas, więc mogę się czuć bezpieczna. Nie był więc żadnym zboczeńcem ani jednym z tym „facetów z aparatem”, którzy zapraszają dziewczyny na improwizowane sesje fotograficzne, podczas gdy chodzi im tylko o to, żeby się rozebrały. Płaciłam za zdjęcia na użytek własny i Susan wyraźnie poinstruowała mnie, żebym nie podpisywała umowy dla modelki, bo wówczas fotograf będzie miał prawo sprzedawać zdjęcia bez mojej wyraźnej zgody.

Odpowiedziałam, opisując rodzaj zdjęć, na jakich mi zależy, i dodałam, że nie mam nic przeciw nagości. Susan sugerowała, że wszystko powinno się mieścić w granicach dobrego smaku i tylko naprawdę niewinne ujęcia zostaną wykorzystane w promocji.

— Przyniosłaś ze sobą jakieś stroje? — spytał, wyjmując mi pusty kubek po kawie z rąk i wkładając go do zlewu.

— Kilka — odparłam, grzebiąc w wielkiej torbie, z którą tam przyszłam. Znajdowały się w niej ubrania moje i Fran, które były o rozmiar za małe, ale na pewno można było z nimi coś zrobić. Legginsy, które wyglądały, jakby były mokre, skórzana kurtka, kilka sukienek, kozaki Fran zachodzące na uda, i buty, które kupiłam sobie w nagrodę po mojej pierwszej trasie: czarne louboutiny ze srebrnymi ćwiekami. Żadna z tych rzeczy nie była tak naprawdę w moim stylu. Popatrzyłam na wyłożone ubrania i pomyślałam „domina”, a nie „rockmenka”, ale Grayson wydawał się zadowolony z mojego wyboru.

— Chciałaś też kilka półnagich zdjęć, tylko ze skrzypcami?

— Tak. — Już zaczęłam myśleć o tym, że zaraz będę musiała się rozebrać, i mój głos zmienił się w podniecony pisk. Nerwy, powiedziałam sobie, choć był w tym też ekshibicjonizm, dawno pogrzebany, który zaczął wychodzić na powierzchnię. Kiedyś rozbierałam się publicznie i bardzo mi się to podobało, ale zawsze robiłam to na polecenie Dominika albo Victora, dominującego mężczyzny, z którym spotykałam się w Nowym Jorku.

— Zaczniemy od zdjęć w ubraniu, dla rozgrzewki.

Zachowywał się przyjaźnie, ale tak profesjonalnie, że niemal zimno, jakby przez całe życie specjalnie się starał, by nawet przypadkiem nie sprawić wrażenia, że flirtuje. Dziwnie się czułam, zabierając swoją torbę do łazienki, żeby się przebrać, bo lustro było w pokoju, niedaleko miejsca, w którym rozłożyła się stylistka, a oni oboje i tak mieli mnie później zobaczyć nago.

Wobec tego przebrałam się przy nich; najpierw zdjęłam przez głowę bluzkę, potem zsunęłam spódnicę i rzuciłam je razem na podłogę, jakbym robiła takie rzeczy codziennie, gawędząc przy tym o niczym, żeby wydawać się swobodna. Żadne z nich nie zwracało na mnie szczególnej uwagi, ale i tak czułam się niezręcznie.

Na początek wybrałam legginsy, louboutiny z ćwiekami i włożyłam skórzaną kurtkę na stanik. Zrobiłam sobie coś w rodzaju próby kostiumowej z Fran i obie uznałyśmy, że ten zestaw jest najbardziej rockowy w stylu.

Zrobienie makijażu i włosów zabrało około godziny, a kiedy byłam już gotowa, z trudem rozpoznawałam samą siebie. Miałam powieki obwiedzione czarnym eye-linerem i szarym cieniem, i sztuczne rzęsy, tak długie, że sięgały brwi, kiedy szerzej otwierałam oczy. Jess upięła mi włosy na czubku głowy i zaznaczyła kontury twarzy pudrami w różnych odcieniach, tak że kości policzkowe sterczały mi jak u kota. W legginsach i skórze naprawdę wyglądałam na ostrą dziwkę w rodzaju femme fatale. Takiej dziewczyny raczej nie przedstawia się mamie.

— Wygnij trochę bardziej plecy. Bardzo dobrze.

Na początku pozowanie nie bardzo mi wychodziło i Greyson, długo niezwykle cierpliwym, zaczął w końcu sam układać moje kończyny. Czułam wtedy znajome gorąco; sposób, w jaki przejmował kontrolę nad moim ciałem, obudził myśli, które z czasem rozwinęły się w fantazje i zanim się zorientowałam, zaczęłam reagować na jego polecenia tak, jak reagowałam na rozkazy Dominika. Odezwały się stare nawyki.

Greyson przerwał na moment i przejrzał przerzucone na komputer zdjęcia, podczas gdy ja z trudem utrzymywałam nogi bez ruchu i plecy wygięte pod odpowiednim kątem, żeby nie musiał poprawiać oświetlenia.

— Spróbujmy bez stanika — zaproponował. — Wydaje mi się, że on przecina ci skórę.

— Och, jasne — rzuciłam swobodnie i zaczęłam mocować się z haftkami, starając się przy tym nie zmienić za bardzo pozycji, w której tak długo nie mógł mnie ustawić.

Usiłowałam przy tym ukryć reakcję mojego ciała, bo nie chciałam, żeby poczuł się skrępowany, ale kiedy dotarliśmy wreszcie do nagich zdjęć, miałam twarde sterczące sutki i mokre majtki.

— Nie — sprzeciwił się, kiedy zaczęłam zdejmować szpilki. — Zostań w butach.

Dominik wypowiedział kiedyś te same słowa, kiedy grałam dla niego nago w krypcie, a Lauralynn, za moimi plecami, grała z zawiązanymi oczami na wiolonczeli. Wspomnienie to sprawiło, że znowu ogarnęło mnie bolesne, pulsujące pożądanie, choć nie Greysona. Po prostu tak

się złożyło, że był obok, schwytny w cień moich szczególnych upodobań seksualnych i wspomnień minionego związku.

Przełknęłam ślinę i spróbowałam skupić się na tym, co robiłam. Chciałam zmusić przynajmniej sutki do uległości. Nie mogłam nawet udawać, że jest mi zimno, bo ogrzewanie pracowało pełną parą i w studiu było jak w saunie. Fakt, że Greyson był dość atrakcyjny, w stroju fetyszysty i zwyczajnych ciuchach, też mi nie pomógł. Wysoki i szczupły, miał przyjazne szaroniebieskie oczy, które uśmiechały się, kiedy mówił. Aparat fotograficzny trzymał tak, jakby był przedłużeniem jego ciała, tak samo jak ja trzymałam skrzypce. Jego postawa i każdy ruch świadczyły o tym, że panuje nad wszystkim, co dzieje się podczas sesji.

Opuścił ciemne tło i położył ciemną płachtę na podłodze. Byłam otoczona przez lampy, które ustawił tak, że połowa mojego ciała kryła się w cieniu, aby osiągnąć tajemniczy, raczej artystyczny niż pornograficzny efekt. Za każdym razem, kiedy wyzwał flesz, ostre białe światło błyskało nie dość mocno, żeby mnie oślepić, ale wystarczająco, by wzmocnić uczucie, że jestem obserwowana, wystawiona na widok podglądacza, nawet jeśli osoba, która na mnie patrzyła, robiła to dla celów zawodowych, a nie seksualnych — na mnie działało to tak samo. Cieszyłam się, że Greyson był skupiony tylko na tym, żeby zrobić zdjęcie, i że pod tym względem byłam dla niego takim samym obiektem jak skrzypce, które trzeba było tylko odpowiednio ustawić i oświetlić. Miałam tylko nadzieję, że kiedy powiększy fotografie do retuszu, nie zauważy wilgoci, która zaczynała mi spływać po udach.

Od czasu do czasu Jess wpadła do pokoju, żeby zaproponować nam kolejną filiżankę herbaty, przypudrować mi twarz czy poprawić włosy. Jej dotyk był lekki jak muśnięcie piórkami; najwyraźniej widziała już wiele nagich kobiet, bo nawet nie spojrzała na mnie drugi raz. Zawsze skupiałam się na tym, co mi się we mnie podobało, i starałam unikać czasopism o dietach i rozmyślenia o swoich niedoskonałościach, mimo to jednak teraz zastanawiałam się, jakie są te inne kobiety, które fotografuje Greyson. Czułam się trochę tak jak wtedy, kiedy Dominik kazał mi tańczyć po niezwykłym występie Luby w Nowym Orleanie. Jak amatorka, wcielająca się w cudzą rolę. Byłam skrzypaczką, nie modelką.

Ale myślenie o tym, że utknęłam w sytuacji, nad którą nie panuję, obserwowana, rzucona na pastwę czyichś rozkazów, tylko nasilało moje podniecenie.

Zrobiliśmy kilka ujęć pionowych, na których trzymałam skrzypce w taki sposób, by zasłonić wszystko, czego nie można by pokazać w mainstreamowych gazetach, a potem kilka na siedząco, z rozłożonymi nogami, skrzypcami między udami i głową opartą o gryf, na których wpatrywałam się w zamyśleniu w przestrzeń albo prowokacyjnie patrzyłam w obiektyw. Przypominałam sobie wreszcie, co powiedział mi o pozowaniu tamten australijski fotograf, z którym się kiedyś spotykałam — że powinnam wyobrazić sobie, że czuję to, co chcę pokazać na zdjęciu, i postarać się, by aparat stał się tego częścią. „Żeby wyglądać seksownie, wyobraź sobie, że aparat jest fallusem albo czymkolwiek, co się kręci”.

Spróbowałam tego, zwracając całą uwagę i frustrację w stronę długiego obiektywu Greysona, podczas gdy on nie przestawał robić zdjęć.

— Noo — mruknął po kilku ujęciach. — Te są świetne, ale nie jestem pewny, czy będziesz mogła je wykorzystać; to zależy od tego, do jakich magazynów chciałaś je wysłać, oczywiście... może trochę przybliżysz nogi do siebie?

— Prawdę mówiąc, chciałabym też kilka bardziej... osobistych zdjęć. Tylko dla mnie. — Czułam, jak moja twarz oblewa się szkarłatem. — Jeśli to nie mieści się w naszym dzisiejszym budżecie, chętnie dodatkowo za nie zapłacę. Ale nie wspominaj o tym mojej agentce.

— Więc to wszystko prawda o twoim rockowym buncie, co? — zachichotał. — Chętnie zrobię wszystko, na co masz ochotę i nie martw się, dotrzymam twojej tajemnicy.

Od tej chwili byłam coraz śmielsza i coraz bardziej podniecona.

— Pozuj tak, jakbyś kochała się ze skrzypcami — powiedział — a nie z aparatem.

Przeniosłam uwagę na instrument i teraz obiektem seksualnym nie był już obiektyw, tylko skrzypce, ale widziałam je nie jako fallusa, a raczej kartę pamięci, zapis wszystkich moich doświadczeń, które były kolejnymi ważnymi etapami na drodze, którą dla siebie wybrałam.

Pierwsze wróciły do mnie wspomnienia Dominika, najsilniejsze i niemal zawsze związane z muzyką, z baily. Tamtych skrzypiec już nie było, ale wspomnienia ciągle należały do mnie. Koncert dla Dominika w Hampstead Heath, w krypcie, w apartamencie w Nowym Jorku; oczekiwanie, aż znajdzie mnie nagą, ze skrzypcami w rękach. To była moja symboliczna wiadomość dla niego, że jest taka część mnie, która jest jego własnością.

— Te są zdumiewające — ocenił na końcu Greyson, kiedy szybko przejrzał zdjęcia na wielkim ekranie swojego komputera. — Nasyć trochę bardziej kolory, usunę szumy, wytnę z tła to, co przeszkadza i tak dalej, ale poza tym właściwie nie wymagają retuszu. Podobają mi się surowe, takie jakie są.

— Tak. Są piękne. Dziękuję. — Czułam dziwną wdzięczność do tego fotografa za to, że zdołał uchwycić coś tak unikalnego na zdjęciu. Kiedy zdjęcia pojawiły się na ekranie, największe wrażenie zrobił na mnie wyraz mojej twarzy. W oczach miałam czysty seks, ale nie było w tym nic wulgarnego, pornograficznego. Wyglądałam jak syrena, jakby cała moja postać była utkana z feromonów, a nie z atomów. I naprawdę wyglądałam tak, jakbym kochała się ze skrzypcami.

Obiecał, że przyśle mi mailem wszystkie zdjęcia, żebym mogła wybrać te, które najbardziej mi się spodobały, do retuszu. Podziękowałam mu jeszcze raz i jakoś zdołałam się ubrać, mimo że trzęsły mi się ręce i mocno biło serce. Zapomniałam o skrępowaniu z powodu tego, że byłam jedyną nagą osobą w pomieszczeniu, wystawioną na spojrzenia fotografa i makijażystki. Chciałam po prostu pobiec do domu i zastanowić się w samotności nad uczuciami i wspomnieniami, które chyba na stałe zagnieździły się w moim umyśle.

Wiedząc, że jeśli pójdę do Chrisa albo Fran, będę miała towarzystwo, skręciłam do parku za cmentarzem przy domu Greysona. Usiadłam na jednej z ławek i patrzyłam na stare kamienie, tworzące fundament wznoszącego się ku niebu kościoła. Zwykle kościoły przypominają mi o dreszczu, ale ten był inny. Kamienie były jasnoszare, prawie białe, nie sypały się ani nie porastał ich mech. Budynek, jeśli przyjrzeć mu się uważniej, miał w sobie pewną lekkość i wielkość, które raczej dodawały otuchy, niż budziły strach.

Znalazłam drzwi i weszłam do środka. Główne drzwi były zamknięte, ale udało mi się dostać do dużego łukowatego pomieszczenia zbudowanego z tych samych jasnych kamieni, które sięgały nieba nad moją głową. Oparłam się o jedną ze ścian, przyjemnie chłodną, i powoli osunęłam po niej na ziemię.

Rozpaczliwie pragnęłam Dominika. Nie tylko po to, żeby się z nim pieprzyć, choć jeszcze raz w życiu. Chciałam z nim rozmawiać, poczuć, jak bierze mnie w ramiona, położyć głowę na jego ramieniu, przesunąć ręką po jego piersi. Po prostu z nim być.

Ale on był z Lauralynn i teraz już za późno na żal. Sama sobie pościeliłam i teraz musiałam w tym łóżku spać.

Ale mogłam przynajmniej usłyszeć jego głos i może znaleźć sposób na odzyskanie baily'ego, instrumentu, który w jakiś sposób ciągle łączył mnie z Dominikiem.

Wyjęłam z torebki telefon.

Paryskie melodie

Zadzwonił telefon. To była Summer.

Dominik czekał na to od wielu dni, od czasu, kiedy wypili razem kawę w Brighton. Zastanawiał się, czy sam powinien do niej zadzwonić, czy nie. Tak bardzo chciał usłyszeć jej głos, znowu poczuć, że ona jest przy nim.

Ale za każdym razem wydawało się, że to nie jest właściwy moment. Natknął się na nią w Brighton przez czysty przypadek, ale obawiał się, że jeśli zadzwoni do niej teraz, można to będzie uznać za nękanie.

Wystukiwał jej numer, ale zaraz się rozłączał, wahał się i dręczył wątpliwościami. Skontaktował się już z LaValle'em i powiedział mu o kradzieży bailly'ego. Chciał zebrać informacje o rynku kradzionych instrumentów muzycznych. La Valle podał mu nazwisko pośrednika, który jak się okazało, mieszkał na paryskim przedmieściu i czasami ułatwiał nie do końca legalne transakcje. Handlarz był rozbawiony, gdy usłyszał, że osławiony bailly nadal sprawia kłopoty, jakby kradzież dodawała splendoru legendzie Angelique.

Dominik chciał omówić to wszystko z Summer. Tego dnia już dwa razy ostrożnie sięgał po telefon na biurku w taki sposób, jak po rozżarzony węgiel. Poszedł na spacer przez Heath w nadziei, że to rozjaśni mu w głowie, ale kiedy wrócił, zastał wiadomość od Summer. Po tym wszystkim przegapił jej telefon! Jak szybko powinien teraz oddzwonić?

Wibracja komórki, która zaczęła podrygiwać na biurku, wyrwała go z zamyślenia.

— Dominik? — Jej głos brzmiał tak, jakby była tuż obok.

— Tak.

— To ja, Summer.

— Miałem nadzieję, że zadzwonisz.

— Naprawdę? — Nie potrafiła ukryć, że te słowa sprawiły jej przyjemność.

— Oczywiście. Nadal żadnych wieści o baillym?

— Nie. — Ton rozczarowania niemal złamał mu serce.

— Dostałem nazwisko kogoś, kto może pomóc. Ale to oznacza konieczność wyjazdu do

Paryża...

— Do Paryża?! — wykrzyknęła Summer. — Jedziemy tam w przyszłym tygodniu. Z koncertem. Rozpoczynamy trasę w La Cigale.

— To wspaniale — stwierdził Dominik.

— Gdybyś przyjechał w tym czasie, mógłbyś przyjść na koncert. Musiałabym cię wciągnąć na listę gości, oczywiście. Przyjedziesz? Proszę?

— Bardzo chętnie.

— A po koncercie może poszlibyśmy na kawę. Porozmawiali dłużej. Naprawdę bym tego chciała, Dominiku...

— Zawsze chciałem cię zabrać do Paryża.

— Wiem, ale jakoś nigdy nam się to nie udało, prawda?

— Czy nie jest już trochę za późno? — spytał Dominik, walcząc z ogarniającym go przygnębieniem. — Czy Viggo Franck też tam będzie?

— Może — szepnęła. — Ale to... luźny związek, rozumiesz.

— Luźny?

— Tak czy inaczej, mówimy tylko o rozmowie, przez wzgląd na dawne czasy. Jestem pewna, że Lauralynn nie miałaby nic przeciw temu. Możesz ją zabrać ze sobą w charakterze przyzwoitki — zażartowała.

— Lauralynn jest teraz w Stanach. Jakies sprawy rodzinne.

— Och.

Zapadła ciężka cisza. Oboje rozważali sytuację.

Dominikowi wydawało się, że Summer wzięła głęboki oddech, jakby zbierała siły.

— Przyjedź do Paryża — powiedziała spokojnie.

Dominik się uśmiechnął.

— I kto tu teraz wydaje rozkazy? — rzucił z rozbawieniem.

W odpowiedzi zachichotała cicho.

— Może znowu powinienem przejąć inicjatywę — zasugerował Dominik.

— Inicjatywę?

— Wydawać ci rozkazy...

Przez chwilę miał wrażenie, że posunął się za daleko, za bardzo się spoufalił. Tamten czas minął, wiele się zmieniło. Ta gra już się skończyła.

— Może powinieneś? — Głos Summer był dziwnie stłumiony. To był jej głos z łóżka. Jej intymny głos, którym mówiła, kiedy miała ciemną szminkę na ustach, tę wieczorną.

— Hm... — zastanawiał się Dominik. — Na tym etapie chyba nie powinienem prosić, żebyś pojawiła się na scenie w Paryżu nago — zauważył. — Zbyt wielu Francuzów na widowni, przede wszystkim.

Summer się zaśmiała.

— Może dotarłam do etapu, kiedy nie muszę już słuchać rozkazów ani propozycji.

— To znaczy?

— Przyjedź do Paryża, Dominiku. Wciągnę cię na listę. Koncert odbędzie się w La Cigale, na Boulevard Rochechouart. Dziewiętnastego. Podobno to świetne miejsce na koncert, z atmosferą.

— Przyjadę — obiecał.

— Wymyślę coś — dodała.

— Tego jestem pewny — zakończył Dominik. Zalała go fala ulgi.

Pociąg Eurostar wjechał na Gare du Nord, opóźniony z powodu niewyjaśnionych problemów technicznych na linii. Kolory zachodu ciągnęły się smugami po niebie nad Paryżem, kiedy Dominik wysiadł i ruszył na postój taksówek.

Zostawił torbę podróżną w tym samym hotelu co zawsze, przy rue Monsieur-le-Prince, niedaleko Odeonu, i poszedł coś zjeść. Cała okolica została w ciągu kilku ubiegłych lat skolonizowana przez restauracje w nowym stylu japońskim, nie musiał więc ruszać się dalej niż kilka kroków od drzwi hotelu.

Wiedział, że Sumer i Groucho Nights zostali zakwaterowani przez organizatorów koncertu po drugiej stronie Sekwany, ale stare nawyki dobrze się trzymają, wolał więc się zatrzymać w Quartier Latin, dzielnicy, w której spędził znaczną część młodości. Pokój miał mały i skromny, ale nie potrzebował niczego poza łóżkiem i dachem nad głową; wszystko inne tylko by go rozpraszało.

Dominik planował skontaktować się z pośrednikiem, człowiekiem, którego zarekomendował mu LaValle, wczesnym rankiem następnego dnia.

Na początku pośrednik, który przedstawił się jako Cavalier, był trochę podejrzliwy. Ale kiedy Dominik wyjaśnił, że jego pytania mają związek z badaniami do nowej książki, i podał szczegóły dotyczące swojej tożsamości, chłód jego rozmówcy nagle znikł.

— Ach, pisarz. Lubię pisarzy!

Nie czytał powieści Dominika, ale o niej słyszał. Jak na ironię, Francja była jednym z krajów, w których jego powieść nie sprzedawała się szczególnie dobrze, jakby miejscowi czytelnicy byli urażeni faktem, że cudzoziemiec odważył się pisać o ich kraju.

Cavalier miał inne spotkanie na mieście tego samego popołudnia i zgodził się zobaczyć także z Dominikiem, by oszczędzić mu jazdy pociągiem aż do Nogent-sur-Marne, gdzie miał swój pavillon. zaproponował kawę niedaleko Boulevard Saint Germaine, w Les Editeurs, dość literackim miejscu gdzie, jak zauważył, mają półki pełne książek na wszystkich ścianach. „Zabawne, nie? Może mają też twoją?” Kafejka znajdowała się zaledwie kilka minut drogi od hotelu Dominika.

Dziwnie się czuł ze świadomością, że jest teraz w tym samym mieście co Summer. Że ona jest po drugiej stronie rzeki, zajęta swoimi sprawami. Fakt, że mieszkała, choć on o tym nie wiedział, dwa kroki od niego w Camden Town w Londynie już od kilku tygodni, nie działał tak na jego emocje. Paryż sprawiał, że jej obecność była rzeczywista i nierzeczywista jednocześnie,

budząc słodko-gorzkie echa w jego sercu.

— Kolekcjonerzy, oni są bardzo różni — odezwał się Cavalier. Był młodszy, niż spodziewał się Dominik. Niewysoki, szczupły mężczyzna o czarnych jak atrament włosach zaczesanych do tyłu w kucyk, który wystawał spod przybrudzonej fedory. Miał na sobie marynarkę w kratkę i ciemne, idealnie zaprasowane spodnie, o kantach ostrych jak brzytwa.

— Też to zauważyłem — przyznał Dominik, dla podtrzymania rozmowy.

— Nie chodzi o pieniądze, oczywiście, to nie dlatego decydują się na kradzieże i inne nielegalne działania. Kiedy już coś zdobędą, nie mają zamiaru tego sprzedawać, a już na pewno nie dla zysku.

— Wiem.

— Robią to dla piękna. Po prostu. Znam kolekcjonerów książek, którzy zbierają rzadkie wydania tylko po to, żeby je mieć. Nigdy nie czytają żadnych książek, zwłaszcza tych, które mają.

— Mnie bardziej interesuje podziemny rynek instrumentów muzycznych.

— Instrumenty, książki, dzieła sztuki, biżuteria, dywany, dla nich to wszystko jedno — ciągnął Cavalier. — Chciwość, czysta chciwość, jeśli mnie pan pyta. Bogatsi kolekcjonerzy zlecają kradzieże...

— To w tym miejscu wkracza pan do akcji? — spytał Dominik.

— Nie powiedziałbym — stwierdził Cavalier z szerokim uśmiechem. — Zajmuję się tylko dostarczaniem informacji. Pomagam wszystkim stronom najlepiej jak potrafię.

Upił łyk swojego pastis. Jego zapach wydawał się odrażający Dominikowi, który dodawał cukru i wody do citron pressé.

— A więc czy jest ktoś znany z upodobania do rzadkich skrzypiec?

— Ach, przechodzi pan do sedna! Niech zgadnę, chodzi o słynnego bailly'ego monsieur LaValle'a, Angelique?

— Owszem.

— Interesujące. Instrument o fascynującej przeszłości. Czy to nie dziwne, jak niektóre z takich historii potrafią się spełniać?

— Owszem. Tak często bywa w powieściach. I w życiu...

— Właśnie.

— Z pana doświadczenia, czy mógł być ktoś, kto poszukiwał tego instrumentu? Takie odniosłem wrażenie, rozmawiając z panem LaValle'em.

— Cóż, zawsze są kolekcjonerzy, których uwiodła jakaś intrygująca historia — odezwał się w zamyśleniu. — Ale wie pan, że nie mogę podać konkretnych nazwisk. Jestem zobowiązany do dyskrecji, rozumie pan.

— Oczywiście, zdaję sobie z tego sprawę, ale...

— Mogę za to powiedzieć panu jedno...

— Tak?

— Jest pewien dżentelmen, znany kolekcjoner, nie tylko instrumentów muzycznych, lecz także dzieł sztuki, który niedawno usunął interesujący pana przedmiot ze swojej listy. Może go zdobył i uznał, że lepiej będzie pozbyć się dowodów swojego dawnego zainteresowania.

— Doprawdy?

— Cóż, byłoby nierozsądnie zachować taki przedmiot na liście, kiedy w taki czy inny sposób wpadł już w nasze ręce. Nie chcielibyśmy, żeby jakiś przedsiębiorczy wolny strzelec nam go ukradł i skomplikował sprawy, prawda?

— Chyba tak — zgodził się Dominik. Wiedział, że Cavalier nie poda żadnych nazwisk; nie oczekiwał tego. Ale była w tym człowieku pewna próżność, duma z posiadanej wiedzy, która mogła okazać się jego słabością, jeśli zostanie umiejętnie połączona.

— Viggo Franck, ten muzyk... czy to coś panu mówi?

W oczach Cavaliera pojawił się błysk, ale Francuz opanował się szybko i odparł:

— Z pewnością czytałem o nim w gazetach. Kobięciarz, nie?

— I znany kolekcjoner.

— Tak sądzę.

— Człowiek zamożny?

— Niezaprzeczalnie.

Dominik zamieszał cukier, który opadł na dno wysokiej szklanki soku cytrynowego, i obserwował, jak się rozpuszcza.

Mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu, obaj pogrążeni w rozmyślaniach.

— Gdybym nie wiedział, że pisze pan książki — zaczął Cavalier — powiedziałbym, że ma pan zadatki na dobrego prywatnego detektywa.

— Pochlebia mi pan.

Dominik wiedział, że więcej z niego nie wyciągnie, ale czuł, że jest na dobrym tropie.

Choć Summer już wcześniej podzieliła się z nim takim podejrzeniem, wiedział, że nie będzie zadowolona z faktu, iż potwierdziły je inne osoby i że prawdopodobnie sypia z człowiekiem bezpośrednio związanym z kradzieżą jej cennych skrzypiec.

Naszych skrzypiec, pomyślał Dominik.

Światła na widowni w La Cigale przygasły, można było dostrzec w mroku ciemne zarysy wielkich wzmacniaczy na pełnej instrumentów scenie i sylwetki muzyków zajmujących swoje miejsca. Małe czerwone światełka kontrolki błyskały, podczas gdy publiczność zdawała się zbiorowo wstrzymać oddech w oczekiwaniu.

Kilka punktowych świateł wydobyło z ciemności szczupłe, wysokie postaci Chrisa i jego kuzyna, którzy stanęli przy dwóch głównych mikrofonach na przodzie sceny.

— Raz i dwa, i trzy... — Ella zaczęła odliczać.

Pierwszy utwór koncertu Groucho Nights był balladą śpiewaną a capella przez dwóch wokalistów. Luźna adaptacja angielskiej piosenki ludowej, której nadano bardziej chwytliwy rytm, zawsze przykuwała uwagę publiczności swoją surową melodią i prostotą. Spokój tej początkowej części koncertu i ascetyczna inscenizacja, w której światło wydobywało z ciemności tylko tych dwóch mężczyzn, stanowiły wyrazisty wstęp i określały nastrój na resztę wieczoru.

Głosy zaczęły milknąć, ale gitara basowa, nie zostawiając przerwy na oklaski, podała rytm następnego utworu. Cała scena rozbłysła światłami, odezwała się perkusja i Groucho Nights podłączyli się do prądu. Gitara Chrisa utrzymywała linię melodyczną, którą podpierał bas, muzyka nabrała rozpędu, a pierwsze rzędy publiczności, znającej niektóre z piosenek zespołu, zaczęły klaskać do wtóru.

Siedzący na balkonie Dominik patrzył na kiwające się głowy i ciała, które zaczynały się kołysać w rytm muzyki. Klub był wypełniony po brzegi, niektórzy stali nawet w przejściach na najniższym poziomie. Na koncert przyszli ludzie w różnym wieku i z różnych klas społecznych: demokracja rock and rolla. Dominik zastanawiał się, którzy przyszli tu dla Groucho Nights, a których przyciągnął występ Summer, niezwykły mariaż rocka i muzyki poważnej. Po czterech pierwszych piosenkach Chris podszedł do mikrofonu i wzbudzając kolejną falę oklasków, podłączył do wzmacniacza inną gitarę — gibsona zastąpił smuklejszy, srebrny gretsch, co wywołało jeszcze większy aplauz koneserów na widowni.

— A teraz dla naszych specjalnych gości...

Ale ku zdumieniu Dominika to nie Summer pojawiła się na scenie. Zza kulis wyszła trzyosobowa sekcja dęta, trzymając instrumenty wysoko w górze. Dwa mężczyźni i kobieta. Zainstalowali się w tyle sceny, na prawo od perkusji. Na sygnał Elli podnieśli swoje lśniąco instrumenty do ust i równo z resztą muzyków zaczęli bluesową frazę. Teraz zespół brzmiał dziesięć razy mocniej i głośniej, zaraźliwy rytm ogarniał wszystkich zgromadzonych w wysokiej sali paryskiego klubu, z każdym dźwiękiem podnosząc temperaturę emocji. Dominik musiał przyznać, że efekt tej transformacji był naprawdę niezwykły. Jak Summer poradzi sobie z tym zgiełkiem i szaleństwem, tylko za pomocą swoich delikatnych skrzypiec? Na tym etapie Chris musiał już niemal wrzeszczeć do mikrofonu, żeby jego głos dał się słyszeć wśród dźwięków wzmocnionego zespołu; nie sposób było rozróżnić słów tekstu.

Ella za perkusją pociła się niemiłosiernie; jej głos stał się prawie niesłyszalny, ramiona poruszały się w szaleńczym tempie. Ted stał po jej prawej stronie bez ruchu, jak wcielenie spokoju

w tym oku cyklonu, tylko jego kciuk atakował struny gitary z metronomiczną precyzją.

Cała sala się zatrzęsała.

Kiedy piosenka z rozmachem dobiegła końca, a dźwięk sekcji dętej jeszcze rozbrzmiewał w powietrzu, aż muzykom zabrakło tchu, Dominik zauważył szeroki uśmiech na twarzy Chrisa, który wiedział już, że publiczność je mu z ręki.

Ze swojego miejsca na balkonie, skąd widział scenę pod pewnym kątem, Dominik mógł zobaczyć gapiów zbierających się za kulisami, którzy klaskali i przyglądali się muzykom; członkowie ekipy, przyjaciele, goście. Nigdzie nie było ani śladu Summer, wydawało mu się jednak, że dostrzegł Vigga Francka, ubranego jak zwykle z wystudiowanym luzem w wąskie spodnie i rozchełstaną koszulę.

Nastąpiła krótka przerwa między utworami, podczas której publiczność i muzycy próbowali złapać oddech; Chris i Ella napili się wody i ocierali pot z twarzy, podczas gdy Ted pozostał nieruchomy jak statua.

Chris wrócił do gibsona i rozpoczął delikatną frazę; światła przygasły.

Z drugiej strony kulis na scenę weszła Summer.

Była cała na biało, oświetlona pojedynczym reflektorem. Miała na sobie powiewną sukienkę do kostek, a w ręce skrzypce w lekko czerwonym odcieniu, harmonizującym z kolorem tysięcy loków na jej głowie. Z delikatnym materiałem sukienki kontrastowały lśniące czarne botki.

Publiczność umilkła. Summer podpięła skrzypce do jednego z potężnych wzmacniaczy Marshalla, które stały na scenie. Podniosła smyczek, powoli opuściła go na struny i rozległa się pierwsza krystalicznie czysta nuta, powtarzając jak echo dźwięk gitary Chrisa.

Minęło trochę czasu, zanim w muzykę włączyła się reszta zespołu, przez chwilę melodyjną frazę podtrzymywały tylko skrzypce i gitara, choć Chris nadal krył się w mroku, a jedyny reflektor oświetlał Summer, której drobna postać zdominowała wielką ciemną scenę.

Serce Dominika podskoczyło. Było tak, jakby ona znowu grała tylko dla niego.

Pod białą sukienką dostrzegał niezapomniany kształt jej ciała. Obraz od dawna wryty na najgłębszym poziomie jego umysłu.

Z oczami utkwionymi w Summer oddał się jej muzyce i spektaklowi ruchów, które wykonywała, grając. Zdawała się jednocześnie pieścić i okiełznywać swoje nowe elektryczne skrzypce; ich dźwięk wzbijał się ponad inne instrumenty, potem wszedł z nimi w idealną harmonię, by zaraz znowu wzlecieć wysoko w kolejnej dynamicznej, solowej partii. Piosenka skończyła się, zdecydowanie zbyt szybko, przy gorączkowym aplauzie widowni, i scenę zalały światła we wszystkich kolorach.

Chris kiwnął do Summer głową i zaczęli nową piosenkę, w której Dominik jak przez mgłę rozpoznał stłumione dźwięki dobiegające z trzewi Brighton Centre, gdzie odbywali próby. Melodia przyspieszała, a Summer, grając, zaczęła poruszać stopami w małych tanecznych krokach. Biała sukienka powiewała przy każdym jej ruchu. Dominik przypomniał sobie, jak tańczyła dla niego na scenie w Nowym Orleanie, kiedy jeszcze byli razem. Teraz wydawało mu się, że było to wieki temu. Zamknął oczy, wydobywając te obrazy na powierzchnię umysłu.

Ktoś poklepał go po ramieniu.

— Cześć. — Silny obcy akcent. Kobieta.

Dominik odwrócił się, żeby zobaczyć, kto siedzi w rzędzie za jego plecami i próbuje zwrócić na siebie uwagę.

Rozpoznał ją natychmiast.

Tancerka z Nowego Orleanu.

Zbieg okoliczności?

— Wiem, kim jesteś! — próbowała przekrzyczeć narastający zgiełk *Roadhouse Blues*, nowej piosenki, którą Groucho Nights entuzjastycznie zaatakowali na scenie.

Uśmiechnął się do tajemniczej piękności.

— A ja znam ciebie.

Muzyka stała się ogłuszająca; dziewczyna pokazała na migi, że już go nie słyszy, wzruszyła ramionami i znowu zaczęła patrzeć na scenę.

Zaintrygowany tym krótkim spotkaniem Dominik także skupił się na muzyce.

Ella z bezwzględną szybkością nadawała teraz rytm, wymachując w dzikim zapamiętaniu ramionami. Jej bębny zdawały się prowadzić zespół coraz dalej i wyżej, na inny poziom. Chris śpiewał, Ted harmonizował i wprowadzał kontrapunkt, a Summer improwizowała w przerażającym rytmie narzuconym przez muzyków z Groucho Nights. Dęty tercet odwracał się z jednej strony na drugą, akcentując rytm jak sekcja Soul Revue.

Dźwięk wzniósł się do szalonego crescendo, aż wreszcie piosenka dobiegła końca i ostatnią nutę przeciągały już tylko gitara Chrisa i elektryczne skrzypce Summer. Potem nagle zapadła cisza i wybuchły oklaski. Baldo, Marija i Alex tryumfalnie podnieśli swoje instrumenty do nieba, a stali członkowie zespołu ukłonili się publiczności.

Dominik musiał przyznać, że sposób, w jaki udało im się zintegrować skrzypce i sekcję dętą, nadał muzyce zupełnie nowy, oszałamiający wymiar.

Pląwając się w zachwycie tłumu, muzycy odłożyli instrumenty i zaczęli wracać za kulisy. Ted i Ella machali rękami na pożegnanie. Aplauz trwał jednak nawet wtedy, kiedy wszyscy już znikli ze sceny. Dominik, jak większość ludzi, ciągle stał i klaskał. Odwrócił się przez ramię, ale Luby już nie było.

Cały klub wibrował od niesłabnących oklasków, które przybrały na sile, kiedy Ella znowu wyszła na scenę. Zmieniła przepocony top na podartą koszulkę z logo The Holy Criminals. Za nią szli pozostali członkowie zespołu, z Summer na samym końcu.

Serce Dominika przestało bić.

Summer ciągle miała na sobie powiewną białą sukienkę, w której grała wcześniej, ale teraz włożyła na nią gorset. Połączenie było bardzo efektowne. Gorset, ciasno zasznurowany, podkreślał smukłość talii i kobiece kształty Summer, a mocny kontrast czerni i bieli sprawił, że Dominika zalała nagle fala wspomnień, które należały tylko do nich dwojga. Natychmiast poznał, że to ten sam gorset, który kiedyś jej kupił i który nosiła dla niego w bardzo intymnych okolicznościach.

Teraz Dominik wiedział już, co miała na myśli, kiedy rozmawiała z nim wcześniej przez telefon.

To było jak sygnał. Tylko dla niego. Dużo więcej niż mrugnięcie okiem.

Muzycy znowu podpięli się do wzmacniaczy, a tłum przycichł w oczekiwaniu na obowiązkowy bis.

Ella dała sygnał i skrzypce Summer zagrały w ciszy wpadającą w ucho melodię, w którą zaraz włączył się bas.

Vivaldi.

Melodia z jednej części *Czterech pór roku*.

Jakby mówiła tylko do niego.

Reszta zespołu także się włączyła i zbiorowa improwizacja pochłonęła wkrótce czysty dźwięk skrzypiec. Utwór rozpadł się na kilka popisowych solówek, aż wreszcie Summer gwałtownym ruchem smyka powróciła do głównego motywu i swojej przewodniej roli, wystukując jednocześnie rytm stopą w wysokim botku na zupełnie nieklasyczny sposób. Kiedy utwór się skończył, Chris przeszedł płynnie w *Sugarcane*, ale Dominik odpłynął myślami już bardzo daleko.

Pierwszymi osobami, na które Dominik natknął się za kulisami, pokierowany przez inspicjenta do garderoby, byli Edward i Clarissa. Zanim zdążył zadać sobie pytanie, czy to jakieś dziwaczne pojednanie sado-maso i czy jego dawny wróg, Victor, także w jakichś niejasnych sprawach przybył do Paryża, Amerykanie powitali go jak dawno niewidzianego krewniaka. Zauważyli, że był zaskoczony ich obecnością, i wyjaśnili szybko, że ich syn Alex grał w sekcji dętej, więc skorzystali z okazji, żeby go zobaczyć, bo właśnie spędzali urlop w Europie.

— Nie obawiaj się, kochany — zagaiła Clarissa, dostrzegając jego niepokój. — Jesteśmy tu z misją pokojową. Wspieramy rodzinę, można powiedzieć.

— Rano wyjeżdżamy do Włoch. Zawsze chcieliśmy zobaczyć Capri. Paryż to tylko przystanek po drodze — oznajmił Edward z dobrodusznym uśmiechem.

Garderoba zespołu była pełna gości. Dominik zauważył Vigga Francka, z puszką piwa w

ręce, pograżonego w rozmowie z Chrisem. Na jego ramieniu opierała się Luba. Założył, że dziewczyna obok nich to Fran, siostra Summer. Zauważył wyraźne podobieństwo, chociaż Fran sprawiała wrażenie raczej szkicu niż właściwego obrazu, miała taki sam nos i brodę, a w jej śmiechu była ta sama gardłowa nuta. Ale krótkie włosy miała ufarbowane na jasny blond i brakowało im ognia i połysku loków Summer.

Summer nigdzie nie było. Może została jeszcze gdzieś za kulisami, żeby się przebrać albo wziąć prysznic po występie?

Czekając, aż się pojawi, Dominik wdał się w chaotyczną rozmowę z Edwardem i Clarissą; wkrótce dołączyli do nich Fran i Chris. W oczach Chrisa na widok Dominika pojawił się cień dezaprobaty, który jednak zaraz znikł. Adrenalina po koncercie, alkohol i ręce Fran szybko sprawiły, że się rozluźnił i złagodniał.

Edward i Clarissa, choć przynajmniej pokolenie starsi od całej reszty zgromadzonym tam ludzi i ani trochę nie rockowi pod względem zachowania i ubioru, sprawiali wrażenie, jakby byli gospodarzami tego spotkania, bez wysiłku sunąc od jednak przerwanej w połowie rozmowy do następnej, przedstawiając sobie ludzi i dobrodusznie pilnując, by każdy z obecnych był w jak najlepszym nastroju.

Opędzając się od młodych francuskich dziennikarzy rockowych w kurtkach z czarnej skóry, którzy właśnie dowiedzieli się od Edwarda, że mają do czynienia z prawdziwym pisarzem, Dominik zauważył kątem oka, że Fran z filuternym błyskiem w oku szepcze coś Chrisowi do ucha. Krótco później oboje opuścili zaimprovizowane przyjęcie.

Zaraz potem do pokoju weszła Summer. Przebrała się w prosty biały podkoszulek i starannie wystrzępione džinsy. Włosy miała jeszcze wilgotne po prysznicu i bardziej kręcone niż zwykle. Zauważyła Dominika i skinęła do niego, ale Viggo przywołał ją i podał jej drinka, a potem usadowił się między nią a wysoką, majestatyczną Lubą, jak monarcha prezentujący dumnie swoje nałożnice.

Dominik się skrzywił.

Bez względu na podejrzenia związane z zaginięciem skrzypiec Summer nabrał do rockmana głębokiej niechęci.

Przeprosił Edwarda i Clarissę oraz grupkę gości zebraną wokół nich, i poszedł do baru — który ustawiono w drugim końcu pokoju na rozkładanym stoliku — w poszukiwaniu czegoś, co nie zawiera alkoholu.

Wśród chaotycznie rozstawionych na blacie butelek, puszek i plastikowych kubków znalazł opróżnioną do połowy butelkę wody San Pellegrino i przyłożył ją do ust, bo nigdzie nie widział czystej szklanki.

— Nie wolałbyś się napić czegoś mocniejszego? — odezwał się czyjś głos tuż przy jego uchu. Ten znajomy akcent. Luba, która oderwała się od tryptyku Vigga.

— Nie, to mi zupełnie wystarcza — odparł Dominik. Luba miała na sobie cienką jedwabną tunikę, która połyskiwała przy każdym ruchu i nie sięgała nawet kolan. Przylegała do jej ciała tak dokładnie, jakby została na nim namalowana.

— Jaki zdyscyplinowany — zauważyła. — Mój przyjaciel Viggo nigdy nie odmawia alkoholu... ani narkotyków. — Wskazała głową Vigga Francka. Piosenkarz obejmował Summer w pasie, gestykułując w stronę zachwyconych fanów.

— Daleko tu od Nowego Orleanu — zauważył Dominik.

— Byłam tam tylko na krótkim zleceniu — wyjaśniła Luba. — Wczoraj Nowy Orlean, potem Seattle. Byłeś tam kiedyś? Dużo tam pada, ale też dużo się dzieje. Potem jadę do Londynu. Kto wie dokąd jutro?

— Lubisz podróżować?

— Zawsze jest coś nowego, ktoś nowy. Życie byłoby nudne, gdybyś trzymał się tylko jednej rzeczy, jednej osoby. Zgadzasz się? — Jej oddech pachniał wódką. Bez wątplenia prawdziwą rosyjską wódką, bo Luba wyglądała na dziewczynę, która próbowała tylko tego, co najlepsze.

— Jesteś z Viggim Franckiem?

— Z? Tak i nie: jest mi z nim wygodnie, właściwy mężczyzna we właściwym czasie. Tak

to jest — skwitowała, jakby nudziła ją perspektywa dalszych pytań na tematy osobiste. — A ty? Ciągłe blisko z naszą śliczną skrzypaczką?

— Może?

— To nie brzmi jak „tak”...

— A co robisz, kiedy nie tańczysz? — zagadnął, chcąc skierować rozmowę na inny tor.

— Żyję.

— Gdzie?

— Teraz u Vigga w Londynie. W Belsize Park.

— Mieszkam niedaleko — powiedział Dominik.

— I piszesz książki — dodała.

— Skąd wiesz? — Był zaskoczony.

— Mam twoją książkę. Nie ma twojego zdjęcia na okładce, ale byłam ciekawa, kiedy książka mi się spodobała, więc sprawdziłam cię w Internecie. To, że jestem tancerką, nie znaczy, że nie czytam — podkreśliła. — Pamiętam cię z Nowego Orleanu. Zawsze pamiętam twarz.

W tej chwili grupa skupiona wokół Edwarda i Clarissy wybuchnęła śmiechem. Teraz stali tam też Viggo i Summer. Summer wydawała się pogrążona w rozmowie z chorwacką parą, stanowiącą część sekcji dętej, a Viggo rechotał głośno z czegoś, co właśnie powiedział Edward. Stojąc przodem do posągowej Luby, Dominik zauważył kątem oka, że Summer spogląda na niego z ukosa.

— Impreza! — zawołał Viggo.

Kilka innych osób powtórzyło to za nim.

Dominik poczuł, że Luba musnęła jego dłoń swoją i wsunęła mu w nią kawałek papieru.

Spojrzał na nią pytająco.

Odpowiedziała mu śmiałym spojrzeniem i odchodząc w stronę Vigga, rzuciła:

— Jesteś interesujący. Lubię interesujących mężczyzn.

Dominik dyskretnie rozwinął świstek i spojrzał na niego. Numer telefonu.

Na widok Luby Viggo się rozpromienił i objął ją, drugą ręką ciągle trzymając w talii

Summer.

— Ci uroczy ludzie — oznajmił, wskazując na elegancko ubranych Edwarda i Clarissę — zaproponowali, żebyśmy poszli na imprezę. Jak nazywa się ten klub, do którego mielibyśmy pójść?

— Les Chandelles — odparł Edward z nieskazitelnym francuskim akcentem. — Taksówką to niedaleko stąd. W pobliżu Champs Elysées. Od dawna jesteśmy członkami, nie powinno być problemu, żebyśmy tam wszyscy weszli.

— Im więcej, tym weselej, co? — zagadnął Viggo.

Dominik słyszał o tym klubie. Był to dość znany, drogi klub dla swingersów, gdzie uchodziło wszystko, strzelały korki od szampana i wszyscy popisywali się swoim bogactwem, zanim zaczęli zrzucać ciuchy.

Viggo rozejrzył się dookoła.

— To kto idzie ze mną?

Zrezygnowało jeszcze kilka osób, w tym Alex, nieco konserwatywny syn Edwarda i Clarissy, a także Ted i para Chorwatów, którzy byli zajęci tylko sobą nawzajem. Reszta imprezowiczów z garderoby ruszyła korytarzem do głównego wejścia La Cigale. Stało tam na zimnie kilku fanów w nadziei na autografy, które Viggo z zapalem rozdawał. Jak na ironię żaden z nich nie zwrócił uwagi na członków Groucho Nights i Summer.

Nad Paryżem wisały ciemne chmury.

Długa limuzyna czekała przy krawężniku. Nie wszyscy się do niej zmieścili; sześć czy siedem osób musiało zostać, w tym Dominik, który bez entuzjazmu dołączył do grupy. Clarissa wykrzyczała jeszcze adres klubu, żeby pozostali mogli dojechać taksówkami. Kiedy limuzyna odjeżdżała, Dominik zauważył, że w środku nie było Summer, pod jakimś pretekstem nie wsiadła i stała teraz tuż obok niego. Nie miała żakietu ani płaszcza, drżała z zimna.

Podniosła na niego wzrok i widok jej oczu z tak bliska sprawił, że Dominik poczuł się niemal pijany.

— Naprawdę chcesz tam jechać? Zabawić się z innymi? — upewniała się, kiedy kilka innych osób zatrzymywało taksówkę.

— Chyba nie — przyznał.

— Dobrze.

Przepchnęli się na początek kolejki i zawłaszczyli pierwszą taksówkę.

Kiedy samochód przejeżdżał przez most na Sekwanie przy Musée d'Orsay, Summer wtuliła się w Dominika. Taksówka skręciła ostro w jednokierunkową ulicę prowadzącą z powrotem na Boulevard Saint Germain i od tej chwili Summer trzymała głowę opartą o jego ramię.

Winda była mikroskopijna; Summer i Dominik musieli się obracać i wykręcać, żeby się w niej zmieścić.

Pokój był mały.

A łóżko wąskie.

— Rozmawiałem z kimś o baillym — powiadomił ją wcześniej.

Wysiedli z taksówki, przeszli przez ulicę i wezwali portiera.

— Wiadomo, gdzie mogą być? — spytała Summer.

— Nie, ale...

— Więc nie mów o tym — przerwała. — To może poczekać do rana. Teraz nie chcę rozmawiać.

Zbliżyła się do niego. W jej oczach widział wahanie; przyciągnął ją do siebie. Żadne z nich nie wiedziało, co teraz zrobić czy powiedzieć. Jakby obojgiem poruszała jakaś siła, nad którą nie panowali. Jakby byli przyciągającymi się magnesami. Czuł ciepło bijące od jej ciała. Słyszał jej płytki oddech jak przez wzmacniacz, i każde uderzenie jej serca. Zrobił krok w jej stronę. W tym wszystkim była jakaś nieuchronność.

Pocałowali się.

To było jak powrót do domu. Od Nowego Roku nie było ani jednego dnia, żeby Dominik nie pragnął znowu wziąć Summer w objęcia, i w pierwszej chwili wydało mu się to wprost nierealne.

W pokoju na ostatnim piętrze nadal panowała ciemność, zamknięte okno wychodziło na strome dachy okolicznych budynków; nie był to pokój z widokiem.

Dominik zapadł się w znajomą, upajającą miękkość ust Summer i zaczął się rozkoszować swobodą, z jaką do siebie pasowali. Opuścił dłonie z jej podbródka i wsunął je pod cienki materiał podkoszulka; poczuł opór i twarde fiszbiny gorsetu, w którym przez chwilę widział ją na scenie.

Nie zdjęła go.

— Ręce do góry — polecił jej.

Podniosła je i Dominik ściągnął jej podkoszulek przez głowę.

— Dżinsy — nalegał.

Summer rozpięła zamek i potrząsając nogami, zrzuciła spodnie, które opadły jej do kostek. Stała tam teraz ubrana tylko w gorset. Ktokolwiek go zasnurował między głównym koncertem a bisami — może Ella — zrobił to wyjątkowo ciasno. Gorset wrzynał się ostro w talię, podkreślając jej smukłość i unosząc piersi, których sutki sterczały na baczność, twarde i ciemne.

Dominik zbliżył usta do górnej, odsłoniętej części jej piersi i chwycił jeden z sutków wargami, muskając jego nierówną powierzchnię językiem, zwilżając ją, pieszcząc. Potem delikatnie złapał go zębami, jakby sprawdzając jego twardość, a w końcu ugryzł go, najpierw ostrożnie, potem mocniej.

Summer wstrzymała oddech; całe jej ciało zalała fala podniecenia i bólu.

Poddała się temu doznaniu, zaciskając zęby, aż wyrzut endorfin zmienił ból w przyjemność. Dominik nadal wbijał zęby w chropowatą skórę sutków, choć nie tak mocno, by uszkodzić je do krwi. Utrzymywał ją tak przez całą wieczność, zawieszoną między bólem a przyjemnością. Całe jej ciało zaczęło się rozpalać, od brzucha i głębi pochwy, miejsce po miejscu, aż wreszcie potężna fala dotarła do jej mózgu i Summer poczuła, że tonie w gęstym morzu ciepła i tylko jakiś pierwotny instynkt pozwala jej poruszać się po jego grząskim dnie.

Już miała poddać się całkowicie tym upajającym doznaniom, które Dominik wydobywał z jej nieświadomych wspomnień, kiedy on oderwał nagle usta od jej sutka i zbliżył do ucha, okrutnie bawiąc się jeszcze delikatniejszym ciałem różowego płatka. Huśtawka bólu i przyjemności zaczęła się od początku.

Summer skrzywiła się i zadrżała, a jej kręgosłup na moment stracił zdolność utrzymania jej ciała w pionie. Poczowała, że Dominik chwycił ją pod pachy, nie pozwalając upaść.

Czuła teraz jego twardy członek przez szorstki materiał spodni, który pocierał o jej kręcone włosy łonowe. Między jej udami pojawiła się wilgoć, żądza wypełniała ją powoli, kroplami, przygotowując ją, odmieniając jej naturę.

Dominik odsunął się wreszcie, a ją ogarnęło przerażenie i poczucie osamotnienia, tak gwałtowne jak cios w twarz, jakby nagle zdała sobie sprawę, że to może być koniec tej zabawy, który nastąpił dokładnie w chwili, kiedy przyzwyczaiła się do jej namiętnej powtarzalności. Obejmowali się przez sekundę czy dwie, potem jego usta wróciły do jej ucha, tym razem drażniąc jego zagłębienie, zwilżając je, wnikając w to najintymniejsze z miejsc, budząc doznania wszechogarniające jak fale wstrząsów sejsmicznych, poruszające jej zmysły.

Znowu zdała sobie sprawę, że niedługo dotrze do punktu, z którego nie ma odwrotu, do terytorium, które tylko Dominik potrafił podbić i ujarzmić. Na razie nie było niczego poza kilkoma ukąszeniami, i to dość delikatnymi, ale jej dusza krzyczała o więcej, zapraszając do szaleńczego pędu w stronę prawdziwego bólu. Przerazało ją, że to tak rzadko osiągane miejsce wydawało się ażylem, domem, do którego przynależała.

W tej chwili chciała tylko poczuć Dominika w sobie, ale wiedziała, że on celowo nie będzie się spieszył, że będzie grał na jej ciele jak na instrumencie, zanim pozwoli na słodycz spełnienia.

Do diabła z tobą, do diabła z tobą, pragnę cię, nienawidzę cię, kocham cię, rozlegał się w jej głowie niekończący się refren. Dominik. Dominik. Rób ze mną brzydkie, złe rzeczy. Chciała powiedzieć to głośno, ale wiedziała, że on woli ciszę, że milczenie daje mu siłę, i pragnęła tylko stopnieć w jego ramionach. Zagryzła wargi. Mocno. Poczowała małą kropelkę krwi, która wydostała się przez maleńkie rozcięcie w skórze. Dominik rzucił się jak wampir z ciemności, żeby ją zlizać z najczulszym uśmiechem opromieniającym twarz.

Delikatnie naciskając na jej ramiona, pchnął ją w stronę łóżka.

Opadła na miękki materac, podniosła wzrok na Dominika i rozchyliła nogi w rozkosznym oczekiwaniu.

Czas zatrzymał się na chwilę, podczas gdy oni patrzyli na siebie, a między nimi otwierały się miliony zdań nigdy niewypowiedzianych dialogów. Dominik zaczął się rozbierać. Jego ciało ciągle było tak białe, jak je zapamiętała; angielska skóra nienawykła do słońca.

Summer przyszła do głowy przyjemna myśl o tym, by spędzić z nim trochę czasu na cudownej śródziemnomorskiej plaży.

Nagi, podniósł z podłogi swoje czarne spodnie, wyciągnął z nich szeroki czarny pasek, wspiął się na łóżko i kucnął nad nią, z potężnym członkiem kołyszającym się blisko jej rozchylonych ust. Potem złapał ją za ręce, przeciągnął je ponad jej głowę i przywiązał paskiem do wezgłowia łóżka.

Summer serce na moment stanęło w piersi; zamknęła oczy.

Górując nad nią, opuścił członek niżej i musnął nim jej usta. Otworzyła je odruchowo, on jednak już się nie poruszył, była więc zmuszona unieść głowę. Kiedy udało jej się wyciągnąć język dość wysoko, by dotknąć nim gładkiej powierzchni główki penisa, miała wrażenie, że przeszył ją prąd.

Choć to ona była skrzypaczką, Dominik dobrze wiedział, jak grać na instrumencie, jakim było jej ciało; każdym dotykiem, każdym muśnięciem prowadził ją w stronę całkowitej uległości. W końcu pozwolił jej głowie opaść na poduszkę i tym razem opuścił członek wraz z nią. Przez chwilę jeszcze był zbyt wysoko, rozpalając jej apetyt, aż w końcu Summer nie była w stanie wytrzymać ani chwili dłużej i jej język sięgnął go, liżąc, muskając, rozpalając jego zwierzęcy zapach.

— Tak — powiedział Dominik.

Summer jęknęła.

— Połknij wszystko — wyszeptał.

— Hm... — Summer wstrzymała oddech, kiedy nagle pchnął w jej usta.

I zaczął je pieprzyć. Czule, szorstko, głęboko, ostro, z miłością, z wściekłością. Tak jak zawsze tego chciała.

Porzucając wszelką kontrolę, stała się jedną całością.

Ta noc była seksem. Paryż był seksem.

I ze światem wszystko było w porządku. Przynajmniej tej nocy, Summer należała do Dominika.

Kiedy obudzili się rano, obolali, wyczerpani fizycznie i psychicznie, Summer z przerażeniem zdała sobie sprawę, że zostało jej niewiele czasu, by wrócić do swojego hotelu i spakować się przed kolejnym etapem trasy po Europie. Nie mogła kazać innym na siebie czekać. Teraz sprzęt był już z pewnością załadowany do specjalnie wynajętego w tym celu autobusu. Nagle zdali sobie sprawę, że została jeszcze kwestia skradzionych skrzypiec, którą powinni omówić.

— Innym razem — zgodzili się oboje, ubierając się w pośpiechu. Kiedy Summer już od drzwi przesłała mu jeszcze pocałunek, Dominik żałował, że nie mieli tego ranka czasu, żeby porozmawiać.

O tym, co się właśnie stało. A potem spojrzął na zegarek i zauważył, że została mu niecała godzina do odjazdu pociągu, którym miał wrócić do Londynu, z Gare du Nord.

Dziewczyny razem

Ledwie zdążyłam do autobusu na czas.

— Chryste, Sum, lubisz zostawiać wszystko na ostatnią chwilę — powiedział Chris, kiedy wskoczyłam do środka.

Fran spojrzała na mnie z troską, a ja w odpowiedzi tylko pokręciłam lekko głową, żeby pokazać, że wszystko w porządku i żeby o nic nie pytała.

Siedziała obok Chrisa, zwinięta w kłębek, z głową opartą na jego ramieniu. Oboje zapadli w drzemkę, kiedy tylko autobus ruszył z miejsca. Ella i Ted już spali, podobnie jak Marija. Baldo i Alex uśmiechnęli się i pomachali do mnie przyjaźnie, ale obaj wyglądali na tak zmarnowanych, jak ja się czułam. To musiała być długa noc dla nas wszystkich.

Byłam ciekawa, co takiego robili. Wolałam nie myśleć o zainteresowaniach mojej siostry i nie potrafiłam sobie wyobrazić Chrisa jako swingersa. Był typem monogamisty. Ella i Ted byli dość mili, ale nie mówili o swoim życiu prywatnym i nie wiedziałam nawet, czy są hetero, homo, bi, spotykają się ze sobą czy są może aseksualni. Marija i Baldo z pewnością byli namiętni. Kiedy mieszkaliśmy razem, zwykle zasypialiśmy albo budziliśmy się przy dźwiękach ich hałaśliwego seksu. Czy byliby w stanie wystawić swoje uczucie na widok publiczny, jak to odbywa się zapewne w Les Chandelles, nie miałam pojęcia. Jeśli chodzi o Aleksa, mogłam sobie tylko wyobrażać, że poszedł do domu, chory na myśl o tym, że jego rodzice zabawiają się w taki sposób, ale może był bardziej otwarty, niż mi się wydawało. Miałam ochotę o tym porozmawiać, może z Mariją albo Edwardem i Clarissą. Ale nie w tej chwili.

Ciągle miałam na sobie wczorajsze ciuchy. Nie miałam nawet czasu na prysznic, nie wspominając już o włosach i makijażu. Spałam długo, rozgrzana i ukojona obecnością Dominika.

Prawie nie rozmawialiśmy. Nie mieliśmy czasu. Spędziliśmy noc razem i to było cudowne, jak zawsze. Wpasowaliśmy się w siebie, jakbyśmy się nigdy nie rozstawali, weszliśmy w nasz własny, prywatny rodzaj seksu bez słowa.

Ale nie miałam okazji powiedzieć mu, co czuję. Ani nawet zastanowić się, co czuję. Musiałam się ubrać, przesłać mu całusa i pędzić do autobusu, jakby od tego zależało moje życie. Teraz wyruszyłam już w długą drogę do Brukseli; nic mnie nie rozpraszało, poza krótkimi rozmowami z kolegami z zespołu, kiedy się budzili, i widokami migającymi za oknami autobusu, kiedy przejeżdżaliśmy przez kolejne miasta i miasteczka. Bo byłam w stanie myśleć tylko o Dominiku.

Moje usta ciągle były obolałe od jego gwałtownych pocałunków, nie wspominając o sutkach, opuchniętych i piekących, na których gdzieś zostały ślady zębów. Ciągle byłam wilgotna, zaczęłam myśleć o powrocie do jego łóżka w chwili, kiedy z niego wyszłam. Poza fizycznym bólem i smutkiem dręczyło mnie też pragnienie, żeby z nim być, choć wątpiłam, by kiedykolwiek zostało ono zaspokojone.

Chciałam jakoś pozbyć się z głowy tych myśli, wskoczyć do basenu i pływać tam i z powrotem albo włożyć sportowe buty i biec przed siebie tak długo, aż ból ciała zagłuszy ból w sercu. Ale nic z tego, przez kolejne pięć godzin musiałam tkwić w wygodnym siedzeniu autobusu. Za krótko na sen, za długo, żeby siedzieć i nic nie robić. Żałowałam, że nie wpadłam na pomysł, by znowu włożyć pod podkoszulek gorset. Może niewygodna stępiłaby tę straszną tęsknotę, która rozrywała mnie jak nieprzerwany krzyk.

Nawet nie spytałam go o bailly'ego. Prawdę mówiąc, bardziej zależało mi na Dominiku niż na odzyskaniu skrzypiec. Chętnie straciłabym je jeszcze sto razy, żeby z nim być. Gdybym mogła w tej chwili podpisać pakt z diabłem, sprzedałabym mu duszę i zniszczyła te skrzypce własnymi rękami, jeśli miałyby mi to przywrócić Dominika.

Ale nic z tego. On wracał już do Londynu, do Lauralynn. Znając ich oboje, przypuszczałam, że to otwarty związek. Nie wyobrażałam sobie jakoś, że Lauralynn kiedykolwiek się ustakuje, a choć Dominik nigdy nie potrafił do końca wyzbyć się zazdrości, był bardzo

niezależny. Nie sędzę, by zgodził się na monogamiczny związek z kimkolwiek. Tak czy inaczej, bardzo chciałam wiedzieć, co znaczyła dla niego nasza wspólna noc. Lauralynn nie miała w sobie cienia uległości, więc może miał znowu okazję zdominować kogoś, kto potrafił to docenić. Skok w bok z dawną kochanką, nic więcej. Byłam ciekawa, czy opowie o tym Lauralynn, czy będą się razem ze mną śmiali i wspominali z sympatią głupią dziewczynę ze skrzypcami, która lubiła ostry seks i nie miała w sobie krzty romantyzmu. Cóż, miałam, ale tylko wtedy, kiedy w grę wchodziła właściwa osoba, a tą osobą był Dominik. Bez niego mogłam się ograniczyć do związków w rodzaju tego, w jakim byłam z Simónem. Przyjaźń i nic więcej. Nie chciałam zranić nikogo tak, jak zraniłam Simóna, nie miałam więc zamiaru wracać do świata randek.

Luba wydawała się zainteresowana Dominikiem, a ja byłam mu niezmiernie wdzięczna za to, że z tego nie skorzystał ani nie pojechał do tego klubu dla swingersów. Dzielenie go z kimkolwiek było ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę teraz, kiedy to, co nas jeszcze łączyło, było tak niepewne, tak kruche. Jeśli nawet nie chciał spędzać czasu ze mną, gdybym zobaczyła go z kimś innym, złamałoby mi to serce.

Tego wieczoru znowu graliśmy; kolejny koncert, kolejne miasto. W hotelu zaraz włożyłam sportowe buty, złapałam pociąg metra do miasta i biegiem okrążyłam Parc de Bruxelles, mijając pałac i ambasady, wytrząsając całe napięcie, które zebrało się we mnie podczas podróży.

Kiedy Dominik zadzwonił, niewiele brakowało, a bym nie odebrała. Nie dlatego, że nie chciałam z nim rozmawiać. Wręcz przeciwnie. Bardzo chciałam uchwycić jego głos i odtwarzać go potem w mojej głowie bez końca, ale bałam się tego, co mógł powiedzieć i tego, jak ja mogłam mu odpowiedzieć. Mieliśmy sobie tyle do powiedzenia, a mnie nigdy nie szło najlepiej przez telefon — coś związanego z brakiem fizycznej obecności sprawiało, że moje myśli rozpiezchały się jak liście na wietrze i znacznie trudniej było mi wyrażać uczucia.

Udało nam się wymienić zaledwie parę słów, niczego nie ustaliliśmy i nic nie wskazywało kierunku, w jakim mógłby się rozwijać nasz związek — ani czy w ogóle jest jeszcze jakiś związek, który mógłby się rozwijać. Dominik jechał teraz do Hiszpanii promować swoją książkę o Elenie. Dowiedział się czegoś, z czego mogło wynikać, że za kradzieżą moich skrzypiec może stać Viggo. W pewnym sensie nie byłam tym zaskoczona. Od początku miałam takie podejrzenie. Ale byłam już tak przygnębiona, że strata skrzypiec zlała mi się w jedno ze stratą Dominika. Nosiłam w sobie jedną wielką kulę złości i nieszczęścia, smutek, z którego nie umiałam się otrząsnąć.

Nie wiedziałam, od czego zacząć z Viggim. Jakkolwiek na to spojrzeć, miałam problem, z którego szybko się sama nie wygrzebię. Jeśli go wkurzę, Viggo może zrezygnować ze wspierania Groucho Nights, a wtedy ja będę odpowiedzialna za fakt, że marzenia Chrisa wezmą w łeb. Jeśli nic nie zrobię, być może stracę skrzypce na zawsze. A jeśli nadal będę korzystała z pomocy Dominika, on będzie wiedział, że spiam z facetem, który ukradł skrzypce. Skrzypce, które były prezentem od niego.

Tej nocy nie zmrużyłam oka. Tylko leżałam, wpatrując się w mdłe ściany hotelu w nadziei, że znajdę tam jakiś pomysł na rozwiązanie wszystkich moich problemów, ale nie znalazłam. Chyba po raz pierwszy w życiu wstałam wcześniej, znowu włożyłam sportowe buty i starałam się zabić frustrację, biegając. Zwolniłam dopiero, kiedy poczułam pulsujący ból w łydkach. Nie miałam nic przeciw bólowi, pomagał mi nie myśleć o Dominiku, ale bałam się, że nabawię się kontuzji i będę musiała przez miesiąc odpoczywać.

Tym razem pamiętałam, żeby włożyć gorset na podróż. Kolejne osiem godzin jazdy autobusem do Berlina.

Do Berlina dotarliśmy wczesnym wieczorem. Zatrzymaliśmy się w Neukölln, niedaleko Festsaal Kreuzberg, gdzie następnego dnia mieliśmy dać pierwszy koncert. Berlin był pierwszym miastem, w którym mieliśmy zagrać dwa razy. Susan udało się w jakiś sposób umieścić jedno ze zdjęć, które zrobił mi Greyson, w kilku niemieckich magazynach muzycznych. Ujęcie było nieco ryzykowne: trzymałam skrzypce w uwodzicielski sposób, ubrana w legginsy Fran, skórzaną kurtkę i louboutiny z ćwiekami. Moja solowa muzyka już była tu popularna, a proponowany przez Groucho

Nights miks muzyki poważnej, seksu i rock and rolla okazał się trafionym pomysłem i dobrze się sprzedawał.

Zespół był w dobrym nastroju, zaplanowaliśmy więc sobie małą przerwę i kilka dodatkowych dni w mieście; pierwszy raz w czasie tej trasy mieliśmy zobaczyć cokolwiek, jak prawdziwi turyści, a nie tylko zagrać i ruszać dalej.

Fran, oszczędna jak zawsze, zarezerwowała dla nas pokoje w tanim hotelu z bezpiecznym magazynem na sprzęt, którego nie mogliśmy zostawić na noc w furgonetce. Hotel stał przy dość spokojnej, zabudowanej głównie domami mieszkalnymi ulicy, przy krętym kanale. Pływały tam łabędzie i zakochane pary spacerowały, trzymając się za ręce, pod drzewami. Zapach ciasta, mięsa i przypraw dolatywał z tureckiej restauracji znajdującej się tuż obok.

Rzuciłam się na łóżko, kiedy tylko zameldowaliśmy się w hotelu. Tej nocy spałam dobrze, po raz pierwszy odkąd sięgałam pamięcią. Może sprawiły to wspomnienie głosu Dominika albo myśl, że prawdopodobnie znowu go zobaczę i uda nam się zostać chociaż przyjaciółmi.

Klub, w którym graliśmy następnego dnia, stał przy drodze pod wiaduktem kolejowym, naprzeciw dużego salonu sprzedaży samochodów. Z zewnątrz nie rzucał się w oczy, wyróżniał go tylko niewielki znak z nazwą. Ale kiedy nadszedł czas koncertu, wokół zaroilo się od ludzi. Były tam tylko miejsca stojące, więc wielu fanów wspięło się na galerię — bałam się, że wszyscy razem runą nam zaraz na głowy. Mieliśmy jakiś problem z dźwiękiem, więc zaczęliśmy z małym opóźnieniem i kiedy wreszcie weszliśmy na scenę, publiczność tupiała i wrzeszczała wniebogłosy.

Tego wieczoru po raz pierwszy zabrakło nam piosenek na bis i musieliśmy wyciągnąć ekstranumer z naszego worka, zanim w końcu pozwolili nam zejść ze sceny.

Spakowaliśmy sprzęt i planowaliśmy właśnie wypad na miasto, kiedy usłyszałam, jak z drugiego końca podwórka woła jakiś znajomy głos:

— Witaj, nieznajoma!

Odwrociłam się, słysząc wyraźny nowojorski akcent.

To była Lauralynn, jak zwykle w obcisłych jak druga skóra džinsach, które były jej znakiem rozpoznawczym, prostym białym podkoszulku i szpilkach. Od razu zauważyłam, że nie miała stanika. Była chyba jedyną kobietą, jaką znałam, która wychodziła tak poza dom, ale zdaje się, że podczas gdy ja lubiałam czuć się skrępowana gorsetem, ona wolała czuć się wolna od wszystkiego, co mogłoby ją krępować, no i zapewne cieszyły ją reakcje przechodniów, którzy dokładnie widzieli jej przekłute sutki. Miała piersi, które wyglądały dobrze nawet niepodparte biustonoszem, czego jej trochę zazdrościłam.

W pierwszej chwili byłam zachwycona faktem, że ktoś znajomy przebył tak daleką drogę, żeby zobaczyć nas w akcji, ale mój zachwyt zaraz zmienił się w strach i zmieszanie, bo przypomniałam sobie, że ona jest z Dominikiem, z którym kilka dni wcześniej spędziłam noc w paryskim hotelu.

Wyraz twarzy Lauralynn z pewnością nie sugerował, że przybyła w gniewie, by oskarżyć mnie o to, że zabrałam jej faceta. Prawdę mówiąc, wydawała się zachwycona faktem, że mnie widzi. Nie wiedziałam, co powiedzieć czy zrobić, więc tylko stałam tam, z otwartymi ustami, gapiąc się na nią.

— Rany — jęknęła. — Zawsze wiedziałam, że jesteś zimną rybą. Masz zamiar tylko tam stać?

— Przepraszam — wymamrotałam. — Zaskoczyłaś mnie. Dzięki, że przyszedłaś na koncert. Objęła mnie i przytuliła do siebie tak, że poczułam jej piersi na swoich.

— Byłaś niesamowita — powiedziała. — Kto by pomyślał, że poważna dziewczyna Dominika zmieni się w rockowego wampa?

— Dziewczyna Dominika?

— Tak, właśnie, a gdzie rzeczony Dominik? Zakładałam, że będzie stał w pierwszym rzędzie i oklaskiwał cię do upadłego. Cały wieczór szukałam go w tłumie.

— Myślałaś, że jest ze mną? A ja myślałam, że jest w Londynie z tobą — dodałam, zdezorientowana.

— Nie. Nie było mnie w Londynie. Wróciłam do domu, ale okazało się, że jest pusty.

Nigdy nie przepadałam za własnym towarzystwem — stwierdziła, znowu ściskając mnie za ramię, jakby chciała sprawdzić, czy jestem prawdziwa. — Nie mów mi, że pojechał taki kawał drogi, aż do Paryża, i nie powiedział ci, że jest w tobie zakochany do szaleństwa?

— O czym ty mówisz? Myślałam, że Dominik spotyka się z tobą.

— Nie, Chryste. Jesteśmy tylko starymi przyjaciółmi... no, przyjaciółmi, którzy czerpią ze swojej przyjaźni pewne korzyści. Nie mam nic przeciwko mężczyznom, rozumiesz, potrafią być czarujący, a Dominik z pewnością ma kilka przydatnych zdolności. — Mrugnęła do mnie zalotnie. — Ale na dłuższą metę nie są w moim typie. Chyba że trzymam ich pod obcasem. To przyjemne zwierzątka domowe, jeśli się ich odpowiednio wytresuje, ale nie chciałabym trzymać któregoś z nich w domu na stałe.

Niewiele brakowało, a kolana by się pode mną ugięły. Usiadłam przy jednym z wystawionych na zewnątrz stolików, a Lauralynn kucnęła przede mną; jej długie nogi poskładały się jak u konika polnego.

— Naprawdę myślałaś, że spotykamy się ze sobą? — spytała, łagodniej tym razem, odsuwając z mojego czoła kosmyk włosów, żeby spojrzeć mi w oczy.

— Tak. Dominik tak powiedział.

— A ty pewnie powiedziałaś mu, że spotykasz się z tym rockmanem, z którym cię ponoć widują?

— Tak.

— Oboje doprowadzacie mnie szału, wiesz o tym. Dumni, ale przy tym ślepi. Kiedy usłyszałam, że Dominik wybiera się do Paryża na twój pierwszy koncert, pomyślałam, że wreszcie doszedł do rozumu, ale chyba się przeliczyłam.

A więc Lauralynn nie jest z Dominikiem. To wszystko zmieniało. Ale dlaczego mi o tym nie powiedział? Bo ja powiedziałam mu, że sypiam z Viggim Franckiem — o ile już wcześniej nie przeczytał o tym w jakimś brukowcu. Znowu przeklełam się za ten upór, przez który zawsze wpadałam w kłopoty, i tę całkowitą niezdolność do pokazywania ludziom, jak bardzo mi na nich zależy. Dlaczego po prostu nie potrafiłam im powiedzieć, co czuję?

Pochyliłam się niżej i objęłam głowę rękami, jakbym potrafiła cofnąć czas, jeśli się odpowiednio skoncentruję.

— No, dobra — odezwała się Lauralynn. Rozpoznałam ten ton i sposób, w jaki zmrużyła oczy. Przystawiła się na tryb „dominatrix”. Tego też jej zazdrościłam, zawsze była taka pewna siebie i swoich pragnień. Pewnie nigdy nie zmarnowała ani chwili na zastanawianie się nad tym, kim się stała i dlaczego. Po prostu cieszyła się sobą. — Będziesz musiała wziąć się w garść albo ja ci w tym pomogę, bo nie będziemy tu siedziały całą noc. Gdzie się podziała reszta twojego zespołu?

— Na imprezie w garderobie, najprawdopodobniej, chyba że wrócili do hotelu. Nie będzie im mnie brakowało.

— Nie rozczulaj się tak nad sobą. Powiedz im, że spotkałaś starą przyjaciółkę, żeby nie myśleli, że porwał cię jakiś obłąkany wielbiciel, a potem pójdziemy na drinka i opowiesz mi o wszystkich swoich zmartwieniach.

Podniosła mnie za ramiona i wyciągnęła z baru na ulice Kreuzbergu. Ciągle było dość wcześnie jak na północną Europę. W przeciwieństwie do londyńczyków, mieszkańcy Berlina nie musieli gnać na ostatnie pociągi metra ani wychodzić o jedenastej z pubów, które właśnie wtedy zamykano, więc większość imprez zaczynała się najwcześniej o północy, a rozkręcała koło drugiej. Ale ja miałam ochotę tylko wrócić do domu, zwinąć się w kłębek i rozpamiętywać swoje nieszczęście.

— Najpierw — podjęła Lauralynn — jedzenie. Znacznie trudniej czuć się nieszczęśliwą z pełnym żołądkiem.

Poszłyśmy do nocnego baru z jedzeniem na wynos niedaleko kanału. Lauralynn zamówiła pizzę, dwa hot dogi curry i porcję frytek.

— Nie kręć nosem — powiedziała, kiedy bąknęłam, że nie ma chyba sensu polewać gorącej kanapki sosem curry. — Są pyszne.

Miała rację. Jedzenie było dobre, rozgrzewające i wprawiło mnie w znacznie lepszy nastrój.

— No dobra — rzuciłam. — Powiedz mi wszystko. Skąd się wzięłaś w Berlinie? Przyjechałaś tylko po to, żeby mnie zobaczyć?

— Musiałam polecieć na jakiś czas do domu. Z moim bratem nie było najlepiej, więc na kilka tygodni wróciłam do Nowego Jorku.

— Och. Przykro mi.

Lauralynn wzruszyła ramionami. Brała po trzy frytki naraz i zgarniała nimi resztki sosu curry ze swojego talerza. Ja byłam zbyt zdenerwowana, żeby dużo zjeść, ale zostawiłam tylko kawałek hot doga. Sos był dziwną mieszanką curry i słodczy, więcej było w nim cukru niż przypraw, ale mimo to był dobry.

— Sprawy rodzinne. Teraz wszystko już załatwione. Dostałam kilka maili od Dominika, kiedy byłam w Stanach. Wy dwoje jesteście do siebie zaskakująco podobni, oboje żałośnie nieskuteczni, jeśli pozostawi się was samym sobie, więc mam go na oku. — Patrzyła na mnie przenikliwymi niebieskimi oczami, próbując odczytać moją reakcję. Słuchałam uważnie każdego jej słowa, czekając, aż przejdzie do sedna i powie mi więcej o Dominiku.

Lauralynn upiła łyk coli, zostawiając na słonce ślad swojej czerwonej szminki, i ciągnęła:

— Wspominał coś o twoich skrzypcach i powieści, nad którą pracuje. Z tym też miał poważny kłopot, rozumiesz. Przy pierwszej szło mu jak z płatka, kiedy pisał o tobie. Teraz zaczął pisać o twoich skrzypcach i znowu idzie mu jak po maśle. Czy to ci coś mówi?

Patrzyłam na nią, niczego nie rozumiejąc.

— Chyba potrzebował bohaterki do swojej książki, a ja byłam po prostu pierwszą osobą, która przyszła mu do głowy.

— Dokładnie tak. Ty pierwsza przyszłaś mu do głowy. Przez dwa lata codziennie myślał o tobie. I ciągle nie może przestać o tobie myśleć.

— Ja też nie przestałam o nim myśleć — przyznałam posępnie, wkładając do ust garść frytek, choć przestałam być głodna już po kilku pierwszych kęsach. Wyglądały trochę jak krążki cebuli, tylko były bardziej czerwone, jakby obsypano je papryką.

— Powiedz mi coś. — Lauralynn dokładnie wytarła palce serwetką. Paznokcie miała pomalowane krwistoczerwonym lakierem, pasującym do szminki.

— Tak?

— Dlaczego mu po prostu nie powiesz? Że jesteś w nim zakochana?

— Nie wiem... Ja... ja wiem, jak on lubi wszystko kontrolować. Nie chciałam, żeby to wyszło ode mnie.

— Gówno prawda. Tu nie chodzi o kontrolę. A ty jesteś najmniej uległą masochistką, jaką znam. Wyglądasz mi raczej na „spoda”.

— Spoda?

— Tak. Lubisz, kiedy ktoś cię dominuje, bez względu na to, czy coś cię wiąże z tą osobą emocjonalnie, czy nie. Po prostu taki seks cię podnieca.

— Chyba tak. Ale nie czuję się tak z nikim poza Dominikiem. Z innymi to tylko... seks. Z Dominikiem to coś więcej.

— Tak właśnie jest, kiedy pieprzysz się z kimś, kogo kochasz. Nigdy nie byłaś zakochana?

Zastanowiłam się nad tym. Viggo, Simón, Darren. Will, chłopak, z którym byłam z Nowej Zelandii, zanim z niej wyjechałam. O nich wszystkich mogłam powiedzieć najwyżej, że ich bardzo lubiłam. Wydawało mi się, że naprawdę kocham Simóna, ale seksualnie nie pasowaliśmy do siebie, więc czasami miałam wrażenie, że jest bardziej moim bratem niż kochankiem.

— Nie, chyba nie.

Lauralynn pokręciła głową z niedowierzaniem.

— Nic dziwnego, że jesteś trochę emocjonalnie niedorozwinięta. — Westchnęła i spojrzała z zalem na swój pusty talerz, a potem przeniosła wzrok na mój. — Kto zjada ostatki, jest piękny i gładki — dodała, nabijając resztki hot doga na swój widelec.

— Na jak długo przyjechałaś do Berlina? — spytałam w nadziei, że zejdzie wreszcie ze mnie i mojego życia osobistego.

— Nie wiem — odparła. — Jeszcze nie zarezerwowałam sobie hotelu. Przyleciałam

pierwszym samolotem, kiedy okazało się, że w Hampstead nikogo nie ma. Nie potrafiłabym zostać tam sama. Byłam pewna, że Dominik przyjechał za tobą tutaj. Myślałam, że przytulę się do twojego zespołu albo spędzę noc na jakiejś imprezce i oszczędzę na noclegu. Ubiegłą noc spędziłam z dziewczyną, którą poderwałam w Roses, było fajnie, ale nie wzięłam jej numeru. — Spojrzała na mnie, mrużąc jedno oko i przeżuając ostatni kawałek parówki. — Teraz, kiedy widzę, w jakim jesteś stanie, nie mogę zostawić cię przecież samej, prawda?

— Potrafię sama się sobą zająć — burknęłam trochę zjeżona.

— Na tym właśnie polega problem z tobą, Summer, jesteś zbyt dumna i zbyt gotowa zająć się sama sobą. Musisz nauczyć się wpuszczać ludzi do tej twojej twardej skorupy. Pod tymi kolcami kryje się ktoś miękki, jestem tego pewna.

— Cóż, możesz zostać u mnie, mam podwójne łóżko, w hotelu tuż za rogiem.

— Znakomicie. — Lauralynn uśmiechnęła się szelmowsko. — Ale nie musimy zaraz iść spać. Berlin to imprezowe centrum. Zaliczyłam już wszystkie bary po tej stronie miasta, ale jest jedno miejsce, które chciałabym wypróbować, kawałek stąd taksówką.

— Naprawdę nie jestem w nastroju.

— Nie jesteś lepsza od Dominika. Jego też nigdzie nie można wyciągnąć, a jeśli już się uda, nawet się nie napije. Zrób to dla mnie. Nic poważnego. Potańczymy, wypijemy drinka i postaram się, żebyś nie myślała o swoich smutkach.

Lauralynn była jak rozpedzony pociąg, kiedy już coś sobie postanowiła, a ja nie miałam sił, żeby się z nią spierać, więc pozwoliłam, żeby pociągnęła mnie za sobą, choć dochodziła już pierwsza w nocy.

— Wyśpisz się, jak już umrzesz — skwitowała, kiedy przypomniałam jej, która godzina. Lauralynn nie prosiła, lecz rozkazywała, a ja czułam, jak moja wola słabnie pod ciężarem jej poleceń.

— Nie mam nic do ubrania — protestowałam załośnie.

Zmrużyła oczy i przesunęła po mnie wzrokiem od stóp do głów.

— A masz swój gorset pod tą sukienką?

— Tak, ale nie ten, który chciałabym pokazywać publicznie.

Zignorowała moją odpowiedź.

— I te botki za kolana?

Smętnie kiwnęłam głową.

— Doskonale.

Przeciągnęła mnie na drugą stronę ulicy i zatrzymała taksówkę.

Nie dosłyszałam adresu, który podała szoferowi, tylko nazwę baru: *Insomnia*.

— Mówisz po niemiecku?

— Niezbyt dobrze. Ale wystarczająco, żeby się dogadać. W szkole średniej byłam w Berlinie przez kilka miesięcy na wymianie międzyszkolnej... Byłam jeszcze za młoda, żeby dostać się do najlepszych klubów, ale dość wysoka, żeby zmylić paru bramkarzy.

Dwadzieścia minut później zatrzymaliśmy się w bocznej uliczce, cichej i ciemnej, pomijając czerwony szyld nad wejściem do klubu i dwóch ochroniarzy, którzy mierzyli wzrokiem pojawiające się coraz to nowe pary.

Blondynka przy drzwiach, która pobierała opłaty, powitała nas ciepło. Ona też zmierzyła nas wzrokiem z góry na dół, oceniając stroje; Lauralynn powiedziała do niej coś po niemiecku. Dziewczyna pokazała, że możemy wejść.

Wejście było udekorowane na czerwono; najwyraźniej czerwień jest uniwersalnym symbolem seksu. Po prawej znajdowała się szklana gablota, a w niej kilka filmów porno na DVD i fioletowy lateksowy strój z białą falbaną na sprzedaż. Na plakacie reklamowano specjalny wieczór, *Fuck Party*.

Lauralynn siadła na obitej czerwonym aksamitem ławce, która stała pod jedną ze ścian, a potem zrzuciła szpilki i zaczęła strząsać z siebie wąskie dzinsy.

— Lauralynn — syknęłam na nią.

— W porządku — sapnęła. — To klub dla fetyszystów, ale mają tu dość luźne podejście do

strojów. Wpuszczają nas w bieliźnię. Tu możesz się rozebrać.

Zdjęła podkoszulek i zaczęła z powrotem wkładać buty. Nie miała na sobie nic poza czarnymi stringami.

— Naprawdę nie jestem w nastroju na imprezę tego rodzaju.

Ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, był seks i widok ludzi, którzy go uprawiają. I taniec, jeśli chodzi o ścisłość, a taniec nago był na pewno tym, na co miałam najmniejszą ochotę. Jeśli Lauralynn chciała wymyślić sposób, żebym poczuła się jeszcze bardziej przygnębiona, nie mogła trafić lepiej. Może pozwoli mi położyć się w szatni, w pozycji embrionalnej, podczas gdy sama pójdzie imprezować.

— Zaufaj mi — powiedziała. — I zdejmuj ciuchy.

Miała bardzo autorytatywny sposób mówienia, który nie znosił sprzeciwu, nawet gdybym przypadkiem była w nastroju do kłótni. To przemawiała kryjąca się w niej dominatrix, a im, jak zauważyłam, jeszcze trudniej jest odmówić niż ich męskim odpowiednikom.

Zrzuciłam sukienkę w cętki lamparta, odsłaniając wysokie kozaki, czarną bieliznę i czarny, wycięty pod biustem gorset, ten który kiedyś kupił mi Dominik i który zjeździł ze mną pół świata. Przywodził więcej wspomnień, zarówno przyjemnych, jak i bolesnych, niż chciałam pamiętać.

Lauralynn wzięła mnie za rękę i poprowadziła po wyłożonych czerwonym dywanem schodach do baru. Podała mi szklankę z tequilą, nie pytając nawet, na co miałabym ochotę.

— Wlej to w siebie — poleciła. — To cię trochę rozluźni.

Nie zwracałam sobie głowy cytryną i solą, po prostu wychyliłam płyn jednym haustem i postawiłam szklankę na blacie. Rozejrzałam się po sali, żeby zobaczyć, w co Lauralynn planuje mnie wpakować tej nocy, wszystko oczywiście w imię poprawienia mi humoru.

Przy barze był parkiet, na którym ciągle było dość spokojnie, mimo stosunkowo późnej pory.

— Dziewczyna przy drzwiach powiedziała, że impreza rozkręca się na dobre dopiero koło drugiej, kiedy otwierają sale na piętrze — poinformowała mnie Lauralynn. Skończyła swojego drinka i teraz zlizywała z palców resztki cukru i soli. Kilku facetów przyglądało nam się wygłodniałym wzrokiem; typowi single, ubrani w większości w czarne koszule i spodnie, którzy okupują takie miejsca, najwyraźniej na całym świecie. Na razie przynajmniej gapili się na nas z bezpiecznej odległości.

Lauralynn zauważyła moje zdenerwowanie i spojrzała w tym samym kierunku. Odruchowo przysunęłam się do niej. Świadoma moich nagich piersi, zwalczyłam ochotę, żeby objąć się ramionami i zakryć je, czym tylko jeszcze bardziej zwracałabym na siebie uwagę.

— Ignoruj ich — mruknęła, spoglądając w stronę samotnych mężczyzn z pogardą, jakby nie byli warci uwagi większej niż coś, co przykleiło jej się do podeszwy buta. — Rozejrzyjmy się trochę.

Weszliśmy do sali po prawej. Było tam ciemno, tak ciemno, że z trudem dostrzegłam kilka ciał zwiniętych na łóżku w kącie. Wyglądali, jakby tylko przytulali się do siebie, ale nie byłam tego pewna i szybko odwróciłam wzrok. Tej nocy nie miałam ochoty nikogo podglądać. Po minucie zorientowałam się, że lśniące dzieła sztuki na ścianach przedstawiają genitalia, męskie i kobiece. Przy wejściu była wielka, fosforyzująca vagina, kolorowa, trójwymiarowa rzeźba sterząca ze ściany. Do łechtaczki przytwierdzony był zielony pierścień. Na innych ścianach wisiały wielki fallus i wizerunki mężczyzn oraz kobiet w różnych fazach kopulacji.

Był tam też mały krzyż świętego Andrzeja i ławeczka do spankingu, odsunięte na bok. W kolejnej sali — huśtawka i jeszcze kilka łóżek. Na tych też leżało kilka par, ale moje oczy ciągle jeszcze nie przyzwyczyły się do ciemności, więc dostrzegłam w mroku tylko błysk piersi, czerwony but na wysokiej szpilce, kobietę jęczącą z rozkoszy, otoczoną wianuszkami gapiących się na nią mężczyzn.

Lauralynn rozglądała się z zainteresowaniem dookoła, chłonąc to wszystko.

Ja nie mogłam tego znieść.

— Muszę stąd iść — oświadczyłam, ruszając do wyjścia na salę z parkietem. Na ekranie pokazywali teraz film porno. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam, był fakt, że wszystkie kobiety

miały włosy łonowe i żadna nie była blondynką. Politycznie poprawny seks.

Didżej puszczał dyskotekową muzykę, po sali wędrowały kolorowe światła. Ludzie na parkiecie wydawali się zatraceni w muzyce, nieczuli na otaczający ich zewsząd seks. Jakaś kobieta, ubrana podobnie do Lauralynn, tylko w stringi, tańczyła z partnerem, również tylko w bieliźnie. Pomijając fakt, że oboje byli prawie nadzy, mogli być jakkolwiek parą w średnim wieku, tańczącą na czymś weselu. Przynajmniej, dzięki niech będą niebiosom, nie widziałam dotąd żadnych zwisających członków ani głaszczących się po nich facetów.

Lauralynn znowu wzięła mnie za rękę i pociągnęła dalej, za bar, w stronę aksamitnej zasłony, za którą znajdowało się wejście do kolejnej sali na tyłach.

Zaprotestowałam, wydając niewyraźny pomruk, ale ona nawet się nie odwróciła, a tym bardziej nie zatrzymała, żeby mnie wysłuchać.

— No, jesteśmy na miejscu — oznajmiła, kiedy weszliśmy do środka i skręciłyśmy w prawo. — To dlatego cię tu przywlokłam. Nie ma to jak kąpiel, żeby poprawić sobie nastrój.

Stałyśmy przy jacuzzi, w którym jeszcze nikogo nie było. Obok stał stos czystych, puchatych, białych ręczników i widniał znak, wskazujący dużą salę prysznicową za rogiem, z prośbą, by goście opłukali się przed wejściem do basenu. Lauralynn już zdjęła stringi, wzięła ręcznik i odkręciła wodę. Ruszyłam za nią, żeby nie stać samotnie przy gorącej wannie. Bałam się, że któryś z tamtych samotnych mężczyzn mógłby uznać to za zaproszenie.

Staralam się nie patrzeć na strugi wody spływające po krągłościach ciała Lauralynn. Wcześniej widziałam ją w koncertowej czerni i bieli, charakterystycznych wąskich dzinsach, a potem lateksowym kostiumie, tak obcisłym, że mógłby być namalowany na jej skórze. Naga, zdawała się spełniać wszystko, co obiecywał tamten lateks; wysoka, wspaniale zbudowana, z nogami do szyi. Ale to sposób bycia tak naprawdę robił z niej seksbombę, wyraz jej oczu, który wzbudzał zainteresowanie, a jednocześnie mówił każdemu, kto na nią patrzył, że jest bez szans. Nic dziwnego, że mężczyźni chcieli ją czcić. Nie chodziło tylko o to, że w innych okolicznościach nie zaszczyciłaby ich nawet spojrzeniem, ale o coś w jej naturze, co sprawiało, że miałam ochotę rzucić się do jej stóp, błagając o jeden uśmiech. Było w niej coś z królowej.

Dołączyłam do niej pod prysznicem, gorącą wodą splukując z siebie smutki ubiegłego dnia i nocy.

Razem weszliśmy do jacuzzi i siedzieliśmy tam bez ruchu przez kolejną godzinę, prawie się do siebie nie odzywając. Gdyby ktokolwiek miał ochotę się do nas przyłączyć, Lauralynn odesłałaby go tam, skąd przyszedł, jednym lodowatym spojrzeniem.

Kiedy wreszcie wyszła z wanny i zaczęła wycierać się ręcznikiem, byłam całkowicie zrelaksowana i bliska uśnięcia.

Dźwięki dobiegające z sąsiednich alków i pokoi pozwalały się domyślać, że impreza się rozwinęła. Nie miałam większej niż przedtem ochoty przyłączyć się do innych, ale teraz ciche jęki rozkoszy i stłumione krzyki już mnie tak nie niepokoiły.

Była trzecia rano, kiedy złapałyśmy taksówkę, żeby wrócić do domu. Bary przy Oranienstrasse były ciągle otwarte i pełne ludzi. Nawet w IchOrya, coffee shopie, w którym spędziłam wczoraj większość dnia, świeciło się światło i kilka osób siedziało przed wejściem, paląc papierosy. Berlin naprawdę jest miastem, które nigdy nie zasypia.

Wśliznęłyśmy się do hotelu. Wszyscy mieliśmy lokum na tym samym piętrze; nasze pokoje łączył pusty korytarz. Inni albo jeszcze nie wrócili, albo już spali — prawdopodobnie to drugie, bo wszyscy prowadziliśmy teraz nocne życie, sypiając w dzień i bawiąc się nocą.

Lauralynn znowu się rozebrała. Ja zrobiłam to samo. Spędziłyśmy razem już pół nocy bez ubrania, a ja byłam zbyt zmęczona, żeby szukać piżamy, którą miałam w walizce na wypadek jakiegoś platonicznego towarzystwa.

Była pora lunchu, kiedy zaczęłyśmy się poruszać. Obudziłam się zwinięta w kłębek w ramionach Lauralynn, z policzkiem na jej piersiach i słodkim zapachem jej szamponu w nozdrzach. Było to wyjątkowo wygodne miejsce i przez chwilę wydawało mi się, że rozumiem, jak to jest być mężczyzną budzącym się obok kobiety. Lauralynn była wyższa ode mnie i leżała w pozycji osoby

dającej poczucie bezpieczeństwa, więc pod tym względem nie było wielkiej różnicy, ale była bardziej miękka, a jej ciało miało inny zapach.

Budząc się, przeczesала palcami moje włosy, jakbyśmy były kochankami, i przytuliła mnie mocniej do siebie. Przez chwilę zastanawiałam się, jakby to było pocałować ją, ale nawet gdybym zdobyła się na odwagę, nie wydawało się to stosowne. Nie mogłam dostawiać się do jednej z przyjaciółek czy kochanek Dominika — czy kim tam dla niego była — nawet jeśli oboje nie mieliśmy właściwie żadnych zobowiązań wobec siebie.

— Wydaje mi się, że bez kofeiny zaraz umrę — jęknęła.

Doskonale wyraziła moje własne obawy.

Ubrałyśmy się szybko, głodne świeżego powietrza i jedzenia. Niewiele zjadłam z naszego nocnego posiłku na wynos, a Lauralynn miała potężny apetyt, który stale domagał się pokarmu.

Zatrzymałam się po drodze, żeby posłuchać ulicznego muzyka grającego *I'm on Fire* Bruce'a Springsteena, mimo protestów Lauralynn, która twierdziła, że zemdleje, jeśli natychmiast nie dostanie śniadania. Zawsze miałam sentyment do ulicznych grajków, pamiętając czasy, kiedy sama się do nich zaliczałam, więc wrzuciłam pięć euro do jego skrzyneczki w zamian za płytę CD w tekturowej okładce, która wyglądała na w połowie profesjonalną, a w połowie wydaną domowym sposobem. Na płycie było napisane: „Kurna Cronin, Pióra”. Uśmiechnęłam się do artysty, który uchylił kapelusza, podczas gdy Lauralynn niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę.

— Mogłabyś flirtować, kiedy już coś zjem? — sarknęła zrzędlawie, kiedy chowałam płytę do torby.

Zamówiliśmy kawę, a do tego talerz z pieczywem i plasterkami mięsa i sera w kafejce Matilda. Chris i Fran już tam byli, ale właśnie kończyli śniadanie i mieli zamiar zajrzeć do sklepu muzycznego obok. Wieczorem mieliśmy znowu koncert w tym samym klubie, zostały nam więc już tylko popołudnie i wczesny wieczór.

Fran zmierzyła Lauralynn wzrokiem i spojrzała na mnie, unosząc brew.

— Dobrze się spało?

Przedstawiłam Lauralynn jako starą przyjaciółkę pewnego przyjaciela. Chris i Fran poszli sobie zaraz potem, obiecując, że spotkamy się później.

— Twoja siostra? — spytała Lauralynn.

— Tak.

— Jesteście do siebie podobne. Inne, a jednak pod spodem takie same. Ona ma ten sam błysk w oku.

— Tylko nie zaczynaj. Chrisowi najwyraźniej na niej zależy, a nie zniosę, jeśli więcej niż jeden z moich przyjaciół będzie zwracał jej głowę.

Zamówiliśmy jeszcze po kawie i usiadłyśmy na zewnątrz, na drewnianych ławach przykrytych różowymi kocami, patrząc na ulicę i idących nią ludzi.

Lauralynn była dobrą towarzyszką. Zdawała się niczego ode mnie nie oczekiwać, wystarczało jej, że siedzimy obok siebie. Jej obecność działała kojąco i dawała mi nadzieję. Była osobą absolutnie szczerą, bez względu na to, jaki mogłoby mi to sprawić ból, więc jeśli twierdziła, że Dominik i ja mamy jeszcze szansę, to tak było.

W końcu przerwała milczenie:

— Chodź, zbadamy teren.

— Jasne. — Wzruszyłam ramionami. Za kilka dni mieliśmy opuścić Berlin, a ja, mimo najlepszych chęci, więcej spałam, niż zwiedzałam. Podczas reszty tej trasy nie planowaliśmy więcej takich przerw, aż do powrotu do Londynu.

Wypożyczyłyśmy rowery i pojechałyśmy do Flohmarkt w Mauerpark. Były tam tłumy ludzi, chyba połowa mieszkańców Berlina krążyła wokół straganów z bibelotami, ubraniami vintage i używanymi meblami. Zauważyłam parę botków do kostek w paski zebry; były na mnie o rozmiar za małe, więc wzięłam je dla Fran.

Kupiłyśmy dwa plastikowe kubki soku pomarańczowego i poszłyśmy przez tłum w stronę parku za targiem. Był stosunkowo pusty, w porównaniu z innymi zieleńcami, które widziałam w Berlinie, tylko trochę trawy i kilka drzew, ale tam też tłoczyli się ludzie, leżeli na trawnikach albo

siedzieli i oglądali grupę muzyków, którzy śpiewali karaoke.

Znowu zadzwonił mój telefon. Odebrałam szybko, ale już kiedy to zrobiłam, zdałam sobie sprawę, że nie znam tego numeru. Tym razem to nie był Dominik.

— Cześć, Summer. Mówi Greyson. Mam do ciebie pytanie w związku z twoimi zdjęciami...

Jego tancerka

Ta jedna noc z Summer w Paryżu była zdecydowanie za krótka. Nie znaleźli nawet czasu, żeby szczerze porozmawiać o utracie skrzypiec i o prawdziwych powodach, dla których ich drogi w Nowym Jorku zaczęły się rozchodzić. Wiedział, że żadne z nich nie ma ochoty na dyskusję o tym, kto zawinił; teraz rozumiał już, że oboje zawalił sprawę. Stało się tak, bo byli sobą, bo napędzał ich wewnętrzny mrok. Gdyby nie ta podziemna rzeka, która ich niosła — gdyby to nie ona wyznaczała nurt ich życia, nigdy w ogóle by się nie spotkali. Dyskutowanie o szczegółach nie miało sensu. Byli w najwyższym stopniu niedoskonalimi i nie zamierzali się zmieniać. Pytanie brzmiało tylko, jak poradzą sobie z przeszłością i czy znajdą kompromis między tym, czego każde z nich pożałowało, pragnęło i potrzebowało.

Lauralynn nagrała się na automatyczną sekretarkę z wiadomością, że ma nadzieję wrócić do Londynu pod koniec tygodnia. Spotkanie z bratem oceniała ostrożnie jako sukces: udało się ożywić odrobinę relację, a jego rany okazały się nie na tyle poważne, by na zawsze zatruć wzajemne kontakty. Lauralynn cieszyła się, że wraca. Chociaż Dominik ceniał sobie jej wesołe i serdeczne towarzystwo, miał jednak wątpliwości, czy powinni dalej mieszkać pod tym samym dachem, gdy on zszedł się z Summer. Wiedział, że Summer i Lauralynn kiedyś spędziły razem sporo czasu, ale nie potrafił ocenić, jak dobrze się ze sobą żyły. To mogło być kolejne źródło komplikacji.

Przed oczami Dominika wciąż stawały obrazy Summer w paryskim pokoju hotelowym, dźwięki i zapachy francuskiej stolicy, która już na zawsze zaczęła mu się z nią kojarzyć. Gdy wyszedł z hotelu, na ulicy powitał go ciężki aromat świeżych wypieków z pobliskiej pâtisserie, który towarzyszył mu w czasie drogi do metra. Potem czekała go krótka podróż na stację. Przedmieścia łączyła z Paryżem wielka połać ziemi niczyjej, którą spinała tylko trasa kolejowa, obudowana często walącymi się ścianami i tunelami, i udekorowana na całej długości różnorodną, dziką plataniną graffiti.

Błysk w oku Summer, gdy osiągnęła szczyt, to uczucie, gdy w nią wszedł i zanurzył się głęboko w jej gorące wnętrze.

Zduszone dźwięki wydobywające się z jej gardła przy każdym kolejnym pchnięciu.

A ilekroć zwalniał, ilekroć przerywał, wtedy ona, bez słowa, po prostu wstrzymywała oddech, jak gdyby spodziewała się najgorszego albo liczyła na najgorsze, czekała na kolejny zwrot akcji w brutalnym ataku, na kolejny gest dominacji. Podniecenie Summer na zmianę rosło i malało; jeśli tylko odrobinę przygasło, to natychmiast potem gwałtownie, przerażająco szybko potężniało, krok w tył, dwa kroki w przód — cudowna, niekontrolowana burza. Dominik podsycał je, delikatnie zmieniając pozycje. Wystarczył jeden gest palca albo zmiana ułożenia dłoni, a Summer dawała się prowadzić jak piękne zwierzę, pełne zarazem dumy i żądz, prężące się pod nieustępliwym naporem jego twardego członka.

Wyraz jej twarzy w chwili odpoczynku, kiedy zasypiała, już po wszystkim, leciutko lśniąca od potu, który błyskawicznie wysychał na jej jasnej skórze, podskórny dreszcz z prędkością światła przeszywający ciało Summer, jak echo trzęsienia ziemi. Spokój. Piękno i bliskość. Pogodne przyjmowanie zaufania, jakim Summer go obdarzała.

Dominik znów czuł, że żyje, jak gdyby przebudził się z długiego snu, zakończył jakąś pożałowania godną przerwę w egzystencji. I wystarczyła do tego jedna noc z Summer. Nie planowali tego, nikt niczego nie wymuszał, poddali się emocjom.

Postanowił, że rano do niej zadzwoni. Czuł się zmęczony, ale był to przyjemny rodzaj wyczerpania, jak gdyby nasycił wszystkie zmysły i przeładował baterie — potrzebował czasu, by dopełnić swojej przemiany. Wiedział jednak, że nie zabrakło mu sił i że noc przyniesie mu wiele niepokoju, bo jego umysł wciąż będzie lekko rozgorączkowany, a ciało naładowane prądem.

Wspiął się na schody i wszedł do gabinetu, po czym zerknął na notatki do nowej powieści na ekranie laptopa.

Otworzył nowy folder i niemal automatycznie zaczął spisywać doznania i uczucia, jakie

obudziła w nim noc w Paryżu z Summer. Wrażenia wciąż płonęły w nim żywym ogniem i bał się, że zbyt szybko wspomnienia przybledną, a on pozostanie bez materiału, którym mógłby się żywić, szukając emocji do nasycenia martwych stron.

Przypominało to te szczególne sny, które nachodzą nas w nocy i które pragniemy natychmiast spisać, w obawie że rano ulecą i już nigdy nie zdołamy ich sobie przypomnieć. Dominik wiedział z doświadczenia, że ilekroć przydarza nam się coś podobnego, gdy następnego dnia przeglądamy notatki, widzimy tylko oderwane słowa, które rzadko składają się w jakikolwiek sens.

Jej skóra.

Oczy.

Gładkie, zaokrąglone linie jej ciała.

Wyraziście, choć miękkie granice jej kobiecości.

Dominik westchnął. Słowa nie zawsze wystarczają.

Westchnął jeszcze raz i uświadomił sobie, że od czasu powrotu z Paryża nawet nie zajrzał jeszcze do poczty. To wyraźnie wskazywało na to, jak bardzo był pochłonięty innymi sprawami.

Kliknął na „Skrzynkę odbiorczą”.

Na szczęście nie było tam nic szczególnie ważnego. Kolejny dowód na to, że świat nie kręcił się wokół niego i jego romantycznych perturbacji. To co zwykle: trochę spamu, kilka newsletterów, które zwykle otrzymywał, zaproszenia do wygłoszenia wykładów.

Znalazło się też przypomnienie, że w weekend miał zjawić się w Barcelonie, by uczestniczyć w promocji książek, organizowanej przez jego tamtejszych wydawców z okazji Dnia Świętego Jerzego. W całym tym zamieszaniu omal nie zapomniał o tym zobowiązaniu. Zastanawiał się, czy stolica Katalonii leżała również na trasie Groucho Nights — to byłby pewnie zbyt wielki zbieg okoliczności?

W końcu nie był już w stanie utrzymać otwartych powiek i niechętnie powędrował do sypialni.

Następnego ranka odczekał chwilę, wiedząc, jak bardzo Summer ceni sobie leniwe poranki w łóżku, po czym zadzwonił do niej do Brukseli — to był ostatni przystanek Groucho Nights przed Berlinem.

Summer akurat biegła.

— Wszystko w porządku?

— Tak — sapnęła, odrobinę zadyszana.

— Kiedy macie koncert?

— Pod koniec tygodnia. Gramy w sobotę, a potem w niedzielę. Są dwa występy, na pierwszy bilety wyprzedają się tak szybko, że zaproponowaliśmy jeszcze drugi. Potem zostaniemy w mieście na parę dni i ruszamy dalej.

— Dokąd?

— Najpierw do Amsterdamu, potem odwiedzimy kilka skandynawskich miast: Kopenhagę, Oslo, Malmö, Sztokholm i Helsinki, chociaż musiałabym zerknąć na rozpiskę, żeby podać ci dokładną kolejność. Potem jedziemy na południe do Austrii i na Bałkany. Będziemy nawet w Sarajewie i w Lublanie.

— Brzmi nieźle.

— To prawda — przyznała z wyraźnym entuzjazmem. — Jeszcze nigdy nie byłam w żadnym z tych miejsc.

— Nie mieliśmy zbyt wiele okazji, żeby porozmawiać, prawda?

— Wiem.

— Posłuchaj — powiedział Dominik, usiłując przybrać ton, który budziłby respekt. — Spotkałem się z tym facetem, do którego dostałem kontakt. Gadałem z nim w Paryżu, on wie, jak wygląda rynek instrumentów muzycznych, a konkretnie jego podejrzane strefy. Miałś rację. Viggo rzeczywiście słynie z tego, że jest kolekcjonerem, i z całą pewnością zdawał sobie sprawę, że twoje skrzypce to baily. Od dawna o tym wiedział i ostrzył sobie na nie zęby...

— Cholera — zakłęła. — Naprawdę nie chciałam, żeby to był on.

— To nie musi znaczyć, że Viggo maczał palce w kradzieży — zaznaczył Dominik pocieszająco. — Ale trzeba przyznać, że to dziwny zbieg okoliczności.

— Zgadzam się. Rany, po prostu nie wiem, co powinnam zrobić. Może zwyczajnie go zapytać?

— Nie jestem pewien. Czy wciąż jest z wami?

— Nie, dziś wrócił do Londynu. Z Lubą. Ma jakieś umówione nagrania. Powiedział, że będzie się starał dołączyć do nas w Sztokholmie. Sugerował nawet Chrisowi, że chętnie wyszedłby na scenę przy trzecim numerze, to miałyby być coś w rodzaju oficjalnego znaku aprobaty.

— Czy mogę ci jakoś pomóc? — spytał Dominik.

— Niech pomyślę. — Urwała na chwilę. Słyszał odgłosy samochodów. Pewnie biegła wzdłuż jakiejś ruchliwej ulicy.

— Nie jedziecie przypadkiem przez Barcelonę?

— Nie tym razem — odparła Summer. — Ale niewykluczone, że pojedziemy w tamtą stronę później. Najpierw jednak wrócimy do Londynu. Czemu pytasz?

— Bo sam się tam wybieram w tym tygodniu. Jakaś impreza promocyjna. Umawiałem się już sto lat temu.

— To świetnie.

— Zastanawiałem się, czy może uda nam się zgrać terminy...

— Hm... — Nie był w stanie rozszyfrować znaczenia jej tonu. — Nie tym razem.

— Posłuchaj, to, co się stało tamtej nocy...

— Wiem. Może powinniśmy porozmawiać, kiedy wrócę do Londynu. Chyba tego potrzebujemy.

— Rozumiem.

— I jeszcze jedno — dodała.

— Słucham.

— Chodzi mi o tę rosyjską tancerkę z Nowego Orleanu... — Summer ściszyła głos.

— O Lubę. Tak, wiedziała, kim jestem. W każdym razie ja rozpoznałem ją.

— Ona i Viggo są razem.

— Zauważyłem. Ale co z wami... z tobą i z Viggim?

— To skomplikowane.

— Właśnie słyszę. To bez znaczenia. Najważniejsze, że my znów ze sobą rozmawiamy.

— Powiedziałabym, że nie tylko rozmawiamy... — zauważyła Summer, a w jej głosie słyhać było leciutki uśmiech. Kryła się w nim jednak również ostrożność. Summer nigdy nie rozmawiała zbyt wylewnie przez telefon. Potrzebowała bezpośredniego, bliskiego kontaktu, żeby móc w pełni wyrazić, co czuje.

— Nie chcę ci przeszkadzać w treningu — zakończył Dominik. — Czy mogę do ciebie jeszcze zadzwonić w tym tygodniu?

— Pewnie.

Święto Sant Jordi to w Katalonii coś takiego, jak walentynki, chociaż jego patronem jest święty Jerzy. Co roku odbywa się w niedzielę, a centrum Barcelony przemienia się wtedy w jeden wielki targ, od Plaza Catalunya aż po Diagonal — wszędzie stoją kolorowe stragany z kwiatami i stoły uginające się pod ciężarem setek nowszych i starszych tomów. To święto przyrody i czytelnictwa, tłumy pisarzy przechodzą od jednego stoiska do drugiego, by podpisywać książki, które potem sprzedawane są ludziom. Organizacją przedsięwzięcia zajmują się miejscowe księgarnie i wydawnictwa, a tradycja nakazuje, by kobiety odwiedzające targ kupiły książkę towarzyszącym im mężczyznom, ci natomiast powinni zaopatrzyć się w kwiaty, najlepiej róże, by wręczyć je swoim wybrankom.

Widok ten wywołał uśmiech na twarzy Dominika, przeganianego od stoiska do stoiska przez swoich wydawców. Zastanawiał się, jaką książkę kupiłaby mu Summer. Musiał jednak przyznać, że i tak nie zrobiłoby mu to większej różnicy, bo większość była tylko po hiszpańsku. Nagle uderzyła go pewna myśl: książki są wieczne, a kwiaty więdną i giną; co to mówi na temat

różnic między mężczyznami a kobietami?

Znalazł się już przy ostatnim straganie i siedział beczynnie przy stoliku, chociaż miejscowi autorzy, którzy zajmowali miejsca obok niego, wciąż rozdawali autografy i gawędzili przyjaźnie z fanami oraz kupującymi. Nagle czyjaś długa, jasna ręka podała mu wysłużony egzemplarz angielskiej wersji jego książki.

Dominik podniósł wzrok.

Luba perypatetyczka.

Jak zawsze ubrana jak gwiazda, w przylegającą jak druga skóra, płomienście czerwoną suknię od Rolanda Moureta.

— To ty? — Dominik nie potrafił ukryć zdumienia.

— Przecież nie pożałujesz przyjaciółce autografu?

— A czy ty mnie nie śledzisz?

Luba roześmiała się perliście.

— Przecież dałam ci numer, a ty nie oddzwoniłeś. Co pozostało młodej kobiecie?

Wziął od niej książkę, otworzył na stronie tytułowej, po czym podpisał. Czyli jednak mówiła prawdę, że ją przeczytała. „Dla mojej tancerki”.

Zerwała się popołudniowa bryza, a platynowe włosy Luby falowały jak jedwabna przepaska, niesione niewidzialnymi podmuchami. Przez chwilę przyglądała się dedykacji.

— Jaka ładna — powiedziała.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

— Widzę, że zaraz będziesz wolny, może pójdziemy na drinka albo na kawę czy jakieś tapas? — zaproponowała.

Asystentka z wydawnictwa dała Dominikowi znak, że dopełnił swoich obowiązków i może iść. W tej sytuacji podziękował jej oraz całej ekipie stoiska, po czym wstał.

— Skąd wiedziałaś, że będę w Barcelonie? Tylko nie mów, że po prostu przechodziłaś obok...

— Nic prostszego, drogi Dominiku. Sprawdziłam cię w Googlach. Twój hiszpański wydawca ma na stronie listę autorów, którzy promują się w czasie Sant Jordi. Łatwizna. — Uśmiechnęła się rozbrajająco.

Dominik nie potrafił sobie wyobrazić tak eterycznej i zmysłowej istoty jak Luba przy monitorze komputera, ale to wyjaśnienie trzymało się kupy. W dzisiejszych czasach wszyscy o wszystkim wiedzą.

— I przyjechałaś aż do Barcelony tylko po mój autograf?

— Nie. Chciałam też popracować. Potańczyć.

— Ach tak...

— To prywatne zlecenie.

— Jak w Nowym Orleanie? — spytał.

— Niezupełnie.

— Czy Viggo akceptuje twoje... dodatkowe zlecenia?

— To nie jego sprawa — wypaliła prosto z mostu. — Nie jestem jego własnością.

— To dobrze.

Przeszli się wzdłuż Passeig de Gràcia i znaleźli malutki bar u stóp kamiennych stopni. Miał niski strop i w połowie mieścił się pod ziemią, ale aromaty kawy, tytoniu i wędzonej szynki przesyciły powietrze i podsyciły apetyty gości.

Ani Dominik, ani Luba nie mówili dobrze po hiszpańsku, więc wybierali potrawy, wskazując palcami niewielkie, okrągłe tace pełne pyszności, stojące na ladzie. Wszyscy mężczyźni w knajpce patrzyli na Lubę. Pasowała tam jak kwiatek do kożucha, zwiewna, pełna gracji, o królewskim wejrzeniu, niemal nieskazitelnie piękna, w czerwonej sukience żarzącej się jak pochodnia o zmierzchu.

— O dziesiątej przysyłają po mnie samochód — oznajmiła Luba.

— Klienci?

— Tak. Chyba też są Rosjanami. Takimi bardzo bogatymi, ostatnio wszędzie ich pełno.

Jeszcze parę lat temu nie było ich aż tylu. To ma się odbyć na łódce, będą tańczyć.

— Widzę, że cieszysz się niezłą opinią. I międzynarodową renomą.

— Zdaje się, że tak — przyznała ze skromnym uśmiechem.

Wgryzła się w tapas, małe kwadraciki z ziemniaka tonące w śmietanie i przyprószony papryką.

— Bardzo dobre — stwierdziła. — Spróbuj.

Dominik pochłonął kilka zielonych oliwek nadezwanych anchois. Ta mieszanka smaków była zarazem subtelna i uwodzicielska. Ledwo skończył jedną porcję, już chciał więcej. Kawa była gorąca jak wrzątek i mocna w smaku. Poprosił barmana o jeszcze jedną szklankę wody mineralnej.

— Podobała mi się twoja książka — zagaiła Luba. — Elena, ta kobieta z Paryża, jest bardzo wiarygodną postacią. Ale ma skłonność do autodestrukcji, przynajmniej tak mi się wydaje.

— I dlatego chciałaś się ze mną spotkać? — zagadnął Dominik. — Już za późno, żeby zmienić tę postać. Książka jest już napisana, koniec i basta.

— Basta?

— „Basta” znaczy tyle, że sprawa jest już zamknięta. Pracuję nad nową książką. Nowa historia, nowe postaci.

— Zawsze sądziłam po prostu, że pisarze to skomplikowane osobowości. Fascynują mnie.

— Och, oby tylko wszyscy tak myśleli...

— A o czym jest ta nowa książka? Mogę spytać?

— O instrumentach muzycznych. To historia pewnych skrzypiec i ludzi, którzy na nich grali... akcja obejmuje kilka wieków...

— Genialny pomysł! — orzekła Luba, klaszcząc. — Chyba wiem, co cię zainspirowało...

— Masz na myśli Summer?

— Ona gra na skrzypcach. Ale chciałam także spotkać się z mężczyzną, który jeszcze w Nowym Orleanie poprosił swoją kobietę do tańca.

— Miło mi słyszeć, że nasze towarzystwo cię bawi.

— Zawsze interesowałam się życiem innych ludzi — wyznała Luba.

— Czyli jesteś nie tylko tancerką erotyczną, ale i podglądaczką?

— A co w tym złego? Trzeba dbać o to, by życie miało różnorodny smak, prawda?

— Opowiedz mi o twoim... przyjacielu Viggo.

— Co chciałbyś wiedzieć?

— Podobno jest kolekcjonerem sztuki, a także instrumentów muzycznych, tak?

Luba uśmiechnęła się enigmatycznie.

— A... rozumiem, dlaczego cię to może interesować.

— Właśnie. Chciałbym dowiedzieć się więcej. Co mi powiesz?

— Ty zadawaj pytania. Ja postaram się odpowiadać.

Luba zgodziła się, gdy Dominik wyraził chęć, by jeszcze raz popatrzeć na jej taniec. Umówił się z nią w hotelowym lobby na krótko przed przyjazdem limuzyny. Zatrzymała się w Condal, z dala od głośnego i zatłoczonego centrum Barcelony. Był to luksusowy, ale ustronny hotelik. Recepcjoniści — wystrojeni w identyczne czarne garnitury, w których mogliby się pokazać na elitarnych pokazach mody — popatrzyli na niego ze zrozumieniem, gdy powiedział, że zaczeka na dole na oszałamiająco piękną blondynkę.

Ukazała się w drzwiach windy jak biała zjawia — jej wysoka szczupła sylwetka nikła w chmurze jedwabiu barwy kości słoniowej, niekończące się nogi były jeszcze wydłużone przez wysokie srebrne obcasy, złociste, nieujarzmione loki swobodnie okalały głowę jak grzywa, a nagie ramiona wyglądały jak u porcelanowej figurki. Podkreśliła sobie oczy grubymi kreskami czarnego jak sadza kohl. Te kreski tworzyły cudowny kontrast w zderzeniu ze skromnym poza tym makijażem: genialnym pociągnięciem szminką o barwie bladej czerwieni i odrobiną różu na wyrazistych, szlachetnych kościach policzkowych.

Limuzyna czekała na nich na zewnątrz, drzwi trzymał niewzruszony szofer w szarym mundurze z czapką.

Luba dobrze poradziła Dominikowi, żeby włożył garnitur. Na szczęście zapakował jeden na wszelki wypadek przed wyjazdem z Londynu, nie miał jednak krawata, przez co niemal cały czas, jaki upłynął, odkąd spotkali się w kafejce, musiał poświęcić na gorączkowe poszukiwania czegoś pasującego w sklepie Corte Inglés przy Plaza Catalunya.

Gdy wielki samochód z delikatnym szumem silnika wyjechał na jezdnię, Dominik zapytał Lubę, dokąd ich zabierają — od kierowcy dzieliła go gruba szyba.

— Nigdy o to nie pytam — odparła, a Dominik nie drążył tematu.

Limuzyna wkrótce wyjechała z miasta i podążyła autostradą na południe. Jechali przez pół godziny, po lewej stronie nad nocnym morzem lśnił księżyc, przecięli serię tuneli biegnących pod wzgórzami, a w końcu linię świateł malutkich wiosek rybackich i kurortów osadzonych na wybrzeżu.

Przez całą tę krótką podróż Luba nie odezwała się ani słowem, w spokoju głęboko się koncentrowała, jak gdyby już wizualizowała sobie występ i chciała wprowadzić się w odpowiedni stan transu.

Samochód zjechał z głównej drogi, tak jak prowadził znak na Sitges, po czym wjechał do małego miasteczka i zaczął się przedzierać przez wąskie alejki gotyckiej dzielnicy, po czym pokonał jeszcze kilka wzgórz upstrzonych wielkimi, luksusowymi hotelami, przeciął tory i zjechał w stronę jasno oświetlonej mariny.

Przy wjeździe na teren prywatny znajdowała się bramka. Kierowca wstukał kod na klawiaturze, po czym brama zaczęła się podnosić.

Przy końcu ogromnej mariny przycumowany był jacht, monstrualna konstrukcja z niezliczonych pokładów ukrytych w gąszczu stali i drewna jak matrioszka. Został wyraźnie odseparowany od pozostałych łodzi, miał przygaszone światła i emanował taką elegancją, która objawia się w sprytnym niedopowiedzeniu.

Tęgi ochroniarz sprawdził, czy nazwisko Luby znajduje się na liście, którą trzymał w ręku, po czym machnięciem dłoni skierował ją i Dominika na niższy pokład, gdzie krążyła chmara wystrojonych ludzi, popijających drinki i prowadzących pogawędkę. Słychać było angielski, francuski, hiszpański, pewnie rosyjski i jeszcze kilka innych języków.

Odziana w ciemną suknię wieczorową kobieta w średnim wieku na widok Luby przywołała ją gestem. Luba poleciła Dominikowi, żeby wmieszał się w tłum i zajął sobą przez chwilę, po czym poszła za kobietą, która poprowadziła ją w stronę przebieralni. Tam miała się przygotować do występu.

Dominik ruszył w stronę baru, w desperackiej nadziei że nie będzie rzucał się w oczy w swoim niedrogim, przypadkowo dobranym czarnym garniturze, który tak nie pasował do tej krainy ostentacyjnego bogactwa. Łysy barman podał mu kieliszek szampana, jednak Dominik odmówił i poprosił o perriera albo san pellegrino. Nie zdziwił się, gdy barman zaproponował mu oba gatunki wody... mógłby mu zaoferować praktycznie każdy napój świata.

Dominik starał się wtopić w tłum najlepiej jak potrafił, chociaż nikogo nie znał. Krążył między grupkami, przytakiwał, wychwytywał urywki rozmów, często w obcych i nieznanym mu językach. Żaden z gości nie kwestionował jego prawa, by być na przyjęciu, ale i tak czuł się zupełnie nie na miejscu. Na szczęście przynajmniej jacht stał w porcie, a nie szalał po morzach i oceanach — Dominik miał skłonność do okropnej choroby morskiej i dobrze wiedział, że nie zrobiłby najlepszego wrażenia, gdyby jacht płynął.

Na pokład wróciła kobieta, która wcześniej wyprowadziła Lubę, i zaczęła kierować gości na niższy pokład statku. Dominik posłusznie podążył za tłumem. Wylądował w luksusowym salonie, w którym postawiono niewielką scenę, przed nią znajdowały się rzędy składanych krzeseł, a z tyłu, przy szerokich szklanych oknach, które wyglądały na port i na morze, stały lśniące skórzane otomany. Siedzieli na nich niezwykle kosztownie ubrani widzowie, Dominik założył, że byli to właściciele łodzi i gospodarze — rosyjscy oligarchowie i ich kochanki, sądząc ze słowiańskich rysów twarzy. Między krzesełkami krążyli identycznie wyglądający kelnerzy, podając szampana. Dominik zaszył się w najdalszym zakątku sali.

Gdy wszyscy już wygodnie siedzieli, zamarły ostatnie rozmowy, publiczność ogarnął

wyczuwalny nastrój wyczekiwania. Chociaż na sali nie było jasno, światła zostały jeszcze mocniej przygaszone.

Pomocnicy stojący przy schodach wnieśli ciężkie reflektory, które następnie ustawili na trójnogach i włączyli. Ostre światło zalało zaimprovizowaną scenę, a w szumiącym głośniku odezwał się głos — Dominik rozpoznał nagranie, które tancerka najwyraźniej wykorzystywała przed każdym swoim występem.

— Nazywam się Luba...

...a potem rozległy się pierwsze, delikatne arabeski Debussy'ego i Luba, w białej sukni, wdrapała się na scenę, po czym przystanęła, nieruchoma jak posąg, bezlitośnie ociosany przez brutalne światło studyjnych reflektorów.

Dominik widział już Lubę tańczącą, wtedy, w Nowym Orleanie, ale znów nie mógł oprzeć się zachwytowi nad wdziękiem i powagą jej ruchów — każdy gest był nieznośnie powolny i zarazem kuszący, elegancki i zmysłowy; stopniowo odsłaniała kolejne centymetry ciała, aż w końcu żaden zakamarek nie pozostał zakryty. A tymczasem jej twarz nie wyrażała żadnych emocji, jak gdyby zatraciła się w myślach, zamieszkała w innym świecie, bardzo odległym od jachtu i maryny Stiges Aguadole.

Jej strzeliste, jędrne piersi nie poruszały się mimo skrętów ciała. Gdy się obróciła, wystawiając gładki wzgórek na widok całej publiczności, na sali słychać było każdy szmer. Dominik zauważył mały, niebieski pistolet wytatuowany tuż nad wejściem do jej łona. Prowokował, intrygował, dobitnie wyrażał jej charakter, ukrytą pokusę, dziką fantazję. Dominik uświadomił sobie, że powinien był zapytać o znaczenie tatuażu, kiedy miał okazję. Czuł, że mężczyźni — i kobiety — wstrzymują dech, gdy Luba wykonywała coraz bardziej wymyślne skręty ciała, wiła się jak wąż, przylgnięta do lśniącej powłoki, którą roztaczała wokół niej impresjonistyczna muzyka, a najtajniejsze zakamarki jej ciała wystawione były bez litości na widok publiczny.

Ostatnie nuty utworu przesączyły się przez głośniki. Luba powoli wróciła do swojej wyjściowej pozycji statuy. Tym razem jednak światła nie zgasły i rozbrzmiała nowa melodia. To było tango.

Rozpalona, namiętna, powłóczyta muzyka rozkruszyła ciszę, która osiadła na sali w trakcie poprzedniego tańca Luby.

Na parkiecie pojawił się mężczyzna, który stanął naprzeciw Luby, także całkiem nagi — i młody, pewnie nie miał jeszcze dwudziestu pięciu lat. Miał skórę barwy wypolerowanego złota, zupełnie jak nowa moneta jednopensowa. Gdyby znalazł się w innym otoczeniu, pewnie jego opalenizna wydawałaby się sztuczna, jak gdyby zbyt wiele dni spędził w solarium, ale tu roztaczał wokół siebie żar, który nadawał mu majestat bóstwa Mórz Południowych. Był atletycznie zbudowany, miał silne nogi i wyraziste mięśnie brzucha, jego klatka piersiowa falowała z każdym oddechem. Zaczesane do tyłu włosy podkreślały męską, twardą linię szczęki.

Jego jedwabisty członek niemal ginał pomiędzy wszystkimi naprężonymi mięśniami, ale potężniał z każdą sekundą w obecności Luby; tancerz chłonał wzrokiem jej nagie ciało, czekając na kolejny ruch.

Luba otworzyła oczy i teatralnie zatrzepotała rzęsami, jak gdyby pojawienie się mężczyzny ją zdziwiło — a nie było integralną częścią przedstawienia zaplanowanego na ten wieczór. Tancerz obrócił się gwałtownie, wziął ją za rękę i przyciągnął mocno do siebie. Ich nagie ciała stopiły się po raz pierwszy. Wolną ręką ujął Lubę za podbródek i tęsknym gestem powiódł palcami po jej miękkiej szyi. Na moment uformowała się nowa statua, ich dwoje, oko w oko, skóra do skóry, potem jednak popłynął główny motyw tanga, a oni ruszyli do tańca, splatając ciała i nogi.

Dominik patrzył, jak para leniwie prześlizguje się przez parkiet; zastanawiał się, ile z tego tańca było improwizacją — a ile i gdzie mogli ćwiczyć wcześniej.

Partner prowadził Lubę w rytm nieustępliwej muzyki, a ona poddawała się grawitacji i jego władczyemu objęciom. Jej nogi i ręce idealnie układały się w figury, choć od czasu do czasu jakies jego żądanie czy zachcianka burzyły na moment to harmonijne piękno. Od publiczności bił żar, który obudziły bliskość między nagimi tancerzami i obsceniczne pozy Luby — opalony,

umięśniony młody bóg, o nigdy niezmiennym się surowym wyrazie twarzy władcy, swobodnie rozciągał, pokazywał i przekręcał z boku na bok jej ciało. Wszystko to było szokujące, ale i piękne. Dominik nie mógł zaprzeczyć.

Ich taniec wyrażał czyste pożądanie i niebezpieczeństwo — Luba pokornie dała się prowadzić partnerowi, przesuwać z miejsca na miejsce, jak gdyby wyrzekła się własnej woli. Nie dało się oderwać wzroku od lśniącej powłoki, która pokryła nagie ciało, od pornograficznej wizji męskiego pragnienia w zderzeniu z oszalamiającym, zmysłowym pięknem rosyjskiej tancerki. Dominik patrzył, jak członek tancerza ociera się o podbrzusze Luby, jak jej idealnie ułożone nogi tworzą zwiewny most ponad ziemią, jak wyciąga palce niczym profesjonalna baletnica, odrzuca głowę w tył, zapomina o całym świecie.

Dźwięki stały się odrobinę bardziej natarczywe — tancerz cisnął Lubę na podłogę, jej ręce i nogi rozpostarły się jak skrzydła, tworząc doskonały geometryczny kształt. Po chwili pochylił się, podał jej rękę i przyciągnął z powrotem do siebie. Każda sekunda, gdy ich ciała się stykały, była jak rytuał w ceremonii pożądania.

Gdy Luba znów znalazła się w pionie, powoli podniosła nogę, aż osiągnęła idealny kąt — i wtedy tancerz, nie zważając na chrapliwe stęknienia publiczności, wbił się w nią jednym szybkim ruchem. Twardy członek zanurzył się pomiędzy spragnione wargi jej łona.

I znikł aż po nasadę. Para drżała w objęciach, do melodii tanga. Nie przerwali tańca, jego nabrzmiała męskość prowadziła ją nie gorzej od ramion. Ani razu się z niej nie wysunął, ani na chwilę ich figury nie zatraciły elegancji i płynności — co nie umknęło uwagi Dominika.

W rzędzie przed sobą zobaczył kobietę, która mocno wpiła się rękami w udo sąsiada.

Z jakiegoś powodu nie czuło się, że oni tak naprawdę się pieprzą — to wciąż był taniec, pierwotny taniec, nowy, straszliwy wymiar piękna. Nieskończona gracia ich ciał przyćmiewała obsceniczny charakter ich ruchów.

Dominik wstrzymał oddech. Nie mógł oderwać oczu od napiętej, lśniącej powierzchni pośladków Luby, kręcącej się wokół tancerza jak wokół osi — jego penis stał się teraz dla niej przedłużeniem kręgosłupa, zdawało się, że gdyby nagle go wysunął, tancerka osunęłaby się na ziemię jak szmaciana lalka pozbawiona jakiegokolwiek fizycznego oparcia.

Muzyka zaczęła przygasać, tancerze także stopniowo zwalniali, aż w końcu znów stanęli razem, Luba i jej przystojny partner, wciąż połączeni, jak żywe posągi, których prawdziwą naturę zdradzała tylko jego drgająca klatka piersiowa, gdy walczył o uspokojenie oddechu i rumieniec podniecenia, który rozpalil jej szyję aż po dolinę między piersiami.

W pokoju słychać było najmniejszy szelest.

Kobieta, która zorganizowała występ, dała znak, po którym obsługa wyłączyła silne reflektory.

Dominik wypił duży łyk wody; wiedział, że niektóre obrazy z tego wieczoru będą mu zawsze towarzyszyć, wryte w odległych zakamarkach umysłu. Widok ognistego tańca Luby z zanurzonym w niej członkiem tancerza obudził w nim skojarzenia z ciepłem, które odczuwał, ilekroć wchodził w Summer i wyczuwał reakcje jej ciała, idealną zgodność ich pragnień, skrywane mroczne tajemnice, które spotykały się na niewidzialnym rozstaju dróg. Jako prawdziwy mężczyzna, widział doskonale, że oboje byli utkani z niedoskonałości — w przeciwieństwie do Luby, której błogie szczęście wydawało się niemal nadprzyrodzone. Ale Dominik i Summer uzupełniali się nawzajem. Gdy byli razem, czuli się kompletni.

Limuzyna odwiozła ich do Barcelony, do hoteli, w których mieszkali. Samochód mknął pustą aleją wzdłuż wybrzeża, a wysoko nad wodami morza lśnił śródziemnomorski księżyc.

— To było piękne — odezwał się Dominik do Luby.

— Dobrze nam zapłacili — szepnęła.

— Wyobrażam sobie. Czy on jest twoim... stałym partnerem?

— Mam ich kilku. Zależy od angażu. To wymaga dosyć... specyficznych kwalifikacji.

— Miał południowoamerykańską urodę, ale może tylko mi się zdawało, bo tańczyliście tango. Jak się nazywa?

— Nie wiem, nigdy się tym nie interesuję. — Odwróciła się i wbiła wzrok w ciemność za oknem.

— Naprawdę?

— A po co miałabym to wiedzieć? Oddaję mu stery, tancerz mnie prowadzi, podążam za nim. To wszystko. — Znów na niego popatrzyła. — Ale musisz mi coś obiecać, Dominiku.

— Co takiego?

— Że nigdy nie napiszesz o mnie w książce. Zgoda?

Dominik się zawahał. Przez całą drogę próbował zamknąć w słowach ten wykwintny, choć obrazoburczy spektakl. Pokusa była ogromna.

Luba zauważyła jego widoczny sprzeciw.

— Obiecaj — powtórzyła.

— Dobrze. — Dominik poddał się żądaniu.

Zapadła niezręczna cisza. Limuzyna dotarła już na przedmieścia i połykała kolejne skrzyżowania.

— Tak poznałam Vigga — zwierzyła się Luba ni z tego, ni z owego. — Brałam udział w innym pokazie, w którym był też seks na żywo. Partnerował mi wtedy ktoś inny, Ukrainiec, tak jak ja. Występowaliśmy w Amsterdamie.

— I tak się... zaprzyjaźniliście?

— Tak, Viggo potem zaproponował mi, żebym została jego dziewczyną. Powiedział, że kolekcjonuje piękne rzeczy, a ja byłabym perłą w jego koronie. To naprawdę bardzo głupi sposób na uwodzenie kobiety, ale Viggo jest bogaty, charyzmatyczny, zabawny, a ja potrzebowałam odpocząć od życia tancerki.

— Więc pojechałaś za nim do Londynu?

— Tak, wynajął nawet prywatny odrzutowiec. Lubi mnie rozpieszcać, siebie oczywiście też. Ale gdzieś w głębi to dobry człowiek. I interesujący kochanek.

— Zawsze tak oceniasz mężczyzn? Sprawdzasz, czy są interesujący?

— A dlaczego nie? — Uśmiechnęła się. Chęć do flirtu brała górę nad zmęczeniem wywołanym występem.

— Ale jednak wróciłaś do tańczenia?

— Zaczynałam się nudzić — wyjaśniła. — A poza tym ja nie muszę wybierać. Mogę robić wszystko, co chcę. Nie zostałam żoną Vigga, to przyjaźń dwojga równych sobie partnerów. Viggo nie jest specjalnie zazdrosny.

— Rozumiem. — Dominik przyjął do wiadomości tę informację. — Opowiesz mi coś o jego zbiorach?

Największą dumą i radością Vigga Francka była kolekcja instrumentów muzycznych. Miał dwie elektryczne gitary, na których grał Jimi Hendrix, hiszpańską gitarę akustyczną, którą kiedyś podobno miał w rękach John Lennon, trąbkę Luisa Armstronga, prawdziwe skrzypce Paganiniego i wiele innych rzadkich instrumentów, będących niegdyś własnością sławnych muzyków, zarówno klasycznych, jak i rockowych. To jednak nie usatysfakcjonowało Vigga, który zgromadził również liczne szkice Picassa i jednego wczesnego Warhola, Horsta oraz mnóstwo niezwykle kosztownych i trudno dostępnych reprodukcji. Posiadał także komplety pierwszych wydań wszystkich książek Francisa Scotta Fitzgeralda, Williama Faulknera i Ernesta Hemingwaya; każdy egzemplarz w autentycznej obwolucie, a niektóre również podpisane przez autorów.

Kolekcja rozstawiona była po kilku pomieszczeniach o regulowanej temperaturze w rezydencji Vigga w Belsize Park.

— Brzmi fascynująco — stwierdził Dominik. — A czy bardziej wartościowe przedmioty nie są trzymane gdzieś indziej?

Okazało się, że w piwnicy znajduje się sejf, w którym Luba nigdy nie była, a Viggo niechętnie zdradzał, co jest w środku. Powiedział tylko, że przechowuje tam szczególnie cenne płyty winylowe, ale to nie brzmiało przekonująco. W każdym razie, ani Luba, ani wiecznie zmieniająca się świta Vigga nie zainteresowała się nigdy tą częścią kolekcji.

— Może trzyma tam rzeczy, które są wyjątkowo podatne na zniszczenie? — podsunęła

Luba.

— Możliwe — zgodził się Dominik, nie chcąc ciągnąć tematu.

Dotarli już do Diagonal i wkrótce zaparkowali pod hotelem, w którym oligarchowie zarezerwowali Lubie pokój. Dominik zaproponował, że przejdzie się piechotą do swojego hotelu, który był oddalony o zaledwie dziesięć minut spaceru, ale Luba uparła się, by poprosić milczącego szofera o odwiezienie go do domu. Ustalili też, że w Londynie będą musieli umówić się na pogawędkę.

Dominik wrócił do Anglii dwa dni później. Pierwsze, co zauważył, gdy wszedł do domu w Hampstead, to wielka walizka Samsonite, należąca do Lauralynn i stojąca przy drzwiach. Towarzyszyła jej wielka torba ze sklepu wolnocłowego.

Dominik zawołał dziewczynę, ale nikt się nie odezwał.

Wszedł po schodach do pokoju, w którym sypiała, i delikatnie zaskrobał do drzwi, na wypadek gdyby spała jeszcze mimo późnej pory.

Pokój był jednak pusty, a w łóżku wyraźnie nikt nie spał tej nocy. Wszędzie wały się jednak ubrania, a dywan zasłany był butami — jak gdyby Lauralynn bardzo się spieszyła, nie tyle z pakowaniem, ile ze zbieraniem swoich rzeczy.

Dominik nagle przypomniał sobie, że zapomniał zostawić jej liścik, iż wybiera się na kilka dni do Barcelony. Może nie zastała go w domu i postanowiła spędzić ten czas gdzieś indziej, u przyjaciół?

Poczuł się emocjonalnie wyczerpany. Po namyśle zostawił torbę z rzeczami w korytarzu — mogła tam potowarzyszyć bagażowi Lauralynn — i poszedł prosto do sypialni, chcąc za wszelką cenę przespać się i zapomnieć o zmartwieniach. Żeby wylecieć z Barcelony, musiał stawić się na lotnisku o szóstej rano.

Podszedł do łóżka, porzucając po drodze ubranie i bez sił opadł na łóżko, zbyt zmęczony, by okryć się pościelą. Po chwili zmorzył go głęboki sen.

Obudził się późnym popołudniem — czyjś ciepły oddech pieścił jego nagi tyłek.

— Witaj, nieznajomy...

Podniósł odrobinę powieki, odpędzając sen, i odwrócił głowę. Zobaczył Lauralynn, która stała nad nim z wyrazem najczystszej rozbawienia na twarzy. Dominik uświadomił sobie, że jest goły — i podniecony — więc spróbował szybko okryć się prześcieradłem, ale to tylko jeszcze bardziej rozweseliło dziewczynę.

— Oj, Dominiku, przecież ja już to wszystko widziałam. Skąd ta nagła nieśmiałość?

— Chyba masz rację — wymamrotał.

Lauralynn miała na sobie czarną koszulkę z nazwą zespołu, o którym nigdy nie słyszał, białe dżinsy i sznurowane skórzane buty, które sięgały jej do pół łydki. Gdy Dominik patrzył na nią z leżącej perspektywy, wydawała mu się wyższa niż kiedykolwiek.

— Miło cię widzieć z powrotem — powiedział, ściągając ją na łóżko, tak by usiedli obok siebie.

— Nawzajem. Nie mówiłeś, że wyjeżdżasz.

— Wiem, przepraszam.

— Myślałam, że jesteś w Berlinie. Pojechałam tam, żeby zrobić ci niespodziankę.

— Do Berlina?

— Tak. Uznałam, że musiałeś dowiedzieć się, że Summer gra tam koncert z Chrisem i jego zespołem. To była ostatnia zakładka w historii twojej przeglądarki. Ale cię nie znalazłam. Chyba kiepski ze mnie Sherlock Holmes, co?

— Byłem w Barcelonie. Promocja książki, imprezę zorganizowali moi tamtejsi wydawcy.

— W Barcelonie! — Lauralynn wybuchła śmiechem. — A ja wybrałam się zupełnie na drugi koniec Europy.

— I jak było w Berlinie?

— A w Barcelonie?

— Miałem ciekawy pobyt — stwierdził z namysłem.

— I to wszystko, co mi powiesz?

— Owszem. — Dominik uśmiechnął się, wspominając Lubę i jej występ, stoiska z książkami na Ramblas, kwitnące róże.

— Spotkałam się z Summer — oznajmiła Lauralynn.

— I? — Starał się nie zdradzać zainteresowania.

— Było super...

— Super?

— Wiesz, jak ją lubię. Naprawdę lubię. — Zauważyła, że Dominik się zachmurzył. — Nie, nie, nie w taki sposób — dodała szybko. — Jest po prostu moją przyjaciółką, koleżanką.

— Rozumiem.

— A ty jesteś kretynem, Dominiku. Ostatnim. Dlaczego do jasnej cholery pozwoliłeś, żeby uwierzyła, że między nami to coś poważnego? Przecież doskonale wiesz, że nasz związek polega na czymś zupełnie innym.

Dominik przybladł.

— Słyszałem, że ona chce się związać z Viggiem Franckiem. Widziałem, że wciąż coś do mnie czuje, i nie chciałem, żeby miała jakieś wyrzuty z tego powodu. Nigdy nie twierdziłem, że my dwoje jesteśmy parą tego rodzaju. Wspomniałem tylko, że tu mieszkasz.

— A realistycznie rzecz biorąc, jak myślisz, co Summer mogła z tego wywnioskować? Oboje jesteście kompletnymi idiotami.

— Oboje?

— Tak, oboje. Nie macie gorszych wrogów od siebie samych. Uparci, dumni, niech wyliczę resztę grzechów...

— Powiedziałaś jej, jak naprawdę jest między nami?

— Oczywiście. Wyjaśniłam to bardzo jasno, tak jak ty to powinieneś być zrobić, i to od razu, kiedy tylko spotkaliście się w Brighton. Jesteście jak dzieci, przysięgam, tak właśnie bawicie się swoimi emocjami.

— A Viggo?

— No proszę cię, ty wciąż nie rozumiesz? On jest zatkajdziurą. Czy wygląda na monogamistę? Przecież ma tę rosyjską laskę.

— Lubę.

— Tak się nazywa? Chyba kolejna członkini drużyny. Niezbyt zazdrosna.

— Poznałem ją.

— Świetnie.

— Jest bardzo miła — powiedział. — Pewnie byś ją polubiła.

— W takim razie może nas przedstawić.

— Dobrze.

— Chociaż tyle możesz zrobić, żeby wynagrodzić mi te wszystkie winy.

— A jak Summer zareagowała na te wieści o nas?

— Gniewem, zdziwieniem, ulgą... Nie wiem. Na pewno spodziewała się czegoś innego.

— To co teraz mam zrobić?

— Zadzwoń do niej, kretynie. Dość już tych gier. Jesteście dla siebie stworzeni. Ale teraz jeszcze musisz znaleźć sposób, żeby to się mogło udać.

Dominik zadrżał. Okno było uchylone, na zewnątrz zapadł zmierzch, liście na drzewach szumiały, poruszone wieczorną bryzą.

— I włóż coś na siebie — rozkazała, patrząc na niego z góry. — Bo ten śliczny penis zaraz skurczy się do sporo mniej atrakcyjnych rozmiarów.

Nagość na ścianach

Viggo i Luba leżeli razem spleceni jak paprotki — Viggo trzymał ręce na plecach Luby, a ona obejmowała go nogami.

Obudziłam się metr od nich, zwisając z łóżka, po czym cichutko wyśliznęłam spod przykrycia i poszłam do łazienki. Staralam się ich nie obudzić. Viggo spał jak zabity, ale Luba była czujna jak kot i spodziewałam się, że w każdej chwili może zatrzepotać długimi rzęsami.

Nie chciałam się tłumaczyć, dlaczego wcześniej wstałam ani dokąd się wybierałam.

Dni, gdy spaliśmy przytuleni jak trzy łyżeczki, odeszły w przeszłość. Teraz czułam, że niepotrzebnie stwarzam tłok. Ale zakończenie naszego związku oznaczałoby też koniec kariery Chrisa, a ja już nigdy nie zobaczyłabym moich skrzypiec, więc na razie musiałam się ich trzymać, na dobre i na złe.

Trasa okazała się sukcesem, zarówno dla mnie, jak i dla Groucho Nights. Chris, Ella i Ted zajęli się nagrywaniem pierwszego albumu, a Marija, Baldo i Alex wrócili do Nowego Jorku, do swojej orkiestry i do świata muzyki klasycznej, chociaż w razie czego mogli jeszcze zjawić się przy okazji kolejnych etapów produkcji. Viggo zgodził się, by im za to zapłacić.

A ja szykowałam się na randkę z Dominikiem.

Przynajmniej miałam nadzieję, że chodzi o randkę. Zaczęliśmy pracować nad skromnym planem odzyskania mojego bailly'ego — oboje byliśmy przekonani, że Viggo ukrył skrzypce gdzieś na terenie posiadłości, i mieliśmy spotkać się po to, by dopracować szczegóły.

Dokładnie wypełniłam instrukcje Dominika, dorobiłam klucze do jego domu i zaplanowałam Viggowi i Lubie jeden wieczór tak, by na pewno nie było ich w domu. Narysowałam także plan pomieszczeń, dodając do niego notatkę na temat tego, gdzie znajduje się piwnica i gdzie — zgodnie z moimi podejrzeniami — są ukryte moje skrzypce.

Nie rozpracowałam tylko kodu do alarmu w sejfie. Nigdy nie widziałam, jak Viggo go otwiera, nie widziałam nawet, by schodził do piwnicy. Rzadko oglądał swoją kolekcję, cieszyło go raczej samo posiadanie rzeczy.

Sprawdziłam wszystko po wiele razy, zbadałam każdy kąt każdego pokoju, szukając kamer, które mogłam przeoczyć, przejrzałam plany i upewniłam się, że o niczym nie zapomniałam, ale i tak dręczył mnie niepokój. Przez cały tydzień nerwowo chodziłam po domu, rozdarta między strachem, że Viggo przyłapie Dominika i to wszystko będzie moja wina, a podnieceniem, że znów się spotkamy.

Po naszej nocy w Paryżu kilka razy rozmawialiśmy przez telefon, głównie na temat skrzypiec i naszych ustaleń, nigdy o nas. Wciąż nie byłam pewna, czy Lauralynn ma rację i czy on naprawdę mnie kocha. Nie byłam nawet pewna, czy ja kocham jego. Wydawało mi się raczej, że jest jak moja lewa strona, jego jang dopełniające moje jin, druga połówka pomarańczy. Żadne z nas nie radziło sobie dobrze bez drugiego. Jeśli to miłość, to pewnie można powiedzieć, że się kochaliśmy, ale wątpiłam, czy kiedykolwiek moglibyśmy przeżyć coś na podobieństwo baśniowych romansów rodem z popularnych powieści i hollywoodzkich produkcji. Podejrzywałam, że szybko by mi się znudziło, gdyby moje życie stało się tak słodkie, jak obiecują nam autorki tych wszystkich książek o pastelowych okładkach i tytułach pisanych kursywą. Zawsze unikałam ich jak zarazy, może ze strachu, że dałabym się oczarować.

Lubiłam Dominika — ze wszystkich tych powodów, dla których pewnie nie powinnam go lubić. Bycie z nim przypominało balansowanie na linie. Niczego więcej nie pragnęłam od życia, oprócz tego, by było takie jak on: nieprzewidywalne i niebezpieczne, w tym najlepszym sensie. Wciąż jednak nie miałam pojęcia, co Dominik czuł do mnie.

Zaproponował, żebyśmy spotkali się w kawiarni w St. Katherine Docks — tam, gdzie miało miejsce nasze pierwsze prawdziwe spotkanie, niecałe trzy lata temu. Nie byłam pewna, czy ten wybór wynikał ze względów sentymentalnych, czy z czystej wygody.

W pierwszym odruchu chciałam włożyć dzinsy i białą koszulkę — zestaw, który nosiłam

nader rzadko, ale który Dominik zawsze jakoś szczególnie sobie cenił. Może wiedział, że wkładałam go tylko wtedy, gdy czułam się sobą, swobodna i nieskrępowana. W ostatniej chwili zdecydowałam się jednak na krótką spódniczkę, w nadziei że mi ją zadrze i nakłoni mnie do bezecnych czynów w najbliższej toalecie, ciemnej alejce albo na tylnym siedzeniu samochodu. Gdybym włożyła spodnie, trudno by mi było skusić go choćby do położenia mi ręki na biodrze.

Kiedy dotarłam do doków, w których mieściła się kawiarnia, akurat zaczęło padać. Oczywiście, gdy wychodziłam, było jeszcze ciepło, więc nie wzięłam żadnej parasolki i miałam odkryte buty. Mokra bluzka przykleiła mi się do skóry, a woda spłynęła po nogach.

Przez dłuższą chwilę zmagalam się z drzwiami, bo ręce trzęsły mi się tak mocno, że nie mogłam dobrze chwycić klamki. Przepelniła mnie upojna mieszanka podniecenia i euforii, że znów zobaczę Dominika.

Miałam nadzieję, że to ja zjawiłam się jako pierwsza, co dałoby mi szansę, żeby schować się w łazience i osuszyć, a przynajmniej poprawić włosy, które przyłgnęły mi do ramion. Jednak Dominik już czekał na mnie w rogu pod schodami — dokładnie tam siedzieliśmy na naszej pierwszej randce. Zdążył już zamówić. Jeden z kelnerów niósł właśnie w jego stronę tacę z espresso, białą kawą dla mnie i cukiernicą.

Wśliznęłam się na krzesło naprzeciwko niego i poczułam za mokrymi plecami twarde drewniane oparcie.

— Zapomniałaś parasolki? — spytał z prowokującym uśmiechem.

— Nie, umyślnie tak zmokłam — warknęłam.

I natychmiast się zarumieniłam, nie rozumiejąc, dlaczego tak brutalnie się odgryzam, skoro przyszłam na spotkanie po to, by pokazać mu wyraźnie, że chcę z nim być. To miał być żart, ale przybrałam o wiele bardziej nieprzyjemny ton, niż zamierzałam. Za bardzo się denerwowałam i za bardzo pragnęłam przestać już mówić, a zacząć go dotykać.

Wbił we mnie wzrok, w jego oczach lśniły jakieś niewypowiedziane emocje. A może żądza. Poczułam, jak sutki twardnieją mi pod mokrym materiałem, i nie mogłam zwalić tego na chłód. Było parno, ale to chyba obecność Dominika tak bardzo mnie rozgrzewała.

Zadrżałam, mimo upału.

— Lepiej idź się wysuszyć — powiedział. — Przeziębisz się. Mamy wiele od omówienia, więc lepiej, żebyś czuła się komfortowo.

Zastanawiałam się — z ukłuciem żalu — dlaczego nie zaprosił mnie do domu w Hampstead. Chętnie bym przyjechała i oboje moglibyśmy osuszać się i rozgrzewać. W łóżku. Może spotkanie poza domem miało być znakiem, że Dominik nie chce już niczego komplikować, że po odzyskaniu skrzypiec będziemy po prostu przyjaciółmi i nikim więcej?

Gdzieś w głębi liczyłam na to, że Dominik nie od razu odnajdzie skrzypce i że to da mi więcej wymówek, by się z nim widywać. Jednocześnie, rozpaczliwie chciałam odzyskać mojego bailly'ego, żeby dotyk instrumentu i jego dźwięk przepływający przez moje ciało mógł mi przypominać o Dominiku.

W łazience zdjęłam ubranie i pottrzymałam je przez chwilę pod suszarką. Stałam przy lustrze w samym staniku i majtkach, myśląc z nadzieją, że może Dominik przyjdzie mnie odwiedzić, ale zostałam zawiedziona. Seks w toalecie nie leżał w jego naturze. Uznałby coś takiego za niegodne dżentelmena czy plebejskie — podobnie jak kolczyki w pępku, kiczowate tatuaże i kochanie się na tylnych siedzeniach taksówki.

Zanim wróciłam, zdążył zamówić drugą porcję kawy, bo moja pierwsza filiżanka już wystygła, gdy byłam w łazience.

— Summer... — zaczął.

— Zanim zapomnę — przerwałam mu. — Tu są klucze. I notatki, o które prosiłeś. — Byłam pewna, że zamierza powiedzieć coś o nas, ale ból malujący się na jego twarzy świadczył o tym, że to nie miało być nic dobrego. Nie zniósłabym, gdyby dokończył to zdanie, skoro zamierzał mi powiedzieć, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

— Przykro mi z powodu Vigga — rzekł. — Wiem, że... że jest ci bliski.

Wzruszyłam ramionami, znów czując, że nie zachowuję się tak, jak zamierzałam, ale nie

wiedziałam, jak wyrazić uczucia. Potrzebowałam moich skrzypiec, by pokazać, by zagrać wszystko, co chciałabym mu powiedzieć. Bez baily'ego stałam się niemową, pieśń mojego serca była zamknięta w bezlitosnym uścisku rozumu.

Zmarszczyłam brwi z wysiłku, by pokonać niemoc i nie wyjść ze spotkania z uczuciem, że znów zrobiłam nie to, co trzeba.

— Owszem, jest mi bliski. Ale to chyba nie tak, jak myślisz. A jeśli ma moje skrzypce... to... nie mam powodów, żeby mu wybaczyć.

Wyraz twarzy Dominika był zupełnie nieprzenikniony. Popatrzyłam mu w oczy, jednak nie zobaczyłam żadnej reakcji. Powiodłam wzrokiem po jego twarzy, wzdłuż linii szczęki aż do ust. Milczał, więc ja musiałam mówić, byle tylko uniknąć niezręcznego milczenia.

— Kocham te skrzypce. Naprawdę. Ale chyba nie są warte ryzyka... Nie musisz tego robić.

Głos załamał mi się przy ostatnich słowach. Obserwowałam teraz każde drgnienie Dominika, by ustalić, czy rozumie, o co mi chodzi, czy wie, że za nic nie chciałabym go stracić. Byłam przerażona, że mógłby zostać schwytyany i aresztowany, że Viggo miałby się na nim jakoś mścić. Ale Dominik zignorował moje protesty i zmienił temat, wracając do wyników naszego rekonesansu. Może tak naprawdę tyle właśnie dla niego znaczyłam: byłam inspiracją do pisania powieści, skupiał na mnie uwagę z braku lepszych pomysłów.

Przesiedzieliśmy w kawiarni jeszcze godzinę, ale wciąż nie wypowiedziałam nic z tego, co pragnęłam — o czym marzyłam. Dominik w ogóle nie nawiązał do tematu naszego związku. Nie byłam pewna, czy chciał, ale nie potrafił wydobyć z siebie właściwych słów, czy po prostu nie miał niczego do powiedzenia. Może zaraz po spotkaniu pognął do domu i wszystko spisał — jako nową, emocjonalną inspirację dla konstrukcji jakiejś kolejnej pary bohaterów. Czy wszyscy pisarze tak bezwzględnie wykorzystują własne życie jako paliwo dla literatury?

W efekcie rozmowy ustaliliśmy najdrobniejsze szczegóły planu.

Ja miałam wywabić Vigga z domu o umówionej porze, a Dominik miał się włamać do środka i jakoś pokonać zamek z kodem. Tu właśnie tkwił problem: byłam przekonana, że po kilku sekundach cała posiadłość zacznie wyć, a do środka wtargnie brygada komandosów, która zabierze Dominika w nieznanne miejsce. On jednak podejrzewał, że kod okaże się banalny, jak data urodzin Vigga albo jeden-dwa-trzy-cztery. Nie miał zbyt wysokiej opinii o wyobraźni piosenkarzy rockowych.

Gdy przyjęliśmy już plan działania, Dominik wsadził sobie dorobione klucze do domu Vigga do kieszeni dzinsów, zwinął mapę mojego autorstwa i ukrył ją gdzieś w marynarce, po czym odprowadził mnie na stację Tower Hill. Na pożegnanie pocałował mnie w czółko, podczas gdy ja zmagalam się z pragnieniem, by zanurzyć palce w jego włosach i wpić się wargami w jego usta.

Do planowanego włamania zostało tylko kilka dni — spędziłam je na rozpaczliwych próbach niemyślenia o tym, co ma się stać. Regularnie wychodziłam, żeby Luba i Viggo nie mieli okazji zauważyć, że dziwnie się zachowuję. Łapałam pociąg z Belize Park do East Endu, mojego dawnego terenu łowieckiego i oglądałam filmy w kinie RichMix. Chadzałam na koncerty do baru pod teatrem, żeby słuchać muzyków, o których istnieniu nie miałam wcześniej pojęcia. Ich muzyka wypełniała mi umysł, wymywając resztę myśli. Regularnie zapraszałam też Fran, ale zawsze pod jakimś pretekstem się wymawiała. Zastanawiałam się, czy poświęca ten czas Chrisowi.

Minuty mijały nieubłaganie, nieustępliwe jak fale oceanu, aż w końcu nadeszło popołudnie, na które zaplanowaliśmy włamanie. Moim zadaniem było zajęcie czymś Vigga i Luby, żeby utrzymać ich z dala od posiadłości. Dominik miał zadzwonić do mnie i dać sygnał, że wszystko już załatwione, że droga wolna i możemy wracać — niezależnie od tego, czy udało mu się znaleźć baily'ego, czy nie.

— Wszystko w porządku, mała? — spytał Viggo, gdy szykowaliśmy się do wyjścia. Z trudem rozczesywałam grzebieniem włosy i bardziej niż zwykle brakowało mi do tego cierpliwości.

— Zdenerwowana?

— Przerażona.

— Nie martw się, na pewno pójdzie świetnie — powiedział pocieszająco, odbierając mi

grzebień. — Usiądź — polecił, po czym osunął się na brzeg łóżka i wskazał mi miejsce przed sobą. Przesiadłam na podłodze, oparłam się o jego łydki i pozwoliłam mu przejąć pracę nad rozplątaniem moich rozczochranych loków, jak gdybym była dzieckiem. Sprawilo mi to sporo przyjemności, szczególnie dlatego, że nie musiałam patrzeć mu w oczy. — Na pewno wypadniesz fantastycznie.

Czule odgarnął mi włosy z twarzy, a ja chętnie poddałam się pieścizocie, zupełnie rozdarta. Poczulałam się jak Judasz, spiskowiec i zdrajca, chociaż w takich okolicznościach było to absurdalne. Jeśli Viggo miał moje skrzypce, a mogłam być tego pewna, to powinnam szaleć z wściekłości i nienawiści. Ale Vigga po prostu nie dało się nienawidzić. Był ekscentrykiem i wariatem, ale nie miał w sobie nic ze złośliwości. Zachowywał się jak rozpieszczzone dziecko, które za bardzo przyzwyczaiło się, że zawsze dostaje to, czego chce, i nauczyło po prostu sięgać po wszystko, co mu się spodoba, nie zważając na konsekwencje. Nie potrafiłam złościć się na kogoś tylko za to, że jest tym, kim jest, co wiąże się zapewne z faktem, że sama dostrzegałam w sobie wiele niedoskonałości.

Luba wyszła spod prysznicą w chmurze pary, naga i wciąż ociekająca wodą. Miała taki zwyczaj, że wolała wyschnąć naturalnie niż użyć ręcznika. Lubiła uczucie wilgoci i pewnie dlatego spędzała mnóstwo czasu w basenie na dole, figlując w wodzie jak syrena.

Przykucnęła i pocałowała mnie, leciutko przesuwając językiem po moich zębach i górnej wardze. Westchnęłam z rozkoszy i odpowiedziałam na pocałunek.

Dominik ostrzegał przecież, że powinnam szczególnie uważać, by nie wzbudzać podejrzeń dziwnym zachowaniem, a pocałunki Luby były upajające. Czasem zastanawiałam się, czy ta kobieta w ogóle jest człowiekiem, a nie jakąś czarownicą, którą Viggo zatrudnił do tego, by kraść wszystko, czego tylko zapragnął.

Viggo, Luba i ja wyruszyliśmy na przedpremierowy pokaz zdjęć Graysona. Po raz pierwszy mieliśmy pokazać się publicznie jako trójka. Uznałam, że nawet jeśli narażę się na gniew Susan, która zobaczy nas razem, to wciąż wydostanie Luby i Vigga z domu na tak długo jest tego warte.

Przed udostępnieniem wystawy dla publiczności ekspozycja miała zostać otwarta prywatnie, dla grupy kolekcjonerów, modelek i modeli występujących na zdjęciach oraz podglądaczy. Luba bez najmniejszego problemu wtopiła się w tłum atrakcyjnych kobiet, Viggo był znanym kolekcjonerem, a ja znajdowałam się na zdjęciach Graysona, więc wszyscy troje mogliśmy się tam zjawić, nie przyciągając zbędnej uwagi. Gorzej byłoby, gdybyśmy wybrali się do restauracji i poprosili o stolik dla trojga.

Pomysł, by wykorzystać wystawę jako pretekst do wyciągnięcia Vigga z domu, był głównym powodem, dla którego w ogóle zdecydowałam się pozwolić na publikację zdjęć.

Grayson zadzwonił do mnie w tej sprawie do Berlina, gdy odwiedzałam właśnie Flohmarkt w Mauerpark w towarzystwie Lauralynn.

Początkowo mile polechtało to moją próżność, że kilka moich zdjęć ze skrzypcami natchnęło Graysona do zrobienia rozbieranej sesji modelek pozujących jako artystki z instrumentami w rękach. Celem miało być pokazanie, jak przenikają się seksualność i muzyka. Przyjemność prędko jednak ustąpiła miejsca strachowi, gdy Grayson poprosił mnie o zgodę na to, by ekspozycja objęła też kilka bardzo śmiałych fotek z mojej sesji.

Początkowo — mimo namów Lauralynn — chciałam powiedzieć nie. Grayson zapewniał mnie, że przytnie fotografie tak, by nie dało się mnie rozpoznać, a nawet usunie z nich moje rude włosy, wiedziałam też, że oświetlenie przy oryginalnej sesji zawsze pozostawiało moją twarz w cieniu. Mimo wszystko uznałam, że to ryzykowny pomysł, biorąc pod uwagę, przed jaką publicznością grywałam moje klasyczne recitale. Wiedziałam, że seks jest najlepszą reklamą, sama wielokrotnie się o tym przekonałam, ale granica między tym, co ludzi podnieca a co zniesmacza, jest bardzo cienka. Fotografie Graysona mogły ją przekroczyć.

Kiedy jednak uświadomiłam sobie, że zaproszenie Vigga i Luby na prywatny pokaz byłoby wymarzonym wybiegiem, żeby dać Dominikowi czas na dokonanie włamania, zmieniłam zdanie, zadzwoniłam do Graysona jeszcze raz i pozwoliłam mu wykorzystać moje zdjęcia.

Gdzieś w głębi serca cieszyłam się i ekscytowałam myślą, że cała sala ludzi będzie patrzeć

na wielkie wizerunki mojego zupełnie nagiego ciała. To nie była tylko próżność — raczej rodzaj odwróconego podglądactwa. Czułam tak niesamowite podniecenie, jak wtedy, gdy grałam nago dla Dominika albo rozbierałam się na prywatnych przyjęciach.

Grayson miał na sobie dzinsy, koszulę od znanego projektanta i marynarkę koloru piasku. Jak zawsze, zaczesał włosy do tyłu i na bok. Powitał mnie całusami w oba policzki. Między nami wyczuwało się przypyły chemii, ale patrzył na mnie przyjacielsko i z dystansem, jak znajomy z pracy albo uprzejmy kolega.

Widok Luby wyraźnie wzbudził jego zainteresowanie, ale chyba oceniał tylko jej potencjał jako modelki. Była, oczywiście, bardzo piękna, jednak uwagę przykuwały wyrazista twarz i pełne wdzięku ruchy. Lata trenowania tańca dały jej wyjątkową zdolność do wytrzymywania w eleganckich pozach, a jej skóra wydawała się żarzyć nadprzyrodzonym blaskiem — marzenie każdego fotografa.

Viggo wyruszył już na łowy, by błyskawicznie wybrać i zarezerwować odbitki zdjęć, które chciałby dodać do swojej kolekcji.

Zostawiłam Lubę z Graysonem i zaczęłam przeciskać się przez tłum, żeby obejrzeć ekspozycję. Znajdowaliśmy się na przedostatnim piętrze biurowca w Southwark, blisko galerii Tate Modern. Kiedyś gościłam na seksprzyjęciu w pobliskim hotelu, to były pierwsze dni mojej znajomości z Dominikiem, kiedy zachęcał mnie do różnych poszukiwań erotycznych. To, co widziałam przez grube szyby okien pomiędzy ścianami, na których wisiały zdjęcia, przypominało mi bardzo Londyn tamtej nocy, gdy z hotelowego pokoju patrzyłam na miasto, chłonąc jednocześnie entuzjastyczne odgłosy aktu seksualnego dobiegające zza moich pleców.

Po lewej jaśniało Londyńskie Oko, którego światelka poruszały się niemal niepostrzeżenie. Wody Tamizy błyszczały jak onyks, czarna strzała dzieląca miasto na dwie kontrastujące połowki: północ i południe, dzień i noc, seks po bożemu i dzikie eksperymenty, podporządkowanych i dominujących... a może także Summer i Dominika, jeśli wszystko poszłoby dobrze. On i skrzypce stali się nierozłączni w moich myślach, nie potrafiłam sobie wyobrazić, bym mogła zachować tylko jedno i utracić drugie. Czułam — z pewnością, która towarzyszy zwykle irracjonalnym prorocstwom — że jeśli tego wieczoru odzyskam bailly'ego, to razem ze skrzypcami powróci do mnie także Dominik.

— Boisz się obejrzeć własne zdjęcia, skarbie? — zagadnął mnie czyjś lekko zachrypnięty głos. Viggo nagle wyłonił się z cienia. Ten ton był niemal hipnotyczny, więc bez wahania osunęłam się miękko w ramiona Vigga i leniwie wsłuchałam w dźwięki, które wypowiadał, jak kobra nasłuchująca melodii zaklinacza.

Na szczęście zdjęcia były znakomitym wytłumaczeniem, dlaczego trzęsą mi się ręce, mam spocone dłonie i serce wali mi jak młotem. Nadal jeszcze nie przyszły żadne wiadomości od Dominika, a wyczekiwanie na upragniony sygnał, że wszystko poszło zgodnie z planem, wykańczało mnie nerwowo.

Wykonałam niezgrabny gest na znak potwierdzenia, było to coś pomiędzy wzruszeniem ramionami a próbą ukrycia twarzy jak żółw, który chowa głowę w skorupę. Musiałam udać, że publiczne eksponowanie nagiego ciała stresuje mnie o wiele bardziej, niż stresowało w rzeczywistości.

— Jesteś piękna — powiedział cicho. — Kupiłem wszystkie twoje zdjęcia. Chodź, zobacz.

Zdjęcia wisiały w rzędach na wszystkich ścianach, a strzałka wyznaczała odpowiedni kierunek zwiedzania, tak by kolejne obrazy złożyły się widzowi w spójną opowieść.

Grayson fotografował zarówno kobiety, jak i mężczyzn, niektórzy wystąpili ubrani, inni całkiem nago. Podobno wielu modeli i modelek naprawdę było muzykami amatorami, a przynajmniej tak sugerowały pozy, jakie przybierali, trzymając instrument lub siedząc przy nim. Nikogo nie rozpoznałam, ani spośród tych gołych, ani spośród ubranych.

Pierwsze zdjęcie przedstawiało przystojnego blondyna grającego na saksofonie. Wydawał się zupełnie zatracony w muzyce, miał przymknięte oczy, odchyloną głowę, wysoko unosił saksofon. U jego stóp klęczał drugi mężczyzna, nagi i prawdopodobnie ssał jego członek, ale nie

widać było penisa ani ust. W samym centrum kompozycji znajdował się flet, srebrny promyk, leżący na podłodze koło kolana drugiego mężczyzny.

Na drugim zdjęciu widać było dwie obejmujące się kobiety — jedna siedziała na krześle, druga ścisnęła ją w talii, stykały się tak blisko, że niemal nie widać było ich złączonych piersi. Pierwsza z kobiet grała na trąbce, druga wpatrywała się w dal, wplątując palce we włosy partnerki.

Przechodziliśmy od zdjęcia do zdjęcia, niektóre były po prostu piękne, inne zarazem zachwycające i oburzające. Viggo zatrzymał się na dłużej przy serii zdjęć przedstawiających piękne kobiety kochające się ze swoimi instrumentami — wsuwały sobie w waginę flety, smyczki, a nawet klarnet. Za każdym razem fotograf starał się pokazać przede wszystkim twarz i oczy modelki, wyrażające niezliczone emocje, od pożądania po niezwykle uduchowienie.

Obok wisiało zdjęcie nagiej kobiety stojącej na czworakach, jej wolne od stanika piersi opadały swobodnie, twarz była zupełnie spokojna, pozbawiona emocji jak mebel, podczas gdy stojący obok mężczyzna, w pełni ubrany, uderzał w jej plecy pałeczkami do perkusji.

Moje fotografie wisiały na samym końcu i wszystkie zostały opatrzone białą karteczką z napisem „sprzedane”. Viggo mnie nie okłamał: naprawdę kupił całą serię. Były zupełnie inne niż pozostałe, bo jako jedyna poprosiłam o zachowanie anonimowości i zaprezentowanie wyłącznie ciała, bez twarzy. Ponieważ zakazałam również pokazywania moich charakterystycznych rudych włosów, fotograf nie mógł zostawić nawet zarysu linii szczęki czy ust — na wszystkich zdjęciach byłam całkowicie pozbawiona głowy.

Grayson wciąż jednak zdołał uchwycić erotyczny nastrój, który wyrażał się w ułożeniu mojego ciała, w tym jak zaborczo zaciskałam dłonie wokół szyjki skrzypiec, jak przyciskałam wcięty bok instrumentu do nagiej skóry.

Największe wrażenie wywierało zdjęcie, na którym siedziałam lekko odchyłona, z szeroko rozłożonymi nogami, a skrzypce trzymałam tuż nad łonem, jak gdybym właśnie je urodziła. Moje ręce były zupełnie wyprostowane, a palce ścisnęły instrument jak imadło albo jak broń, ale nie dało się określić, czy chcę użyć skrzypiec, żeby zrobić sobie krzywdę, czy raczej wznoszę je jako tarczę. Inna fotografia przedstawiała mnie leżącą na boku, wtuloną w skrzypce jak w kochanka. Miałam zupełnie rozluźnione ciało — obciągnęłam tylko palce u stóp, jak baletnica. Wyglądało to tak, jak gdybym w każdej chwili mogła zerwać się do ucieczki.

Spodziewałam się, że będę podekscytowana, oglądając ekspozycję w obecności wielu obcych ludzi. Nikt nie wiedział, kim jestem, że stoję wśród nich jak ktoś zupełnie zwyczajny, podczas gdy oni właśnie podziwiają moje najbardziej intymne zakamarki. W rzeczywistości mnie to przeraziło. Bez głowy byłam zredukowana do ciała, do określonej płci, nie miałam umysłu ani serca — i nagle uświadomiłam sobie, dlaczego Grayson zostawił moje zdjęcia na sam koniec ekspozycji. Były najbardziej szokujące, chociaż nie pokazywały żadnej formy penetracji czy innej aktywności erotycznej, jak większość innych. Tylko tu nie było widać oczu, wyrazu twarzy, miłości, oddania, ludzkiego ciepła.

Zaczęłam drżeć, przeniknięta nagłą falą smutku.

Viggo obrócił mnie, żebym spojrzała mu w oczy.

— Co się stało, skarbie?

Nie potrafiłam mu odpowiedzieć, nie znałam odpowiedzi, a nawet gdybym ją знаła, nie dałabym rady jej wyartykułować, bo wstrząsały mną bezgłośnie szlochy.

— Ciii — szepnął, obejmując mnie mocno. — Znajdźmy jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli usiąść i wszystko mi opowiesz.

Degas

Ledwo zamknął za sobą frontowe drzwi, natychmiast, z drżącymi rękami, ruszył w stronę alarmu. Dominik poczuł falę podniecenia i zaczął wstukiwać kod — wcześniej odczekał prawie całe pięć minut, by upewnić się, że nikt nie nadejdzie, kilka razy zadzwonił w tym celu do drzwi. Summer zarzekała się, że do wieczora nikogo nie będzie w domu, ale Dominik, dla którego włamanie nie stanowiły codziennej rozrywki, trochę się denerwował i wołał sprawdzić to samemu.

Klucze dorobione przez Summer pasowały, wszystkie zamki z cichym szcękaniem dały się otworzyć, a drzwi nie stawiały żadnego oporu. Jak dotąd wszystko szło aż nazbyt łatwo.

3.3.1.3.R.P.M.

Przy każdym kolejnym znaku malutka dioda przy klawiaturze zmieniała barwę z czerwonej na zieloną, nie rozległ się żaden dźwięk, aż w końcu całe urządzenie dało Dominikowi zielone światło, zapraszając go do środka.

Uśmiechnął się. No jasne, Viggo Franck, muzyk z epoki płyt kompaktowych i kupowania muzyki w sieci, musiał mieć hasło zainspirowane prędkością obrotów większości winyli. Mało kto zrozumiałby ten mały żarcik i było to przynajmniej odrobinę bardziej oryginalne rozwiązanie niż data urodzin albo jakiejś ważnej bitwy, czyli to, co ludzie zwykle wybierali.

Wielki dom zalegała cisza. W opustoszałych pokojach słychać było tylko stłumiony szum klimatyzacji, który brzmiał jak szuranie kapci.

Dominik dotarł do spiralnych schodów, które Summer mu opisała, i ostrożnie zszedł do podziemi.

Znalazł przestronną galerię pełną rzeźb i instalacji niczym muzealna sala. Światła ukryte były we wgłębieniach w białym suficie i tak dostosowane indywidualnie do każdego obrazu, odbitki albo przedmiotu, by wydobyć z nich najbardziej interesujący efekt, bez względu na kąt patrzenia widza. Rzeźby wszelkich barw i rozmiarów ustawione były idealnie według osi symetrii, obrazy na ścianach wisiały w jednej linii, wszystko razem tworzyło harmonijną kompozycję kolorów i kształtów. Dominik rozpoznał industrialne reprodukcje Warhola i erotyczne szkice byków z nagimi nimfami, które wyszły spod żywiołowej ręki Picassa. Były też bardziej klasyczne dzieła: młode baletnice w stylu Degasa, martwe natury z kwiatami à la van Gogh, abstrakcyjne geometryczne kształty — ich współczesna forma, zdaniem Dominika, odzierała je z artystycznego wyrazu. Było też wiele innych, istna galeria cudów. Dominik nie mógł nawet próbować zgadnąć, ile warte są wszystkie wystawione dzieła.

Wiedział, że mógłby spędzić w niej wieki, bez końca podziwiając piękno niektórych eksponatów, ale okoliczności zupełnie temu nie sprzyjały. Wszedł z pomieszczenia i zszedł jeszcze niżej, zagłębiając się w podziemny labirynt, aż w końcu dotarł do nisko sklepionej przestrzeni, gdzie znajdował się między innymi basen. Summer zasugerowała mu, że właśnie to miejsce szczególnie warto zbadać.

Szmaragdowobłękitny blask wody przyciągnął na moment wzrok Dominika. Nie mógł nie wyobrazić sobie Summer, pięknej, jasnej i obnażonej, jak energicznie przeszywa tę taflę i płynnie wąskim, wijącym się wodnym szlakiem, który niczym strumień prowadził wzdłuż pomieszczenia. Jej nogi rozchylają się i łączą pod powierzchnią jak karty książki, ognista grzywa ciągnie się za nią po wodzie, jak barwna smuga farby, gdy miesza się z wodą i daje jej życie.

A do tego, oczywiście, doskonale wyciosane ciało Luby, majestatycznie spoczywającej na oślizgłych szarych głazach pod sztucznym wodospadem niczym królowa syren. O, jakie historie mógłby opowiedzieć ten basen...

Dominik błyskawicznie wyrwał się z tego zamyślenia i wyteżył wzrok, wpatrując się w ciemniejszy kąt pomieszczenia. Szukał szklanej gabloty, w której ponoć znajdowały się instrumenty zgromadzone przez Vigga. Stała tam, pośród grupki mniejszych rzeźb, artefaktów, drewnianych nimf i groteskowych przedstawień. Była to spora, przymocowana do ściany, szklano-stalowa konstrukcja, która zajmowała połowę najwyższej ściany pomieszczenia. Ze swojego miejsca

Dominik widział jej wnętrze, równolegle zawieszono półki, na których leżały upchnięte jedne na drugich najróżniejsze instrumenty, nieruchome, porzucone, od wielu lat nieużywane ani nawet niedotknięte.

Po jednej stronie znajdował się cały rząd elektrycznych gitar, z których te najbardziej błyszczące, o smukłych kształtach, przyciągały światło odbite od pobliskiej wody. Inne, matowe i nieco grubsze, stały na baczność niczym żołnierze na defiladzie. Pod rzędem gitar, na niższej półce, mieściły się akordeony, a obok nich różne instrumenty dęte, trąbki, puzon i saksofon — na ogół w marnym stanie, powgniatane i porysowane, jak rozbitkowie wyratowani z katastrofy morskiej. Obok znajdowały się dwie półki pełne skrzypiec.

Dominik zbliżył się do wysokiej szklanej gabloty, omijając mokrą krawędź basenu.

Wewnątrz znajdowały się tylko cztery instrumenty, ale żaden z nich nie był bailyim. Wszystkie skrzypce zachwycały delikatnością i urodą, okrywała je szlachetna patyna czasu. Każdy z instrumentów wykonany został z drewna o jedynej w swoim rodzaju barwie, zawsze była to kombinacja brązu i pomarańczowego, czasem kolory układały się w pasma, czasem zupełnie się mieszały, ich kształty były jak zaklęte na zawsze w drewno żywioły. Dominik nie znał się na starych skrzypcach — słyszał tylko o bailyim i legendach otaczających ten instrument — ale nie miał wątpliwości, że patrzy na niezwykle rzadkie i piękne eksponaty. Ten zestaw skrzypiec wydawał się niezwykle kruchy, jak gdyby były zbyt cenne, by na nich grać, ale wiedział, że we właściwych rękach wydałyby z siebie najdoskonalsze dźwięki, ciepłe i czyste brzmienia.

Zauważył, że gablota nie miała zamka, a jedno skrzydło nie było dobrze osadzone na zawiasach. Kusiło go, by dotknąć któregoś z cennych instrumentów, ale nie miałyby to sensu — nawet nie potrafił niczego zagrać.

Ogarnęła go fala niepokoju. A może mylił się i Viggo nie miał nic wspólnego ze zniknięciem baily'ego? Przypominał sobie jednak, że Summer opowiadała mu o tej gablocie. Gdyby jej skrzypce tu były, rozpoznałaby je. O tak, musiały być w sejfie. Za tymi drzwiami, o których mówiła mu Luba. Gdzie, jak twierdził Viggo, znajdowała się kolekcja płyt winylowych. Dominik minął gablotę i zobaczył lekko cofnięty łuk sklepienia z ukrytymi wewnątrz stalowymi drzwiami. Może pierwsi właściciele tego domu, którzy odkopali te podziemne pomieszczenia, uznali, że mieści się tam coś w rodzaju kryjówki.

Dominik bez przekonania chwycił klamkę i spróbował ją przekręcić, ale nie dało się jej ruszyć w żadnym kierunku. Niczego innego się nie spodziewał.

Teraz musiał radzić sobie sam.

Z boku drzwi znajdowała się elektroniczna klawiatura.

Przygotował się na tę sytuację najlepiej, jak mógł. Wyszukał w sieci wszelkie potrzebne informacje na temat życia Vigga Francka. Jego urodziny, urodziny jego rodziców, siostry, ważne daty jego życia, pierwszy ślub, premiery debiutanckich piosenek i albumów, i tym podobne. Dominik zaczął od wstukania urodzin Vigga, ale bez skutku. To także go nie zaskoczyło. Zwykle podobne systemy wymagają użycia kodów, które zawierają nie tylko cyfry, ale i litery. Strzelając na oślep, wpisał inicjały Vigga, a po nich sekwencję cyfr zaczynającą się od 1. Dołożył jeszcze 2, 3, 4 i 5, ale nie nastąpił żaden znajomy szcęk, który wskazałby Dominikowi, że trafił.

Desperacko kopnął w drzwi, ale oczywiście nawet nie drgnęły.

Zaszedł tak daleko i wszystko na nic.

Potem przypomniał sobie kod do drzwi frontowych, który podała mu Summer. Znów żadnej reakcji. Gdyby Viggo użył tego samego kodu do dwóch par drzwi, to faktycznie by się nie popisał.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

To miał być sejf na winyle.

Nagrania.

Drzwi wejściowe otwierały się na hasło 3.3.1.3.R.P.M.

Wargi Dominika wykrzywiły się łagodnie w uśmiechu.

Viggo, ty żartownisiu...

Wstukął nowy kod.

4.5.R.P.M.

Rozległo się głośne brzęczenie. Dominik usłyszał szcęk pracującego mechanizmu wewnątrz ciężkich drzwi. Wstrzymując oddech, zacisnął palce na metalowej klamce. Tym razem nie stawiała oporu. Zamek nie blokował już dostępu.

Dominik poczuł przypływ czystej adrenaliny pulsującej mu w żyłach.

Delikatnie nacisnął drzwi — otworzyły się tak cicho, jak gdyby były zawieszony w powietrzu.

Niewielkie wnętrze tonęło w ciemnościach. Dominik ostrożnie wszedł do środka i pomacał ścianę w poszukiwaniu włącznika. Nie udało mu się znaleźć żadnego w bezpiecznej odległości od drzwi, ale nagle ożyła matowa neonówka na suficie — prawdopodobnie uruchamiał ją jakiś automatyczny mechanizm w konkretnym czasie od otwarcia drzwi — i stopniowo zaczęła rozświetlać pomieszczenie.

Wnętrze sejfów było kwadratowe, pozbawione okien, przeciwległą ścianę zajmował regał, w centrum znajdowało się kilka prawie płaskich gablot, a resztę powierzchni zajmowało kilka nierówno rozwieszonych obrazów i oprawionych reprodukcji. Dominik zastanawiał się przez chwilę, dlaczego te dzieła są ukryte, a nie wiszą gdzieś w domu. Czy chodziło o to, że są więcej warte? Ale gdy przeszukiwał wzrokiem sejf, jego uwagę szybko zwrócił przysadzisty, ciężki mebel o szklanym blacie, na którym stał baily.

Pozwolił sobie na westchnienie ulgi.

Rozpoznałby te skrzypce, nawet gdyby były ukryte w całej górze innych instrumentów. Nie dało się ich pomylić z żadnymi innymi.

Wydawały się nieuszkodzone, wypolerowane drewno odbijało światło i promieniowało ciepłem na całe niewielkie pomieszczenie.

Dominik zbliżył się do stolika, powiódł palcami po naprężonych, gotowych do odpowiedzi strunach i usłyszał w myślach echo tysiąca melodii, które Summer zagrała specjalnie dla niego. A przed oczami stanęły mu wszystkie chwile, gdy ich słuchał.

Westchnął.

Angelique.

Zwykły instrument o czterech strunach, nastrojonych w interwałach kwinty. Rzeźbione drewno, klej, jelita, kształt klepsydry — czyli kształt kobiety, który od wieków wzbudza najgłębsze, najbardziej pierwotne pożądanie.

Teraz ten zwykły instrument nabrał tak wielkiej wagi dla jego życia. Najpierw zjednoczył go z Summer, widział ich pierwsze spotkanie, ich rozstanie i samotność. Był świadkiem radości i smutków, namiętności i żalu.

Skrzypce miały swoje historie. Czy Dominik i Summer stanowili tylko rozdział w księdze Angelique? Kto miał pojawić się na kolejnych stronach, kto miał zająć ich miejsce?

Dominik czuł, że ten rozdział jeszcze się porządnie nie zakończył.

Znalazł skradzione skrzypce. Ale gdzie był smyczek? Nie leżał obok instrumentu na stoliku. Dominik nie wiedział nawet, czy smyczek faktycznie stanowił komplet ze skrzypcami, czy został wykonany mniej więcej w tym samym czasie, czyli ponad sto lat temu, i czy towarzyszył instrumentowi we wszystkich jego rozmaitych przygodach.

Przemknął wzrokiem po pomieszczeniu.

Niektóre reprodukcje i obrazy na ścianie najbliższej drzwi wydawały się znajome, jak gdyby widział je już setki razy na kartach albumów i katalogów wystaw, ale nie potrafił dopasować do nich żadnych nazwisk i tytułów. Przeniósł spojrzenie na półki z tyłu, potem na mały stosik kamyczków, starych samochodzików i porcelanowych lalek, aż w końcu zobaczył smyczek stojący samotnie w kącie. Zrobił krok naprzód, żeby po niego sięgnąć.

I w tej samej sekundzie usłyszał za sobą cichy syk, jak gdyby czyjeś potężne płuca wypuściły właśnie powietrze. Odwrócił się, usiłując zlokalizować źródło dźwięku. To były drzwi sejfów. Właśnie się zamykały. Gdy uświadomił sobie, co się dzieje, rzucił się naprzód, upuszczając smyczek, sięgnął rękoma przed siebie, żeby przytrzymać drzwi, zanim zniknie błyskawicznie zmniejszająca się szpara dzieląca skrzydło od framugi.

Spóźnił się o ułamek sekundy.

— Kurwa!

W panice szarpnął za klamkę. Nie drgnęła.

Był w pułapce.

— Niech to jasny szlag. — Przeklinał szeptem z czystej wściekłości. Jak mógł być taki głupi? Powinien był zablokować czymś drzwi. Kretyn, idiota.

Pieprzony amator i tyle.

Po wewnętrznej stronie drzwi nie było klawiatury, na której mógłby wpisać hasło albo przynajmniej spróbować wymyślić jakiś kod, który odemknąłby zamek.

Jego umysł pracował gorączkowo, rozpaczliwie szukając jakiegokolwiek myśli, której mógłby się uchwycić, ale znajdował tylko rozpaczliwy chaos i szaleństwo. Poza tym w tej sytuacji trudno było o proste rozwiązanie. Wyciągnął telefon, ale zgodnie z jego oczekiwaniami, w podziemiach posiadłości i za ciężkimi metalowymi drzwiami nie miał zasięgu żadnej sieci. Kiedy już się uspokoił i zaczął myśleć bardziej racjonalnie, zrozumiał, że nie ma takiego cudu, którym mógłby się wyratować. Musiał po prostu cierpliwie czekać, aż ktoś inny zechce odwiedzić piwnicę posiadłości. Prawdopodobnie tą osobą byłby Viggo. Naturalnie Dominika czekało teraz sporo wstydu, a pewnie także i aresztowanie. Już widział te nagłówki w brukowcach — oczywiście na drugiej stronie, taki żaloszny incydent nie zasłużyłby na wzmiankę na pierwszej. „Pisarz przyłapany na kradzieży w domu gwiazdy rocka”, „Pan profesor złodziej”. Jakkolwiek to sformułują, czeka go mnóstwo upokorzeń.

Jedyna dobra strona całej sytuacji to ta, że mógł powiedzieć Summer, gdzie są jej skrzypce. O ile tylko zdołałby się z nią skontaktować. Ale wtedy oczywiście Viggo przeniósłby je w inne, bardziej bezpieczne miejsce. Co za koszmar!

Dominik wciąż jeszcze pochłonięty był różnymi mętnymi wizjami, gdy zauważył, że neonowe światło w pokoju zaczyna przygasać. Z każdą sekundą dawało mniej światła. Zaklął. Automat uruchamiał się wraz z otwarciem lub zamknięciem drzwi. Już niebawem Dominik miał zostać pogrążony w mroku.

Gdy uświadomił sobie ten fakt, nagle wykielkował w nim nowy lęk. A co z powietrzem, co z tlenem? Czy on także powoli zniknął? Gdy światło jeszcze działało, Dominik nie zauważył nic, co wskazywałoby na to, że w sejfie jest jakaś wentylacja lub klimatyzacja.

Sytuacja nagle stała się o wiele poważniejsza, niż mu się wcześniej wydawało.

Ile zostało mu powietrza?

Viggo zdjął skórzaną kurtkę, okrył mi ramiona i wyprowadził mnie z sali wystawowej. Poszliśmy do baru, który powstał po to, by zaoferować szczególnie ważnym gościom przekąski i drinki. Wewnątrz ludzie w milczeniu wybierali sobie napoje, które potem zanosili z powrotem do sali. Przy barze stał samotnie mężczyzna w garniturze, który wyglądał, jak gdyby przyszedł prosto z pracy. Popijał coś z niskiej szklanki przez grubą słomkę — pewnie dżin z tonikiem. Obdarzył nas ciekawskim spojrzeniem, może dlatego, że rozpoznał Viggę, a może zastanawiał się, czemu jestem taka wytracona z równowagi, po chwili jednak znów zajął się swoim drinkiem. Dwie kobiety w koktajlowych sukienkach zajmowały wysoki stolik w rogu i co jakiś czas zerkały na mężczyznę w garniturze, pewnie zastanawiając się, czy nie jest zajęty i czy powinny podejść, by sprawdzić. Jedna była ubrana na różowo, druga na żółto. Razem wyglądały jak para jaskrawo upierzonych ptaków. Co chwila przestępowały z nogi na nogę, by przenieść ciężar ciała i złagodzić ból, który wywoływało stanie na wysokich obcasach.

Viggo posadził mnie na ławie w najciemniejszym kącie pomieszczenia, a sam wybrał się do baru. Chwilę później wrócił z dwiema szklaneczkami do whisky do połowy wypełnionymi bursztynowym płynem i filiżanką pełną lodu.

— Wypij, dobrze ci zrobi — powiedział.

Pociągnęłam łyk i omal natychmiast go nie wyplułam. Alkohol rozpałił mi gardło, a posmak, który zostawił sam w sobie, był jak łyk nieco słabszego drinka. Jednak po kilku sekundach poczułam przyjemne ciepło i mogłam w końcu się rozluźnić, z dala od wystawy i zdjęć. Viggo

pochylił się, musnął kciukiem przestrzeń pod moim okiem, potem pod drugim i delikatnie otarł mi resztę łez.

Gdy to robił, popatrzyłam na jego zegarek. Minęła ponad godzina od naszego przybycia, a ja wciąż nie miałam kontaktu z Dominikiem. Obiecał, że po wypełnieniu — lub porzuceniu — misji wyśle mi wiadomość. W ten sposób miałam się upewnić, że jest bezpieczny i nie wylądował w areszcie. Viggo nie trzymał psów, a Dominik zamierzał dostać się do wnętrza przez drzwi frontowe, więc nie musiał po drodze wspinać się na ściany ani włamywać przez okna. Nie miałam powodu, żeby się o niego zamartwiać.

Mimo to, poczułam pierwsze skurcze strachu w żołądku. Jeden rodzaj stresu płynnie przeszedł w drugi, a ja znów zaczęłam się trząść. Zmieniałam się w kłębek nerwów, nigdy tak się nie zachowywałam.

Viggo pochylił się w moją stronę i wziął mnie za rękę. Miał wielkie, szorstkie dłonie i paznokcie obgryzione do samego ciała. Viggo nigdy w żaden inny sposób nie zdradzał zdenerwowania, jak właśnie gmeraniem przy paznokciach.

— Powiedz mi, co się stało. Wiem, że nie chodzi o zdjęcie. Nie jesteś sobą od czasu powrotu z trasy koncertowej. Czy chodzi o tego mężczyznę, którego spotkałaś?

— O Dominika? — Oczy rozszerzyły mi się ze zdziwienia i strachu. — Skąd o tym wiesz? — spytałam, z lęku przed zdemaskowaniem przybierając oskarżycielski ton.

— Nie musisz przede mną grać, skarbie. Sypiamy razem we troje, raczej nie uważałem cię nigdy za ścisłą monogamistkę. Nie sądzę też, by Luba się krępowała, gdy wyjeżdża w trasę. Zdaje się, że właśnie podrywa twojego fotografa. Jeśli jednak ten inny facet zrobił ci jakąś przykrość...

— Nie, nic podobnego. Mieliśmy różne momenty, ale wina nigdy nie leżała po jednej stronie. Nikt nie jest doskonały, prawda? Ja na pewno nie.

Viggo zaczął się śmiać.

— Gdybyśmy przez całe życie czekali na idealnego mężczyznę albo kobietę doskonałą, to czekalibyśmy tak do końca świata. Właśnie dlatego lubię mieć więcej niż jedną partnerkę. Pewne rzeczy można otrzymać od jednej osoby, inne od drugiej. To działa. Przynajmniej dla mnie. Lubie chyba też się podoba. Myślę, że tobie również.

— To bardzo dojrzały punkt widzenia. Ale emocje nie zawsze dają się tak łatwo przeliczać, zwłaszcza miłość.

Wzruszył ramionami.

— Zawsze chodzi tylko o kompromis. A miłość to królowa kompromisów.

— Nie sądziłam, że gwiazdy rocka godzą się na jakiegokolwiek kompromisy — rzuciłam ponuro.

— Pewnie mam sporą przewagę nad zwykłymi śmiertelnikami. Nie ma wielu takich rzeczy, których bym pragnął, ale nie mogłem dostać.

Uśmiechał się wrednie, a w jego głosie jak zawsze brzmiała żartobliwa nuta. Jego słowa były jednak jak kubeł lodowatej wody. Miał moje skrzypce, prezent od Dominika, mój największy skarb, instrument, który wyrażał kiedyś wszelkie moje emocje. Bez baily'ego muzyka nie byłaby już tym samym. Chciałam go odzyskać.

— Zleciłeś kradzież moich skrzypiec, prawda? — Staralam się mówić obojętnym, spokojnym tonem. Stwierdzałam fakt, nie wygłaszałam oskarżeń.

Wydawał się zdziwiony, ale nie zdenerwowany. Ten całkowity brak emocji czy zaprzeczeń upewnił mnie w moim przekonaniu, że Viggo ma moje skrzypce. Na jego twarzy nie pojawił się nawet cień niedowierzania.

— Nie jestem pewien, co masz na myśli — odparł gładko z twarzą jak biała kartka. Żywy obraz niewinności.

— Mam na myśli to, że zabrałeś mi baily'ego, skrzypce, na których grałam, gdy słuchałeś mnie po raz pierwszy, i że dołożyłeś je do swojej kolekcji. Są w twoim sejfie. Wraz z innymi rzeczami, których wolisz nie pokazywać, bo także je ukradłeś. W piwnicy, tam, gdzie wmawiałeś mi, że trzymasz kolekcję winyli.

Jak szaleć to szaleć.

I wtedy Viggo zrobił coś, czego naprawdę się nie spodziewałam.

Zaczął płakać.

Na widok jego żalu cały gniew wyparował ze mnie jak mgła o poranku. Bardzo rzadko zdarzało mi się widywać płaczących mężczyzn i nie byłam pewna, co zrobić. Pochyliłam się i delikatnie poklepałam go po ramieniu.

Podniósł szklankę i upił duży łyk whisky. Gdy odstawiał puste naczynie, zacisnął zęby.

— Przepraszam — wymamrotał cicho. — Nie sądziłem, że sprawi ci to przykrość.

— Nie sądziłeś, że sprawi mi to przykrość? — szepnęłam zdumiona. — Jak to?

— Na próbę przyniosłaś je w takim zwyczajnym futerale. Uznałem, że nie masz pojęcia, jaki to skarb. Że skoro przynosisz je na byle próbę, to nie mogą być dla ciebie ważne. Że to takie ćwiczebne skrzypce. Albo że to sponsor ci je pożyczył, a w pogotowiu masz tuzin innych. Poza tym, podobno ten bailly jest przeklęty. Może odbierając ci je, zrobiłem coś dobrego. Chciałem tylko od czasu do czasu na nie popatrzeć, potrzymać je, uchronić od zniszczenia. W moim sejfie byłyby bezpieczne, zadbane...

Wyrzucał z siebie tysiąc słów na minutę, jak szaleniec, i lekko drżały mu ramiona, co zwiastowało kolejną falę płaczu. Rozejrzałam się po barze, ale nikt nie zwracał na nas uwagi; pewnie nawet nas nie widzieli — siedzieliśmy ukryci w ciemnym kącie.

— Viggo — przybrałam najbardziej kojący ton, na jaki było mnie stać. Tak mówiłabym do dziecka. — Dostałam te skrzypce w prezencie, od Dominika. I kochałam je najbardziej na świecie. Tak jak jego — dodałam, a te ostatnie kilka słów było dla mnie takim samym objawieniem, jak dla Viggo.

Podniósł na mnie wzrok. Znów się uśmiechał, choć wokół oczu miał czerwone obwódki.

— W takim razie problem da się łatwo rozwiązać. Po prostu ci je oddam.

— Byłoby cudownie. — Niedopowiedzenie roku. Ale propozycja Viggo zabrzmiała tak delikatnie, że bałam się wykonać jakikolwiek gwałtowny ruch, by tylko nie zmienił zdania. — Ale...

— Tak? — spytał gorliwie.

— Dominik już ukradł je dla mnie z powrotem. A przynajmniej właśnie to teraz miał robić.

— Co ty mówisz? — sapnął, tak zdumiony, że aż przestał płakać.

— Zabrałam twoje klucze i zrobiłam kopie. Przepraszam. Tak bardzo chciałam je odzyskać, a nie sądziłam, że będziesz skłonny mi je oddać...

— Więc przyprowadziłaś mnie tutaj z Lubą, żeby Dominik miał wolną drogę?

— Tak.

— Ale on nie zna kodu do sejfu.

— Pomyślał, że to będą twoje urodziny albo coś w tym stylu. Pewnie wciąż tam jest, w twojej piwnicy nie ma zasięgu. Miał do mnie napisać po zakończeniu akcji, ewentualnie po wycofaniu się z niej.

Przez cały wieczór zerkałam na telefon, kiedy tylko Viggo odwracał głowę, na wypadek gdybym jakimś cudem nie usłyszała dźwięku, który oznaczał wiadomość.

Viggo splótł palce i pochylił się, by oprzeć podbródek na rękach. Pogrążył się w myślach — być może odtwarzał w głowie trasę, którą Dominik musiałby pokonać, żeby włamanie mu się powiodło.

— Nie sądzę. Dom to łatwizna, nie ma kamer, pułapek ani tym podobnych. Sąsiedzi nie widzą, kto wchodzi, a nawet gdyby widzieli, to niczego by nie podejrzewali, gdyby zauważyli, że ten ktoś, kogo nie rozpoznają, otwiera sobie drzwi kluczem. Zakładam, że on nie wygląda jak typowy włamywacz. Nie kręcisz czasem ze złodziejem dzieł sztuki, co? Może włamała się, wzięła skrzypce, a także kilka innych pamiątek i zwiła?

Energicznie pokręciłam głową.

— Niemożliwe. Dominik jest pisarzem... O skrzypcach wie tyle, ile dowiedział się kiedyś, gdy potrzebował materiału do powieści. Poza tym bailly nie przedstawia dla niego żadnej wartości. Oprócz tego, że jest ważny dla mnie. Przynajmniej taką mam nadzieję.

— Możesz mi wierzyć, skarbie, mężczyzna nie podejmuje prób przestępczych dla kobiet,

których nie kocha. Musi mu na tobie cholernie zależeć, skoro decyduje się na takie rzeczy.

— Mam nadzieję. Pewnie wkrótce się dowiem. — Znów spojrzałam na telefon. Ekranik był wygaszony i niemy.

— W takim razie lepiej wracajmy do domu i go wypuśćmy. Nie ma przy sobie broni, co? Nie chciałbym, żeby mnie tam nagle zastrzelił, bo sobie pomyśli, że został złapany...

— Dominik nigdy by nie...

— Nie można ufać zakochanym facetom. Miłość robi straszne rzeczy z mózgiem. Zadzwoń do niego i powiedz, że już jedziemy i że chętnie oddam instrument. Pozwolę ci nawet wybrać sobie jeszcze jeden, w ramach odszkodowania. O ile nie doniesiesz na mnie na policję.

— Na pewno nie doniosę. I nie potrzebuję drugich skrzypiec. Te mi w zupełności wystarczają.

— W takim razie może coś innego...

Wyłowiłam telefon z torebki i w pośpiechu wykręciłam numer Dominika. Żadnego innego nie znałam na pamięć, każdą cyfrę miałam wypaloną w umyśle.

Połączyłam się z pocztą głosową. Znajomy głos na nagraniu wzbudził we mnie wielką tęsknotę.

Zostawiłam wiadomość, w której wyjaśniałam, że zabawa skończona i wszystkie karty są już na stole. Viggo się przyznał, ja się także przyznałam, dogadaliśmy się i właśnie zmierzaliśmy do domu, żeby zajrzeć do sejfu. I poprosiłam, żeby nie robił niczego głupiego.

Pewnie i tak nie mógł odebrać wiadomości, chyba że zrobiłby sobie przerwę we włamywaniu i poszedł na górę, żeby złapać sygnał. Nawet wówczas wiadomość nie przeszłaby od razu. Brak odpowiedzi wpędził mnie w panikę. Nie byłam przesadna — drwiłam z horoskopów i uśmiechałam się do czarnych kotów przechodzących mi drogę — ale czułabym się lepiej, gdybym zobaczyła Dominika na własne oczy i wiedziała, że nic się nie stało. Po prostu stracił zasięg albo zapomniał naładować telefon i mu padł.

Gdy wróciliśmy do części wystawowej, Luba była już w niezwykle imprezowym nastroju. W obu dłoniach trzymała po kieliszku szampana i piła z nich na zmianę.

— Jeżeli nie masz nic przeciwko, chciałbym, żeby nasza dzisiejsza przygoda pozostała tajemnicą — szepnął mi do ucha Viggo.

Usprawiedliwiliśmy się przed Lubą i wyszliśmy wcześniej pod pretekstem bólu głowy. Luba rozmawiała akurat z kobietą w żółtej sukience, tą samą, którą wcześniej widzieliśmy w barze, i wydawała się zachwycona, mogąc zostać w towarzystwie nowej przyjaciółki.

Grayson prowadził ożywioną rozmowę po drugiej stronie sali. Postanowiłam wymknąć się bez pożegnania. Wciąż nie doszłam do siebie po oglądaniu moich zdjęć bez głowy i nie wiedziałam, co mu powiedzieć.

— Nie martw się — poprosił Viggo, widząc sprzeczne uczucia malujące się na mojej twarzy. — Zapłacę mu, żeby zdjął je z wystawy, jeśli tylko chcesz. Mogę je zamknąć w sejfie, tam nie zobaczą ich niczyje wścibskie oczy.

— Miło z twojej strony — westchnęłam. — Pomyślę o tym.

Zaczekaliście w cieniu budynku, aż podjedzie jeden z samochodów Viggę. Zapropnowałam, żeby nie brał tym razem buicka, bo dzięki temu zmniejszaliśmy prawdopodobieństwo, że będą nas fotografować. Uznał, że popadam w paranoję, ale się zgodził.

Zimne nocne powietrze kąsało moją skórę. Trzęsłam się, mimo że na ramionach miałam ciepłą kurtkę Viggę.

Znów drżącymi palcami wyciągnęłam telefon z torebki. Nadal żadnej wiadomości.

Co się stało z Dominikiem?

Im dłużej patrzył na zegarek w ciemnościach i usiłował odczytać godzinę, tym dłużej mijała każda minuta. Czas zwolnił prawie do zera. Dominik wiedział, że to tylko efekt psychologiczny, i starał się nie panikować.

Z początku jakoś powietrza się nie zmieniała, ale wkrótce w zamkniętym pomieszczeniu zrobiło się parno. Dominik musiał rozpiąć koszulę, a gdy poczuł, że zwilgotniała od potu, który zbierał mu się na plecach, zdjął ją całkiem i cisnął na kamienną posadzkę.

Starał się być czujny i nasłuchiwać wszelkich dźwięków dobiegających z domu — z drugiej strony grubych metalowych drzwi, które dzieliły go od świata. Wokół panowała jednak absolutna cisza i słyszał jedynie własny chrapliwy oddech. Nerwowo zaczął odliczać w myślach, ile mu zostało.

Był sam w ciemnościach, towarzyszyły mu tylko wspomnienia.

Czy tak czułby się po śmierci?

Wspomnienia o kobietach, uśmiechach, potokach słów, usłyszanych albo wypowiedzianych, wszystko migało mu przed oczami, gdy zmierzał w stronę białego światła.

Ciała, twarze, piersi, zapachy, kolory, emocje.

I żale. Zbyt wiele, by je wyliczać albo wymieniać.

To, co zrobił.

To, czego nie zrobił.

Dominik siedział przykucnięty na podłodze, czując, jak narasta duchota. W zasięgu ręki miał bezcennego bailly'ego. Starał się nie tracić orientacji przestrzennej mimo otaczających go ciemności.

Czy powietrze zaczynało się przersedzać, czy tylko mu się zdawało?

Kusiło go, by zamknąć oczy i zasnąć, ale wiedział, że tego jednego mu nie wolno.

Zaczął się zastanawiać, jak Summer będzie go wspominała, gdy już go zabraknie. Jako biednego głupka, który wszystko schrzaniał? Wiedział, że gdyby teraz miał umrzeć, wspomnienia o Summer towarzyszyłyby mu do samego końca, jak klatki z filmu przewijające się przez ekran w jego głowie. Uśmiechnął się słabo. To była dobra śmierć, z Summer, z obrazem jej ciała w oczach już na całą wieczność.

Zatrzepotał powiekami. Gdzieś w oddali chyba rozległy się jakieś niewyraźne dźwięki.

Wyteżył słuch, ale zapadła cisza. A potem znów jakieś dalekie echo. Jego imię. Ktoś go wołał. Przez chwilę bał się, że to halucynacja, pewny znak, że jest już na prostej drodze do śmierci, ale wtedy dźwięk się przybliżył. Summer wtórował jakiś męski głos, Viggo. Pewnie schodzili po schodach.

Dominik zaczekał, aż głosy dotrą na niższe piętro i gdy usłyszał, że nawoływania niosą się echem po niskiej przestrzeni wokół basenu, w końcu zdecydował się krzyknąć:

— Jestem tutaj, w sejfie!

Rozległ się tupot, Summer i Viggo biegli.

Potem nareszcie rozległ się cichy syk otwieranych drzwi.

Do środka wlało się światło, które początkowo oślepiło Dominika — od wielu godzin siedział w ciemnościach. Rozpoznał jednak rozmazane kontury sylwetki Summer i niesamowicie szczupłego Vigga. Wciąż nie widział wyraźnie ich twarzy.

— Dominik! — jęknęła Summer.

— Nic mi nie jest — zaprotestował.

— Jesteś pewien, że wszystko w porządku?

— Tak. Tylko trochę się spociłem. — Uświadomił sobie, że nie ma koszuli.

We wnętrzu sejfu znów zapaliło się światło, uruchomione przez otwarcie drzwi.

Summer podeszła do niego, w oczach miała panikę, bo właśnie uświadomiła sobie, co mogło się stać.

— Tak mi przykro... przepraszam cię... nie przyszło mi do głowy...

Viggo wszedł za nią, rozejrzył się po pokoju, sprawdzając, czy jego zbiory nie ucierpiały, po czym się uśmiechnął.

— Chyba trochę się wygłupiłeś, co? — Z trudem powstrzymywał się od śmiechu. W obcisłych dzinsach i oficerkach do kolan wyglądał jak strach na wróble.

— Zdecydowanie — przyznał Dominik.

— W porządku — powiedział Viggo. — Posłuchaj, to i tak jest moja wina. Nie powinienem był zlecać kradzieży Angelique z tego zielonego pokoju za Academy. Po prostu na ich widok odebrało mi rozum. Teraz tego żałuję. Nigdy bym nie pomyślał, że Summer tak bardzo to przeżyje... Chyba nie zastanowiłem się dość dobrze nad konsekwencjami...

— Czyli nie masz żalu, że włamałem ci się do mieszkania? — upewnił się Dominik, wciągając koszulę. Summer w milczeniu stała między nimi.

— Oczywiście, że nie — potwierdził Viggo. — Sam się o to prosiłem. Summer wszystko mi wyjaśniła. Poza tym, czemu zaraz włamałeś? Miałeś klucz. Uznajmy, że jesteś moim gościem.

Dominik z ciężkim westchnieniem ulgi przeszedł obok Vigga i skierował się w stronę basenu. Summer podążyła za nim.

— Nie zapomnieliście o czymś? — zawołał za nimi Viggo.

Oboje się odwrócili.

Viggo trzymał przed sobą bailly'ego i smyczek.

Summer podbiegła z powrotem, wyjęła mu instrument z rąk, po czym delikatnie cmoknęła mężczyznę w policzek.

Wróciła do Dominika, który stał z nogą na krawędzi basenu. Wzięła go za rękę.

— Chyba przyda wam się prysznic, po tych wszystkich szaleństwach, nerwach i pobytach w sejfie. Zrelaksujcie się trochę. Czujcie się jak u siebie w domu, *mi casa es su casa!* — krzyknął za nimi Viggo.

— Myślę, że to naprawdę dobry pomysł — szepnęła Summer do Dominika, gdy dotarli do podnóża spiralnych schodów. — Chodź. Na górze jest pokój gościnny. — Odwróciła się w stronę Vigga. — Nie masz nic przeciwko?! — spytała głośno.

— Oczywiście, że nie — odpowiedział Viggo.

Gdy tylko weszli do pokoju gościnnego, Summer położyła skrzypce na wysokiej szafie, po czym popatrzyła na nie rozmarzonym wzrokiem. Przemknęła palcami po instrumencie, jak gdyby chciała go popieścić, przywrócić do życia — powitać znów we własnym życiu.

Dominik zamknął drzwi, po czym przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią, czując zawroty głowy i pustkę. Wiedział, że to nieunikniona reakcja organizmu na ostatnie traumatyczne godziny.

Summer w końcu porzuciła odzyskany instrument i odwróciła się do niego.

— Dziękuję, Dominiku. Za to wszystko. Wiem, że podjąłeś ogromne ryzyko, dla mnie. Zawsze będę ci wdzięczna...

— Dziękuję, że przybyłaś mi na ratunek — odparł. — Musiałem wyglądać jak ostatni kretyń, siedząc tam w ciemnościach, zamknięty. Następnym razem zatrudnij złodzieja z prawdziwego zdarzenia, a nie jakiegoś amatora idiotę.

Summer się uśmiechnęła.

W jej oczach jak zawsze widać było smutną nutę, ale tym razem kryło się w nich coś jeszcze. Radość? Ulga? Oczekiwanie?

Dominik uchwycił jej napięte jak struny emocje.

— To wszystko chyba moja wina — przyznała Summer. — Powinnam była bardziej uważać na skrzypce.

— To prawda, powinnaś — zgodził się z nią Dominik.

— Może trzeba mnie ukarać? — zaproponowała, a figlarna nutka w jej tonie powiedziała mu wyraźnie, jaką karę ma na myśli.

Chyba trzeba. Za skrajne zaniedbanie. I bliżej nieokreślone nierozumne zachowanie.

— Za to, że jestem sobą — dodała.

— Za to też.

Nastał moment ciszy.

— W takim razie ukarż mnie — poprosiła go Summer.

— Rzeczywiście, weźmy ten prysznic — odrzekł Dominik z uśmiechem, po czym lekko popchnął Summer w stronę drzwi.

Kaskada wody spływała po głowie Summer, wygładzając jej loki, wydłużając włosy aż po nasadę pleców, okrywając skórę jak mokra kurtyna. Dominik patrzył, jak woda pochłania rudą grzywę, dzieli się na strumyki, perli na wysokości krzyża i delikatnie opływa wypukłości pośladków.

— Odwróć się — polecił.

Namydlił dłonie i włożył je pod jej piersi. Jej sutki już teraz były twarde jak kamyki. Opuścił głowę, by zacząć je delikatnie skubać zębami. Summer zeszywniała. Dominik wyprostował się i powrócił do namydlenia jej ciała. Miała na w pół otwarte usta, rozkosznie, kusząco rozchylone wargi, za którymi lśniły zachęcająco białe zęby.

Rozprowadził pianę po jej ramionach, a potem po pozostałych częściach ciała, wmasował płynne mydło w skórę Summer, przez cały czas ocierając się o nią delikatnie członkiem. Powoli obrócili się, zmieniając pozycję na niewielkiej przestrzeni kabiny. Dominik zmył jej mydło cienką rękawicą kąpielową, aż skóra Summer załśniła. Między nimi buchnęła para. Dominik nonszalancko wsunął dłoń między jej nogi, sprawdził, jak bardzo jest ciepła, włożył do środka jeden palec, potem więcej, zaczął napierać na nią intensywniej. Summer niemal niezauważalnie ugięła nogi, żeby dać więcej swobody jego długim palcom, przyjął ten dotyk, to badanie intymności, znajomy gest dominacji, za pomocą którego znów przejmował nad nią kontrolę.

— Twoja kolej — powiedział natarczywym tonem, podając jej śliskie mydło.

Przejęła kostkę i zaczęła namydlać ciało Dominika, powoli, zmysłowo, z uwagą; zaczęła od klatki piersiowej, potem zjechała na plecy, pośladki, wreszcie tył nóg. Na koniec znów odwrócił się twarzą do niej, a ona wzięła do ręki nabrzmiały członek, zaczęła go pocierać mydłem, czując, jak z każdym ruchem jeszcze bardziej potężnieje, staje się większy, grubszy, bardziej majestatyczny. Summer długo rozgrywała ten etap powolnego doprowadzania go do pełni możliwości, wyczuwała najłżejsze drżenie i wsłuchiwała się w każdy urwany oddech. Klęczała przy nim, masując, czyszcząc, bawiąc się jego męskością. W końcu wzięła rękawicę i spłukała mydło. Członek Dominika stał teraz na baczność. Poprosiła wzrokiem o zgodę, którą natychmiast otrzymała, po czym otworzyła usta i wessała go do środka, jednocześnie ujmując dłonią jego jądra.

Chociaż bardzo dokładnie go opłukała, wciąż smakował mydłem, a ta pachnąca wilgoć przenikała wszystkie jej zmysły jak ulewny deszcz. Musnęła zębami nabrzmiałe ciało, oszalałymi jądra, skomplikowaną fakturę nasady, po czym owinęła język wokół członka, jak gdyby chciała w ten sposób zaspokoić głód. Dominik wypełnił jej usta.

Ostatni strumień wody spłynął po jej twarzy. Dominik zakręcił kurek. Wsunął dłonie w jej włosy i mocno je zacisnął, po czym przyciągnął Summer bliżej, zmieniając kąt penetracji, by wcisnąć się jeszcze głębiej w jej gardło.

Summer nabrała głęboko powietrza, poczuła pod kolanami twardą, kamienną posadzkę.

Zrobiła wszystko, co mogła, by zapomnieć o odruchu wymiotnym.

Dominik patrzył, jak jego członek znika w ustach Summer i rozkoszował się tą niesamowitą, przerażającą bliskością. Było tak, jak gdyby całe miesiące odeszły w niepamięć. Gdy poczuł, że przyjęła go w pełni, a jej klatka piersiowa zaczęła mocniej falować, jak gdyby ożywiona przez niewidzialną bryzę, zaczął serię coraz śmielszych pchnięć. Otwierał ją szerzej i rozciągał, nadal nie puszczając włosów, które mocno trzymał w pięści. W ten sposób mógł kontrolować każdy jej ruch.

Reszta świata przybladła, cała rzeczywistość skurczyła się do rozmiarów wąskiej kabiny prysznicowej, o wciąż zaparowanych szybach, które oddzielały ich od wszystkiego.

Raz po raz wciskał się jej aż do gardła, a Summer próbowała zapanować nad skurczami, bo za nic w świecie nie chciała, żeby przestał. Gdy się wycofywał, wdychała tyle powietrza, ile mogła przez nos, i rozkoszowała się tą dziką inwazją jak największym skarbem, witała go na powrót w swoim ciele i w swojej duszy. Pragnęła, by trwało to wiecznie. Czuła się wypełniona po brzegi. Należała do niego.

Później, gdy już osuszyli się puchatymi białymi ręcznikami, których nie brakowało w pokoju gościnnym, Dominik zabrał Summer do łóżka.

Zerwał z niego koszmarne ciemną kapę i cisnął ją na podłogę. Summer puściła ręcznik i pozwoliła, by opadł na dywan. Zrobiła krok naprzód. Stała twarzą w twarz z Dominikiem. Teraz właśnie mu się oddawała. Pamiętała jego gusty, upodobania, to, co mu się w niej podobało, dawno temu, gdy życie wciąż było piękne.

Wspięła się na odkryte łóżko i przysiadła bokiem, gotowa stanąć na czworakach.

Spodziewała się, że Dominik weźmie ją od tyłu, jak to często lubił robić. Nigdy nie cenił specjalnie pozycji misjonarskiej, bo był uzależniony od podglądania. Zawsze chciał podziwiać pracę swojego członka.

— Nie.

Obejrzała się, czując na sobie twarde, stalowe spojrzenie jego oczu.

— Powiedz mi, czego ty chcesz — poprosił.

Długo szukała odpowiedzi, usiłując wypatrzeć je w jego postawie — ale Dominik zachował kamienną twarz.

Co powiedzieć? Czego on oczekiwał, do cholery?

Że go pragnęła, że za wszelką cenę, wbrew rozsądkowi i logice, chciała znów być jego?

Czy chciał, żeby wyrzekła się woli i pogrzebała dumę?

— W tej chwili chcę się tylko z tobą pieprzyć — oznajmiła w końcu.

Nie zmienił wyrazu twarzy.

— Chcę z tobą być... Nawet jeśli będzie bolało.

Właśnie w takich chwilach czuła się szczególnie opuszczona, nie znajdowała słów, by wyrazić kothujące się w niej emocje. Chciała krzyknąć: „Weź mnie, pieprz mnie, zadawaj mi ból, wypal we mnie swoje piętno, wytatuuj mi serce nieusuwalnym tuszem, pojmij mnie na własność i na zawsze wypełnij tę pustkę, która doprowadza mnie do obłądu!”. W jej głowie wszystkie te słowa miały sens, ale gdyby je wypowiedziała, zabrzmiałyby idiotycznie. Może nawet upokarzająco.

Wciąż nie odpowiadał, stał tylko, nie zdradzając emocji, obserwował ją, tłumaczył jej niewypowiedziane myśli na język, który potrafił zrozumieć.

— Chcę, żebyś wszedł we mnie. Teraz.

Czy dała się zmusić do błagania?

Czuła, że zaraz się rozplacze. Czy on ją sprawdzał? Bawił się nią?

— Ja też cię pragnę — powiedział w końcu.

Podszedł do łóżka, dotknął palcami jej oczu, z czułością, jakiej nigdy wcześniej nie zaznała, jak najdelikatniejszy z grabarzy zamykający powieki zmarłej. Subtelnym gestem zachęcił ją, żeby się położyła. Rozsunął jej ręce i nogi, po czym przez chwilę patrzył na nią z góry, rzucając majestatyczny cień na sufit. Na zewnątrz wieczór spowijał świat w szarość.

Poczuła, że porusza się między jej nogami, więc chwyciła go mocno i poprowadziła.

— Tylko przyjmij mnie taką, jaka jestem — stęknęła.

Dominik wypełnił ją jednym wspaniałym ruchem.

— Ciii — szepnął.

Summer zadrzała.

Viggo wyłączył ekran z błogim uśmiechem satysfakcji.

Para, którą podglądał, w końcu się rozłączyła, nie była już jedną istotą o dwojgu plecach, której każde poruszenie łączyło w sobie wdzięk ptaków zrywających się do lotu i nieskrępowane okrucieństwo mięsożernych drapieżników. Ekstacyjny, obłądny taniec ciał był zarazem dziką walką tygrysów, w której liczyło się tylko, kto przeżyje.

Teraz wynurzyli się z głębin, by nabrać powietrza. Znów stali się dwojgiem ludzi. Summer i Dominik.

Oczywiście, to było podglądactwo, Viggo zdawał sobie z tego sprawę. Ale przecież nikt nie jest doskonały.

Znał się na pięknie, a gdy je znalazł, często pragnął zatrzymać je, zachować, zamknąć za szybą. Włączyć do kolekcji.

Gdyby piękno miało esencję, którą dałoby się wlać do butelki, byłby pierwszy w kolejce, z czekiem w ręku.

To prawda, pieprzył się z Summer, zarówno z nią samą, jak i w trójkącie z Lubą. Ale jej seks z Dominikiem to było piękno zupełnie nowego rodzaju. Zobaczył, jak budzi się do życia, jak całe jej ciało promienieje, a wrodzona nieśmiałość i niepokój gdzieś ulatują, gdy tylko Dominik przejmuje nad nią władzę. Patrzył, jak Summer pozwala przemówić swojej pokornej naturze,

odnajduje siebie. Nigdy nie interesowali go mężczyźni, ale widok Dominika, to, jak cudownie pasował do Summer, jak potrafił być przy niej, sprawił mu rozkosz.

Zaschło mu w gardle.

Wziął butelkę starego burbona i nalał sobie pełną szklanekę.

— Cudnie — wymamrotał do siebie, a jego uwaga dotyczyła zarówno harmonijnie słodkiego, choć zarazem drażniącego smaku alkoholu, który sączył się do jego żołądka, jak i wspomnienia dwojga kochanków, nieobecnych już na ukrytym ekranie.

Montaż miniaturowej kamery w gościnnej sypialni był jego małym żartem — wymyślił go wiele lat wcześniej, gdy kupił tę rezydencję, a przyjaciel architekt przyszedł do niego z naręczem projektów przebudowy. Kamerka dodała szczypty pikanterii nowemu domowi, Viggo musiał dbać o reputację wyuzdanego rockmana. Potem zresztą zapomniał o tym urządzeniu na wiele lat. To Luba, zawsze wyłamująca się ze schematów, jego zagraniczna zdobycz pełna tajemnic i nagiej elegancji, pewnego wieczoru zaproponowała mu, by patrzył, jak kocha się i bawi z młodą kobietą poderwaną w klubie. Ledwie pamiętał tamtą punkówkę z malutkim tatuażem w kształcie łyzy pod okiem. Viggo westchnął, przypominając sobie te hipnotyzujące obrazy dwóch kobiet, ich miękkie kształty, namiętne pocałunki i gesty, głód, doskonale jak geometryczna figura spotkanie pożądania i pragnienia.

To nie mechanika seksu go podniecała, ale powolne ruchy, milcząca elegancja ciał złączonych w tanecznych pozycjach. Widok tych dwóch kobiet wywarł na nim o wiele potężniejsze wrażenie niż niezliczone heteroseksualne pary, które podglądał z przyjaciółmi w czasie dzikich imprez. Goście często zachodzili do tej ustronnej sypialni lub byli tam kierowani, nie wiedzieli jednak, że Viggo oraz inni obecni będą ich podglądali z występłą radością. Żadna z par nie była tak wspaniale drapieżna i zwiewna zarazem jak Summer i Dominik. Ci dwoje mieli niewyczerpany apetyt na siebie nawzajem. Viggo niemalże zazdrościł im takiej namiętności, tego głodu, który miał w sobie nutkę grozy. Nie raz i nie dwa wstrzymywał oddech, gdy Summer lub Dominik wkraczali w rejony mroku, to były pojedyncze gesty, ruch ręki, skurcz, który niemal kierował ich za daleko, lądowali na samej krawędzi, po czym wycofywali się znad przepaści. Viggo nigdy jeszcze nie widział mężczyzny i kobiety, którzy kochaliby się tak zapamiętale; obserwując ich taniec, chwilami dostawał gęsiej skórki.

Po tragikomicznej historii z sejfem zaproponował im, by poszli na górę, wiedząc, że skończą w łóżku, gdzie uchwyci ich ukryta kamera. Pokusa, by ją włączyć, była zbyt silna. Bliski poddania się, bo spędzili niesłychanie dużo czasu w łazience, Viggo pomyślał, że przegapił całą akcję. Ale w końcu jednak zjawili się, owinięci w białe ręczniki, okrążając się jak wygłodniałe sępy, gotowe skoczyć i pogрузić się w pięknym szaleństwie.

Viggo nie żałował, że ich widział. Nie zamierzał im tego mówić, nie doznali przecież żadnej przykrości. Żałował natomiast, że kamera nie rejestrowała również dźwięku.

Pomyślał, że będzie teraz musiał odinstalować cały system nadzoru. Po Summer i Dominiku nic już nie mogło się tam wydarzyć. Nikt nigdy nie przysporzyłby Viggowi równie intensywnych przeżyć. Najlepiej kończyć w kulminacyjnym momencie.

Wstał i zasunął regał, by ukryć małe pomieszczenie z ekranem.

Dominik i Summer pewnie już śpią, uznał.

Może powinien pójść w ich ślady, przeżyć jeszcze raz sceny, które miał w pamięci, nacieszyć się wspomnieniami. Uświadomił sobie, że niebawem wróci Luba. Gdy po raz pierwszy zobaczył jej taniec, został w podobny sposób uwiedziony. Od razu wiedział, że musi ją mieć. Zgodziła się szybko, chociaż ona nigdy nie mogłaby do nikogo należeć. Viggo był dla niej tylko przystankiem w drodze, wygodnym i przyjemnym, ale jednak tylko tymczasowym, jak zajazd przy autostradzie. Hm... gdzieś tu jest załączek piosenki, pomyślał Viggo.

Zszedł do studia i włączył elektroniczne pianino. Nigdy nie mógł się nadziwić, skąd biorą się pomysły, dźwięki, słowa, szkice melodii. Przychodziły tak po prostu, nieproszone.

Dominik obudził się, przetarł oczy, by zetrzeć też poczucie dezorientacji, które nachodziło go zawsze w nieznanym pokoju. Zapomnieli zasunąć żaluzje, sypialnia tonęła w zachwycającym

blasku słońca.

Na brzuchu czuł miękkiego dotyk tyłka Summer, która leżała wtulona w niego plecami. Wciąż spała, jej cichy oddech brzmiał jak szmer.

Poruszyła się, gdy pocałował ją w szyję.

Wciąż miał na ręku zegarek i popatrzył na godzinę. Był dopiero późny poranek, chociaż Dominikowi wydawało się, że jest później.

Summer otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego.

— Masz tu wiele rzeczy? — spytał.

— Nie. Tylko trochę drobiazgów. Większość wciąż trzymam u Chrisa.

— Kiedy wstaniemy, chciałbym, żebyś spakowała to wszystko. I tu, i tam. Weźmiemy twoje rzeczy ze sobą. Przenosisz się do mnie, będziemy teraz mieszkać razem.

— Przenoszę się?

— Owszem. — Mówił poważnie i szczerze.

Summer się zgodziła. Na razie. Poprzednio, w Nowym Jorku, wspólne mieszkanie im nie wyszło. Ale zamierzała dać Dominikowi jeszcze jedną szansę.

Ziewnęła, po czym przeturlała się na drugi bok.

— O rany, ale jestem głodna. Ale przede wszystkim potrzebuję mojej dziennej dawki kawy.

— Też umieram z głodu — stwierdził Dominik. Ostatnie, co jadł, to mała bułeczka z czekoladą z Patisserie Valerie. Zjadł ją poprzedniego ranka, kiedy szykował się do wizyty w domu Vigga. Potem wydarzenia potoczyły się własnym, nieoczekiwanym torem.

Przeciągnął się, oderwał od cudownego ciepła nagiej Summer i wstał z łóżka. Popatrzył na nią, leżącą pośród zmierzwionej pościeli i na małą czerwoną wysepkę włosów, rozrzuconych po poduszce. Jego członek drgnął lekko. Summer znów się uśmiechnęła.

Wszedł w nogawki czarnych spodni i podał jej białą koszulkę, którą miała na sobie poprzedniego dnia. Wciągnęła ją, siedząc na krawędzi łóżka. Czekwała, aż Dominik poda jej coś jeszcze, bieliznę albo dżinsy, ale on stał bez ruchu, patrząc na nią z pogodnym uśmiechem.

Summer wstała z łóżka. Wygnieciona koszulka ledwo zasłaniała jej pępek, nie zakrywała natomiast ani tyłka, ani cipki. To był szczególnie intymny widok, naturalny, ale zarazem niedyskretny — tak chodzi się po własnym domu, gdy nie ma obaw, że zostanie się zauważonym.

— Chodźmy — zachęcił ją Dominik. — Poszukajmy kuchni.

— Tak ubrani?

— Właśnie tak.

— Tam może być Viggo. I inni...

— Wiem — odparł Dominik. — Ale podobasz mi się w tym stroju. A Viggo i tak już to wszystko oglądał, prawda? Cieszę się, kiedy inni na ciebie patrzą. Nie przeszkadza mi to.

Bo wiem, że jesteś teraz moja, dodał w myślach, ale powstrzymał się od powiedzenia tego głośno.

Gdy wyszli z sypialni, on nagi od pasa w górę, ona od pasa w dół, Summer zatrzymała się na chwilę. Ogarnął ją dreszcz niepokoju — nie potrafiła spuścić z oka bailly'ego. Uświadomiła sobie jednak, że skrzypce są bezpieczne. Piorun nie trafia dwa razy w to samo miejsce.

Viggo siedział przy blacie, skubiąc tost. Popatrzył na nich wymownie i zagwizdał.

— No, no, nasze zakochane gołąbki. Witajcie, dzieciaki, wstał nowy, słoneczny dzień.

On także nie miał na sobie koszuli, jego chuda, nieowłosiona klatka piersiowa wyglądała jak kartka papieru.

— Kawy?

— O tak, poproszę.

— Świeżo zaparzona, częstujcie się. — Teatralnym gestem wskazał Dominikowi i Summer lśniąca stalową maszynę rodem z pracowni NASA, która zdecydowanie zdominowała granitowy blat kuchenny.

Gdy para nalewała sobie kawy, Viggo zerknął nostalgicznie na wyeksponowane nagie fragmenty ciała Summer i nagle wstał.

— Zaczekajcie chwilę, dzieciaki — poprosił, wychodząc z kuchni. — Mam dla was

niespodziankę.

Wrócił dziesięć minut później, trzymając w rękach małą ramkę, którą z nabożną czcią wręczył Summer. Dominik przyglądał się z ciekawością.

— To na przeprosiny. Prezent. Mam nadzieję, że mi przebaczysz.

Był to czarno-biały szkic, na oko dość stary.

W lewym górnym rogu obrazka znajdowała się baletnica z partnerem. Widać było tylko ciała, głowy zostały ucięte. Dalej na prawo widniały szyjka skrzypiec, smyczek i głowa mężczyzny w peruce, pod wymyślnym kapeluszem. Poniżej dało się wypatrzeć narysowane cienką kreską dymiące kominy fabryk i ledwo widoczne zarysy żaglowców.

— Co to? — spytała Summer.

— Szkic Degasa — rzekł Viggo. — Tytuł brzmi *Program wieczoru artystycznego*. Bardzo rzadka rzecz. Pomyślałem o tobie z uwagi na te skrzypce. To oryginał, nie reprodukcja...

— Nie wiem, co powiedzieć — szepnęła Summer.

— Jest tylko jeden drobiazg — przerwał jej Viggo.

— Jaki?

— Nie chwał się nim za bardzo. Pokazuj to tylko ludziom, którym ufasz.

— Chcesz powiedzieć, że jest kradziony? — wtrącił Dominik.

— Owszem — przyznał Viggo z chytrym uśmieszkiem. — Zaginał wiele lat temu. To długa historia, ale w którymś momencie wszedł w moje posiadanie. To się po prostu zdarza. W każdym razie, po tym co wam zrobiłem, uznałem, że zasługujecie na niego bardziej niż ja.

To wyjaśniało, dlaczego część kolekcji leżała ukryta w sejfie. Po prostu była kradziona.

— Dziękuję, Viggo. To będzie nasz skarb. Naprawdę — odparła Summer.

— Czy to znaczy, że mam wybaczone? — upewnił się Viggo.

Dominik nie wychwycił odpowiedzi. Usłyszał tylko, że Summer powiedziała „nasz”.

Pofruniemy z wiatrem

Przeprowadzka zajęła nam dłużej, niż powinna.

Cały ranek spędziłam z Susan, moją agentką i menedżerką — siedziałyśmy w jednym z niezliczonych starbucksów w pobliżu Victoria Station i omawiałyśmy moje plany na przyszłość. Susan mieszkała w Stanach, ale ni z tego, ni z owego zjawiała się w Londynie, bo miała już dość mojego nieodpowiadania na e-maile.

Przyszłam spóźniona, dopiero w ostatniej chwili udało mi się wyrwać z ramion Dominika w jego domu w Hampstead. Nie chciałam zmarnować ani minuty naszego wspólnego czasu, więc ranek upłynął nam na tym samym, czemu poświęciliśmy ostatnią noc, a także dwie wcześniejsze. Leżeliśmy spleceni i pieprzyliśmy się tak często, jak tylko daliśmy radę. Czasem kochał się ze mną delikatnie i czule, a ja syciłam się błogością, cieszyłam się, że leżę pod nim, i żałowałam, że nie mogę zatrzymać czasu i rozciągnąć tej chwili na całe życie — dźwięku jego głębokiego, gardłowego śmiechu, tego spojrzenia, czekania, aż wyraz jego oczu zmieni się z ciepłego i delikatnego na twardy i okrutny, a Dominik chwyci mnie mocno za ten sam nadgarstek, który ledwie sekundę wcześniej obdarzał najczulszymi pieszczotami, i przyszpili do łóżka, szepcząc mi do ucha zbereżne słowa.

Wizje nas dwojga w pościeli nie opuszczały moich myśli, gdy ubierałam się w pierwsze ciuchy, które wpadły mi w rękę, i biegłam do metra, wiedząc, że Susan pewnie już czeka.

Wyglądała zupełnie tak samo, jak wtedy, gdy spotkałyśmy się po raz ostatni: doskonale. Susan zawsze prezentowała się elegancko i nieskazitelnie, niezależnie od tego, czy wybierała się na wieczór w mieście, czy na kawę z klientką. Miała luźną, klasycznie skrojoną sukienkę w kolorze morskiej zieleni, która wspaniale eksponowała jej rudawokasztanowe włosy i gruby złoty łańcuszek od Chanel. Była pochłonięta pisaniem na blackberrym, jej palce stukały w klawiaturę tak szybko, jak u pianisty.

— Zaspałyśmy troszkę? — spytała odrobinę kwaśnym tonem, gdy zajęłam stołek obok niej. Zdążyła już zamówić dla mnie kawę. Była całkiem zimna, ale i tak zaczęłam ją pić.

— Przepraszam — bąknęłam zarumieniona. Nie miałam właściwie żadnej wymówki.

— Dobrze cię widzieć, pani gwiazdo — powitała mnie, w końcu uśmiechając się ciepło.

Cmoknęła mnie w oba policzki. — Słyszałam, że odzyskałaś skrzypce.

— Tak! — pisnęłam radośnie.

— Czy to znaczy, że możesz grać?

— Jak nigdy dotąd.

— Miło mi to słyszeć. Przynajmniej będę teraz mogła przeczytać gazetę i nie zamartwiać się, na której stronie cię znajduję.

Groucho Nights musieli się obyć bez gości specjalnych i chociaż mogłabym się zgodzić jeszcze kiedyś na wspólne występy, teraz bardzo chciałam wrócić do klasycznego repertuaru.

Rzuciłam pomysł nowozelandzkiego albumu — został przyjęty z entuzjazmem. Susan uważała, że rynek eksportowy jest bardzo ważny.

Dźwięki domu. To brzmiało bardzo zachęcająco. Przez ostatnie kilka lat tułałam się po świecie w kąta z kątem, przeskakując z jednego świata do drugiego jak piłeczka w automacie. Teraz odzyskałam Dominika i moje skrzypce i po raz pierwszy w życiu poczułam, że znalazłam własny kąt. Nadszedł czas, żebym poszukała korzeni — tak jak próbowałam to robić, kiedy byłam z Simónem. Tym razem jednak to miała być moja historia, nie cudza. Chciałam namalować mój własny krajobraz i zamknąć go w dźwiękach.

Bailly doskonale się do tego nadawał. Na myśl o skrzypcach ogarnęło mnie upajające podniecenie. Euforia po ich odnalezieniu okazała się przelotna — gdy Dominik znalazł się u mojego boku, wszystkie siły skupiłam na tym, by poddać się jego dotykowi, jego surowym rozkazom i brzmieniu głosu. Byłam tak szczęśliwa, że wrócił, że znów czuję go w sobie — nawet skrzypce leżały porzucone przez cały dzień i całą noc, a ja na nowo odkrywałam ciało Dominika.

Gdy w końcu się nawzajem wyczerpaliśmy, chwyciłam instrument i natychmiast zaczęłam grać. Dominik śmiał się, widząc, jak wyglądam — szczęśliwa niczym dziecko, które dostało prezent na Boże Narodzenie — gdy wyjmowałam baily'ego z futerału, głaskałam lśniące, miodowobrazowe drewno i sprawdzałam, czy są nastrojone. A potem zagrałam, tę muzykę, która stała się tłem naszego związku: Vivaldiego. Gdy pod palcami przemykały mi melodie kolejnych pór roku, myślałam o czasie, który minął, i o tym, który wciąż był przed nami. Moje życie wciąż płynęło, wiecznie się zmieniając — ale za kolejnym zakrętem zawsze czekało na mnie coś pięknego. Zakończyłam radosną i lekką *Wiosną*.

Zdążyłam zapakować tylko pół walizki i nawet nie tknęłam pudeł, gdy usłyszałam skrzypienie frontowych drzwi. Potrzebowałam kilku minut, by jakoś się wyprostować — bo siedziałam zwinięta na podłodze, marnując czas na nostalgię, przyglądanie się każdej rzeczy i uśmiechanie do wspomnień, które prznosiłam z sobą od kraju do kraju.

Chris i Fran wrócili do domu i nawet nie zauważyli, że skorzystałam z klucza, który dostałam, gdy zaczęłam z nimi mieszkać. Nigdy go nie zwróciłam i wciąż oficjalnie miałam tu dom, chociaż aż do niedawna wszystkie noce spędzałam u Vigga.

Z miejsca na podłodze widziałam akurat korytarz, gdzie teraz stali Chris i Fran. Obejmowali się serdecznie i całowali tak mocno, jak gdyby świat miał wkrótce przestać istnieć.

Zamrugalam, ale gdy otworzyłam oczy, oni wciąż tam byli. Teraz Chris muskał palcami nogę mojej siostry, a ona podniosła ręce nad głowę, żeby ułatwić sobie zdejmowanie obcisłej koszulki.

Kaszlęłam głośno, by zwrócić na siebie uwagę, zanim zobaczyłabym coś, czego naprawdę nie chciałabym widzieć. Chris aż podskoczył ze strachu i odwrócił się gwałtownie, szukając wzrokiem intruza.

— Tutaj jestem! — krzyknęłam.

— Jezu, Summer, czy ty nigdy nie pukasz?

— Ja nie pukam? Przecież byłam pierwsza! Czy ty nigdy nie sprawdzasz wiadomości?

— Byłem ostatnio... roztargniony — mruknął z nieśmiałym uśmiechem.

— Widzę właśnie.

Fran była czerwona jak burak. Zwykle bardzo lekceważąco traktowała swoje przelotne romanse i jeszcze nigdy nie widziałam, żeby czuła się skrępowana, gdy ktoś ją przyłapał na czułościach. Tamtego poranka, gdy miała miejsce historia z Dagurem, nie wykazała ani odrobiny zawstydzenia i zignorowała całą sytuację, chociaż świadków było o wiele więcej.

To musiało być coś poważnego.

— Widzę, że się... polubiliście.

Fran zrobiła krok naprzód, zbliżając się do Chrisa. Stali teraz w korytarzyku prowadzącym do łazienki, którą kiedyś dzieliłam z Fran. Moja siostra wzięła Chrisa za rękę.

— Spotykamy się — oznajmiła. — Tak oficjalnie.

Chris uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Twoja siostra jest moją dziewczyną.

Cisnęłam w niego skarpetkę; złapał ją z łatwością i dalej uśmiechał się bezczelnie.

— Czyli stąd ten dziwny porządek. Zastanawiałam się, czemu jak zwykle nie rozrzuciłaś wszystkich rzeczy po całym pomieszczeniu. Po prostu przeniosłaś je wszystkie do pokoju Chrisa. A ja myślałam, że zaczęłaś nowy rozdział życia.

— Chyba zaczęłam — przyznała. — Tylko skupiam się troszkę na czym innym.

Uśmiechnęłam się. Cieszyłam się jej szczęściem: jej i Chrisa. Byli świetną parą, chociaż skręcało mnie na myśl o tym, że mój najlepszy przyjaciel został chłopakiem mojej siostry.

Lauralynn wróciła pełna emocji z nocnej sesji w studiu nagraniowym w Shepherd's Bush, dzielnicy zachodniej części Londynu.

— Nie zgadniesz, dla kogo graliśmy — powiedziała do Dominika, gdy już powiesiła skórzaną kurtkę, odstawiła ciężki futerał z wiolonczelą do pokoju i pobiegnęła do kuchni, która

niepostrzeżenie stała się ich salonem.

— Spróbuję. Herbert von Karajan wstał z martwych, żeby nagrać suitę na orkiestrę zainspirowaną najbardziej narkotycznymi przebojami Rolling Stonesów i nie wyobrażał sobie tego utworu bez długiego psychodelicznego solo wiolonczeli?

— Nie jesteś bardzo daleko — stwierdziła Lauralynn.

— I przybył w tym celu do Londynu aż ze swojej pośmiertnej siedziby, gdziekolwiek ona się znajduje, aż do Shepherd's Bush... — ciągnął Dominik.

— Nie rób sobie żartów. Mieliśmy sesję z Viggo Franckiem i The Holy Criminals, nagrywali nowe piosenki i potrzebowali wiolonczeli do jednej ze ścieżek. Producent powiedział mi, że jeśli piosenka znajdzie się w ich nowym albumie, to zostaną wymieniona na okładce.

Dominik uśmiechnął się cierpko.

— To cudownie — skwitował. — Cieszę się.

— Wiesz, ja wciąż nawet nie poznałam sławnego Vigga Francka. Nie było go na sesji, przysłał tylko ludzi. Grałam z playbackiem.

Lauralynn przyjrzała się przyjacielowi uważniej. Wydawał się jakiś inny, radosny, ale nieobecny.

Przez ostatnie kilka tygodni po jej powrocie z Ameryki nie widywali się zbyt często. Albo siedział na górze, pracując przy komputerze — pewnie coś pisał — albo wymykał się z domu o różnych dziwnych porach, jak tajny agent. Unikał jej towarzystwa i wymigiwał się od odpowiedzi na pytania. Lauralynn od dłuższego czasu pracowała nocami i zakładała, że Dominik poświęca swoje noce Summer. Widziała buty i ciuchy Summer rozsiane po całym domu.

— Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć? — spytała Lauralynn. — Ostatnio nie jesteś specjalnie rozmowny.

— Wiesz... — Zamilkł na chwilę. — Ostatnio sporo się działo.

— Chodzi o Summer?

— Tak. W skrócie: ostatnio spędziliśmy ze sobą mnóstwo czasu. Chyba spróbujemy jeszcze raz.

Lauralynn się rozpromieniła.

— To wspaniale!

— W końcu podjęliśmy decyzję. Mam nadzieję, że niedługo się wprowadzi. Ze wszystkimi rzeczami. Trzymam kciuki, żeby tym razem się udało. Oboje trochę się boimy, ale udało nam się odzyskać skrzypce, a to chyba dobry znak.

— Fantastycznie. Powinniście być razem, zawsze to wiedziałam. I...

— Tak?

— Ja już i tak myślałam o wyprowadzce. Jesteśmy świetnymi kumplami, ale sytuacja miała swoje wady, prawda?

— Chyba tak.

— No to wszystko wspaniale się składa. Bo myślę, że nie chciałbyś, żebym tu jeszcze była, kiedy Summer się wprowadzi?

— To doprowadziłoby do niezręcznej sytuacji — przyznał. — Masz dokąd pójść? Nie chcę się martwić, że wyrzucam cię na ulicę...

— Hm... — W oczach Lauralynn zamigotał jeszcze bardziej psotny błysk niż zwykle.

— Czy chcesz mi coś powiedzieć?

— Chyba będę miała dokąd iść.

— Znakomicie.

— Poznałam kogoś na nagraniu. Sesja skończyła się dość wcześnie, wystarczyło kilka podejść. To jest przyjaciółka zespołu, wpadła, bo sądziła, że znajdzie Vigga, ale on był na spotkaniu ze swoim wydawcą. Zaczęłyśmy rozmawiać. Spędziłam u niej noc.

Lauralynn nawet się zarumieniła, widać ta noc wywarła na niej spore wrażenie, pomyślał Dominik.

— To w takim razie teraz moja kolej, żeby cieszyć się z twojego szczęścia.

— Dzięki. — Zachichotała jak nastolatka. — Wiem, że to tylko jedna noc, ale ona wydaje

mi się zupełnie wyjątkowa. Wiesz jak to jest, czasem wystarczy tylko jedno spojrzenie.

— Albo sporo więcej niż spojrzenie.

— Znacznie więcej — przyznała Lauralynn. — Mieszka w tej wielkiej rezydencji Vigga w Belize Park i twierdzi, że mają strasznie dużo wolnego miejsca i że Viggo na pewno się zgodzi.

— Masz na myśli tę Rosjankę? — spytał Dominik z dziwnym przeczuciem, jak gdyby wszystkie fragmenty układanki nagle złożyły się w całość.

— Tak, to Luba. Miałaś mi ją przedstawić, pamiętasz?

— A, tak, Luba, niepowtarzalna Luba.

— Czy ona nie jest cudowna?

— Jest. Bez wątpienia.

Summer umówiła się na spotkanie z Susan, która chciała przedyskutować plany wprowadzenia skrzypaczki z powrotem na rynek muzyki klasycznej i jej projekt powrotu do źródeł. Do tego wszystkiego doszła jeszcze możliwość wydania albumu, który nagrano na jednym z europejskich koncertów Grucho Nights — w Sarajewie. Summer nie spodziewała się, że będzie wolna wcześniej niż po południu, i planowała wtedy wybrać się do Camden Town, żeby zabrać od Chrisa resztę rzeczy. Potem miała przyjechać do Dominika.

Dominik zaproponował zatem, że odwiezie Lauralynn do domu Vigga i pomoże jej przy wnoszeniu bagaży.

Gdy zadzwonił do drzwi rezydencji, nie mógł sobie nie przypomnieć, jak ledwie kilka dni temu zakradł się tam, używając podrobionych kluczy. Oddał je zresztą Viggowi.

To Luba otworzyła im drzwi.

Obdarzyła Lauralynn długim uściskiem, po czym serdecznie ucałowała Dominika w oba policzki i zaprosiła ich do środka.

Biorąc pod uwagę, w ilu różnych erotycznych kombinacjach się znaleźli lub co mieli okazję widzieć, Dominik dziwił się, jak swobodnie wszyscy się czują. Historia zmierzała ku swojemu naturalnemu zakończeniu — historia, której ukrytym trybikiem była pewnie klątwa Angelique, pomyślał z uśmiechem.

— Viggo gdzieś tu się kręci, pewnie przyjdzie później — poinformowała Luba.

Dominik przypatrzył się parze kobiet i uderzyło go podobieństwo między nimi. Nigdy wcześniej nie zwrócił na to uwagi, ale obie kobiety były wysokie i zbudowane jak Amazonki. Luba nie mogła się poszczycić tak kuszącymi krągłościami, ale — niewątpliwie dzięki trenowaniu tańca — zawsze była wyprostowana jak struna, z dumnie wyprężonym biustem. Lauralynn nie dbała aż tak o idealną postawę, jej ciało przywykło do większego luzu, a jego kształt wyznaczały potężne ramiona pływaczki i miękkie, kobiece wypukłości.

Wyraźnie do siebie pasowały.

Och, być muchą na ścianie ich sypialni, pomyślał Dominik.

Pomógł Lauralynn wtargać do domu dwie ciężkie walizki Samsonite, po czym wrócił do otwartego bagażnika bmw, by wyciągnąć z niego kilka sporych kartonowych pudeł, do których dziewczyna spakowała w pośpiechu książki i różne inne drobiazgi.

Luba wykazała się zadziwiającym u niej odruchem gospodyni, proponując kawę i babeczki, ale Dominik wyczuł, że błyskawicznie staje się piątym kołem u wozu, a dwie kobiety tylko czekają, aż pójdzie sobie pod jakimś pretekstem i zostawi je same. Właśnie zamierzał się pożegnać, gdy do pokoju wszedł Viggo. Jego obcisłe dzinsy były tak dopasowane, jak jeszcze nigdy dotąd — jakby spędził pół godziny pod prysznicem lub w łaźni parowej, byle tylko jeszcze mocniej opięły jego szczupłe jak u elfa nogi. Koszulka najlepsze lata miała już za sobą i była cała w dziurach, jak ser szwajcarski.

— O, cześć, stary — powitał Dominika na swój zwykły, swobodny sposób.

Potem skupił się na nowej przybyszce.

— To jest Lauralynn — przedstawiła ją Luba.

Rockman wbił wzrok w posągową blondynkę, po czym przez chwilę patrzył to na nią, to na Lubę.

- Witaj, skarbie, wiele o tobie słyszałem.
- Masz na myśli ścieżkę wiolonczeli do twojej nowej piosenki?
- O tak — potwierdził Viggo z uśmiechem. — To też.

Luba, rozbawiona tym, jak błyskawicznie obudził się w Viggu instynkt drapieżcy, wzięła Lauralynn za rękę i przeprowadziła ją korytarzem w stronę wyższych piętér posiadłości.

- Pokażę ci pokój, który dla ciebie przygotowaliśmy.

Lauralynn pomachała Dominikowi.

Viggo odprowadził wzrokiem kobiety, nie ukrywając łobuzerskiego uśmiechu.

— To moja dobra przyjaciółka — podkreślił Dominik. — Świetna kobieta. Tylko muszę cię ostrzec...

- Tak?
- Nie przepada za facetami.
- Viggo uśmiechnął się jeszcze szerzej.
- Nigdy nie mów nigdy.

Wpadłam w panikę dopiero, kiedy przywieźli meble.

Po raz pierwszy w życiu weszłam w posiadanie czegoś tak trwałego.

Kupiłam wielką szafę, zestaw komod i ogromne lustro w internetowym sklepie ze wschodniej części hrabstwa Sussex. Wyrabiali meble z drewna pochodzącego z recyklingu, bez żadnych sklejek, a Neil, pracownik sklepu, który obsługiwał moje zamówienie, wielokrotnie podkreślał, że produkty jego firmy mają przetrwać lata. Wszystko to tylko spotęgowało moje przerażenie faktem, że wyładowałam z walizkami w domu Dominika bez możliwości szybkiej ucieczki — tak samo jak wtedy, kiedy wszystko się zawaliło.

Szafa była tak ciężka, że musiało ją wnieść czterech mężczyzn. Gdy patrzyłam, ile wysiłku wkładają w walkę z koszmarnym ciężarem, wciąż zastanawiałam się, czy kiedykolwiek dam radę ją wydestać z powrotem z tego domu. Uspokajałam się, że to tylko mebel i że w razie jakiegó katastrofy zawsze mogę użyć siekiery, po czym znieść szafę w kawałkach.

I od razu poczułam się tak winna, że przez resztę tygodnia starałam się być szczególnie miła dla Dominika. Nie ja jedna ponosiłam trudne konsekwencje naszej decyzji, ale on radził sobie wspaniale. Nawet nie drgnęła mu powieka, gdy tuż obok jego bezcennych pierwszych wydań postawiłam tonę romansów o wampirach dla młodzieży. Stanowczo odmówił natomiast kupna kota, chociaż obiecał rozważyć złotą rybkę, o ile przyrzeknę, że sama będę się nią zajmować.

W Nowym Jorku wszystko wyglądało inaczej. Wtedy wiedziałam od początku, że mieszkanie ma status tymczasowy — Dominik wynajął je na kilka miesięcy, żeby wypełnić obowiązki wynikające z warunków jego stypendium. Myślałam o tamtym miejscu jako hotelu i pewnie to między innymi doprowadziło do problemów.

Nawet kiedy zamieszkałam z Simonem, chociaż byliśmy razem przez dwa lata, nie wprowadziłam żadnych zmian — wcisnęłam tylko ciuchy w połowę jego ogromnej szafy wbudowanej w ścianę i rozłożyłam kosmetyki w łazience. Nie dodałam ramki ze zdjęciem do wystroju i zawsze uważałam to miejsce za „jego mieszkanie”, nigdy „nasze”.

Ogrom zmian w moim życiu uświadomiłam sobie, czytając mail od Charlotte, dawnej przyjaciółki — dziewczyny, z którą byłam blisko, gdy poznałam Dominika, i która wprowadziła mnie do londyńskiego światka fetyszystów. Nie miałam z nią żadnego kontaktu od ponad dwóch lat, czyli od dnia, gdy w wielkim pośpiechu po raz pierwszy wyjechałam z Londynu i przeprowadziłam się do Nowego Jorku.

Czytała recenzję występu Groucho Nights w La Cigale i wzmianka o mnie skłoniła ją do napisania listu. Mieszkała teraz w Paryżu jako żona Jaspera. Charlotte spotykała się z nim niezobowiązująco w Londynie, gdzie pracował jako mężczyzna do towarzystwa, w czasach, gdy się przyjaźniłyśmy. Przypadkiem zaszła z nim w ciążę — dziecko miało już osiemnaście miesięcy — rok później przytrafiła się kolejna.

Jasper był jednym z nielicznych znanych mi mężczyzn, który był w stanie zaspokoić nienasycony apetyt erotyczny Charlotte. Okazało się, że ich luźny związek zmienił się w coś

poważniejszego. Jasper rzucił pracę żigola i siedział teraz w domu, zajmując się dziećmi i studiując psychologię, a Charlotte pracowała w dziale finansowym brytyjskiej ambasady.

Odpisałam jej, że znów jestem z Dominikiem, i tak zaczęłyśmy długą wymianę korespondencji na temat związków, tych wszystkich „dlaczego?” i „jak to?”, i o problemach ze stabilizacją, której nigdy się nie pragnęło. Charlotte, odkąd pamiętałam, zawsze była singielką z przekonania, która wolała zatrudnić mężczyznę za pieniądze niż podrywać facetów w barze na jedną noc. Twierdziła wtedy, że tak jest jej łatwiej i uczciwiej, że uczucie do Jaspera, którego była stałą klientką, to szczęśliwy traf.

„Miłość zakrada się do ciebie wtedy, gdy się tego zupełnie nie spodziewasz” — napisała Charlotte.

Paryżanie są o wiele bardziej otwarci niż Brytyjczycy i mniej ukrywają prawdę o swojej erotycznej naturze. Chociaż Charlotte i Jasper dbali o utrzymywanie pozorów przyzwoitości, od czasu do czasu zatrudniali opiekunkę, żeby odwiedzić Les Chandelles albo Cap d'Agde, sławne plaże dla nudystów.

„Straszny tłum swingersów. Nie podobałoby ci się. Lepiej trzymaj się swojego ogrodu Torture” — odpisała, gdy spytałam, jak tam jest.

Jakoś nie wyobrażałam sobie, jak nakłonię Dominika do przebrania się w mundur albo lateksowe wdzianko, chociaż bardzo chętnie widziałabym go w butach do jazdy konnej i z bacikiem w dłoni. Zawsze trzymał się z daleka od niebezpiecznego świata fetyszy, a ja wolałam uczestniczyć w jego fantazjach odgrywanych tylko za pomocą dotyku i słów. Wszystkie inne rzeczy to temat do przyszłych rozmów, ale wątpiłam, czy kiedykolwiek przeforsuję specjalną pościel albo chociaż kajdanki — jakiegokolwiek, puchate różowe albo grube skórzane.

Nasze zbiory gadżetów wzbogaciły się jednak o jeden przedmiot: Viggo przysłał mi prezent na nowe mieszkanie: Magiczną Różdżkę Hitachi. Dominik wyciągnął masażer z pudełka i obejrzał ze zdziwionym wyrazem twarzy, ale z przyjemnością zaprezentowałam mu zastosowanie przedmiotu.

Simón także dowiedział się — za pośrednictwem Susan — że Dominik i ja znów jesteśmy razem, i ni z tego, ni z owego postanowił do mnie zadzwonić. Zawsze go bawiło, że nie cierpię rozmawiać przez telefon, i gdy byliśmy razem, dzwonił do mnie z każdym drobiazgiem, nawet jeśli miał tylko ustalić, o której wracam do domu, albo poprosić, żebym kupiła po drodze mleko w koreańskich delikatesach. Wystrzegał się maili i esemesów.

Odruchowo odebrałam, myśląc, że to Susan chce zapytać, jak mi idzie w studio. Viggo pomagał mi zorganizować miejsce pracy do nagrania nowozelandzkiego albumu. Chodziłam tam codziennie i ćwiczyłam na bailyim, by wczuć się w klasyczny klimat po krótkiej ucieczce do świata rocka. Chociaż nigdy nie potrafiłam tego osiągnąć na innych skrzypcach, gdy tylko dotykałam daru Dominika, natychmiast zaczynał mi śpiewać pod palcami.

— Cześć, co tam — rzucił Simón. Zawsze tak się ze mną witał — te trzy słowa były naszym kodem, który oznaczał tyle, co cała wymiana zdań. „Cześć, jak się masz, jestem w domu” i jeszcze sporo innych rzeczy.

— Simón?

— Czyli jednak mnie nie zapomniałaś.

— Co słyhać? — zagadnęłam. — Jesteś w Nowym Jorku? Z orkiestrą?

— No, prawie. Tylko chwilowo, wracam do Wenezueli, na dobre.

— Będiesz dyrygentem w Caracas?

— Nawet nie. Rządowa posada, wyobraź sobie. Zostanę ministrem kultury.

— O rany! Gratulacje. Czyli będziesz mógł bez przerwy jeździć na rodeo, i to oficjalnie?

— Co tydzień. I będę się opychał kokosami i deserami o smaku karmelu.

— Brzmi całkiem nieźle.

— Musisz przyjechać mnie odwiedzić. Z Dominikiem — dodał szybko. — Susan mówiła mi, że znowu jesteście razem. A twoje muzyczne przygody oczywiście sam śledziłem.

— To była jazda bez trzymanki.

— Materiał na książkę.

Rozbawiło mnie, że to powiedział.

— Dominik właśnie pisze powieść. Tym razem nie o mnie, a przynajmniej tak twierdzi. O moich skrzypcach.

— Tak pomyślałem. Czyli on ci daje muzykę, a ty mu odpłacasz słowami.

— Nigdy tak o tym nie myślałam, ale rzeczywiście, masz rację.

— Zawsze wiedziałem, że jesteście dla siebie stworzeni. My nie mieliśmy szans.

Mówił to ciepło i z humorem. Roześmiałam się — Simón zwykle miał rację. Między innymi z tego powodu zerwaliśmy.

Rozmowa z nim dała mi poczucie, że domknęłam wszystko w starym życiu. Cieszyłam się, że jego głos brzmiał radośnie, bo chociaż sam zakończył nasz związek, miałam dziwne poczucie winy, jak gdybym to ja zawiniła.

Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej zaczynałam się bać, że przeprowadzka do Dominika to błąd — tak jak kiedyś zamieszkanie z Simómem. Być może ja po prostu nie nadawałam się do takiego domowego życia. Z Simómem czułam się jak w więzieniu. Teraz się bałam, że tak samo będzie po kilku miesiącach dzielenia mieszkania z Dominikiem, dzień w dzień, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Gdyby nam się udało, wtedy byłoby to pasmo szczęścia i sielanki, odpowiedź na wszystkie moje marzenia, związek, który zawsze pragnęłam stworzyć.

Ale gdyby coś poszło nie tak, zniszczylibyśmy wszystko, co mamy.

Dominik przedarł się już w swojej powieści przez krwawe szaleństwa II wojny światowej i dotarł do późnych lat sześćdziesiątych, gdy do grona nieszczęsnych, przeklętych bohaterów, które zostały właścicielkami niosących zagładę skrzypiec, dołączyła Edwina Christiansen.

Edwina była samotną matką z Hanoweru. Jej synek narodził się w wyniku nieudanego hippisowskiego romansu, gdy Edwina miała zaledwie dwadzieścia kilka lat. Po powrocie do Niemiec Edwina poślubiła Helmuta Christiansena, właściciela stoczni z Hamburga, ale małżeństwo nie przetrwało; stateczny i sporo starszy Helmut okazał się zbyt trudnym partnerem dla kochającej wolność i fantazję Edwiny. Razem z dzieckiem wróciła do Hanoweru, gdzie została pracownikiem technicznym i przedstawicielką związku zawodowego w fabryce samochodów.

Skrzypce, na których nie potrafiła nawet grać, trafiły do niej po śmierci dalekiego kuzyna. Ponieważ nikt z rodziny nie zainteresował się tą częścią spadku, spoczęły spokojnie w głębi jednego z kredensów, a Edwina nie miała nawet pojęcia, jak wiele są warte.

Dominik wyobrażał sobie, że Edwina przypominała trochę Claudię, studentkę, z którą miał romans niedługo przed poznaniem Summer. Gdy pisał, zawsze pomagało mu, jeśli stworzył sobie jasną wizję postaci, a najłatwiej inspirować się rzeczywistymi osobami. Claudia miała jasnobrązowe włosy, ale farbowała je na nienaturalny, jaskrawoczerwony kolor, który zostawiał smużki na jego pościeli. Panicznie bała się deszczu, który powodował, że pomarańczowe strużki spływały jej po twarzy — farba źle znosiła działanie wody.

Pisał przez całą noc, dzięki czemu ogarnęło go przyjemne znużenie. Jego palce były ciężkie jak ołów po długim, pracowitym szukaniu właściwych słów na opisanie miejsca, w którym uda Claudii stykały się z jej wygolonym łonem.

Zostawił Summer w łóżku krótko po północy. Kochali się jak wariaci, aż zwinęła się w kulkę, wyczerpana i nasycona, i zasnęła — a jej twarz wciąż rozświetlał dziecięcy zachwyty. Dominik też usiłował zasnąć, ale jego ciało i umysł wciąż były rozpalone, gotowe do działania. Dlatego wyszedł z sypialni i wybrał się do gabinetu, by sprawdzić, czy elektryczne napięcie, które wciąż buzowało mu w żyłach, da się przełożyć na pisanie. Dało się — więc noc przeminęła mu jak jeden sen. Teraz jednak ciało mściło się na nim za ten wysiłek, Dominik wiedział, że nie może dłużej odkładać odpoczynku.

Uruchomił funkcję czuwania w komputerze, odsunął krzesło i już miał iść na górę, kiedy usłyszał głośnie trzaśnięcie drzwi. Zerknął na zegarek. Wcześniej jak na listonosza.

Z przyzwyczajenia ruszył na dół, żeby odebrać pocztę.

Jak zwykle dostał pakiet prenumerowanych pism, mnóstwo reklam i jedną pocztówkę. Z

Bali.

Odwrócił kartkę. Napisała do niego ta para starych rozpustników, Edward i Clarissa. Życzyli mu „niekończącej się imprezy”. Dominik się uśmiechnął. Niektórzy ludzie po prostu się nie zmieniali, a ci dwoje mogli do końca świata przemierzać planetę wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu nowych przyjemności. Było w tym coś uroczego.

Gdy odkładał resztę poczty na stolicek z telefonem, zauważył, że miejsce, w którym zwykle stał wysłużony futerał ze skrzypcami Summer, było puste. Wiedział, że na pewno znajdował się tam jeszcze poprzedniego wieczoru.

Poczuł ucisk w sercu.

Pobiegnął po schodach do sypialni, przeskakując po kilka stopni naraz, w nadziei że Summer tam zabrała skrzypce. Nigdy nie grała na górze — niedługo po przeprowadzce poprzestawiała większość mebli w małym pokoju na parterze po to, by utworzyć tam prowizoryczną salę do ćwiczeń.

Przed oczami przemknęło mu mnóstwo katastroficznych scenariuszy. Summer od kilku dni była wyjątkowo wyciszona i więcej niż raz widział, jak wpatruje się w przestrzeń z zamyślonym wyrazem twarzy. Czy zaczęła się wahać? Może, po tym wszystkim, uznała, że ten związek jednak nie może się udać?

Otworzył drzwi, jego oczy szybko przyzwyczyły się do ciemności.

Rozejrzał się po sypialni. Nie było tam żadnego futerału.

Spojrzał w stronę łóżka, spodziewając się, że zobaczy zarys ciała Summer pod kołdrą. Ale pościel była rozrzucona, a łóżko puste.

Świat stanął w miejscu.

Zawalił się prosto na niego.

Dominik w panice zaczął się miotać po domu, sprawdził wszystkie pokoje, krew uderzyła mu do głowy.

Summer znikła.

Wrócił na parter, skąd zaczął poszukiwania. Oparł się dłonią o drzwi, żeby odzyskać trochę spokoju. Wiedział — zawsze wiedział — że Summer to wolny ptak. Że jeśli spróbuje uwięzić ją w tradycyjnym związku, tylko ją odstraszy. Zachował się egoistycznie, głupio. I znów ją utracił.

Osunął się na ziemię, oparty plecami o drzwi. Ręce opadły mu na boki i wtedy wyczuł pod palcami coś długiego i gładkiego. Na macie leżał jeden ze smyczków Summer. Musiała go upuścić, gdy uciekała w pośpiechu. Nie zauważył go wcześniej, bo zasłoniła go sterta poczty, a kiedy podnosił kupkę czasopism i kopert, był zbyt roztargniony.

Musnął palcami drewno, myśląc o Summer. Pięknej, kruchej, dumnej Summer. O kobiecie, którą kochał. I która znów mu się wymknęła z rąk. W tamtej chwili, gdy ścisnął w palcach ostatni ślad Summer, który mu pozostał, Dominik pomyślał, że zaraz pęknie mu serce.

Od razu zauważył, że smyczek nie znajdował się na swoim zwykłym miejscu.

Został ustawiony tak, by wskazywał na drzwi.

Czyżby znak?

Otworzył je. Na zewnątrz było cicho, po drodze o tej porze nie jeździły jeszcze żadne samochody. Zerknął na zegarek. Dopiero co minęła siódma rano.

Na wąskim chodniku, kilka metrów od drzwi frontowych, leżała ciemnobrązowa plastikowa kostka gitarowa.

Schylił się, by ją podnieść.

Było na niej wygrawerowane logo Groucho Nights, kabalistyczny symbol, który siostra Summer, Fran, wykopała w jakiejś książce o ezoteryce. Poruszył wyobraźnię Chrisa i jego kolegów z zespołu.

Zamówili kilka tysięcy takich kostek i zwykle rzucali je w tłum w kulminacyjnym punkcie występów. To była tania, sprytna i skuteczna forma promocji.

Po drugiej stronie domu rozciągała się droga ku głębokiej dolinie, jak kałuża ciemności.

Dominik zauważył jeszcze jedną kostkę na chodniku po przeciwnej stronie ulicy, kilka metrów od krawężnika. Ta droga prowadziła w stronę przytłaczającego budynku Szpitala

Królewskiego, który stał u podnóża stromego wzniesienia. Dominik przeszedł na drugą stronę drogi, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Wciąż miał na nogach klapki. Po dwóch minutach marszu znalazł trzecią kostkę.

To był trop.

Czyżby znaki od Summer?

Szybko cofnął się do mieszkania, przebrał w adidasy i zgarnął pierwszą lepszą bluzę, którą znalazł w pokoju na dole, włożył ją na podkoszulek, chwycił klucze, zamknął za sobą i ruszył na poszukiwania kolejnych kostek, które rozrzucone były na drodze prowadzącej na wzgórze.

Jego pamięć przez cały czas pracowała na zwiększonych obrotach, usiłował ustalić, która to była baśń — *Czerwony Kapturek* czy *Pinokio*, czy *Jaś i Małgosia*, czy jeszcze jakaś inna — w której małe kamyczki, a może jakieś ziarenka, prowadziły bohatera we właściwym kierunku.

Początkowo uznałam, że to idiotyczny pomysł.

Powinno być po prostu zostawić dla niego w kuchni list: „Poszłam na spacer. Znajdź mnie” i dołączyć mapkę z narysowanym X, oznaczającym miejsce, do którego się wybieram.

Ale im dłużej nad tym myślałam, tym szybciej kiełkował w mojej głowie inny plan.

Obudziłam się w nocy i zobaczyłam, że Dominik zniknął, jego część łóżka była zimna, a kołdra odrzucona, jak gdyby się spieszył. Zawsze miał w sobie coś z pedanta, więc w normalnych okolicznościach na pewno porządnie wygładziłby za sobą pościel.

Błyskawicznie poczułam skurcz niepokoju. Pomyślałam, że obudził się przy mnie i łóżko wydało mu się zatłoczone, że zapragnął samotności. Czasem sama tak myślałam, wciąż jeszcze nie przyzwyczaiałam się do wspólnego mieszkania. Może poszukał schronienia w hotelu albo u przyjaciółki, może nawet poprosił Lauralynn, żeby udostępniła mu jeden z pokoi gościnnych Vigga.

Sypialnia bez Dominika stała się przytłaczająca. Zrzuciłam pościel i szybko wyszłam na schody. Wtedy zauważyłam światło w jego gabinecie, a gdy się zbliżyłam, usłyszałam cichutkie stukanie klawiszy.

Dominik pisał.

Drzwi były odrobinę uchylone — powiększyłam szparę i cicho zawołałam go po imieniu, by sprawdzić, czy nie ma ochoty na coś ciepłego albo szklankę wody. Nie odpowiedział.

Miał na twarzy tę charakterystyczną mieszaninę radości i wściekłego skupienia. Zawsze wyglądał tak, gdy nagle przyjdzie mu do głowy nowy pomysł i wszystko nagle zaczyna do siebie pasować — to jak niespodziewana wizyta kapryśnej muzy. Uznałam, że lepiej będzie mu nie przeszkadzać.

Nalałam sobie szklankę mleka i wróciłam do łóżka, ale nie mogłam zasnąć.

Przesiedziałam tak resztę nocy, rozmyślając o przyszłości i zastanawiając się nad tym, co może nas czekać.

I czy nam się uda. Czy ta błyskawiczna przeprowadzka nie okaże się błędem.

Tylko czas mógł mi odpowiedzieć na te pytania.

Mój wzrok padł na baily’ego, którego zostawiłam w holu na dole, i poczułam skurcz w palcach. Miałam ochotę podnieść instrument i grać, grać, aż do zupełnego wyczerpania, by zmęczenie osiadło na mnie jak ciężki płaszcz i zmusiło do snu. Jednak mimo zamkniętych drzwi i tak bałam się, że muzyka wyrwałaby Dominika z jego twórczego transu i jak syrenia pieśń przywiodła na górę.

Czasem czułam się jak Szczurołap z Hamelin, bo Dominik zawsze podążał za dźwiękiem baily’ego. Ton skrzypiec był dla niego barometrem moich nastrojów i zauważyłam, że zwyczajowo przed zgaszeniem światła sprawdzał, gdzie je zostawiłam i czy są bezpieczne.

Wysłuchiwałam historii Angelique, która była kanwą jego powieści. Zawsze interesowałam się losami moich instrumentów. Zawsze lubiłam wiedzieć, kto na nich grał i czyje opowieści snuły, zanim trafiły do mnie. Ale nie miałam aż tak romantycznego podejścia do tej sprawy i często śmiałam się z przesądów Dominika.

Przecież muzyk zyskuje panowanie nad swoimi skrzypcami, a nie na odwrót?

Nawet pan van der Vliet, mój zmarły nauczyciel muzyki, zawsze mi powtarzał, że dobry

skrzypek wydobędzie muzykę ze wszystkiego, nawet jeśli przyjdzie mu użyć patyka i piły.

To właśnie uruchomiło ciąg skojarzeń, a gdy zaczęłam już myśleć o baillym, romantycznych baśniach i legendach, pomysł ukształtował mi się w głowie i nie potrafiłam go z niej wyrzucić. Wkrótce miałam już w pełni rozwinięty plan.

Szybko ubrałam się w starą, czarną aksamitną sukienkę, w której wciąż czasem występowałam — kupiłam ją wiele lat temu na Brick Lane i zagrałam w niej pierwszy recital z Dominikiem. Ten wybór wydał mi się poetycki.

Potem wzięłam do ręki skrzypce i zdałam sobie sprawę z pierwszej luki w moim planie. Musiałam zostawić Dominikowi jakąś wskazówkę. Tylko jaką?

Otworzyłam futerał i pogłaskałam drewnianą powierzchnię o niemal pomarańczowej barwie, cieplej jak zachód słońca. Miałam nadzieję, że bailly sam mi coś podpowie.

Skrzypce milczały, ale futerał okazał się pomocny. Dotknęłam wybrzuszonej kieszeni i odkryłam w środku zapas oznakowanych kostek gitarowych Groucho Nights, które rzucaliśmy w tłum na koncertach, budząc szalony entuzjazm.

Wspaniale. Mogłam je rozrzucić jak okruszki chleba po drodze do parku — tyle że prowadziłyby do mnie zamiast do chatki z piernika.

Dla pewności, że Dominik będzie przynajmniej miał jakąś szansę, zostawiłam też zapasowy smyczek przed drzwiami — wskazywał kierunek, w którym mógł znaleźć pierwszą kostkę.

Już świtało, gdy ruszyłam drogą wiodącą do parku. Bursztynowe słońce powstało nad linią drzew na horyzoncie, rozrzucając różowe macki promieni na niebo. Rzadko wstawałam o tej porze, a że nie spałam wiele tej nocy, czułam się jak we śnie. Pochłonęło mnie chłodne powietrze, przepełnione przenikliwym ćwierkaniem ptaków i cichym szumem wiatru w gałęziach.

Pamiętałam o tym, by po drodze rzucać kostki — zostawiałam je w takich miejscach, w których Dominik mógł je zobaczyć. Podążałam tą samą drogą, którą on sam poprowadził mnie, gdy szłam tam po raz pierwszy. Znowu nie miałam butów i uśmiechałam się, czując miękką, wilgotną ziemię pod stopami.

Minęłam stawy, przeszłam przez mostek przy basenie i wspięłam się na ścieżkę. Skrzywiłam się, gdy ostre kamyki zaczęły mi się wrzynać w skórę, ale nie zrezygnowałam z położenia kostki na wielkim czarnym kamieniu, który wyróżniał się spośród mniejszych i jaśniejszych. Tam Dominik musiał ją zauważyć. Poza tym na tym etapie na pewno wiedział już, dokąd poszłam. Nie byłam tu od dnia, gdy po raz pierwszy zagrałam dla niego Vivaldiego, ale trasę miałam wypaloną w pamięci tak wyraźnie, jak gdyby była to mapa prowadząca do skarbu.

W końcu znowu zeszałam na trawę i westchnęłam z ulgą, gdy rosa ukoiliła ból pociętych przez kamienie stóp. Znalazłam się pod baldachimem z drzew, które zasłaniały słońce jak parawan, ale po chwili wyszłam na otwartą przestrzeń. Widziałam już w oddali małe podium na szczycie oszłamiająco zielonego wzgórza — wyrastało z ziemi, jak gdyby samo było drzewem, chociaż nie z drewna i ziemi, ale z kutego żelaza.

Na ostatnich metrach nie zostawiałam już kostek. Tu Dominik może już mnie usłyszeć.

Jeśli przyjdzie.

A byłam pewna, że tak.

Ostrożnie weszłam na kamienne stopnie, które prowadziły na niewielkie podium, odwróciłam się i popatrzyłam na otwartą przestrzeń, na linię drzew, zza których wkrótce miał wyjść Dominik.

Nie było nikogo, tylko ja, bailly, ptaki i park. Bez wątplenia wkrótce musieli się zjawić jacyś biegacze i zburzyć spokój mojej samotni — ta myśl omal nie zniechęciła mnie do zrealizowania następnego punktu planu. Mimo wszystko postanowiłam zrobić, co zamierzałam.

Skoro miałam zagrać recital dla Dominika, stojąc na tym wzgórzu, musiałam być naga. To był mój ostateczny znak.

Może wpłynęła na mnie bezsenna noc, ale po drodze podjęłam decyzję.

Gdyby się zjawił, gdyby zauważył, że skrzypce znikły i że mnie też nie ma — gdyby udało mu się znaleźć wskazówki i dotrzeć tutaj do mnie, to byłby dowód, że jesteśmy stworzeni, by być razem. Wtedy mogłabym porzucić wątpliwości i w pełni się zaangażować.

Gdyby nie przyszedł, gdyby pisał przez resztę dnia albo odkrył moją nieobecność, ale uznał, że poszłam pobiegać, i ją zignorował — oznaczałoby to, że powinnam się wyprowadzić i zamknąć ten rozdział. A potem zacząć od nowa. Sama.

Ostatni rzut kostką. Niech los zadecyduje o naszych losach. To było bardzo w stylu Dominika, on rozumiał i cenił takie decyzje. I właśnie dlatego wierzyłam, że się uda, bo postanowiłam spotkać się z nim w połowie drogi, naga, grając Vivaldiego.

Zupełnie jak za pierwszym razem.

Zrzuciłam z siebie sukienkę, przymknęłam oczy i zaczęłam drugi koncert, *Lato*. Nie grałam po kolei, bo chciałam zakończyć na *Wiosnie* — pierwszej części, która brzmiała jak początek. To pasowało do mojego pomysłu. Gdybym skończyła *Zimą*, byłoby to zbyt przygnębiające.

Bailly ożył fontanną dźwięków, ledwie tylko przytknęłam smyczek do strun, a ja popłynęłam z nimi, wzleciałam ponad wrzosowisko na skrzydłach melodii.

Kończyłam już *Jesień*, gdy przypomniałam sobie, po co to robię, i znów otworzyłam oczy, by zacząć wypatrywać Dominika pośród drzew.

Może jednak nie przyszedł, może to był głupi pomysł. A może popełniliśmy błąd i los właśnie mówił mi, że bym odeszła, uciekała, póki jeszcze mogę, póki żadnemu z nas nie przyniosłoby to krzywdy. Ale grałam dalej, czując, że w głębi serca pragnę, by przyszedł.

Smyczek zadrżał mi w dłoni, ogarnęła mnie potężna fala emocji. Zaczęłam bezgłośnie zaklinać Dominika.

Znajdź mnie. Przyjdź po mnie. Nie odbieraj nam tej szansy.

Łza ześliznęła mi się z policzka i spłynęła na gładką powierzchnię skrzypiec. Tam, wtedy, gdy słodkie dźwięki Vivaldiego mieszały się z poranną mgłą, zrozumiałam, że nie mogę bez niego żyć.

Spod baldachimu drzew, sto metrów ode mnie, wyłoniła się jakaś postać. Z tej odległości nie byłam w stanie jej rozpoznać. Serce zaczęło mi walić jak oszalałe, wydawało mi się, że widzę starą bluzę z nadrukiem uniwersyteckiej drużyny sportowej, ale zepchnęłam tę myśl na krawędź świadomości. Przymknęłam oczy i pozwoliłam przemówić skrzypcom.

Gdy zaczęłam *Wiosnę*, pierwszą część cyklu i zarazem ostatnią mojego recitalu, zdawało mi się, że wyczuwam jego obecność w pobliżu, coś zmieniło się w poruszeniach powietrza. Patrzył, planował następny ruch, a może po prostu słuchał muzyki.

W końcu nie wytrzymał i zakłócił przebieg melodii.

Najpierw poczułam gorący oddech na szyi — pochylił się, jak gdyby chciał mnie pocałować, ale jednak tego nie zrobił.

Gdy szykowałam się do wykonania ostatniego pasażu, delikatnie wyjął mi z rąk skrzypce i położył mnie na chłodnym kamiennym podeście.

Otworzyłam oczy.

Dominik, uśmiechnięty od ucha do ucha, z tym znajomym mrocznym błyskiem w oczach.

— Jeszcze nie skończyłam — szepnęłam.

— Vivaldi nam wybaczy — odparł.

A potem kochaliśmy się, na nasz własny sposób.

Podziękowania

Pragniemy podziękować naszej agentce Sarze Such z Sarah Such Literary Agency, która tak wsporniale wprowadziła na rynek nasz cykl Osiemdziesiąt Dni. Wyrazy głębokiej wdzięczności kierujemy też do Jona Wooda, Jemimy Forrester, Susan Lamb, Emmy Dowson i całej ekipy Oriona, dzięki której znaleźliśmy się na listach bestsellerów. Chylimy kapelusz przed Tiną Pohlman i Allison Underwood z Open Road Ingerated Media. Jesteśmy bardzo zobowiązani wobec Rosemarie Buckman z Buckman Agency, która zajmowała się sprzedażą serii za granicę, niezliczonym wydawcom z różnych krajów, którzy postanowili ją opublikować, a także Hamishowi i Junzo z English Agency (Japonia) i Carrie Kani z Conville & Walsh. Podziękowania należą się również naszym bystrookim redaktorom, korektorom i tłumaczom, którzy pracowali szybko i niestrudzenie.

Wiele z tych książek zostało napisanych w trasach — z całego serca dziękujemy partnerom, rodzinie i przyjaciółom, których musieliśmy zaniedbać, by zająć się Summer i Dominikiem, podróżując po Londynie, Paryżu, Bristolu, Rzymie, Berlinie, Edynburgu, Nowym Orleanie, Nowym Jorku, Chicago, Awinionie i Sitges na ekranach naszych laptopów i iPadów.

Na koniec, dziękujemy Mattowi Christiemu za zdjęcia, pracodawczyni Viny za to, że nas wspierała, mimo wszystkich nieobecności w pracy spowodowanych pracą nad książkami, oraz — z konieczności anonimowym — osobom, które pomogły nam w uzyskaniu wiedzy niezbędnej do napisania tych książek.

To była ekscytująca podróż...

Burzliwe i romantyczne przygody Summer i Dominika być może dobiegają końca, ale seria Osiemdziesiąt Dni będzie miała ciąg dalszy: Osiemdziesiąt dni bursztynowych i Osiemdziesiąt dni białych, w których nasza dwójka bohaterów pojawi się znowu, a obok nich: Luba, Viggo Franck, dziewczyna z tatuażem w kształcie łzy oraz wielu innych starych i nowych znajomych.

VINA JACKSON

BLOGI

NARODZINY VINY JACKSON

W chwili gdy piszę te słowa, OSIEMDZIESIĄT DNI ŻÓŁTYCH Viny Jackson zajmuje 6. miejsce na liście bestsellerów „The Sunday Times”, a od trzech tygodni nie schodzi z Top 10.

Ale gdyby bezduszny system komputerowy nie posadził dwóch kompletnie sobie obcych osób naprzeciwko siebie w pociągu z Londynu, na 6. miejscu mogłaby być teraz nowa powieść Johna Grishama, a co gorsza, Vina Jackson mogłaby się w ogóle nie narodzić!

Los chadza tajemniczymi ścieżkami.

Vina Jackson to pisarski duet, tworzący pod wspólnym pseudonimem. A jeszcze kilka miesięcy temu obie jego połowy były sobie całkiem obce...

Wszystko zaczęło się, gdy jedna strona została zaproszona do udziału w festiwalu literackim poza Londynem, a druga, za rekomendacją przyjaciela, spontanicznie postanowiła tam dotrzeć i szybko nabyła bilet.

Tak więc pewnego wczesnego niedzielnego poranka, kiedy zima zmieniała się już w wiosnę, z biletami kupionymi w Internecie pojawiliśmy się na dużym londyńskim dworcu, a później okazało się, że podstawiony pociąg jest zapełniony może w dziesięciu procentach. Akurat nasza dwójka została posadzona naprzeciw siebie, podczas gdy resztę wagonu zasiedlało najwyżej pół tuzina podróżnych. Każde z nas mogło śmiało przesiąść się gdzie indziej w poszukiwaniu prywatności, ale przecież jesteśmy Brytyjkami, więc uznalibyśmy to za nieuprzejmość.

Kilkugodzinna podróż upłynęła na czytaniu, rozmyślaniu, słuchaniu muzyki na iPodach albo jedzeniu, przy czym nie padło między nami ani jedno słowo. Zaledwie kilka godzin później, przy picciu powitalnej kawy na festiwalu literackim, okazało się, że troje z nas, posadzonych w jednym wagonie przez kolejowy komputer, zmierza na tę samą imprezę. A ze stacji wzięliśmy trzy oddzielne taksówki.

Kilka tygodni później połowa przyszłej Viny Jackson skontaktowała się z drugą, prosząc o radę w sprawie służbowej i tak dwoje obcych sobie ludzi, którzy poznali się przypadkiem w pociągu, zaczęło regularną wymianę e-maili.

Para pisarzy mających ochotę napisać pikantny romans. Któreś z nas bez świadomości konsekwencji wspomniało o przeczytanej w gazecie niezwyklej historii zabytkowych skrzypiec. Perwersyjne umysły myślą tak samo, zaświtało w nas więc podejrzenie, że to może być początek powieści, która tylko czeka na napisanie. Po czym natychmiast wróciliśmy do swoich spraw, własnych historii domagających się napisania, naszych żywotów czekających na przeżycie i innych musów.

Minęło kilka miesięcy, a pomysł wspólnej powieści wciąż w nas buzował, stanęło więc na tym, że spotkamy się w Groucho Club w Londynie, a potem wymienimy się pomysłami i sugestiami, obżerając się przy okazji w Chinatown. Wtedy to podjęte zostało postanowienie, że napiszemy cztery pierwsze rozdziały powieści, przeplatając relacje dwojga bohaterów, i wyślemy do agenta literackiego, żeby sprawdzić, czy materiał ma szansę zainteresować jakiegoś wydawcę.

Bohaterami zostali skrzypaczka grająca w metrze i wykładowca uniwersytecki uwiedziony jej grą. Powstał opis ich spotkania. Tak narodziła się Vina Jackson. A także kilka próbnych rozdziałów pierwszej z dwóch powieści poświęconych wyprawie do świata seksu i sadomasochizmu.

Agentka literacka, Sarah Such, zachwyciła się próbką, podpisała z nami umowę i już po kilku dniach skierowała nas do kilku londyńskich wydawnictw. Oferty zaczęły napływać natychmiast. Rosło zainteresowanie, rosły proponowane kwoty, a także oczekiwania, bo pojawiła się sugestia, żeby książka była trylogią. Vina Jackson zgodziła się napisać trzecią część i wkrótce podpisała kontrakt na sześciocyfrową sumkę ze strasznie fajnym koleśkiem z wydawnictwa Orion.

Oczywiście wtedy już na listach bestsellerów szalała trylogia E.L. James i w Orionie

zasugerowano nam, żeby wszystkie trzy tomy powstały w ciągu trzech miesięcy. Vina nie opierała się długo i przystała na takie tempo, bo zapewniało ono trylogii publikację w ciągu zaledwie kilku tygodni od dostarczenia manuskryptów i wstrzelenie się w zapotrzebowanie rynku.

Pierwszy tom, OSIEMDZIESIĄT DNI ŻÓŁTYCH, ukazał się w Anglii w sierpniu, a pozostałe części, OSIEMDZIESIĄT DNI NIEBIESKICH i OSIEMDZIESIĄT DNI CZERWONYCH, wyjdą we wrześniu i w październiku. Wkrótce wyda je w USA Open Road Media, a prawa do przekładu sprzedano do 14 krajów świata, w tym do Niemiec, Francji, Włoch i Japonii.

Nigdy nie chodziło nam o rywalizację z *Pięćdziesięcioma twarzami Greya*, więcej — nawet nie znamy tej książki! Plan był taki, żeby napisać mocny romans erotyczny z wiarygodnymi bohaterami, trzymający w napięciu do końca, mamy nadzieję, że dobrze napisany i zapewniający ekscytującą rozrywkę.

A wy uważajcie, naprzeciwko kogo siadacie w pociągu. Może się okazać, że skończycie, pisząc z kompletnie obcym człowiekiem perwersyjną romantyczną trylogię.

DO TANGA TRZEBA DWOJGA

Kilka razy pytano nas już, jak to jest, kiedy się pisze razem. I to nie tylko pisze cokolwiek, ale pikantne sceny erotyczne. Jak to robimy? Jak to jest, dzielić z kimś tak intymną prozę? Czy zawsze się ze sobą zgadzamy?

Ponieważ obydwie połowy duetu Vina Jackson naczytały się literackich romansów z pieprzykiem albo prozy erotycznej, są przyzwyczajone do zgłębiania tajemnic tego, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami sypialni naszych bohaterów w większym stopniu niż inni pisarze. W związku z tym bardziej pikantne fragmenty OSIEMDZIESIĘCIU DNI przyprawiły nas ledwie o rumieniec.

A jednak w kawiarniach i restauracjach, gdzie powstawały plany naszych powieści, trzeba było mówić szeptem, żeby przypadkiem nie urazić innych klientów, którzy nie musieli przecież wiedzieć, że nasze dyskusje o lubieżnych romansach i perwersyjnych trójkątach są czysto teoretyczne!

Metodyka pracy była prosta. Każde z nas wybrało sobie bohatera, albo Summer, albo Dominika, a potem rozdział za rozdziałem powstawały relacje pisane z dwóch punktów widzenia.

Na początku nasz pomysł był jedynie eksperymentem, nie było umowy z naszą agentką Sarah Such ani kontraktu z wydawnictwem Orion, było za to więcej czasu i wszystko wydawało się prostsze. Jedno z nas pracowało, a drugie miało wolne i czekało na sygnał do rozpoczęcia swojego rozdziału. Oczywiście wiedząc wcześniej wszystko o nowych wydarzeniach i rozwoju bohaterów.

Ale kiedy pojawił się ostateczny termin oddania tekstu, oczywiście obok innych zobowiązań zawodowych, stało się jasne, że musimy wzmóc wysiłki, zacisnąć zęby i pisać symultanicznie.

To oznaczało konieczność zbliżenia do siebie naszych warsztatów pracy, żeby upewnić się, że zmierzamy (oczywiście angażując w to naszą kreatywność) w tym samym kierunku. Wkrótce liczba wymienianych przez nas e-maili — dziennie! — wzrosła do 20-50 (w związku z czym cofnięcie się do wcześniejszych ustaleń stało się prawie niemożliwe).

Ale że muzy to istoty uparte i kapryśne, szkicowały bohatera od A do Y, podczas gdy musiał być zaprojektowany od A do Z. W praktyce oznaczało to, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć nasza współpraca polegała na snuciu się jak dzieci we mgle, bo jedno z nas pracowało nad rozdziałem ósmym, a drugie już nad dziewiątym i modliło się, żeby w rezultacie trzymało się to kupy.

I o dziwo tak właśnie było w znakomitej większości przypadków, nie licząc dostosowywania do siebie drobiazgów i szczegółów.

Potem następowała zamiana i zaczytywaliśmy rozdział partnera. Trzeba było przecież sprawdzić, czy poprowadził naszego bohatera tak, jak sobie umyśliliśmy. Poza tym w grę wchodziło wyrzucanie powtórzeń, nanoszenie poprawek, żeby tekst lepiej się czytał, a od czasu do czasu dopisywaliśmy cały akapit, jeśli przypadkiem okazywaliśmy się większym ekspertem od

geografii jakiegoś miejsca albo, na przykład, autorytetem w kwestii tego, jak najlepiej związać kochankę.

W dwóch z trzech części naszej trylogii bawiliśmy się też w chwilową wymianę bohaterów. Miało to nas uchronić przed rutyną, a czytelnikom dostarczyć dodatkowej rozrywki, tak więc w OSIEMDZIESIĘCIU DNIACH ŻÓŁTYCH i NIEBIESKICH Summer pisywała jako Dominik, a Dominik jako Summer.

Trudno powiedzieć, czy nasza synchronizacja istniała od początku, czy może została wypracowana podczas pracy, ale kiedy po skończeniu powieści przyszło do redakcji i korekty autorskiej, mieliśmy ogromne kłopoty ze stwierdzeniem, kto pisał który rozdział.

Mamy nadzieję, że czytelnicy mają z poznawania przygód Summer i Dominika tyle samo radości, ile my z pisania o nich.

CZY ŻÓŁTY TO NOWY SZARY (GREY²)?

Oszałamia nas wprost entuzjastyczne przyjęcie OSIEMDZIESIĘCIU DNI ŻÓŁTYCH i wydaje nam się, że to może być dobry moment na odniesienie się do kilku kwestii, które od czasu do czasu przewijają się w recenzjach.

Przede wszystkim, dlaczego książka pisana jest równocześnie w pierwszej i w trzeciej osobie?

W OSIEMDZIESIĘCIU DNIACH... ŻÓŁTYCH, NIEBIESKICH i CZERWONYCH kolejne rozdziały są pisane na przemian z perspektywy Summer, która opowiada w pierwszej osobie, i Dominika — w trzeciej osobie. Przedstawiamy punkt widzenia zarówno naszej bohaterki, jak i bohatera, bo zdawało nam się, że będzie to miła odmiana dla czytelników; będą wreszcie mogli poznać obydwie perspektywy, z których można spojrzeć na tę samą historię. Jak często się zdarza, że czytelnik może obserwować rozwijający się romans i męskimi, i kobiecymi oczami? Poza tym Vina Jackson, jako pisarka składająca się z dwóch autorów, mogła się o to pokusić, z nadzieją że zrobi to dobrze. Tam, gdzie jeden pisarz musi czasem zmagać się z chęcią faworyzowania jednego bohatera, nasza dwójka walczyła w narożnikach swoich własnych postaci.

Wersja Summer przedstawiana jest w pierwszej osobie, a Dominika w trzeciej, żeby to Summer miała większą moc oddziaływania poprzez tekst. Zależało nam na stworzeniu zadziornej, niezależnej dziewczyny, która jest pewna siebie i dobrze się ze sobą czuje, a te cechy mogłoby być trudno utrzymać w konwencji sado-maso, gdzie jej postać jest z założenia uległa.

Ale nie wszystko krąży wokół kobiet. Z drugiej strony ważne było dla nas stworzenie męskiego bohatera obdarzonego głębią, nie tylko przystojnego, bogatego i dominującego faceta, na widok którego kobiety mdleją i tyle.

W romansach utrzymanych w estetyce sado-maso najczęściej pierwszoplanową postacią jest uległa kobieta, ale już motywacje męskiego bohatera schodzą na dalszy plan i są znacznie mniej istotne niż fakt, że ma w domu lądowisko dla śmigłowców. Zależało nam na zgłębieniu przyczyn, dla których bohater może chcieć wiązać swoją kochankę, pokazaniu ewolucji jego pragnień i analizie jego reakcji na to, że żądze, które nim targają, pewnie przez wielu byłyby uznane za niemoralne albo wręcz za uwłaczające godności.

Wydawało nam się także, a pierwsi czytelnicy potwierdzili naszą intuicję, że te naprzemienne rozdziały pomagają utrzymać napięcie, bo każdy urywał się w najbardziej emocjonującym momencie i czytelnik mógł zabawiać się zgadywaniem, co będzie dalej z bohaterką albo bohaterem i jak drugi bohater postrzega zachowania pierwszego, opisane w rozdziale wcześniejszym.

Pisanie w tej konwencji okazało się dla nas proste i mamy nadzieję, że po pierwszym zaskoczeniu, kiedy czytelnik po lekturze pierwszego rozdziału w całej serii zdaje sobie sprawę, że w rozdziale drugim opowiada zupełnie inna osoba, nie jest to dla nikogo kłopotliwe. W dalszych częściach konieczne okazało się jednak pokazanie Summer i innych ważnych bohaterów oczami trzecioosobowego narratora, bo dzięki temu mogli się pojawić w danym punkcie akcji we właściwym momencie. A dla nas była to możliwość, żeby jeszcze głębiej poznać nasze postaci, bo

pokazaliśmy, jak widzą Summer inni, nie tylko Dominik.

Skąd tytuł? Czy żółty to nowy szary?

Na temat tytułu wiemy już wszystko. Czytelnicy pytali na Twitterze, czy te kolory odnoszą się do żółtaczki albo do sportów wodnych. Z przyjemnością informujemy, że w tekście nie występuje ani jeden motyw, ani drugi.

Początkowo tytuł miał brzmieć zupełnie inaczej, ale nasz wydawca oczekiwał czegoś innego, optymalnie chwytliwego i łatwo wpisywalnego w świat wszechobecnych hashtagów na Twitterze, w którym wszystko jest skrócone do minimum, więc burza mózgów trwała, dopóki nie wyłonił się tytuł, który zadowolił wszystkich i zapewnił, że supermarkety też będą mogły sprzedawać naszą książkę.

Kolory są hołdem dla filmów: szwedzkiej serii, która złamała seksualne tabu: *Jestem ciekawa* — w kolorze żółtym i *Jestem ciekawa* — w kolorze niebieskim oraz dla trylogii Krzysztofa Kieślowskiego.

Niezależnie od pewnych podobieństw do *Pięćdziesięciu twarzy*, w sferze marketingowej utożsamienia nie dało się uniknąć. Zresztą, co tu dużo mówić, kłamstwem byłoby wypieranie się nadziei na to, że uda nam się zaczerpnąć trochę z sukcesu Anastasii Steel i jej *Christiana Greya*, i ogromnych apetytów na gorącą literaturę, które rozbudziła E.L. James.

Z pełną odpowiedzialnością stwierdzamy jednak, że nasza książka nie jest kopią. Żadna z połówek Viny Jackson nie czytała książek E.L. James. Na początku po prostu nie było na to czasu, bo pisanie za bardzo nas pochłaniało. Potem to był już świadomy wybór, przynajmniej do czasu ukończenia OSIEMDZIESIĘCIU DNI, żeby nie można było oskarżyć nas o naśladownictwo. Nie można naśladować czegoś, czego się nie zna.

OSIEMDZIESIĄT DNI... napawają nas dumą, a zachwyca fakt, że E.L. James przetarła szlaki powieści erotycznej.

Co to za gatunek, pikantny romans, i czemu piszecie w tym stylu?

Mówiąc w skrócie, pikantny romans to love story, która przekracza drzwi sypialni.

Jako pisarze uważamy, że kluczowe jest zgłębienie każdej sfery ludzkiej osobowości i życia postaci, łącznie z tymi, które zwykle pozostają w ukryciu albo są pomijane w trosce o moralność.

OSIEMDZIESIĄT DNI... miało być czymś więcej niż seksowną, romantyczną opowiadanką, w której narracja jest tylko wypełniaczem pomiędzy kolejnymi scenami erotycznymi.

Zdawało nam się, że niedawny wybuch zainteresowania erotyką stworzył warunki do napisania serii, która zgłębi aspekty tak często ignorowane przez powieść mainstreamową, opíše erotyczną tożsamość naszych bohaterów i sposób, w jaki ich seksualność wpływa na inne sfery ich życia.

A więc, tak jak w życiu, oboje naszych bohaterów miewa niezbyt pozytywne doświadczenia seksualne, a w każdym razie takie, które nie spełniają ich oczekiwań. Ale potrafią sobie pomóc, a eksplorowaniu najróżniejszych śmiałych przygód erotycznych sprzyja rodzące się między nimi uczucie i romantyczne tło.

Nasze powieści to seria i nie chcemy od razu wyklądać wszystkich kart na stół, zatem i Summer, i Dominik w trakcie romansu rozwijają się w następnych tomach, a każda książka kończy się w najbardziej porywającym momencie, dzięki czemu, na co liczymy, czytelnicy wprost błagają o więcej.

Mamy nadzieję, że dobrze się bawiliście w czasie lektury.

28 sierpnia 2012

Copyright © Vina Jackson

Przypisy

¹ Hotel butikowy — hotel o wysokim standardzie, zaspokajający często nietypowe i wyrafinowane potrzeby gości (przyp. red.).

² gra słów: *grey* (ang). — szary i nazwisko tytułowego bohatera powieści E.L. James *Pięćdziesiąt twarzy Greya* (*Fifty Shades of Grey*).

Seria *Osiemdziesiąt Dni* robi furorę na świecie!

Jako jedyna brytyjska seria
obok trylogii *Pięćdziesiąt twarzy Greya*
podbiła światowe listy bestsellerów

Jest wydawana w 20 krajach

W Wielkiej Brytanii
sprzedano w 4 miesiące
ponad pół miliona egzemplarzy

We Francji powieści Viny Jackson to jedyne
obok *Pięćdziesięciu twarzy Greya*
bestsellery literatury erotycznej

Bestsellery w Brazylii

Oszalamiająca popularność pierwszych tomów serii
sprawiła, że brytyjski wydawca zamówił
dwie kolejne powieści Viny Jackson!

W marcu Wydawnictwo Amber opublikuje
Tom 4 OSIEMDZIESIĄT DNI BURSZTYNOWYCH

W maju

Tom 5 OSIEMDZIESIĄT DNI BIAŁYCH

